



Z SZAREJ PRZĘDZY

PRYWATNE LICEUM ŻEŃSKIE
Z PRAWEM PUBLICZNOŚCI
HELENY KAPLIŃSKIEJ
KRAKÓW, GOŁĘBIA 5.

Biblioteka *manuic*
JAN SWIERK

IM. KAPLIŃSKIEJ

Nr 196

Z SZAREJ PRZĘDZY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA




PRYMATNE LICEUM ŻEŃSKIE
Z PRAWEM PUBLICZNOŚCI
HELENY KAPLIŃSKIEJ
KRAKÓW, GOŁĘBIA 5.

LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

WARSZAWA — KSIĘGARNIA S. SADOWSKIEGO

1901



65174

KRAKÓW. — Druk W. L. ANOCZYCA I SPÓŁKI.

K-168/76/41528

Dąbrowa, 7 sierpnia 188...

Jestem już więc na wsi. Po zwalczeniu rozmaitych przeszkód uzyskałam czego tak gorąco pragnęłam.

Po zdaniu matury w seminarium, stałam jak na rozdrożu, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić. Rodzina, znajomi, przyjaciele uznawali, iż jedyną dla mnie drogą jest teraz podać się o posadę bezpłatnej praktykantki i na tej posadzie parę lat przeczekać. Gdy się wolna posada nauczycielki rzeczywiście otworzy, będę mogła ją uzyskać. Inni, a tych była garstka mała, mówili inaczej. Mówił tak mój brat, jego przyjaciel Mieczysław K... i szlachetny, a zacny nasz profesor literatury:

— Na wieś, do pracy nad ludem: oto droga wielka, oto posłannictwo Polki!...

Za ich głosem szło moje serce, myśl i dusza... Do ludu, do chat, do cichej wioski, kędyś daleko położonej, iść z siejbą słowa i myśli: toż to cudowne do pracy pole. Ach!... ile ja miałam trudności, zanim istotnie mogłam wniesić podanie o posadę nauczycielki na wieś.

Z SZAREJ PRZĘDZY.

— Co tam będziesz robiła? — mówiła ciotka Izabela. — Zginiesz między chłopami, zabiją cię kiedy, zadręczą... co ty sama tam poczniesz?...

— Winszujemy ci towarzystwa pastuchów, pijanych chłopów i bab przeklinających — mówiła kuzynka.

— Ideały! marzenia! fantazje!... — wołał ironicznie sąsiad nasz i przyjaciel. — Byłem ja na wsi; gospodarowałem, znam lud. Nie dla dziewczęcia tam droga. Wobec ciemnoty, dzikości i złych nawyków ludu, potrzeba siły fizycznej, bata. A pani co zrobi?

Mój Boże! Ile ja się podobnych zdań nasłuchałam... Płakałam nieraz gorzkiemi łzami, nie wiedząc, kędy mi iść należy, czyich słuchać głosów...

A serce? Serce mię rwało tutaj, gdzie jestem, tutaj, gdzie najciemniej, gdzie najwięcej potrzeba światła i ciepła. Jestem więc tutaj.

Otrzymałam tymczasową posadę nauczycielki ludowej w szkole jednoklasowej, we wsi, w której dotychczas szkoły nie było. Postęp, wiedza, nauka nieznane tu jeszcze rzeczy.

I ja tu przybyłam jako wysłanka, jako głosicielka wielkiej prawdy, wiedzy... Jestem i rozważam, ile obowiązków, ile mozołów wzięłam na swe ramiona. Istotnie poczyną mnie ogarniać trwoga, czyli starczy mi do tej pracy i sił ducha i mocy ciała.

8 sierpnia.

Przyjechałam ze stacyi kolejowej, z miasta S... przed tygodniem, a do dziś rzeczy nie rozpakowane, mieszkanie nie urządzone. Ponieważ tutaj nigdy nie było szkoły, więc nie ma ukończonego budynku szkolnego. Kupiono duży dom żydowski, przerobiono na szkołę, ale do wykończenia jeszcze daleko.

Ja z mamą i siostrą młodszą umieściliśmy się w izbie szkolnej, bo tu jako tako można już było bogdaj łóżka i stolik ustawić. Izba szkolna jest po lewej stronie budynku, przez środek ciągnie się duża sień, po prawej stronie są dwa małe pokoiki i kuchenka.

Stary organista, Kiwacki, który jest zarazem architektem wioskowym, ma w swoich rękach wykończenie mieszkania. Pracuje z nim trzech cieśli i jeden murarz.

Rano, w południe, wieczór, to jest w porze, w której robotnicy w pole wychodzą lub z pola do domu wracają, gromada chłopów, parobków i dziewczek przychodzi do „szkoły“. Gdy pierwszy raz taka gromada weszła do budynku: parobcy w kapeluszach z „dzygarami“, dziewczęta z sierpami lub dzbankami w rękach, struchlałam...

— Czego sobie życzycie? — pytam drżącym głosem.

— My się przyszliz „podziwić“ — odpowiada

jeden, a inni rozchodzą się śmiało po izbie szkolnej. Ten bierze w rękę kałamarz, ogląda ciekawie, drugi krzesło podnosi, obraca, bada, jak mechanik nowego wynalazku cudo. Dziewczyna gładzi ręką moje poduszki.

Chodzą z izdebki do izdebki, rozsiedli się wreszcie i zaczynają rozmowę z Kiwackim.

Kiwacki jest u nich wyrocznią. Co on powie, to prawda, temu nikt nie zaprzeczy...

— To nauczycielka już tu „siedzi“?

— A widzicie!... Inspektor kazał jej tu jechać, choć jeszcze szkoła nie gotowa.

— Trzeba, aby pisarz napisał „lekurs“, co my nie chcemy nauczycielki, nam trzeba profesora, aby był pisarzem i podatki odbierał. Jeszcze ich trzy tu przyjechało.

— A mają „kupa“ gratów?

— Nie wiem, powiadają, co wzięli trochę, reszta została we Lwowie.

— Ze Lwowa?

— A tak!...

Podobne rozmowy i odwiedziny powtarzają się codziennie, to znaczy już 5 dni. Ciekawam, czy to tak zawsze zechcą do szkoły wstępować owi goście zbyt ciekawi? Prawdziwie, boję się ich.

Nie potrafię opisać, jakie przykre wrażenie lud ten robi na mnie. Wieś duża, ma przeszło 300 „lumerów“, jak mówi organista, a dusz więcej niż 1000. Wśród tego tysiąca dwoje ludzi umie czy-

tać i pisać, to jest ksiądz i Kiwacki. Ja będę miała zaszczyt tę dwójkę powiększyć!... Lud tu jest mazurski, choć wokół w sąsiednich wsiach mieszkają sami Rusini. Jest to kolonia mazurska, jak mi mówił inspektor, sprowadzona za czasów królowej Bony do wioski, wyludnionej przez jakąś epidemię. Chłopi są wprost straszni. Duże, rosłe postacie, z długimi, nieraz do połowy pleców sięgającymi włosami, których, wedle zwyczaju, nigdy nikt nie ucina. Kobiety przeważnie są ładne, zgrabne, żywe, ale dzikie, zupełnie dzikie. Na zapytanie albo nie odpowiadają, albo przebąkują „aja“, co ma znaczyć „tak“, lub też przecząco kiwają głowami.

A dzieci?... Ta armia liczna, na której czele ja mam za parę tygodni stanąć, te dziczki, które mam uszlachetniać... Ach!... te dzieci! Brudne, brzydkie, uciekają z krzykiem, gdy chcę do którego z nich się zbliżyć, pogłaskać, lub o coś zapytać... Wszyscy we wsi patrzą na mnie z niechęcią, nieufnością, jakby chcieli mi powiedzieć...

— Zabieraj się, po coś tu przyszła?...

A ja patrzę z bojaźnią i żalem na lud i na dziatwę i poczynam się pytać: po com ja tu przyszła?

Po co? Trwoga jakaś wielka, ciężka i czarna zaczyna serce mi gnębić, trwoga przed tem, co widzę i czego się już spodziewam...

11 sierpnia.

Byłam z mamą u księdza proboszcza. On jest przewodniczącym miejscowej Rady szkolnej, tej pierwszej i najbliższej mojej władzy, więc musiałam się mu przedstawić.

Czekaliśmy z mamą długo w ogrodzie, zanim ksiądz nadszedł. Usiadliśmy na ławeczce, w cieni-
stym ogrodzie, nie mówiąc do siebie ani słowa.

Ja wiedziałam dobrze, iż mama jest dziwnie zaniepokojona i zmartwiona. Wszystko wokoło składało się na to, aby nas przygnębić zupełnie. Mnie poczyna przejmować coraz większy niepokój, mama milczy, ale znać, że martwi się bardzo... Czyż to dziwne?...

Wreszcie przyszedł ksiądz. Opalony, zgrzany, odziany w płócienny kitel.

Przywitał nas oboje uprzejmie, prosił do mieszkania.

— Pani ze Lwowa?

— Ze Lwowa, tam ukończyłam seminaryum.

— I chce się też pani tutaj, wśród chłopstwa na wsi zagrzebać?...

— Chcę pracować dla ludu, to moje gorące pragnienie; radabym przyczynić się choć w drobnej części do oświaty tych naszych braci...

— Ha! ha! ha!... dobrych mi braci — przerywa ksiądz, śmiejąc się ironicznie. — To są chamy, draby, „paluchy“ (podpalacze), zbóje. Zobaczysz pani,

przekona się pani, co to tutejszy chłop znaczy... Kijem go, batem, inaczej się nic nie zrobi...

— Ależ, wielbny księżu proboszczu — odzywa się moja mama — zadaniem kobiety jest dobrocią i łagodnością działać. Lud chociażby nawet ciemny i opuszczony, jak w tej wiosce, da się nagiąć ku oświacie, ale trzeba zaczynać ostrożnie, delikatnie.

— Tak mówią wszyscy ci, którzy w mieście mieszkają i znają lud tylko ze sceny, z powieści, z obrazów, gdzie on malowniczo wygląda — spokojniejszym nieco tonem odrzekł ksiądz proboszcz. — Ale my, którzy jesteśmy wśród ludu, znamy jego wady, nałogi, jego złe skłonności, wiemy, czyli głos litościwego serca coś u niego znaczy.

Czułam, że mi policzki płoną ognistymi rumieńcami, czoło me pot oblewał. Ah! Boże! Cóż ja za słowa słyszę!...

Ksiądz mówił dalej:

— Jestem tego przekonania, że ludzi złotymi obietnicami, jest nieuczciwie. Wolę więc panią przestrzedz, iż praca tutaj nie będzie łatwą. Wdzięczności niech się pani nie spodziewa. Złodzieje są, kradną, dzień i noc trzeba się pilnować, „paluchy“ są, byle słowo obraży, już jeden drugiemu chatę podpali. Wspomni pani moje słowa, czy nie mówię prawdy. Niechętni są, nieżyczliwi, żydowi tylko ufają, żyda słuchają... A ta szkoła tyle im pomoże, co mnie taniec. Wszystko to modne wymysły,

w głowie się ludziom przewróciło z tą nagłą miłością dla ludu...

Wszedł chłopak z uwiadomieniem, iż do chrztu przyjechali. Poczęliśmy się żegnać. Wyszliśmy jak z łaźni.

Mama nic nie mówiła. Ja panowałam nad sobą, aby się nie rozplakać.

Ale wieczór, późno, gdy już we wsi wszystko się uciszyło, gdy i u nas, w tym kątku ubogim, wszyscy do snu się ułożyli, ja długo, długo siedziałam w oknie, a lzy, jak groch, toczyły się po moim licu.

Co mię tu czeka, — któż powie? Praca, praca wielka i bezgraniczna, a przy niej ileż będzie cierni, kółców, zawodu i zwątpienia?!

Gdybym tutaj była sama, gdybyż to wszystko, co może mię spotkać, padało tylko na mnie, ale ja mam przy sobie matkę siwowłosą, matkę, nieprzywykłą do takiego życia...

Mam przy sobie i siostrę. Jakież tu czeka mię życie, jakie?...

12 sierpnia

Dziś byłam znów z mamą we dworze. Czyż zdołam to opowiedzieć, jak nas przyjęto?...

Powitał nas najpierw lokaj... pytając, czego sobie życzymy.

— Czy są państwo w domu? — odrzekłam

trochę zmieszana. — Proszę oznajmić, iż nauczycielka tutejszej szkoły z matką...

Nie dokończyłam, bo lokaj przerwał gburowato:

— Państwo przy śniadaniu, proszę zaczekać.

Otworzył drzwi do kancelaryi pana i tam każał nam czekać.

Usiadłam na krześle, tłumiąc lzy w oczach. Mama podeszła do okna i patrzyła na wioskę. Miął kwadrans, pół godziny, trzy kwadransy... Wreszcie wszedł lokaj, mówiąc, że państwo proszą do salonu.

Wchodzimy. W dużym, elegancko urządzonym salonie jest kilkanaście osób, śnać goście z sąsiedztwa. Pan domu, średnich lat mężczyzna, powitał mię lekkim skinieniem głowy; pani ledwie raczyła się uśmiechnąć. Inni obecni, pogardliwie na nas rzuciwszy okiem, prowadzili dalej wesolą rozmowę po francusku, śmiejąc się nieraz bardzo głośno.

— Więc się pani zdecydowała przyjąć tu posadę? — pyta pan domu, marszałek Rady powiatowej, członek Rady szkolnej okręgowej i t. d. pan Łomski.

— Pan inspektor dał mi kilka szkółek do wyboru w tym powiecie, ja wybrałam tę biedną Dąbrowę. Zdaje mi się ona najbardziej opuszczona i najwięcej zaniedbana.

— Nie opuszczona i nie zaniedbana — mówi pan Łomski. — To złodziejska, pijacka osada. Tu

lud najgorszy z całego powiatu: zabijają się, po kryminałach wiecznie siedzą, palą sobie domy. Ich żadne Towarzystwo asekuracyjne nie chce przyjąć do ubezpieczenia. Kradną co krok. Przyznam się pani, że takich Hotentotów w Galicyi chyba nie znajdzie. Ja nie pojmuję, nie rozumiem, jak pan inspektor miał nawet sumienie do takiej wsi panienkę przeznaczać.

Na to jedna z pań, która się przysłuchiwała mojej rozmowie z p. Łomskim, rzekła:

— Ja także mogę powiedzieć szczerze, iż pan inspektor postąpił nieszlachetnie, bo nie odkrył pani prawdy. Dla młodej osoby, panienki, taka posada, to oczywista zagłada jej życia.

Pani Łomska, młoda i przystojna osoba, lecz o wyrazie twarzy bardzo dumnym, raczyła także przemówić:

— Lepiej niech się pani zrzeknie zawczasu tej posady i szuka gdzieindziej lepszego miejsca; tutaj dla pani zupełnie nieodpowiednie miejsce...

— Zresztą przyznam się szczerze — odpowie pan Łomski — iż nigdy nie jestem za tem aby po wsiach pracowały nauczycielki. Są to osoby nieraz za wiele wymagające, z nauczycielem większa wygoda.

— Mam nadzieję, iż kiedyś zmieni pan swoje zdanie o nauczycielkach — mówi na to mama, wstając z krzesła. — Przekona się pan, iż nau-

czycielki nie wymagają niczego, a niosą i oddają bardzo wiele.

— Jestem wprawdzie jeszcze zbyt niedoświadczoną, abym mogła odpowiedzieć panu na to, co usłyszałam — rzekłam cichym głosem. — Ale zapewnić mogę pana szczerze, iż, przyjmując posadę nauczycielki na wsi, nie patrzyłam na przyszłość różowo; wiedziałam i wiem, że biorę na siebie trud wielki; lecz się nie cofnę i nie wrócę...

— Ha! ha! — zaśmiało się kilka głosów — jeszcze pani nie zaznała rozczarowania. Za pół roku usłyszymy co innego.

— Ja z góry zapowiadam — dodał p. Łomski — iż dla szkoły żadnego ustępstwa, żadnej przysługi nie uczynię. Lud dworu nienawidzi, procesuje się ze mną parę lat, gdzie może, to mi dokucza i szkodzi, więc ja dla tego ludu nic nie robię. Dla pani zaś, jako dla pani, dla młodej i pięknej osoby... a... to co innego... jeżeli pani czego zażąda...

— Dziękuję! nie będę się naprzykrzać... — odparłam szybko, gdy mama uklonem żegnała towarzystwo...

— Niech się pani nie zarzeka — wołał pan Łomski, śmiejąc się. — Niezadługo będzie inaczej... Bez dworu pani zginie w tej wsi...

— Dziękuję!... przepraszam... — wpłatałam wrazy wychodząc, a szłam jak po żarzących węglach.

.....

— Mamó! — pytałam potem ze łzami — mamó, czy to prawda, czy to sen?... Czego ci ludzie chcą właściwie?... Dlaczego mnie tak bezlitośnie ranią? Dlaczego ani plebana, ani dwór nie dały mi choćby jednego słowa zachęty, pociechy, nadziei?...

Mama tuliła mą głowę na swojej piersi i rzekła smutnym głosem:

— Byłaś dotąd zawsze wytrwała w swoich zamiarach, wytrwaj i teraz. Nie bój się! Bóg nad nami! Bóg najlepszy ojciec i opiekun. Oddaj się Jego opiece i nie zrażaj się!... Wiedziałam ja, że twardą drogą potoczy się twoje życie, więc nie zostawiłam cię samej, a chociaż Stach w Krakowie błagał mię na wszystko w świecie, abym przy nim zamieszkała, widzisz, że nie zgodziłam się na to, lecz oto jestem przy tobie, w tej nędznej chatce, w tej wiosce biednej. Nie płacz dziecino, często początek trudny znamionuje koniec bardzo pomyślny.

14 sierpnia.

Dziś chłopak od wójta przyniósł mi „pismo“ z poczty. Były to listy, które przed tygodniem wysłano ze Lwowa. Trzy dni leżały u wójta, zanim pisarz przyszedł i przeczytał, że to „do pani profesorki“.

Jeden od Stacha. Poczciwy, najlepszy brat i syn. Jakże on się niepokoi, jak się troszczy co się z nami dzieje.

— Sam zachęcałem Zośkę — pisze on do mamy — aby poświęciła parę lat swej pracy dla ludu, bo serce i głos sumienia narodowego tego żąda, bo to najwznioślejsze posłannictwo dziś dla polskich dziewcz. Ale dręczy mnie ciągle niepokój, czy wam tam nie zanadto obco, czy znalazłyście życzliwą pomoc, czy w razie wypadku jakiegoś będziecie miały do kogo się udać? Nie będę spokojny, dopóki sam się nie przekonam, jak tam żyjecie i dlatego dołożę wszelkich starań, aby dostać urlop i do was przyjechać.

Drugi... od Mieczysława.

— „Oświata ludu — pisze mi — to łan olbrzymi, to zagon przez wieki leżący odłogiem, to miliony serc bratnich, to przyszłość narodu naszego. Twarde jak żelazne zapory będą do zwalczenia przesady i konserwatywne pojęcia tych, którzy chcą wstrzymać ruch społeczny i oświaty nie dopuścić do ludu. Ale pani niech tym osobom rzuci w twarz politowanie. Ci, którzy nie chcą oświaty ludu, sami jej najbardziej potrzebują“.

„W naszym kółku — pisze dalej — tęskno bez pani. Wspominamy też nie raz jeden panią i gonimy myślą w tę podgóorską cichą wioszczynę, do której zawiodła panią miłość Ojczyzny.

„Parę lat z życia swego odda pani jeszcze na służbę wielką i świętą, a potem, da Bóg... potoczą się dni życia inną koleją...“

.....

Odczytawszy listy, uczułam się znów mężniejszą i spokojniejszą. Wszak słusznie pisze Mieczysław: nie należy sobie nic robić ze zdania ludzi zacofanych i niedobrych. Wszystko, co szlachetniejsze w narodzie, woła na nas: pracujcie nad ludem, pracujcie, niosąc mu oświatę! Za tym głosem i moje serce poszło.

Tak!... Otuchą i nadzieją rozgrzewa się moje serce!... Dobry brat, szlachetny przyjaciel, wsparli nas duchowo. Jakże jestem im za to wdzięczna...

Weselej dziś w naszej izdebce i nawet nuciłyśmy z Halką nasze dawne, ukochane piosenki.

15 sierpnia.

Święto Matki Boskiej!...

Od rana dzień był cudownie cichy, pogodny i słoneczny. Budynek nasz leży przy głównej drodze do kościoła, więc widziałyśmy całe gromady pobożnych, spieszących do kościoła. W ubraniu świątecznem lud ten przedstawia się wcale ładnie, chociaż ubogo. Strój tu zupełnie przechowany wedle zwyczaju dawnego, a wszelkie wynalazki tkackie i farbiarskie jeszcze tu nieznane. Całe odzienie tak mężczyzn, jak kobiet składa się z lnianego, domowej roboty płótna. Mężczyźni mają długie siermięgi z tego płótna i nazywają to „kachtan“. Kobiety mają z tego płótna spodnice, fartuchy i krótkie „kachtany“. Która zaś z nich wielką jest elegantką, ta ma spódnicę „drukowaną“ lub „malowaną“.

Jest to spódnica ze zwykłego płótna, a na niej są rzucane czarne centki, kropki lub kwadraciki. Od czasu do czasu przychodzi do karczmy z miasta żyd „malarz“ i każe sobie znosić spodnice do malowania. Od malowania bierze miskę zboża i odchodzi.

Kobiety mają na głowach czepki białe, na które przychodzi owicie głowy wokoło. Jest to długi kawał „cienkiego“ płótna, to jest perkalu bawełnianego, który składa się w wązki pas w ośmioro, lub nawet dziesięcioro i tak okręca się nim głowę nad czołem począwszy, 3 do 4 razy wokoło. Na czepek i na to owicie dopiero przychodzi tak zwany „rąbek“. Jest to 3 łokcie albo i więcej długości mający kawał płótna, który, jak welon, kobieta na głowę zarzuca. Gdy kilka, kilkanaście kobiet razem tak ubranych idzie, robi to nadzwyczaj malownicze wrażenie. Jak duchy jakie lub widma wyglądają one w tych białych strojach i welonach.

Dziewczęta ubierają głowę wiencami olbrzymiej wielkości. Od czoła począwszy widać kwiaty żywe, georginie, „Matki Boskiej pantofelki“ i t. p. Naturalnie kalina jest także. Poza tym wieniec z żywych kwiatów widać drugi wieniec stały, robiony z piór. Gęsie pióra farbują sobie same dziewczęta w wosku i zielonej farbie, z czerwonej włóczki robią małe kutasiki. Wokoło każdego kutasika umieszczają 5 piór i to stanowi jeden kwiat. 18 do 30 kwiatów składa się na jeden wieniec. Prócz tych

podwójnych wieńców, noszą jeszcze dziewczęta cały płaszcz wstążek, zwieszonych na plecach. Im która ma dłuższe i ładniejsze wstążki i w większej obfitości, tem więcej zadaje sztyku. Koloryt i desen wstążek zupełnie taki, jak na Rusi: są więc czerwone, zielone, lub „sine“ w kwiaty jaskrawe.

Dziś, w święto Matki Boskiej Zielnej, wszystkie kobiety i dziewczęta idą z ogromnemi snopami do kościoła. W snopach są warzywa, zboża, owoce i kwiaty. Ziola te poświęcone chowają starannie i w razie choroby używają do kadzenia. My, wszedłszy do kościoła, czułyśmy na sobie palący wzrok tysiąca ocz. Słyszałyśmy nawet, jak sobie szeptało:

— Dziw się! dziw się!... profesorka!...

— Dwie profesorki będą uczyć...

— Nieprawda, gmina ma mieć tylko jedną profesorkę, ta wysoka, to profesorka.

Kościółek drewniany, ubogi, stareńki. Położenie kościoła przesłizne, za wsią, za plebanią, na wzgórku. Wokoło kościoła szumią stare lipy i ogromne czereśniowe drzewa, a za niemi, na prawo, leży śliczny, dębowy gaj.

W kościele parę ławek po jednej i drugiej stronie. W ławkach parę starych kobiet, dworska służba i parę inteligentnych osób. Muszą być z sąsiednich wsi, bo w Dąbrowy nie ma żadnych oficjalistów. Przed wielkim ołtarzem ławki dla „dzie-

dzica“, dla „Kowieńskich panów“ i dla siostry księdza proboszcza.

Organy piszczą i skrzypią przeraźliwie, a nasz Kiwacki wygrywa pasaże i trylery, jak gdyby palce jego nigdy hebla i siekiery w rękach nie miały. Lud śpiewa chórem; śpiew ten robi miłe nadzwyczaj wrażenie.

Ucichły organy.

W kościele jeszcze słyhać szepty ludu...

— Jezu miłosierny! Matko najmiłsza...

— Chleba naszego powszedniego...

Wychodzimy. Przed kościołem fala ludu białego rozlała się jak rzeka i płynie ku wiosce. Śmiechy gwar, rozmowy słyhać z daleka. Parę wózków i powozów czeka do odjazdu. Inteligencya, podzielona na dwie grupy, rozmawia żywo. W jednej grupie „diedzice“, „państwo Kowieńscy“ i inni... w drugiej, ludzie z klasy średniej. Zapewne oficjaliści, lub nauczyciele. Nie znam ich, więc mijamy się spokojnie. Jakiś młody mężczyzna, z zuchwałym uśmiechem, załamuje mi drogę i patrzy impertynencko w oczy.

Po obiedzie, poszliśmy w pole, aby przejść się trochę. Tutaj już pusto. Ścierniska poczynają się zielenić, na nich rozrzucone gromadki pastuchów, śpiewających dzikim, żalonym głosem, albo wygrywających na fujarkach.

Wyszliśmy na wzgórek, przypatrywałam się na-



szej wiosce. Ciągnie się ona równym pasem. Przez środek jest droga, po jednej i drugiej stronie stoją chaty. Wszystkie mają zwrócone drzwi ku południowi, więc od ulicy nie mają ani okien ani drzwi. Chaty są niskie, drewniane, bez kominów. Szkoła leży wprawdzie, w środku wsi, lecz przy bocznej, nie przy głównej drodze. Spodziewam się, że w czasie błota będzie tu dostęp dla dzieci bardzo trudny.

Dwór i plebania leżą na przeciw szkoły. Dwór na prawo, plebania na lewo. Szkoła ma ganeczek o dwóch słupach, okna małe; pokryta jest strzechą. W wiosce mało drzew, stąd wydaje się ona z daleka pustą i ubogą.

16 sierpnia.

Mam napisane listy do Stacha i do Mieczysława, lecz nie mam sposobności wysłania ich na pocztę. Sądziłam, że musi tu być przecież jakiś ruch między wsią, a miastem i że tutaj poczta jakoś potrafi wytworzyć takie połączenie. Ze smutkiem przekonałam się, że dla wsi nawet poczta zupełnie jest niepotrzebną. Dla kogoż ma istnieć?... Nikt we wsi nie umie czytać, więc nic na pocztę nie wysła. Gdy trzeba odebrać podatki, przychodzi egzekutor; gdy trzeba coś do starostwa do Rady powiatowej „podać“, to pisarz z sąsiedniej wsi spełnia to zadanie.

Od Kiwackiego dowiedziałam się, że z dworu chodzi co dzień pieszy posłaniec na pocztę, więc

on i moje listy zabierze. Uradowana tem odkryciem, posyłam do „dziedzica“, aby pozwolił zabrać posłańcowi moje listy.

Na to przynosi mi Anusia taką odpowiedź:

— Jeżeli sobie nauczycielka chce na pocztę listy „podawać“ i z poczty odbierać, musi na posłańca płacić 1 zlr. miesięcznie.

Cóż robić?... Trzeba się na to zgodzić, przynajmniej nawiązę jedną nić ze światem, i będę mogła listy odbierać. A listy dla nas, teraz w tym pustkowiu, to przecież jedyny znak życia i ruchu.

Posyłam więc Anusię do dworu drugi raz, załączam 1 zlr. jako opłatę dla posłańca i proszę, aby posłaniec co dzień, idąc na pocztę, wstępował do mnie po listy. Będzie to dla mnie trochę niepotrzebny wydatek, ale gdy go uniknąć nie mogę, muszę się zgodzić.

Obliczam już teraz moją kasę, czyli mi starczy do 1 września, to jest do dnia, w którym już otrzymam pensję moją w kwocie 25 zlr., a trwoga mi znowu zaczyna przejmować na myśl, co bym zrobiła, gdyby mi pieniędzy zabrakło... Lecz troska materialna, to przecież nie takie ciężkie brzemie, jak inne troski...

Odwagi!...

17 sierpnia.

Poczynam się teraz pytać sama siebie, czyli ja stałam się zupełnie nieporadną, czy też trudności pokonać nie umiem.

My tutaj chyba z głodu zginiemy. Czyby kto uwierzył tam, w mieście, że nie możemy wynaleść drogi do kupowania potrzebnych wiktualów. Najpierw formalną walkę staczać trzeba było, aby można mieć dziennie dwa litry mleka. Żadna kobieta we wsi nie chciała nam sprzedawać mleka. Wymawiały się w rozmaity sposób, tłómaczyły tem lub owem.

— Moja krowa daje mleko niedobre — mówiła jedna.

— Ja mam małe dziecko przy piersi, więc mleka nie mogę sprzedawać — mówi druga.

— Ja mam sąsiadkę, co zna się na ziołach, a zazdrosna jest okrutnie. Gdybym mleko sprzedawała, toby ziołami moją krowę podkadziła i mleko jej odebrała.

W ten sposób wszystkie gospodynie, posiadające krowy, odmówiły mojej prośbie o sprzedanie mleka.

Gospodyń takich przecież nie jest tak wiele, jak na wieś, mającą przeszło 300 zagród włościan-skich. Dopiero tak zwane „kmiecynie“ mają 2 lub 3 krowy. Większa część gospodyń krów dojnych wcale nie ma, a inne mają krowiny takie nędzne i małe, iż dzienny udój mleka nie przewyższa jednego litra.

We dworze mleko wydzierżawia żyd, a od niego nie chciałam brać mleka. Pozostała tylko jedna droga, t. j. plebania.

— U „księżej pani“ — mówili mi we wsi wszyscy — u księżej pani mleko dobre ona sprzedaje.

Poszłam więc tam z prośbą i wreszcie uzyskałam to, że dostaję dziennie 2 litry mleka po 8 centów za litr.

Ale samem mlekiem nie wyżyjemy. Trzeba bułek lub chleba. Tych specyałów jednak nie kupi nikt we wsi, choćby ofiarował dukata. Żadna z kobiet chleba nie sprzedaby za żadne pieniądze. Nie wiem już, czy to przesąd, czy zabobon, dość, że nie sprzedaje. W karczmie, u żyda, chleba nie dostanie, bo on wcale tym towarem „nie handluje“, a poza karczmą niema już więcej handlu. Trzeba więc chleb upiec w domu. Na chleb trzeba mąki. A ażeby jej kupić, musi iść posłaniec do miasta, a do miasta drogi kawał. Dąbrowa bowiem od S... leży o 13 kilometrów. Jest to więc prawie dwie mile drogi. Umyślny posłaniec do miasta, teraz, w czasie robót w polu, będzie kosztował 50 centów; jestto wydatek, jak na moją kasę, za wielki.

Kiwacki najbliższy nasz sąsiad, który jeszcze ciągle zajęty jest robotą w szkole, daje nam nie w jednej kwestyi radę.

— Proszę pani nauczycielki, trzeba posłać do wsi i pytać o okazyję. Czasem idzie kto na termin do sądu, czasem do starostwa, albo do *matareusza*, wtedy dać pieniądze na mąkę. A najlepiej w czwartek, bo wtedy jest jarmark w mieście i wszyscy stąd jadą.

— Wszyscy?... pytam z zdziwieniem...

— A jużci — kto ma konie, to jedzie, bo we czwartek trzeba być w mieście.

Na czwartek więc czeka kupno mąki na chleb, a tymczasem posłaniec pocztowy przyniesie chleba z piekarni i bułek nieco z miasta. Ale nie na tem koniec.

Przecież musimy kupować mięso. W sąsiedniej wsi jest żyd rzeźnik, który dostarcza mięsa do dworu i plebanii, w większej ilości; będzie i nam przynosił, ale najmniej 25 funtów. Niepodobna w gorące dnie brać tyle mięsa na trzy osoby, a piwnicy tu jeszcze nie ma, ażeby można zapas mięsa uchronić od zepsucia... Rada w radę, zdecydował się wreszcie żyd przynosić po 10 funtów mięsa, ale jakże za to daje liche mięso! Co lepsze, to idzie „do pana“, „do księdza“, a nam dostają się już resztki. Ha!... trzeba brać, co jest, bo inaczej nic nie będzie.

Lecz czy warto o tem pisać?

20 sierpnia.

Pogoda śliczna. Cała wioska, pola i lasy kąpią się w cieple i ciszy. Niebo ma koloryt przecudownie jasny i piękny. Ani chmurki, ani mgły na niem nie widać. Skłania się ono tam kędyś, daleko, ku ziemi coraz niżej i niżej, aż niknie za szczytami silnych gór, które ciągną się pasem wyraźnym od południa.

Wychodzę wieczorem za gaj, za kościół i stoję tam zadumany długo. Wszystko w około mnie obce, nieznane, ciemne.

Wioska patrzy na mnie niechętnie, niedowierza, czyli ja prawdziwie z miłością ku niej ręce wyciągam, czyli ja istotnie przychodzę dla jej, a nie dla swego dobra. Dwór odtrąca i odpycha mię ze wzgardą. Czemże ja dla niego jestem? Uboga, wiejska nauczycielka, uboga, potrzebująca zapłaty miesięcznej, ubrana w ciemną, perkalikową sukienkę, rozpoczynająca z chłopami rozmowę.

Plebania zmroziła mnie także i także nie ufa mi, — wiem o tem dobrze. Jest ona tego przekonania, że moje nauki ludu nie ulepszą, ale go czynią zuchwalszym.

A wobec tego ja stoję sama jedna i patrząc na tę chatkę ubożuchną, w której niezadługo zacząć dzieci uczyć, pytam, czem ty moja ubożuchna chatko będziesz dla wioski?...

Ah!... możesz być jej słońcem, życiem, prawdą i cnotą.

Możesz jej dać skarby nieprzebrane, dary niezliczone, cuda istne. Możesz być matką, siostrą, opiekunką i Aniołem jasnym.

Możesz, lecz czy będziesz, — czy być zechcesz?...

Wszystko, czem ty chatko ubożuchna będziesz, zależy od mego serca, od mej duszy, pracy i siły woli.

Nie wolno mi być chwiejną, — trwożliwą i słabą.

22 sierpnia.

Roboty w naszej chatce są już na wykończeniu. Kuchenka już gotowa. Matusi pokoik przy kuchni także o tyle wykończony, że już można było ustawić w nim mebelki. Z mebelkami naszymi kłopotu jest dość, bo mieszkanie tak szczupłe, iż trudno je pomieścić, a przecież sprzedawać i szkoda i żal. Meble to stare, lecz drogie dla nas. Są to pamiątki dawnych, lepszych czasów.

Jeszcze za życia ojca nie znaleźmy czarnych stron życia, ani dłoni niedostatku. W naszym mieszkaniu wówczas nieraz dla gości jeszcze za ciasno było, a i mebli zdawało się za mało.

Cóż robić? Jest to właśnie wielką sztuką umieć się w życiu zgodzić z jego zmianami, a zwłaszcza, gdy z dostatku przechodzi się do walki o chleb, kiedy z lepszego stanowiska trzeba się niżej przesunąć.

Mama jest w tem mistrzynią. Z największym spokojem, bez słowa skargi, opowiada nam przecież o tem, w jak odmiennych warunkach wzrosła, a jak musiała stosować się do tego, co czas przyniósł.

Nieszczęsny rok 1846. podkopał byt rodziców matki, złamał ich moralnie i materyalnie. Po roku 46. i 48. ojciec przeszedł niemało cierpień i prze-

śladowań. Wreszcie osiedli rodzice w cichej nadniestrzańskiej wiosce i tam długie lata przeżyli.

Tam było nasze gniazdko rodzinne. Błogie i szczęśliwe były owe lata, które mi w wspomnieniu rysują się wyraźnie.

Dwie duże, wyniosłe mogiły, ruiny starego zamku, oto były księgi historii i przeszłości. Smętne dumki ludu ruskiego: oto były dla nas wykłady tradycyi.

Wszystko znikło. Ojca mogiła, cicha i samotna, została tam daleko, daleko... Bracia obydwa rozrzućeni na dwa krańce, a ja z mamą i Halką oto tutaj, w ubogiej chatce, układam nasze stare mebelki i marzę, że przecież będzie nam tu dobrze.

25 sierpnia.

Dziś niespodziankę miałam niemałą. Około godziny 4. z południa, gdy byłam zajęta zawieszaniem obrazu w pokoiku przy kuchni, weszła Anusia i powiada, iż jakiś pan chce się ze mną widzieć.

Wychodzę, na ganku stoi mężczyzna lat średnich, ogorzały, mizerny.

— Pozwoli pani przedstawić się: jestem Maryan Wierzejski, nauczyciel z Górki, stary i doświadczony kolega.

— Bardzo mi miło, proszę, niech pan wejdzie tutaj, do sali szkolnej, bo nasze mieszkanie jeszcze nie urządzone. Cieszę się, iż mam sposobność choć jedną duszę z tego świata, do którego wchodzę,

poznać i usłyszeć jej rad — mówiłam żywo, ciesząc się istotnie z tej znajomości.

Pan Wierzejski na moje słowa uśmiechnął się dobrotliwie.

Usiadł, chwilę milczeliśmy oboje. Uważałam, iż on patrzył na mnie badawczym wzrokiem doświadczonego psychologa. Po chwili rzekł:

— Może się to pani wyda dziwaczne i nie wedle form światowych, iż tak wciskam się do domu pani i szukam jej znajomości, ale niech pani nie bierze moich odwiedzin za zwykłą wizytę, lecz szuka w niej życzliwości braterskiej. Jam już stary i bardzo doświadczony pedagog. Dwadzieścia lat pracuję w Górcie. Przed moimi oczami przewinęło się już nowych, młodych kolegów niemało. Przyszli i poszli dalej, ja jestem ciągle na miejscu. Że zaś dowiedziałem się od włościan o przybyciu pani, postanowiłem przyjść i dać niejedną przestrożę, niejedną radę.

— Ah!... panie dobry — zawołałam na to żywo — niech mnie tylko już pan nie przestrasza, i niech nie napawa goryczą...

— Ja?... przestraszyć?... czem?... — spytał z zdziwieniem.

— Ah! bo odkąd tutaj przybyłam, nie słyszałam słowa zachęty, nadziei lub poparcia moralnego. Tak jakoś dziwnie się to złożyło, że ze wszech stron poczęto mnie mrozić i trwożyć, a to podcina skrzydła, łamie zapal.

Wierzejski zbliżył się, a patrząc smutno na mnie, rzekł:

— Przeszedłem i ja to w życiu i stokroć więcej, bo już tyle lat jestem nauczycielem ludowym, wiem zatem, jak walczyć musimy, abyśmy nie stali się machinami. Więc nie przestraszać ani zniechęcać tu przyszedłem, ale właśnie chcę dopomóc i wesprzeć doświadczeniem.

— Bardzo, niewymownie będę za to wdzięczną — odpowiedziałam z radością. — Ja dopiero co zdałam maturę, nie praktykowałam nigdzie, w niejednym będę kulała.

Weszła mama z ogrodu i ze zdziwieniem zobaczyła gościa. Gdy przedstawiłam pana Wierzejskiego, jako doświadczonego i z tą okolicą obznajomionego kolegę, powitała go mama z szczerą radością.

Pan Wierzejski zrobił na mnie jak najmielsze i najlepsze wrażenie. Ah!... jakże on mi dużo, dużo dobrego zrobił! Jak on mię posilił moralnie, jak mi dodał otuchy!... Gdym mu opowiedziała o tem wszystkim, co usłyszałam we dworze i na plebanii, o rozmaitych kłopotach codziennych, on mi potem mówił:

— Są to rzeczy prawie powszechne i znane już w naszym świecie. Nie pani pierwsza, nie pani ostatnia. My idziemy tak do pracy nad oświatą ludu, jak idą wysłańcy w ciemną i wietrzną noc, szukając rzeczy zgubionej. Każdy bieży z latarnią,

pochyla się i oczyma chłonie czarną przestrzeń, szukając rzeczy cennej i wartościowej. Wiatr co chwilę gasi latarkę, deszcz przenika do szpiku, błoto bryzga wokół... A ci, co jadą gościńcem w pojazdach wygodnych, śmieją się z nas, że pochyleni szukamy, wierząc, iż klejnot jakiś odnajdziemy.

Długo jeszcze gawędka nasza przeciągnęła się, aż wreszcie pan Wierzejski począł się żegnać.

— Dziękuję panu, serdecznie dziękuję za odwiedziny — mówiłam, żegnając go, a on odchodząc powtarzał:

— Jeśli tylko pani w czem będzie potrzebowała mojej rady, proszę, serdecznie proszę, do mnie się udać. Ja już doświadczonym jestem nauczycielem, ojcem sześciorga dzieci, więc można mi zaufać.

Mama go także żegnała życzliwie, a ja po jego odejściu czułam się o wiele spokojniejszą. Wszak to wielka rzecz: przyjaciel, człowiek życzliwy i doradca dobry. Jakże się bardzo cieszę!...

Byle już jak najprędzej roboty w szkole były ukończone, żeby można rozpocząć naukę. Rwę się duszą, sercem i myślą ku tej pracy!...

29 sierpnia.

Ponieważ roboty w budynku szkolnym nie są ukończone, nauka nie może się rozpocząć dnia 1-go września. Więc się jeszcze moje wakacje

niedo przedłużą, jeszcze działwy nie zapisuję. Ksiądz proboszcz, jako przewodniczący Rady szkolnej miejscowej, powiedział mi wczoraj, że nie ma powodu do zbytniego pośpiechu, bo dość jeszcze będę miała tego dobrego, a lepiej zresztą, gdy później rozpocznie się nauka, gdyż teraz jeszcze jest dość w polu roboty.

1 września.

Dziś wybieram się do miasta po pensję i po sprawunki, dla nas niezbędne. Kwit na moją pensję napisałam wczoraj i posłałam do księdza proboszcza z prośbą, ażeby podpisał, bo, wedle przepisu, nauczyciel, czy nauczycielka tymczasowa, ma przedkładać na pensję kwit, zatwierdzony przez przewodniczącego Rady szkolnej miejscowej. Wróciła Anusia z kwitem i powiada:

— Że też to panna do księdza posyłała, nie wiedzieć po co. Tyle się ksiądz „nawydziwiał!“ „Jeszcze jednego dziecka — mówił — ze wsi nie widziała, a już po pieniądze się spieszy; jeszcze się nie umęczyła, a już każe sobie płacić“.

Może Anusia źle zrozumiała słowa księdza, może on o czem innem myślał... Nie chcę wierzyć, aby tak było, jak ona mówi. A przecież jakoś mi tak ciężko na duszy, tak mi ów kwit na 25 złr. cięży!

Muszę jechać do miasta, bo trzeba mąki, krup, cukru, herbaty i t. d. Sąsiad nasz, Michał, jedzie; ugodził się za 1 złr. Wóz wyścielony sianem, ko-

niki dość żwawe. Anusia kocem siano zakryła, wyniosła kosz na sprawunki, ja z mamą siadam. Siedzi się trochę niewygodnie, ale jakoś trzeba sobie radzić.

Jedziemy. Prawie trzy godziny trwa jazda. Droga bardzo licha, a wymijać się trzeba co chwila. Tu prowadzi kobiecina krowę na sprzedaż, tam dziewczyna pędzi dwoje prosiaków, ówdzie wóz z sianem powoli się toczy, za nim wóz z żydami, szwargoczącymi głośno. Tam gromadka dziewcząt przegania się z parobczakami, a śmiech dzwoni zdaleka. Jedziemy przez trzy wioski, a za każdą wsią szereg spieszących na jarmark powiększa się.

Dziwi mię to niezmiernie i zastanawia, dlaczego ten lud tak garnie się do miasta. Sądzę, iż wszyscy mają ważne interesa, ale mama upewnia mię, że tak nie jest.

— Przekonasz się, że byle dziesięć jaj, kwatka masła lub parę kwart ziarna, już baba idzie na targ i cały dzień próżnuje. Nie lepsi są i chłopci. W targowy dzień idzie z nich prawie każdy do miasta, bo to dla nich świat cały.

Przyjeżdżamy i my do miasta. Trzeba gdzieś z końmi i wozem stanąć, ale gdzie? Do żydowskich, brudnych podsieni zajechać, aż lęk zbiera. Do hotelu eleganckiego przyjezdnych z takim ekwipażem chłopskim nie przyjmują, u nich za ciasno „dla panów“.

Nie ma innej rady, tylko stanąć trzeba na tar-

gowicy, w szeregu wszystkich fur chłopskich. Ale czyż ja się tego mam wstydzić, iż razem z chłopami będę ulokowana. Tłumaczę to mamie: przecież to nie złego, dzień pogodny, ciepły, wolimy być tutaj, niż w karczmie żydowskiej.

W mieście fur pełno, trudno się przecisnąć, aby sukni mazią nie powalać, aby koń kopytem nie uderzył.

Idziemy do kasy, bo przecież najpierwszą rzeczą wziąć pensję.

W kasie podatkowej ścisk i tłum niesłychany. Żydzi, panowie, baby, panny, chłopci, słowem ludzie rozmaitych stanów cisną się, aby załatwić swój interes jak najprędzej.

Stoję i czekam, kiedy na mnie kolej przyjdzie. Mama w kościele na mnie czeka. Minał kwadrans jeden, drugi i czwarty, a ja ciągle jestem na ostatnim miejscu, bo i ci, którzy później odemnie przyszli, już są bliżej okienka. Tu wszystko opiera się na „prawie pięści“. Kto silniejszy, odepchnie innych i już jest przy kasie.

Ile ja w oczekiwaniu przed kasą odebrała szturchańców, pchnięć i nadeptań na nogę: Któżby policzył? Jedni potracają, drudzy impertynencko w oczy zaglądają, inni ośmielają się zaczynać rozmowę.

W tem, na moje szczęście, zjawia się i pan Wierzejski. Gły mię obaczył, pocziwy, zacny człowiek przecisnął się ku mnie i pyta:

— Pani po pensję?

— A tak, chciałabym odebrać...

— Proszę dać kwit i arkusz, to ja odbiorę.

— Arkusza nie mam jeszcze, oto jest kwit.

Pan Wierzejski bierze, ogląda i powiada:

— Ah!... pani!... wszystko daremne, pani dziś pensyi nie dostanie, bo to nowo zorganizowana szkoła, pensya jeszcze nie jest wprowadzoną w życie.

Spojrzałam na niego oczyma w pół zażalwionemi.

— To nie może być, pan żartuje...

— Ależ wcale nie żartuję, lecz dla przekonania się, idę do kasyera i spytam.

Istotnie zbliżył się do okienka, chwilę tam rozmawiał i wraca ku mnie.

— Pensya pani jeszcze nie może być wyasygnowaną, bo Rada szkolna krajowa jeszcze nie przysłała polecenia.

— Cóż pocznę?...

— Niech pani idzie do Rady szkolnej okręgowej, do pana inspektora, może tam jest pismo z Rady szkolnej krajowej.

Wychodzę jak z kąpieli, zmęczona, zgrzana, i spieszę do inspektora.

U inspektora znów trzeba czekać długo, bo tam także ścisk wielki.

Przychodzi wreszcie na mnie kolej.

— Chciałam prosić pana inspektora, mówię niepewnym głosem, o łaskawe poinformowanie mię, co mam zrobić z odebraniem pensyi...

— Ah!... zapomniałem na śmierć o tem, trzeba było pukać, aby to na czas załatwiono... Lecz stało się, ja nie mogę wystarczyć, za dużo na mojej głowie. Proszę za tydzień przyjechać, pensya będzie...

— Ależ, proszę pana inspektora, dla mnie to są trudności, ja pieniędzy potrzebuję... jazda kosztuje.

— A! trudno!... Na to nie poradzę, proszę za tydzień, proszę...

Wyszłam, nie wiedząc, co mam z sobą zrobić.

Idę do kościoła, gdzie mama na mnie od tak dawna czeka i szepczę jej do ucha...

— Pensyi nie dostałam.

Gdyśmy wyszły z kościoła, prawdziwie lzy sączyły się nieznacznie po mojej twarzy.

Co tu począć teraz? Co robić?...

Najniezbędniejsze rzeczy, potrzebne do życia, muszę kupić, trzeba też i kupić jakiś zapas elementarzy, tabliczek i rysików dla dzieci itd., a tu grosza na to wszystko niema.

Gdyby to w znajomem mieście, możnaby przecież wziąć tu lub tam na chwilowy kredyt, ale ja tu obca całkiem.

— Nie martw się dziecko, mówi mama, chodźmy na pocztę, może tam od Stacha będą dla mnie pieniądze.

Prawdziwie, mama miała dobre poczucie. Na poczcie był przekaz pieniężny od pocziwego Stacha. Niewielka to była kwota, ale na razie pomoc

z niej znaczna. Tak to w chwili potrzeby ocenia się wartość grosza.

Dobrze się już zciemniało, gdyśmy z miasta wyjeżdżały. Zmęczone nad wszelki wyraz, głodne, co się zowie. Gdyśmy po śniadaniu wyjechały z domu, nie jadłyśmy nic, prócz kilku owoców i bulek. Gdzież miałyśmy jeść? W restauracyi, czy cukierni? Wszak zapas nasz pieniężny wyczerpał się na niezbędne zapasy spiżarniane.

Powrót z jarmarku stokroć gorszy, niż jazda na jarmark, bo teraz wraca ogromna masa wozów i ludzi pieszych, a wszystko to prawie pijane, wymija się z krzykiem i wrzaskiem wpół dzikim.

Parę razy groziło nam niebezpieczeństwo, iż wóz wraz z nami wywróci się, bo pijany woźnica nasz nie dość uważnie wymijał jadących. W domu zastaliśmy Halkę splakaną i zalęknioną. Podczas naszej niebytności wybuchł we wsi pożar. Wprawdzie od naszej chatki było to bardzo daleko, ale ona się przeleżała strasznie. Nie mogliśmy jej z mamą uspokoić.

Tak rozpoczął się dla mnie wrzesień.

1 września.

Nasze pokoiki już są gotowe. Malutkie, niskie, bielone, ale miłe. W pierwszym pokoju, większym, umieściłam moje łóżko, biurko, szafkę z książkami.

Te meble przedzieliłam od reszty pokoju białą firanką, więc pomieszczone są, jak w nyzzy.

Drugą część pokoju stanowi niby mały salonik, czyli, jak się mówić powinno, pokój bawialny. Stoi tutaj fortepian, kanapka z fotelikami, kosz z kwiatami i t. p. W pokoiku drugim, koło kuchni, są łóżka dla mamy i Halki, stół jadalny, szafki i t. d. Tam umieściłam ów stary obraz Matki Boskiej z wiecznie płonąca przed nim lampką, obraz, który już długie lata w rodzinie naszej jako cenny klejnot jest przechowywany.

I gdy teraz Halka zapaliła po raz pierwszy w tej chatce lampkę czerwoną, ukłękliśmy do modlitwy z szczerą ufnością, iż opieka Matki Najświętszej czuwać będzie nad nami i uchroni ten cichy nasz kątek od burz i gromów.

O ubożuchna chatko moja!... Bądźże nam cichym zakątkiem dla pracy, wytchnienia i służby narodowej.

5 września.

Dziś otrzymałam od księdza wykaz dzieci, obowiązanych do nauki szkolnej, a więc liczących od 6-go do 12-go roku życia.

Liczba ich jest wspaniała, bo wynosi 117. Lecz to jeszcze nie wszystkie. Przyjdzie jeszcze wykaz dzieci obrządku grecko-katolickiego, który przysłać ma ksiądz z sąsiedniej wsi.

6 września.

Mieczysław przysłał dziś dla mojej szkółki parę ładnych, oprawionych obrazów, trochę książek dla dzieci, a dla mnie... gorące słowa zachęty.

Zacny młodzieniec... Gdyby nie myśl o nim, gdyby nie ta nić, która nas wiąże, zdaje mi się, żeby mi było smutniej i ciemniej na świecie. Jego dusza, myśl i serce jest dla mnie gwiazdą, płonąca nigdy niezaćmionem światłem. Bratnia dusza przyjaciela i towarzysza lat dzieciennych.

Znamy się dawno, bardzo dawno. Jego rodzice ubodzy rolnicy z tej szlachty zagonowej, jakiej jeszcze szczątki na Podolu się spotyka, mieszkali blisko nas, także tam nad Dniestrem, tam, kędy mogił i ruin pełno, a podolskie łąny przykuwają oko i serce. Hej!... płyną szybko wody Dniestru naszego, przepłynęły i nasze lata. Ja osierociałam i po śmierci ojca zamieszkałam we Lwowie, bo trzeba było brać się do pracy. Zostałam uczennicą seminarium, on uczęszczał na uniwersytet. Teraz ja odjechałam tutaj, on kończy studia, przyrzekł, że kiedyś do mojej szkółki zawita.

8 września.

Dziś, w święto Matki Boskiej, pojechałam z mamą i Halką do Górki, do państwa Wierzejskich. Górka jest niedaleko Dąbrowy. Wieś to ruska, zamożna, szkoła murowana i duża. Przed szkołą ładny, kwiatowy ogród, na lewo sad dość duży.

Pan Wierzejski powitał nas bardzo serdecznie i przedstawił żonie. Ona, niestety, nie bardzo korzystnie zrobiła wrażenie. Musi to być osoba zupełnie niewykształcona... W domu znać wielki niedład, dzieci ubrane niedbale i brudno, mimo tego, że to dzień świąteczny.

— Przyjechaliśmy podziękować państwu za życzliwość. okazaną mojej córce — mówi mama. — Pan Wierzejski udzielił jej już rady swej w jednej sprawie, jako doświadczony człowiek, co dla niej jest prawdziwym dobrodziejstwem. Ona jest tak młoda, a praktyki jeszcze nie ma.

Na to odzywa się pani Wierzejska niskim, nie miłym głosem:

— Maryan zawsze znajdzie sobie jakieś niepotrzebne zajęcie. Gospodarstwo u niego najgorsze, zboże w polu moknie, siano nie zebrane, bo on nie ma czasu przypilnować. Jemu zawsze ideały w głowie, ideały...

— Ależ, moja Zuziu — przerywa pan Wierzejski — to nie są ideały, ale to jest powinność bliźniemu nieść pomoc, poradę, dobre słowo.

Myślałam, że przyjdzie do wcale niemiłej sceny między panią domu, a jej małżonkiem, więc zagałęm prędko:

— Jakie tu śliczne kwiaty u państwa!

Na to pani Wierzejska znów ostro:

— A, tak, kwiaty ładne, ale tylko po to, aby zwabiać do domu złodziei. Gdyby nie one, mniej

byłoby jednego kłopotu. Chłopi przychodzą kraść kwiaty, podpatrują przytem co innego. Więc giną mi kury, prosięta...

— Moja Zuziu, — odzywa się spokojnym głosem pan Wierzejski — kwiaty uszlachetniają lud, one przemawiają do serca, do duszy, one są także jedną kartką z wielkiego elementarza oświaty. Dziś lud kradnie kwiaty, bo ich jeszcze u siebie nie ma, ale gdy już dojdzie do tego, że przed każdą chatą będzie grzęda z kwiatami, wtedy nasze będą rozkwitały spokojnie.

— Gdyby lud chciał wedle twojej teorii postępować, toby wielu z głodu umarło. Zamiast ziemniaków sadziliby lilie i róże, a zamiast żyta, siałiby bławaty i maki, — śmiejąc się ironicznie, odpowiedziała pani Zuzanna i poszła do kuchni, skąd było słyhać ostre łajanie Baški, krzyk na małą Manię i trzaskanie drzwiami od spiżarni.

Po wyjściu żony, p. Wierzejski rzekł, uśmiechając się łagodnie:

— Moja żona uważa mnie zawsze na zupełnie niepraktycznego idealistę, radaby wytępić we mnie tę słabość, jak się wyraża, lecz to już trudno. Jak mnie pani widzi, jestem niepoprawnym marzycielem. Sercem się kieruję, nie egoizmem, piękno i dobro chcę siać, a nie materyalizm i chciwość. Ale może panie pójda zobaczyć moją klasę.

Poszliśmy, a to, co tam zobaczyłam, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Nie wyobrażałam sobie

nigdy, aby można tyle wśród ludu zrobić, co ja tam widziałam.

Były tam śliczne roboty z drzewa (slōjd), zbiory do nauk przyrodniczych, rysunki wcale udatne, a już wypracowania pisemne, to prawdziwie wzory, tak co do formy zewnętrznej, jak i co do treści.

— Ah! Boże, Boże, zawołałam z podziwem, czy ja się kiedy będę mogła pochwalić podobnemi owocami pracy!...

Pan Wierzejski, to człowiek stworzony na ojca i opiekuna, szkoda tylko, że znajduje przeszkodę w domu.

Pani Zuzanna zaprosiła nas na kawę. Czworomłodszych dzieci nieśmiało się nam przypatrywało; widać goście w tym domu są zjawiskiem rzadko widzianem.

— Państwo mają jeszcze więcej dziattek? — spytała mama...

— Jeszcze dwoje starszych, syn i córeczka, są na stancyi w mieście.

— Kosztuje to, kosztuje, zaczęła się zalić pani Wierzejska. Z pensyi 24 złr. 50 centów miesięcznie, opłacić dwoje dzieci na stancyi! Jest też z czego żyć!?

— Prawdziwie, trudne to bardzo, mówi mama, lecz państwo to jakoś cudownie gospodarujecie.

— To nie Maryana gospodarstwo, — przerywa pani Wierzejska, onby tak gospodarował, żeby nie

miał kawałek chleba w domu, i chyba bez butów by chodził; ja muszę wszystko trzymać, bo inaczej z głodu byśmy zginęli.

Byliśmy jeszcze przy herbacie, gdy zjawił się gość nowy.

— Pan Pychnicki, kolega ze Szczuszyna, — przedstawił go p. Wierzejski.

Spojrzałam. Był to ów niegrzeczny młodzieniec, który tak impertynencko przed kościołem drogę nam zachodził.

Pan Pychnicki począł się szastać, sypać komplementami, myślał, że nam bardzo zaimponuje. Zrobił jednak bardzo złe wrażenie.

Gdyśmy się żegnały, zabierając się do odjazdu, prosił mamę, czy mu będzie wolno złożyć swoje uszanowanie „koleżance“.

Naturalnie, mama dała twierdzącą odpowiedź.

11 września.

— Panie Kiwacki, mówię dziś do organisty, niech mi pan poradzi, jak mam dać znać we wsi, ażeby jutro przyprowadzali dzieci do zapisu?...

— Najlepiej posłać motyla.

— Motyla?... cóż to znaczy?...

— No, „motyla“ — odpowiada Kiwacki. — Pani nauczycielka nie zna „motyla?“

— Ależ, mój kochany panie Kiwacki — mówię ze śmiechem, — znam bardzo wiele gatun-

ków motyli, tylko nie wiem, który tutaj we wsi umie latać od chaty do chaty i mówić ojcom i matkom: idźcie zapisać dzieci do szkółki!

Kiwacki na to:

— U nas we wsi jest zwyczaj taki, że gdy mamy w całej gminie coś ogłosić, to się posyła „motyla“, a ja go pani zaraz zrobię, proszę mi tylko dać kawałek papieru.

— Papieru? — przecież tu nikt czytać nie umie — przerywam.

— Ależ nie będę nic pisać — uczy mnie dalej organista, — tylko zrobię „motyla“, aby go pani raz na zawsze w szkole miała.

Dałam mu tedy ćwiartkę papieru, którą złożył tak, jak się składa ręczniczek do otarcia rąk kapłana przy mszy św. Wziął potem kawałek patyczka i rozszczępił go na końcu. — W ten sposób zrobił ładny, krągły wachlarz. Oto motyl!

— Ale jakże on mówi?

Kiwacki mnie uczy:

— Niech Anusia zanieś motyla do chaty Drońskiego i odda go komubądź, kogo tam spotka, i powie:

— Jutro dzieci do szkoły, do zapisu! Więcej nie trzeba; może wrócić do domu, motyl obędzie całą wieś i wszędzie rozgłosi tę wiadomość. Bo od Drońskich podadzą go do Jaszczyżyna, Jaszczyżyn zaraz posle go do Staszczyszyna, i tak pójdzie kolejną, aż wróci do szkoły.

Podziękowałam Kiwackiemu za radę i zdumiałam się nad przemyślnością tego ludu. Nie umiając czytać i pisać, radzi sobie wyśmienicie. Ów motyl, toż to prawdziwa owa „laska opolska“, o której wspominają stare kroniki.

12 września.

Dziś pobiegłam rano na mszę świętą, a modliłam się gorąco o błogosławieństwo boże, o pomoc świętą, o opiekę nad moją pracą i nad tą działwą, która dziś zacznie się zapisywać na naukę.

Ledwie wróciłam z kościoła i zjadłam śniadanie, już byłam w klasie i czekałam na przybycie rodziców z dziećmi.

Czekam, czekam... nadaremnie. Niema nikogo.

Chodzę po klasie od okna do okna, od drzwi do tablicy, poprawiam leżące na stole papiery, przestawiam kwiaty na oknach... Czas mija, niema nikogo. Chwilami zdawało mi się, iż słyszę już kroki czyjeś, lecz myliłam się. Czasem zdawało mi się, iż zacznę płakać i to w głos, jak dziecko, któremu zabrano najmilszą zabawkę. To znowu zdawało mi się, że się ze mnie mama i Halka śmieją, bo siedzę w szkole nie wiedzieć po co, gdy niema żywej duszy do zapisu.

— Otóż wyjdę i zabiorę się do roboty, mówię do siebie już z niecierpliwością i chcę wyjść, gdy słyszę jakieś ciężkie kroki i niskie męskie głosy.

Wchodzi trzech wysokich gospodarzy, ale dziecka nie prowadzą żadnego.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — odzywa się jeden.

— Na wieki wieków! — odpowiadam i proszę, aby weszli do izby szkolnej.

— My tu przyszli, proszę pani nauczycielki, — odzywa się Walenty Jaszczyszyn, wójt — wedle tego motyla, co go pani wczoraj posłała, aby dzieci zapisywać. Ale my zapisywać nie będziemy.

Struchlałam. Spodziewałam się wiele przykrości, ale aby mi gmina odpowiedziała, iż dzieci do szkoły zapisywać nie będzie, tego nawet przypuścić nie mogłam.

— Ja myślę, że pan wójt nie zrozumiał dobrze, o co idzie, i dlatego powiada, że dzieci nie będą się zapisywać, — odrzekłam na pozór spokojnym głosem. — Rada szkolna okręgowa będzie wymagała wykazu zapisanych na naukę dzieci, a gdybym go nie przedłożyła, musiałaby być kara.

Na to, kłaniając się pokornie, mówi drugi wieśniak, Michał Borsuk:

— Proszę pani nauczycielki, przyszli my właśnie wedle tego, aby pani na karę nas nie zadała, bo gmina biedna, a teraz dzieci do szkoły chodzić nie mogą. Roboty w polu dość, trzeba jeszcze było paść. Jak pani dzieci zabierze, to chyba ze wsi się wynosić.

— Tak, tak — dodaje wójt, drapiąc się w głowę. —

Nasza gmina biedna, podatki wielkie, woda siano zabrała, „pan“ się z nami procesuje, a tu jeszcze na nas i ta szkoła przyszła...

— Mój ojciec — mówię z litością, — wiem ja, że wam nieraz i trudno i ciężko, i nie radabym wam żadnej sprawić przykrości, ale, da Bóg, szkoła wam nie dokuczy, lecz ulgę przyniesie. Nie myślcie, moi kochani, iż szkoła źle chce dla was. Ona radaby wiosce i gminie i działkom waszym nieba przychylić, — radaby wam zdjąć niejedną troskę z serca. Ale nie od szkoły to zależy, czy pożytek przyniesie, lecz od gminy. Przyjmijcie ją z sercem i życzliwością, a nie z gniewem, przyjmijcie ją jak siostrę między wasze chaty, a zobaczycie, że będzie wam siostrą.

— „Sprawiedliwie“ pani nauczycielka mówi — odezwał się Michał Borsuk, — aż miło człowiekowi posłuchać. Ale choćby człek rad, aby dobrze ze szkołą było, to cóż zrobić, jak dzieci potrzebne w domu, w polu, na błoniach...

— Niech pani nauczycielka poczeka jeszcze z zapisywaniem dzieci choć z miesiąc, to już potem łatwiej nam będzie — dodaje, kłaniając się wójt.

Wreszcie i trzeci z włościan, Jan Rakalski, olbrzymi, o idyotycznym wyrazie twarzy mężczyzna, przemawia nareszcie i prosi:

— Wstrzymać zapisy i już... będzie i pani nauczycielce dobrze i nam.

— A ja wam, moi, kochani ojcowie powiadam, że zapisów odłożyć nie mogę. Proszę was więc grzecznie nie róbcie trudności, bo mielibyście dość kłopotu, ale zarządzcie, aby w trzech najbliższych dniach dzieci od szóstego do dwunastego roku życia już były zapisane. Nie będzie tutaj waszym dzieciom źle, krzywdy im nie zrobię, a że się nauką czytać i pisać, to przecież im się przyda w życiu.

— Nasi ojcowie i dziadowie nie umieli pisać ani czytać, a lepiej im się działo, niż nam — mówi Michał Borsuk. — Co przyszło z tej nauki w Górkach, w Szczurzynie, w Biadolinach? Nędza jak była, tak jest; „naród“ bieduje, ledwie żyje, a tu jeszcze szkoła karę za karą nasyla...

Cóż miałam już na to powiedzieć? Czyżby byli zrozumieli, w czym leży pożytek z nauki i oświaty? Uśmiechnęłam się, jak przez łzy, i rzekłam:

— Panie wójt i wy panowie radni, posłuchajcie mojej prośby. Stoję oto między wami, jak córka wasza. Wyście przecież w niejednym więcej odemnie doświadczeni, starsi jesteście odemnie, lepiej niejedno rozumiecie, niż ja, niedoświadczona dziewczyna. Dlatego was proszę jak dziecko ojców: nie róbcie trudności, nie ociągajcie z zapisem, bo zrobicie i sobie wiele przykrości i dzieciom waszym przeszkodzicie w nauce. Jak długo wśród was będę, o karę do Rady szkolnej okręgowej pisać

nie myślę, bo ja wiem, że prośbą zrobię u was to, co będzie konieczne.

Mówiąc to, stałam przed moimi gospodarzami jak biedna jakaś istota, zanosząca prośbę gorącą. Oni ze zdziwieniem patrzyli na mnie. Wreszcie Michał Borsuk rzekł:

— Kiedy pani nauczycielka nie chce kary, a dobrocią chce z nami żyć, to i my źle nie zrobimy. Poradźmy się jeszcze we wsi i damy znać pani nauczycielce.

— Dobrze! dobrze! — odparł wójt — poradzimy się, bo wedle tego, co pani mówi, nie chcemy źle.

— Dziękujemy pani nauczycielce i Panu Bogu.

— Za cóż mi dziękujecie? — zapytałam z uśmiechem.

— Za dobre słowo, pani nauczycielko, za dobre słowo!

— Panu Bogu oddajemy! — odezwali się jeszcze raz i odeszli, kłaniając się nisko, a Rakalski mnie w rękę pocałował.

Gdy poszli, a ja sama w izbie szkolnej zostałam, uczułam wielki ból w sercu. Jakże tu walczyć potrzeba, ileż przeszkód na drodze.

13 września.

Dziś usiadłam na ganku zrana, nie spodziewając się już wcale rodziców z dziećmi do zapisu.

Po tem, co wczoraj zaszło, byłam pewna, że jeszcze parę dni trzeba będzie walczyć i pod grozą kary działwę do szkoły zwabić.

Stało się jednak inaczej. Około godziny 9 droga ze wsi poczęły się pokazywać gromadki kobiet, ubranych zupełnie jak w niedzielę do kościoła, to znów po kilku gospodarzy razem, a tu i tam dzieci ani śladu. Myślę sobie: pewnie dziś jakieś nabożeństwo gminne w kościele i zbierają się ludziska na mszę św.

Ale oto cała gromada matek i ojców przychodzi do mnie na ganek.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — mówi Jan Staszczyszyn, „starszy brat“ z kościoła, — my tu do pani nauczycielki przyszli z prośbą.

Wstałam i proszę ich do sali szkolnej. Weszli rozglądając się ciekawie dokoła. Proszę, aby usiedli.

— Proszę pani nauczycielki, my tu przyszli — przemawia Staszczyszyn — wedle tego zapisu dzieci. Mówił wójt, że pani bardzo prosi o dzieci, ale kiedy nam krzywda.

— Jakto krzywda?

— Ano krzywda, bo pani chce na gwałt dzieci do szkoły, a u nas bez dziecka bieda.

— Ani z kim prosięcia zostawić — odzywa się jedna z gospodyń.

— Ani komu dwoje małych dzieci zabawić w domu — mówi druga.

— Ani komu obiad wynieść w pole.

— Ani komu wypędzić gęsi na błonie.

— Ani paść jałówkę...

— A za poganiacza kto pójdzie, kiedy trzeba na sól?...

— Na odrobek, „na pańskie“ musi chodzić całe lato...

— Ani to butów, ani „kachtana“... — wołają matki i ojcowie z żalem i skargą, jakbym to ja im chciała doprawdy dzieci dla siebie, dla własnej wygody zabierać. Jedna z kobiet poczyną płakać na głos, opowiadając, jak ona bieduje. Jest wdową, zafantowali jej wszystkie rzeczy na podatek. Druga woła z przekleństwem, aby się zawaliła ta szkoła, wymyślona na uciemnienie biednego „narodu“. Inna mi podaje parę jaj, aby jej Jasia z „mentryki“ wymazać.

Jeśli już wiem teraz, co robić, to chyba jestem mędrceć nad mędrkami...

Gwar się wzmaga, a liczba proszących powiększa się, co chwilę bowiem ktoś nowy przychodzi ze wsi i dołącza swój głos do chóru.

— Nie było szkoły tyle lat, obeszłoby się i teraz. Nie było szkoły, a człek nie mógł wyżyć, teraz to już chyba do „Hameryki“ uciekać. Niema teraz w świecie sprawiedliwości, ni prawdy, niema... „Panowie“ i żydy tylko chcą żyć, a naród niech ginie... Trzeba „lekurs“ pisać do Lwowa, co gmina biedna i dzieci do szkoły nie mogą chodzić...

Staram się przemówić, uspokoić, ale wszystko

nadarmo. Zaczynam się trwożyć; cóż ja zrobię: ich tyłu, a ja sama jedna... Cóż poradzę?...

— Moi, kochani — przemawiam nareszcie — powiadacie, iż wasi ojcowie nauki nie znali, a dobrze im było. Dawniejsze czasy były inne. Dawniej i królowie nie umieli czytać, a byli królami, lecz teraz inne czasy. Teraz każdy musi umieć czytać, pisać, rachować. Nie bójcie się tak tej biednej waszej szkoły, nie odciągajcie dzieci od niej, ona sama biedna, i nauczycielka jej uboga sierota. Ale Bóg nad nami, Bóg nam dopomoże, jakoś to pójdzie, pokochacie i tę szkołkę biedną, i tę nauczycielkę, dziś wam jeszcze obcą i będziemy żyć w zgodzie, jak Pan Bóg przykazał.

Na to moje przemówienie zapanowała wielka cisza. Kilka kobiet fartuchami lży ocierało. Gospodarze kiwali głowami.

— „Sprawiedliwie“ pani mówi — odezwał się jeden. — Jak niema rady, to niema, trzeba dzieci zapisywać.

— Oj! ciężko to, ciężko będzie, ale trzeba.

— Kiedy niema ratunku, to i cóż? Trzeba się zgodzić...

Tak jeszcze się żałac, poczęła się moja gromada rozchodzić. Kobiety żegnały się ze mną uprzejmie, całowały mię w rękę, a kilka nawet po twarzy mnie pogłaskało.

Poszli... Ja stałam długo, długo w pustej już mojej salce i myślałam: kiedy też pierwsze dzie-

cko tutaj w ławce usiądzie? kiedy już pierwszy głos modlitwy dziecięcej rozbrzmiewać będzie w tej chacie?

Pusto... Lud się boi, ociaga i wyprasza od nauki, jakby od niewoli. Miałooby to być prawdą, co mi ci i owi mówili, że szkoła musi iść przebojem?...

14 września.

Do zapisu nie przyprowadził dziś nikt ani jednego dziecka. Jutro, wedle rozporządzenia Rady szkolnej okręgowej, mam rozpocząć naukę. Dzieci niema.

Co ja pocznę? Pierwszą moją instancją jest Rada szkolna miejscowa. Jak mówiłam, jej przewodniczącym jest ksiądz proboszcz. Byłam dziś u niego, prosząc o zarządzenie odpowiednie, ale on na to:

— Co się pani tak spieszy?

Tęskni pani za pracą? za umęczeniem? Dokąd się uda, niech pani wypoczywa, potem przyjdzie za wiele tego dobrego. Nie trzeba ich zmuszać, bo się jeszcze więcej zniechęcą; niech pani jeszcze parę dni zaczeka.

16 września.

Do Rady szkolnej okręgowej nie chcę wnosić zażalenia, bo toby ściągnęło niechęć i na szkołę

i na mnie. Spróbuję rozmaitych środków, aby dobrym sposobem dzieci do zapisu zebrać.

Dziś poszłam sama przez wieś. Dzieci mało co widać, starsze wszystkie na pastwisku, w chatach, małe, nędzne, brudne i obdarte.

Gdym tę lub ową matkę zagadnęła, niby mimochodem, kiedy Jasia czy Marysię zapisze, odpowiadały, że po niedzieli, bo dopiero dla nich szyją koszule.

— Wie pani nauczycielka, jak to dziecko przy chacie, — mówi mi jedna, kłaniając się nisko. — Ot, chodziło to w bylejakiej spodniczynie lub koszulinie, a do szkoły przecież potrzeba przyodziewy. Daliśmy szyć, a po niedzieli zaprowadzimy do szkoły.

Odetchnęłam. Ah! jakże się tą wieścią ucieszyłam!!... Nie zawiodłam się, sądząc przeczuciem, że powoli trzeba w takim razie z ludem postępować. Wróciłam ze wsi tak rozpromieniona, iż mama pytała mnie, co mnie pomyślnego spotkało?

Zastałam w domu listy. Jeden od Stacha. Trudno mu dostać urlop, nie może przyjechać, aby nas w tych dalekich stronach odwiedzić. Drugi od młodszego brata, Marcelego, z pod Tarnopola. Dopytuje się, co u nas słychać?

Koleżanka moja, Milcia, rozpoczęła już naukę w swojej szkółce. Opisuje mi, jak dużo ma dzieci; kierownik jej, Rusin, człowiek źle wychowany, na każdym kroku jej dokucza. Biedna! kończy list swój temi słowy:

„Dwa tygodnie dopiero pracuję, jako nauczycielka ludowa, ale już czuję brzemień tej pracy. Gdybyż nam w seminarium raz jeden bogdaj byli dali radę, jak sobie w takiej lub owej sprawie postąpić, możeby łatwiej toczyła się ta walka z ciemnotą. Dzieci mnie słuchać nie chcą; zuchwałe są niezmiernie, a ja nie umiem karności utrzymać“.

18 września.

Pensyi jeszcze nie dostałam. Codzień czekam, czyli mi z poczty uwiadomienia posłaniec nie przyniesie, lecz daremnie.

Pan Pychnicki był dziś u nas z wizytą. — Bardzo mu się moja szkółka podobała, a mieszkanko lepiej jeszcze. Nie umiał ukryć swego podziwienia. — Obiecał kiedyś ze skrzypcami przyjechać, by Halce wtórować do fortepianu.

Opowiadał mi o pobliskich nauczycielkach. Chciałabym zaznajomić się z niemi, bo przecież milej człowiekowi wśród przyjaciół i grona ludzi z naszej sfery. One także nie jedno mają do zniesienia, będzie nam lżej, gdy się choć wygadamy i w niejednem wspólnie się naradzimy.

20 września.

Otóż mam już zapisanych 97 dzieci. Cóż to za radość dla mnie! W niedzielę po południu zaczęli

rodzice przyprowadzać swoje dzieci. — Dzieci są trwożne i lękliwe tak, iż ani słowa od żadnego nie mogłam wydobyć. — Odziane czysto, ale włosy ich, długie i gęste, okropne robią wrażenie.

Z początku, przy zapisywaniu, chcieli ci lub owi robić mi podarki. Jedna przyniosła czubatą kokoszkę, druga trochę prosa, inna kawał płótna domowej roboty.

Ale ja zawsze odpowiadałam z uprzejmością:

— Dziękuję wam grzecznie, ale nie wezmę. Wam się to przyda, nie bogaci jesteście, ja nie żądam niczego.

Gdy się wieść rozeszła, iż pani nauczycielka nic nie przyjmuje, już potem kobiety nie przynosiły.

Ale były znów inne ciekawe sceny przy zapisywaniu dzieci.

— Moja pani, dobrodziejko i litościwa pani — szepce mi jedna kobiecina — ja mam aż czworo dzieci do zapisu. Niech pani dwoje zapisze, a dwoje uwolni. Gdzież ja biedna dam sobie sama rady gdy czworo będzie chodzić do szkoły.

Inna znów płacze, żebrząc:

— Tych dwoje młodszych niech pani zapisze, ale Teckę najstarszą proszę uwolnić, bo ona musi być przy dzieciach. Mam dwoje bliźniaków, dopiero im po 18 niedziel; ja chodzę „na pańskie“, jak pójdzie Tecka do szkoły, to z kimże te robaczki „ostaną“?

A tu sąsiadka nasza blizka, zapisując swoją Kasię, zawodzi w głos, jak na pogrzebie:

— Co ja pocznę? Co pocznę? Sprawiedliwa rzecz zginać mi przyjdzie „przez“ dziewczęcia. Choduję każdego roku na podatek przeproszeniem wie-przaka, a ona go pasie. Jak pójdzie do szkoły, wszystko przepadło.

Teraz zbliża się gospodarz nędzny i blady.

— Pani nauczycielko — mówi — a proszę tam mojemu Michasiowi „lementarz“ darować, bo ja nie mam za co kupić.

— A pani nauczycielka, niech jeno na co drugi dzień Jewkę zapisuje, bo ona ma ciężką niemoc i zawsze jeden dzień leży chora.

Siedzę za stołem w szkole, zapisując dziecko za dzieckiem, a w głowie mi się już zaczyna mącić. Każda matka, każdy ojciec, który przyprowadzi dziecko, opowiada swoje wszystkie dolegliwości, każde z nich ma jakieś żądanie, jakieś warunki. Chcieć to wszystko wysłuchać, to już można dobrze się zmęczyć.

Przychodzi czworo dzieci mniejszych i większych.

— Jak się nazywacie?

— Jaśko, Wawrzko, Franek, Jaga.

— Ale na nazwisko jak się nazywacie?

Milczenie.

— Ile masz lat?

Milczenie.

— Pod którym numerem wasza chata?

Milczenie.

Trzeba więc zapisać Jaśka, Wawrzka, Franka i Jagę, a potem wyszukać ich nazwiska.

Czyż jednak zdołam opisać te wszystkie wrażenia, jakie odniosłam przy zbliżeniu się do tego ludu? Niepodobna. To tylko mogę zaznaczyć, iż wszyscy żalą się ciągle na podatki, na „pana“, na biedę i na to, że „panowie“ nie chcą dać ludowi żyć.

Wiedziałam ja naprzód, że trudno będzie żądać, aby po elementarze i tabliczki rodzice posyłać do miasta, więc wzięłam u księgarza zapas elementarzy, oraz tabliczek i rysików.

Teraz gdy przychodzą do zapisu, powiadam rodzicom:

— Oto moi kochani, trzeba dla waszego dziecka kupić elementarz, kosztuje 33 centy, tabliczka 10 centów, a rysik centa. Razem 44 centów. Ten, ów, wyjmie i zapłaci, ale tych można na palcach policzyć.

Inny prosi: niech pani zapisze, że ja wziął, a ja zapłacę potem. Drugi mówi: niech pani da, a ja przyniosę za to „kartofli“. Trzeci znowu przyrzeka, że jego żona za szkolne przybory da jaj, kokoszkę i t. p. Żądania te muszę uwzględniać. Przecież oni nie zechcą, abym płaciła sama, bo wiedzą chyba, iż w księgarni mi za darmo nie dadzą.

22 września.

Dziś odbyła się msza święta na intencję nowo otwartej szkoły. W kościele było dużo dziatwy, garstka rodziców, ja z mamą i Halka. O, jakże gorąco modliłam się, aby Bóg mej pracy pobłogosławił, by udzielił mi Swej świętej łaski do pracy żmudnej, trudnej a wielkiej!...

Po mszy świętej przyszedli wszyscy do szkoły. Ksiądz proboszcz poświęcił całą chatkę, przemówił dość ciepło do dzieci i rodziców, a w końcu zaznaczył, iż za nieposyłanie dzieci do szkoły jest kara pieniężna. Tego się lud najbardziej boi.

Po poświęceniu i przemówieniu księdza dziatwa się rozeszła. Jutro nauka już się rozpocznie. Mama zaprosiła księdza proboszcza, wójta i kilku radnych na śniadanko. Uważałam, iż wieśniacy byli tem bardzo zdziwieni. Przy śniadaniu rozmowa toczyła się o tutejszych stosunkach. Ksiądz trzymał się sztywnie i mało mówił. Gospodarze żalili się na „pana“, że im staw odbiera, który oni używali przez dawne, niepamiętne lata. Muszą się o ten staw procesować, a to ich bardzo dużo kosztuje.

Ksiądz na to:

— Kosztuje was, ale nie wygracie — ja sam na mapie widziałem, że ten staw należy do gruntów dworskich. A i staw przed plebanią także do plebańskich gruntów należy, więc go odbiorę.

Chłopi na te słowa spoglądali po sobie mil-

cząco. Może być, że to przywidzenie, ale zdawało mi się, iż jakieś błyski zawziętego gniewu płonęły w tem wejrzeniu. Wkrótce się wszyscy rozeszli.

23 września.

Oto dziś mój dzwonek szkolny pierwszy raz się odezwał. Musiałam prosić Kiwackiego, aby przyszedł zadzwonić, bo któż to miał zrobić? Przecież ani ja, ani Anusia dzwonić nie umiemy.

A było to rano — po siódmej. Słońce już jezienną mgłą przysłonięte wznosiło się nad drzewami parku dworskiego, ozlaczając szybki mojej chaty. Długi szereg pługów dworskich sunął powoli drogą przed gankiem. Krzyk i gwizdania parobczaków, poganiających konie, mieszały się dziwną melodyą z głosem dzwonka, który wołał czysto i głośno: „Do szkoły! — do szkoły!“

Wołaj mi dzwonku, wołaj, coraz głośniej, coraz wyraźniej! Niech twój dźwięk doleci do każdej chaty, niech przemówi do każdej duszy: oto szkołka woła, wzywa, zaprasza na gody, na siejbę, na orkę nie czarnej roli, ale serc młodych, serc dziatwy ludowej!... Wołaj dzwonku! Niech echo twej pieśni doleci do tych, którzy lud kochają, wierzą w jego serca, rozumieją, jaką jest potęgą ludu oświecanie. Wołaj.. niech pieśni twoje powitają z radością, niech ci pobłogosławiają!...

Oto idą pługi na orkę pod ziarno na chleb,

a dzwonek woła do pracy na siejbę dla serca i ducha...

Chato moja biedna, jakież ty dziś rozpoczniesz gody, jak wielką dziś twoja godność!

Mama z rozrzewnieniem na mnie patrzy i mówi mi:

— Nie trwóż się!

A Halka mnie całuje serdecznie i dodaje od siebie:

— Jest ktoś, ktoby chciał ciebie widzieć w tej chwili!...

Ach tak!... Jest tam daleko, w stolicy serce przyjaciela, towarzysza lat dziecinnych, które pewnie łączy się w tej chwili z moimi myślami i wita nowo otworzoną szkołę, jako nowo usypany szaniec obronny!...

Dziatwa się schodzi. Jest jej tyle, tyle, iż ani mowy niema o tem, aby pomieścić ją można w salce dość szczupłej.

Jest w niej ośm ławek, w każdej z nich najwyżej może się zmieścić ośm dzieci, a więc na sześćdziesiąt cztery dzieci miejsca jako tako starczy. Ja zaś mam sto ośm dzieci w szkole? Gdzież usiądzie czterdzieści cztery dzieci?...

Lecz to jeszcze nie są wszystkie, jeszcze ma ich przyjsć: trzydzieści pięć.

Muszę więc dzielić tę dziatwę na 2 oddziały. Dzieci od lat 10 do 12 będą przychodziły rano,

od 6 do 10 lat po południu. Dziś tłoczą się w sali, jak śledzie w beczce.

Zaczynamy od pacierza. Staję za stołem, żegnając się, dzieciom każę powtarzać głośno: Ojciec nasz i Zdrowaś Marya. Idzie to, naturalnie, jak po grudzie. Teraz czytam z katalogu nazwiska dzieci i żądam, aby ten, którego nazwisko przeczytam, zawołał: „jestem!“

Czytam:

— Borsuk Michał.

Na to słyszę 12 głosów: „Jestem!“

Co to znaczy?

Czytam:

— Fiałka Jaś, — słyszę znów cały chór: „Jestem!“

Zaczynam tłumaczyć dzieciom, iż tylko to z nich ma wołać: „jestem“, które się nazywa Fiałka Jan. Dowiaduję się jednak, że ja mam w klasie 12 Michałów Borsuków, 8 Jasiów Fiałków, Wawrzyńców Staszczyszynów 5, Mikołajów Jaszczyszynów 9 i t. d. Spostrzegłam teraz z jeszcze większem zdziwieniem, iż cała Dąbrowa ma główne cztery nazwiska mieszkańców: Jaszczyszyn, Staszczyszyn, Fiałka i Borsuk. — Z tego powodu jest i w klasie tyle dzieci jednego nazwiska. Że zaś tutaj prawie te same imiona powtarzają się zawsze, więc Michasiów, Jasiów i Wawrzyńców co nie miara. Muszę więc jakoś to uporządkować.

Po przeczytaniu katalogu i zaznajomieniu się

z dziećmi, uczyć ich siedzieć w ławce, powstawać razem, razem siadać, uczyć, gdzie trzeba kłaść kapelusze, książki i tabliczki.

Są dzieci, które, przyszedłszy do szkoły, wyjęły zaraz ogromną kromkę czarnego, lepkiego chleba i zaczynają jeść z całym apetytem. Inne znów płaczą, i to w głos, a na pytanie o powód tego rozrzewnienia nie odpowiadają wcale.

Jedne trącają się, biją, krzyczą w głos, drugie siedzą cicho, zastraszone, ani ócz nie podnosząc z ziemi.

Dziewczęta uczesane ładnie, mają chusteczki na głowach, ale chłopców głowy wyglądają okropnie. Całe strzechy włosów nigdy nie czesanych, nigdy nie obcinanych... Kiedyż ja ich ucywilizuję jako tako, kiedy o tyle te umysły przysposobię, aby mogły pojąć literę alfabetu?

25 września.

Cała moja mądrość skupiła się teraz w jednej pracy: nauczyć dzieci wchodzić do klasy, siedzieć w ławkach, wstawać, wychodzić, wytłomaczyć im, że są wyrazy, których nie można używać, mimo, że dotychczas ich używały z całą swobodą.

Biedna, ciemna, na wpół dzika dziatwa ludu naszego!... Czyż niejedenby z ciebie nie szydził, nie urągał, gdyby cię taką zobaczył, jaką oto przyszedł do mojej szkółki? A ja przecież nie wysmiewam

się z ciebie, ani ciebie za to mniej nie kocham, żeś tak bardzo, bardzo dziewiczo dzika.

Dziwna rzecz! Właśnie, gdy widzę tę ogromną ciemnotę ludu, gdy patrzę na tę straszną dzikość w obyczajach, nie trwożę się, ani chłodnę w zapale. owszem, pragnę jeszcze więcej pracować, jeszcze goręcej poświęcać się.

Lecz po dwóch lub trzech godzinach, gdy wyjdę z klasy, jestem zmęczona.

To pewnie z początku, potem przywyknę.

27 września.

Już podział dzieci przeprowadzony. Rano przychodzi starszych dzieci 49, po południu 62. Na jedno moje serce za mało, na piersi za wiele.

Mieczysław napisał prześliczne życzenia.

Pensyi jeszcze nie dostałam.

30 września.

Jutro ma moja dziatwa pójść wraz ze mną do kościoła. Uczylam więc dzisiaj iść parami. Że zaś w klasie było za ciasno na te ćwiczenia, a w ogrodzie naszym niema jeszcze żadnych ścieżek, musiałam wyjść z dziatwą na drogę przed ganek i tam ją układać wedle wzrostu w pary.

W duży łańcuch rozwinęła się moja gromadka, gdy ją ułożyła para za parą. Nie uwierzyłby nikt, ktoby na to nie patrzył, ile trudu potrzeba i pracy,

zanim się przyuczy dziatwę do równego marszu. Kilka par na przodzie idzie za prędko, za niemi kilka par zbija się w jedną masę; tu znów przerwa duża, za nią znowu gromada zbila się w nieładzie. Jedni wysuwają się na lewo, drudzy na prawo; ci nadeptują poprzednikom na nogi, tamci trącają się i biją. Ochryplam, głosu mi już brakło, aby przecie jako tako moją armię wymusztrować. Poczyna to wreszcie iść lepiej; liczę im: raz, dwa, i każę iść naprzód, zwrócić się, znowu naprzód i t. d.

Wtem nadjeżdża elegancki wózek. Siedzi w nim pan Łomski i jakiś młody przystojny mężczyzna.

Stanęli. Przypatrują się ciekawie, wreszcie pan Łomski, nie uchylając nawet kapelusza na powitanie, woła:

— Winszuję pani dobrej zabawy, winszuję!...

Nie odpowiedziałam na to ani słowa.

A p. Łomski, zwracając się do towarzysza, mówi zupełnie głośno:

— Nie szkoda to takiej ładnej panny, aby się z tą dziczą męczyła? Przewrócona głowa, przewrócona... egzaltacją i „miłością ludu“. Ha, ha, ha!...

Odeszłam, zapłoniona gniewem. Odjechali, ja dziatwę do szkoły wprowadziłam.

1 października.

Gdy dziś w kościele ustawiłam moją gromadę dzieci „przed balaskami“, doprawdy dziwną uczu-

łam błogość. Chłopcy po prawej stronie, dziewczęta po lewej. Wszyscy odziani czysto, w płótnianki lniane, a między niemi nawet bardzo ładne twarzyczki.

Rodzice spoglądali na swoje dzieci z upodobaniem, a z ławek kolatorskich słychać było ciągle szepty i śmiechy. Naturalnie. Rzecz to bardzo śmieszna, patrzeć z wyżyny kolatorskiej ławki na gromadę dzikich dzieci i na młodą biedną dziewczynę, która tych dzieci nie bije, nie nienawidzi, ani niemi nie gardzi...

Uklęłam wśród tej wzgardzonej dziatwy i modliłam się z tą głęboką wiarą, iż dobry Bóg przecie pracę moją wesprze. Nie mogę przecież pojąć, dlaczego inteligencya, w mieście zamieszkała, tak lud kocha, tak go ceni, tak pragnie jego oświaty i dobra, a tutaj ci, którzy wśród ludu żyją, wyśmiewają go i gardzą niem bezlitośnie. W mieście wołają potężnym głosem: lud, to przyszłość Ojczyzny, to jej moc i siła, jej chluba i chwała. A tutaj?...

3 października.

Pensyi do dziś nie otrzymałam. Rzeźnik upomina się o zapłatę. Od księdza przysłano rachunek za mleko. Zapasy spiżarniane znów się wyczerpały. Trzeba drzewa kupić, kartofli, trzeba mi już cieplejszych bucików, bo nieraz dobrze ziębnę,

mając tylko letnie lakierki, które jeszcze we Lwowie przed maturą kupiłam.

Stach tamtego miesiąca przysłał mamie trochę pieniędzy, które już dawno musiałyśmy wydać. Marceli, mimo najszczerzych chęci, nie może pomóc, bo pobiera tak skromną pensję, iż ledwie starczy na jego życie. Wczoraj ugotowałam ostatnią kawę dla mamy; dziś zobaczyłam, że herbaty starczy najwyżej na dwa dni. Poczyna mi to przygnębiać i gnębić dość srogo.

Napisałam do Rady szkolnej okręgowej prośbę i przypomnienie o pensję.

4 października.

Dwa miesiące dobiega od tej chwili, gdy wyjechałam ze Lwowa. Przez te 2 miesiące nie miałam w rękach gazety, ani książki. Mogłoby się pól Europy zawalić, mogłyby zajść wypadki epokowe, niczym o tem nie wiedziałam, skoro wynalazki XIX. wieku jeszcze nie udoskonaliły się tak dalece, aby szum starych lip mógł być łącznikiem między mną a światem.

Tam, daleko, życie płynie wartkim biegiem, każdy dzień, każda chwila niesie jakąś wieść, zmianę, ruch, nowe hasło. Tutaj cisza i jednostajna monotonna. Dziś, jak wczoraj, jutro, jak dziś, i tak splecie się długie pasmo dni i kawał życia przemienie.

Wśród wielu trosk i kłopotów poczynam uczu-

wać głód moralny, a nie ma go czem zaspokoić. Ah!... Gdybyż to mieć dzienniki, książki!...

Zaprenumerować gazety nie mogę, bo na to kasa nie starczy. Pożyczać? Od kogo? Książki nie odbiera zupełnie dzienników, a dwór, jeśli je ma, to pewnieby nie pożyczył, a zresztą prosić? O! za nic w świecie!

6 października.

Starsze dzieci, które przychodzą rano, zaczynają się rozwijać umysłowo bardzo dobrze. Dwóch chłopaków zwłaszcza jest tu bardzo zdolnych, Mikołcio i Franuś. W porze, w której się działo do szkoły zbiera, gdy jestem w klasie, aby ją dozorować, zaczynam rozmawiać z dziećmi. Ciekawe słyszę rzeczy. Ośmielone, opowiadają mi o tem lub owem, ani spodziewając się, ile mnie przez to uczą. Tak jest, uczą, bo ani bym wyobrażenia nie miała o niejednym, gdybym od nich tego nie słyszała.

— Dlaczego dziś Anusi Jaszczyszyn w szkole niema? — pytam chłopaka, jej sąsiada.

— Ona nie przyjdzie, proszę pani nauczycielki, bo tam dziś chrzciny u nich, więc trzeba obierać kartofle na „pierog“.

— Jakto? ona nie mogła zrana kartofli naobierać? Przecież byłoby jej czasu starczyło.

— Ale to trzeba „kupa“ kartofli.

„Kupa“ u nich znaczy bardzo dużo.

Po dłuższej gawędce dowiaduję się, że tu we wsi na wszelkie uroczyste przyjęcia, jak na chrzciny, wesele i t. d. muszą piec tak zwany „pierog“. Pierog ten pożera czasem ćwierć, a nawet więcej kartofli. Obecna w klasie Ewcia Fiałkówna, ładna, różowa blondynka, pokazuje mi kawał takiego pieroga. Jest to duży placek z mąki, zmielonej na żarnach, nadziany kartoflami „deptanemi“, z olejem, z cebulą. Takich pierogów na chrzciny trzeba 10 do 20. Więc na to wychodzi ogromna ilość kartofli.

— Kto „kmić“, kto bogacz, to ma pierogi pszeniczne i jeszcze daje do nich śmietanę; kto biedny, to ma pierog żytni, albo jęczmienny — opowiada Ewcia.

Taki „pierog“ jest dla nich przysmakiem nad przysmaki, nad niego niema lepszej strawy. Do pieroga naturalnie dodaje się wódka.

— Na jedne chrzciny, proszę pani nauczycielki, wyjdzie czasem i za 10 i za 15 reńskich wódki — mówi Mikolcio.

Ja wierzyć temu nie mogę, dzieci zapewne się mylą. Gdy więc potem spotkałam Kiwackiego, pytam go, czy to może być prawdą, a on mi powiada:

— To jeszcze skromne chrzciny, gdzie za 10 złr. wyjdzie wódki. Są takie, za które żyd z karczmy dostaje i do 20 złr.

Jakże to ciemny lud, który w ten sposób potrafi ciężko zapracowany grosz marnować!

Mówię o tem mamie, a ona mi na to z uśmiechem:

— Moje dziecko! nie gorsz się tem. Ten lub ów jegomość potrafi na jedno śniadanie z kolegami wydać sto albo więcej złr., pomimo że ma wykształcenie, że jest przecież cywilizowanym człowiekiem. Czegoż żądać od ludu, który nie ma ani wychowania, ani oświaty?

— Tak, ale ten lud na nędzę się zali wiecznie, kawałka mięsa nie zje, więc dla niego wydatek 10 złr. na wódkę — to okropność!

— To okropność? A w Polsce za czasów Radziwiłła, Sasów, Brühla i innych — co się działo? Pijaństwo szło z góry przykładem. A właśnie dla tych wad oświaty kaganiec jest zbawczym środkiem.

9 października.

Po kilku dniach słoty, wypogodziło się teraz pięknie. Od rana miałam formalne obłożenie przez matki i ojców. Wszystko, co żyje, idzie dziś ze wsi kopać ziemniaki, więc dalejże do mnie z prośbą.

— Niech pani uwolni Jasia, Kazia, Michasia, Ewkę i t. d., bo trzeba przy dziecku zostać, bo jałówka ryczy na paszę, bo prosięta zamknięte. Na Boga! Gdy zechcę każdej prośbie uczynić zadość,

chyba, toż sama pójde kopać ziemniaki, bo w klasie nie będzie nikogo.

Co tu robić? Zatrzymać dzieci w klasie, to już chyba wszystkie. Zezwolić znowu, żeby szły do domu, to także chyba wszystkim, bo wyjątków i różnic robić nie można. A tu lud prosi i błaga o tę łaskę.

— Tylko dziś i jutro, pani nauczycielko, tylko dziś, potem będą chodzić regularnie, ale teraz, dopóki pogoda, trzeba zebrać ziemniaki czempędzej.

Serce powiada mi: zrób ustępstwo rolnikowi w pracy. A rozum, stary zrzęda i formalista mruczy znów:

— Zezwolisz raz; przyjdą ci raz drugi i dzieciąty; zrobisz im ustępstwo, — to możesz sobie samej zgotować wiele nieprzyjemności. Bez zezwolenia Rady szkolnej miejscowej nie możesz nauki przerwać, czyż ksiądz i dziedzic zrobią ulgę dla „chłopstwa“?... Gdy się Rada szkolna okręgowa dowie, możesz otrzymać naganę na początku pracy.

Istna walka rozgrywa się we mnie. Lud żebrze o swoje dzieci, jak o jałmużnę, a słoneczko wznosi się wyżej i robota nagli. — Nie, niech się dzieje, co chce. ja rozumu nie usłucham, pójde za sercem. Serce każe dopomódz w pracy rolnikowi, gdy chwytą plon przed deszczem i słotą.

— Dobrze, moi kochani — przemawiam z poważną miną, — ja wam dziś i jutro dzieci zostawie

wię w domu, ale pamiętajcie potem już regularnie posyłać.

— Panie Boże święty zapłać stokrotnie!

— Dziękujemy! Niech Bóg nagrodzi!

— Co pani, to pani, nie ma co mówić!

— Innyby nie usłuchał, choćby się świat walił!...

— Ulitował się Bóg nad nami, że nam taką nauczycielkę przysłał.

Widzę, iż zyskałam przez to wielką życzliwość u gminy:

Słonko jasne, pogodne już wysoko stoi nad wioską, a we wsi teraz cicho. Wszystko wyszło w pole, pogoda cudowna, zaś u mnie w szkółce dziś cicho, tylko kilka muszek brzęczy u okna i ptaki pod strzechą świergocą swobodnie.

10 października.

Pisałam do dworu o sąg drzewa do palenia. Prosiłam o podanie ceny, bo nie wiem, jak się tutaj drzewo opałowe płaci. Otrzymałam odpowiedź taką:

Sąg drzewa opałowego kosztuje 13 zlr. 70 centów. Na kredyt się nie wydaje.

Na pensję asygnaty jeszcze nie otrzymałam potrzeby są nagle. Co począć?...

Wybrałam się do Wierzejskiego z Halką piechotą, niby na przechadzkę, aby go prosić o radę,

co mam zrobić, aby pensję otrzymać. Zastałam go w ogrodzie z kilkoma chłopakami.

Miły, zacny człowiek. Powitał nas uprzejmie. Zasmucił się, gdy mu powiedziała, iż dotychczas pensji nie dostałam. Powiedział, że niema innej rady, tylko muszę do inspektora udać się osobiście, bo pisemne podanie może leżeć gdzieś w aktach.

Wypytywał mnie o dzieci, jak sobie daję w szkole rady. Opowiedziałam, ile miałam trudności z zapisami, jak wczoraj i dziś musiałam dzieci uwolnić i t. p. On mi na to:

— Jestem przeświadczony o tem zanadto dobrze, że lud dobrocią da się poprowadzić stokroć lepiej, niż karami. Niech pani nie raz jeden ustawę i przepis zimny rozumowy, odsunie na bok, a kieruje się miłością bliźniego. Widzi pani: ci, co wydali i napisali dla nas ustawy, to są ludzie, którzy w mieście w ciasnem biurze pracują. Potrzeb ludu i jego życia tak dobrze nie znają, jak my. Zresztą są okoliczności, warunki nieraz wprost niemożliwe do pogodzenia z ustawą. Nauczyciel musi być w swojej wiosce ojcem, nie urzędnikiem. Urzędnik może stosować się zawsze do regulaminu, ale ojciec z działością wedle serca kierować się winien.

Obiecał mi dać trochę krzewów i kwiatów do zasadzenia w ogródku. Pani Zuzanna była dziś nieco uprzejmniejsza, niż przy pierwszej naszej wizycie. Widać przecie, że ona inną być nie może,

jak jest. Szorstka, bez wychowania i bez szerszych poglądów, bez zupełnego zrozumienia, czem są idealne potrzeby życia. U niej, byle tylko grosz, chleb, odzienie: oto wszystko. Takich niestety, dość wszędzie.

Odprowadzono nas, aż na wzgórek na rozstajne drogi.

Gdy się państwo Wierzejscy wrócili, a my same szły przez pola, dziwna tęsknota opanowała moje serce... Taka wielka, rozległa przestrzeń pól przedemną, za mną wokoło... tyle zagonów, niw i łąk tutaj, a my oto dwie sieroty same — same...

— Halko! szepnęłam do siostry, — nie żal ci, żeś ze mną tutaj do ubogiej wioski przyjechała? Nie boisz się tej jesieni, która już oto nadchodzi, już swe posły, pożółkłe liście, rzuca, która nas tu zamknie w chacie i nawet od pól, łąk i lasów oderwie... Nie boisz się?...

Halka, dużemi, czarnemi oczyma na mnie spojrzawszy, uśmiechnęła się rzewnie i rzekła:

— Nie boję się. Świata jeszcze nie zaznałam, więc za nim nie będę tęsknić. — Pracę już pokochałam, więc mieć ją będę zawsze przy sobie. A powinnaś, moja zanadto mądra pani profesorko wiedzieć o tem, iż nietylko ty lud kochasz. Ja także jestem polską dziewczyną, ja także chcę pracować nad ludem. Zobaczysz, ja tutaj sobie swoją własną, prywatną szkółkę założę, tylko do niej nie

będę przyjmować dzieci, ale starsze dziewczęta. Wiesz?

Rozśmiałyśmy się obie głośno.

— Dobrze! dobrze! pozwalam ci na to, może nawet rywalizować ze sobą zaczniemy... lecz spieszymy się, bo już się zciemnia, a do domu jeszcze kawał drogi...

Zaczęliśmy iść prędzej; mgła jesienna unosiła się nad błoniem, z chat wioski dymy rozścielały się szeroko.

Szybki tętent konia przestraszył nas. Skoczyłyśmy w bok, drogą ku wsi popędził ów młody, przystojny mężczyzna, który jechał przed kilku dniami z panem Łomskim. Popatrzył na nas ciekawie i znikł w mgle wieczornej.

Halka spytała:

— Nie wiesz, kto to?

— Nie wiem. Dość przystojny—może jaki gość z dworu.

W domu zastałyśmy mamę splakaną. Był list od Marcellego, jest chory i prosi, aby mama przyjechała.

14 października.

Lekcje w szkole idą teraz regularnie. Starsze dzieci są pojętne. Już piszą kreski pionowe, poziome, ukośne, już umieją zaśpiewać razem: „Serdeczna Matko! Opiekunko ludzi!“...

Młodsze dzieci bardzo tępo się rozwijają. Do-

tychczas jeszcze nie umieją wskazać, która ręka prawa, która lewa.

W domu mamy zmartwienie. Mama się zbiera do Marcellego, bo leży chory, bez opieki. Droga to daleka, boję się o zdrowie mamy. Kłopoty pieniężne gniołają mnie.

Trzeba jechać do inspektora, a to i kosztuje i męczy.

15 października.

Dziś niedziela, nauki szkolnej nie mam, więc wybrałam się do miasta, do inspektora. Przyjął mnie dość zimno i kwaśno.

— Cóż ja pani poradzę, gdy ze Lwowa asygnała nie nadeszła? Cóż poradzę? Dam chyba na zaliczkę od siebie 30 złr. Dobrze?

— Będę i za to wdzięczną — odpowiedziałam, rumieniąc się. — Przecież pan inspektor pojmie, że w obcym mieście, w obcych stronach, bez grosza trudno sobie dać rady.

— Cóż to, nie mogła pani prosić we dworze o małą pożyczkę na krótki czas?

— O nie! Właściciel Dąbrowy zanadto jest niegrzeczny i niechętny, ażeby go prosić mogła.

— Kiedy bo to znów szlachta żali się zawsze na to, iż nauczycielstwo zanadto się nadyma, że wymaga za wiele. Lepiej być uprzejmym, uległym; i dla szkoły będzie wtedy dogodniej i dla nauczycielstwa.

— Pan inspektor daruje — odpowiedziałam żywo, ale nie zawsze można kierować się zdaniem pana inspektora. Nauczyciel musi także zachować swoją godność; gdy ją splami, splami sprawę, która musi być czysta.

Ktoś zapukał, rozmowa się przerwała.

Gdy wracała, puścił się deszcz ulewny; przemokłam zupełnie. Mój biedny, odświętny kapelusik na nic, sukienka zniszczona. Dreszcz silny mnie przejmuję. Dobrze, że już późno, pójdę wreszcie spocząć.

Deszcz o szyby dzwoni, wicher jęczy przeraźliwie.

20 października.

Mama pojechała. Zostałyśmy obie z Halką same. Jakże nam teraz pusto, jak obce jesteśmy w tej wiosce!.. Jesień snuje swoje srebrne pajęczę przędzywo, przed chatami kobiety miedlą len i konopie, a z pola dolatuje ciągle nawoływanie oraczy: „hej! siwy! hej!... hej! gniady! hej!“...

Po godzinach szkolnych, gdy znajduję się w moim pokoiku, dziwnie mi tęskno. Gdybyż to gazety, książki jakieś!

Biorę do ręki notatkę zacnego Wierzejskiego i czytam:

— W istocie, jeśli nam dziś czego brak, to przedewszystkiem wzniosłej duszy!...

— Poznać dziecko, jest to poznać człowieka dojrzałego.

— Niewola tworzy zawsze dwu niewolników. Tego, który trzyma łańcuch i tego, który go nosi.

— Wspólnym mistrzem nauczycieli i uczniów jest przywiązanie. Kto nie kocha, a chce uczyć, podobnym jest do człowieka, który bierze ziemię w dzierżawę, nie stara się jej wcale ulepszyć, a tylko ciągnie z niej jak największe zyski. Przeciwnie, kto kocha, podobnym jest do właściciela, który zewsząd znosi, co może, ażeby wzbogacić przedmiot swego przywiązania.

— Patriotyzm nie zawiera się całkowicie w niechęci do obczyzny.

— Poświęcenie — jest poezją w czynie.

24 października.

Dziś w nocy wybuchł ogromny pożar we wsi. Krwawa luna oświeciła wioskę, jako pochodnia nieszczęścia. Dzwony kościelne jęczały żałośnie, a lud, wybiegając z chat, krzykiem i płaczem witał ten widok, jaki się jego oczom przedstawiał.

Pierwszy raz w życiu widziałam taką grozę rozszałatego żywiołu. Wokoło strzechy słomiane, wicher bezlitośnie rzuca płonące snopy daleko, a tu ani sikawki, ani wody, ani ratunku, Boże, Boże! — wołam z bólem najwyższym; — Boże ulituj się!

Kobiety zawodzą:

— Poszło nasze zboże, nasza chudoba, nasze chaty...

Krzyk, płacz, trzask palących się belek, tysiące iskier, wznoszących się w górę, dym duszący, gryzący w oczy, a nad tem wszystkim czarne niebo nocy i widmo nędzy pogorzalców. Czy to nie straszna chwila?...

Wszystko, co żyje we wsi, pobiegło do ognia; pobiegła tam i Anusia. My obie z siostrą, przytłone do siebie, drżące z trwogi i zimna nocnego, stoimy na ganku, nie wiedząc co z sobą począć...

Jeżeli się wiatr nie uspokoi, a zaczną się palić następne chaty, spłonie i nasza szkółka, a w niej wszystko, co mamy najdroższego, pamiętki nasze...

— Módlmy się! módlmy! — szepce Halka blada, jak ściana, i składa drżące ręce i poczyną mówić:

„Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko!“... Ja powtarzam za nią słowa modlitwy... gdy wtem słyszę czyjeś kroki lekkie i głos łagodny:

— Proszę niech się panie uspokoją. Proszę się nie trwożyć, niebezpieczeństwa niema.

Drgnęłam przełknięta, odwracam się, na ganku stoi ów pan, z którym Łomski niedawno jechał.

— Panie pozwolą, iż przedstawię się i prze-

proszę za moją śmiałość, ale wiedząc, iż panie tutaj są bez męskiej opieki, nie mogłem przenieść tej myśli, aby panie zostawić bez pomocy.

— Dziękuję serdecznie, — odpowiedziałam, — prawdziwie jesteśmy obie z siostrą bardzo wylknione. Jeszcze nigdy tak wielkiego pożaru nie widziałyśmy.

— O!... nowa chata się pali, nowa chata, — woła Halka i z krzykiem pada mi na ramię...

— Uspokój się Halko, uspokój... ogień przygasa, nie bój się... — szepcę jej, ale sama drzę co raz bardziej. W istocie ogień się wzmacnia i zbliża ku nam.

— Niech panie wejdą do mieszkania, — mówią ów pan, którego nazwiska jeszcze nie znamy. — Widok pożaru działa denerwująco, wiatr zimny szkodzi; proszę wejść do mieszkania.

— Nie! Ja nie pójdę, — odpowiada Halka, — ja się boję, nie pójdę, idźmy stąd daleko, daleko.

— Ah Boże! co ja pocznę, — wołam z płaczem... — Iskry się syją na nas, Boże ratuj nas!...

Nieznamomy nasz opiekun, otwiera drzwi, wprowadza Halkę przemocą do pokoiku, prosząc, abym i ja weszła.

Halka uklękła przed obrazem Matki Boskiej i z płaczem szepce modlitwę, ja oparłam czoło o drzwi i płaczę w głos...

A tutaj wichur niesie jęki zrozpaczonych ludzi,

trzask palących się drzew i straszną duszącą woń spalenizny...

Co już potem było, nie pamiętam; później o wiele przypominam sobie, leżałam na sofce, nademną stała Anusia z wodą, Halka na mojem łóżku, błada jak chusta, ciężko oddychająca.

— Nie płaczcie, panienko, nie płaczcie, już ugaszone, już niema ognia. Osłabliście bardzo — mówiła Anusia, troskliwie mię pocieszając. — Był tu panicz ze dworu, on po mnie posłał Kiwacką, przyleciałam jak bez duszy, bo myślałam, że się co stało, a tu obie panienki „pozalekały się“ i kiej dzieci płaczą. Czego płakać? my tu już przywykli do ognia. Tu się tak zawsze w jesieni pali...

O, ciężka to była noc! Choć już dawno dzwony bić na pożar przestały, mnie ciągle w uszach dzwoniły jeszcze i ciągle słyszałam to dzikie wołanie:

— Wody dawaj! dawaj wody!...

Ach! ileż to trzeba przeżyć w takiej wiosce, w takiej szkółce...

25 października.

Wczorajszy pożar wyrządził wielkie szkody. Spłonęło 11 zagród włościańskich z wszystkimi budynkami, zapasami zboża, siana, przyodziewy i t. d. Pięć krów i trzy konie spalone na węgiel, dwoje ludzi ciężko poparzonych. Tę bolesną stratę wyrządziła jedna iskra, podłożona zbrodniczą ręką. Że ogień był podłożony, świadczą wszyscy, bo wy-

buchł z pod węgla chaty, tuż przy drodze położonej. Przypomniałam sobie teraz, co mówił ksiądz:

— Paluchy! podpalacze!

I ta moja biedna, uboga szkółka ma swoją pracą niszczyć tak straszne nalogi u tego ludu... a ja, pisząc dzisiaj dzieciom pierwsze „i“ na tablicy, mam myśleć o tem, że mam misję uszlachetnienia ludu, zdolnego podpalać i z dymem puszczać owoce prac długich!... Zaprawdę!... Wydaje mi się to wszystko ironią.

Halka leży chora, ja ledwie mogę pracować, tam płacz i rozpacz jedenastu rodzin, które nie mają gdzie głowy skłonić, nie mają co dać dzieciom na śniadanie, — a ja tu piszę duże „i“ na tablicy i uczę dzieci ten znak wymawiać. A przecież...

Przecież powinnam być spokojną. To, co robię, jest wielkie, jest potężne, bo to początek oświaty. Bez tej litery „i“ nie byłoby dalszego rozwoju nauki, nie byłoby dalszej pracy... a ja wszakże chcę ten „lud“ dźwignąć, uszczęśliwić, chcę nim cały świat zadziwić!.

W południe przyszedł ów „panicz“ ze dworu, który o nas wczorajszej nocy pamiętał.

— Jestem Czesław... krewny pani Łomskiej... Przyszedłem się dowiedzieć, jak się panie mają, a zarazem złożyć moje uszanowanie.

— Dziękujemy panu serdecznie za pamięć

o nas i za wczorajszą opiekę. Halka chora, ja muszę się trzymać, bo trzeba zwalczać wrażenia, a żyć pracą.

— Panie muszą się w Dąbrowie przyzwyczaić do podobnych iluminacyj, bo są one tutaj częste. Ja, ile razy do siostry przyjadę, prawie zawsze jestem świadkiem podobnego nieszczęścia, jakiego wczoraj byliśmy widzami.

Usiadłam, wskazując mu miejsce. Rozmowa potoczyła się o tem, jak nam się tutaj życie przedstawia, jakie wrażenie zrobiła na mnie dziatwa, tak bardzo zaniedbana, czy bardzo cięży nam samotność.

— Podziwiam odwagę pani — mówi pan Cześław, — bo przecież pani, jako nauczycielka, mogłaby o wiele lepsze mieć warunki w mieście, lub w małym miasteczku.

— Bezwątpienia, że tam byłoby lepiej, ale czy pan sądzi, że tam brak nauczycielek? Czyż mam dla własnej wygody iść tam, gdzie dużo rąk do pracy?

— Poświęcenie godne uwielbienia.

— Nie, panie, to jest tylko chęć spełnienia choć w części tego, co spełnić należy wobec ojczyzny i narodu. Że mogłoby tu być cokolwiek lepiej, nie przeczę, ale nie lud winien, lecz ci, którzy, zamiast podać nam rękę, ciskają na nas kamieniem pychy i wzgardy...

Uniosłam się i z żalem ostatnie wyrazy wypo-

wiedziałam, sądząc, że on się obrazi, lecz stało się przeciwnie; on spokojnie odrzekł:

— Jak pojęcia pani o służbie nauczycielki dla dobra ojczyzny są wyjątkiem, tak i dwory, które pojmują swoje stanowisko wobec szkoły, są wyjątkami. Czy pani sądzi, iż nauczycielki i wszyscy nauczyciele tak samo zapatrują się na swoją pracę, jak pani?... Są przecież i między wami najemnicy leniwi i samolubni najemnicy, którzy chcą tylko zapłaty, a za zapłatę dadzą 5 godzin pracy; więcej nic. Są i dwory, które tylko siebie mają na celu i liczą, ile im oświata przyniesie szkody lub dochodu...

— Ale naszych najemników ponoś mniej, niż tych dworów, i nasi najemnicy nieraz niedostatek cierpią, a dwory toną w przepychu i zbytku.

— Nie chcę bronić naszych dworów, — odrzekł na to poważnie, — bo gotowa pani pomyśleć, że czynię to, ponieważ sam należę do grona ludzi posiadających obszar dworski. Muszę jednak zaznaczyć, iż jeśli szlachta, „panowie“, czyli jak dziś ludowcy nazywają, „obszarnicy“ są pełni egoizmu, lekkomyślności, cynizmu i t. d., to czyż nie odziedziczyli tego tak samo po swoich przodkach, jak lud po swoich odziedziczył pijaństwo, złodziejstwo, nieufność i tym podobne czarne plamy?... Nad ludem ubolewacie i chcecie go jak najprędzej z pęt tych nawyków wyrwać, a dla dworów nie macie współczucia tylko niechęć.

— Niechęci nie mamy, czujemy tylko żal — za to, czego nie robią, choćby mogli, — żal za te przeszkody, które stawiają i za niechęć dla oświaty. Słusznie powiada pan: wady szlachty, jak wady ludu nie wzrosły jak grzyby po deszczu, ale są owocem dawnych grzechów. Czyż jednak z dwóch biednych błędzących, więcej litości godzien ten, co zbłądził, nie znając zupełnie drogi, czy ten, który wiedział dobrze, która droga prowadzi na prawo, a poszedł na lewo?...

— Jahym powiedział, że dla obu powinna być litość. Kto błądzi, godzien lży współczucia, czy on w łachmanach nędzarza, czy w karmazynach szlacheckich.

Wkrótce potem pożegnał się uprzejmie i odszedł, zalecając dla Halki ukłony.

Przyznać muszę, iż rozmowa jego wywarła na mnie dziwne wrażenie. Bądź co bądź, to człowiek myślący szlachetnie. Jakże to miło spotkać taką duszę wówczas, gdy wkoło, jak na Saharze pusto, i niema nic nad piaski...

Lecz nie!... Wstydzę się tej chwilowej skargi. Nie piaski wokoło mnie, nie pustynia, ale wielki, ogromny łąn polskiej ziemi, ale wiele serc ludu polskiego, naszego, nad którym Kościuszko rozniecił pierwszą gwiazdę miłości i kazał w jej imię brać się do dzieła...

26 października.

Dziś posłałam pieniądze po drzewo, otrzymałam kwit, z którym pojechał sąsiad Michał do lasu. Do rąbania drzewa zgodził się starsuszek siwy, Droński. Mieszka w trzeciej chacie od nas. Pamięta jeszcze pańszczyznę i lubi o niej opowiadać, lecz opowiada przerażające rzeczy. Mówi też, że ma na plecach do dzisiaj sine pręgi z pańszczyźnianych razów, chciał nawet zdjąć koszulę i pokazać, ale krzyknęłam, że nie potrzeba.

Byłam dziś u niego w chacie. Nizka, ciasna, zupełnie czarna z dymu. Okienko jedno malutkie, nieco tylko światła przepuszcza. W tej chacie żyje 13 dusz! Stary Droński, jego zięć z córką, 9 dzieci i uboga kobiecina, która „po proszonym chlebie chodzi“.

Od Mamy nadszedł list. Brat niebezpiecznie chory. Biedna mama o nas niespokojna, a odjechać nie może.

28 października.

Wreszcie otrzymałam już asygnatę na pensję. Po pierwszym listopada pojadę, wezmę razem za trzy miesiące, oddam panu inspektorowi pożyczoną od niego kwotę.

Za elementarze, tabliczki i rysiki winnam dużo w księgarni, a odebrać prawie nic nie mogę. Zaufałam temu i owemu, dałam książkę i elementarz,

bo jakże było inaczej dzieci uczyć? Teraz, gdy się upominam o zwrot pieniędzy, słyszę odpowiedzi:

— Tatuś nie mają.

— Mama kazali powiedzieć, że nie mają; dadzą jaja.

— Mama da, jak sprzeda prosię na jarmarku.

— Mnie siostra da, jak na pańskim zarobi.

Cóż robić, trzeba czekać!

6 listopada.

Po kilku dniach mam wiele do zanotowania. Na Wszystkich Świętych stanął w progu mojej chatki gość niespodziewany. Mieczysław przyjechał!...

Patrzyliśmy na siebie, nie mówiąc ani słowa. Wreszcie ja pierwsza wyciągnęłam rękę.

— Pan u nas?... Tutaj... W Dąbrowy?...

— Przyjechałem koleją do S..., stamtąd oto fiakrem i jestem tutaj, w ustroniu, w zaciszy wiejskiej, w której się pani ukryła, uciekając ze Lwowa.

Halka, słysząc moją rozmowę, wyjrzała zdziwiona, a spostrzegłszy Mieczysława, zaczęła go witać, jak brata, jak przyjaciela.

— Ah! jakież pan dobry, żeś przyjechał. My tutaj same, bo mama wyjechała. Smutno nam, nie mamy nikogo, nikogo...

Dziwna rzecz! ona dawniej z Mieczysławem najmniej mówiła, za to ja, ile razy przyszedł, nie mogłam się z nim dość nagadać. Teraz, po trzech

miesiącach niewidzenia, ja stoję i patrzę, a ona szczebioce i opowiada mu wszystko: o moich kłopotach, o tem, jak sama chłopcom w klasie włosy ucinam, jak czeszę dzieci, jak się kłopotuję o drzewo, chleb i t. d. Mieczysław słucha i patrzy na mnie badawczo.

— Wie pani, panno Zofio, w bardzo wielu romansach, tłómaczonych z angielskiego, spotyka się jedno i to samo: młoda, ładna i bardzo zająca nauczycielka wychodzi za mąż za bogatego lorda. Znaleźć można takie wypadki i w naszych powieściach; ja więc, chcąc się przekonać, czyli w powieściach jest nieco prawdy, przyjechałem zapytać, czy nie znalazła pani przypadkowo... bogatego?...

— O! jest, jest! młody, przystojny, i bardzo rozumny pan Czesław! — zawołała Halka, śmiejąc się wesoło.

— Halko! — zawołałam tak rozżalonym głosem, iż dziewczyna spłoszyła i wybiegła zawstydzona, a Mieczysław zbliżył się ku mnie, patrząc badawczo w oczy...

— P'anie Mieczysławie — mówiłam cicho — niech pan nie porusza nigdy sprawy mego serca; niech pan nigdy nie pyta, czy się o mnie kto stara, czy się mnie kto podoba, czy nie wychodzę za mąż...

— Dlaczego mi pani zabrania o to się pytać? Wszak o to pytają wszyscy znajomi we Lwowie, wszak jest to rzecz bardzo naturalna, jeśli w ta-

kiej cichej i dalekiej wiosce zjawi się elegancka, wykształcona..., no, i nie brzydka panna, to może się komuś podobać...

— Wie pan co?... przejdźmy na inny temat. Tak dawno pana nie widziałam, dawno z panem nie rozmawiałam. Szkoda czasu na takie rzeczy, mówmy o naszych pracach wspólnych, o życiu naszym...

— Dobrze, dobrze, zaczniemy się spowiadać starym zwyczajem — przerwał, uśmiechając się, Mieczysław. — Ale ja chcę skończyć jedną rzecz: chcę wiedzieć, czy pani nie wypełnia tego, co w powieściach zawsze figuruje...

— Nie panie, ja nie jestem bohaterką romansu ani powieści, jestem ubogą, polską dziewczyną, która, szukając pracy dla chleba, wyszukała sobie najcudniejszą łąkę, pełną kwiecia, słońca i czarów wiosennych i na tej łące chce chwasty powyrywać, skrzywione badyle prostować, a siał coraz więcej kwiatów.

— Lecz przeszkadzają pani ciernie, głogi i osty; wichry panują tu silnie.

— Tak, ale ja się nie boję. Krew, która z dłoni mej skaleczonej wypłynie, nie zginie marnie; łzy, które z ocz potoczą się po licu, zmyją niejedną przewinę z przeszłości, a wichry nie złamią mej duszy.

— Dobra, szlachetna pracownico — zawołał

Mieczysław z uniesieniem — niech cię Bóg błogosławi, niech ci da za to szczęścia wiele.

.....
Było to w południe, po nabożeństwie. Po południu, jak zwykle na Wszystkich Świętych, wychodzi procesja z kościoła na cmentarz, gdyż rozpoczynają się nabożeństwa Dnia Zadusznego. Dziwne, szczególne zrządzenie. Pierwszy raz wyszłam z Mieczysławem w Dąbrowy na cmentarz, na cichy cmentarz, cudnie gajem białych brzoź otoczony.

Ludu gromada z palącymi świecami, żałobne chorągwie, smętne pieśni powtarzające ciągle:

Dobry Jezu, a nasz Panie,
Daj im wieczne spoczywanie,

oto, co do nas przemawiało.

Uklękałam przy jakiejś zapadłej, opuszczonej mogile, a łzy ciężkie, jak ból sieroty, toczyły się po licu.

Daleko, daleko mogiła mego ojca. Czyliż kto przy niej dziś uklęknie, czyli kto garść kwiatów na nią rzuci?...

Coraz cichsze śpiewy ludu, coraz rzewniejsze me myśli, coraz smutniejsza modlitwa o wieczny spoczynek dla tych, którzy spoczęli pod mogiłą i nigdy już dla ziemi nie powstaną.

.....
Wieczorem gawęda szła bez przerwy. Czy nie było też o czym mówić?...

On mi przyniósł wieści ze świata szerokiego, z życia, pełnego wrażeń, planów, zapału i czynów, Ja mu znów opowiadam o tem czarnem widmie ciemnoty i dzikości, które w Dąbrowy wszechwładnie jeszcze rządzi. Wspomniałam też i o tem, jaka tu jest dziwna, nieprzełamana, rzecz można niechęć ludu do „panów“, — dworu do chat.

Na to Mieczysław mi odpowiada:

— Serdecznie proszę panią, niech pani na każdym kroku, w każdej chwili stara się tę niechęć i nieufność tępić. Są nieszlachetni ludzie, którzy upatrują w tem dobro ludu, gdy jątrzą i drażnią tę i tak już bolesną jego ranę. Nie tędy droga do uświadomienia ludu. Przeciwnie, — starajmy się dojść do tego, aby lud zwyciężył miłością, aby swoją szlachetną miłością Ojczyzny dowiódł wrogom naszym, iż jesteśmy nie pokonani i nie rozdwojeni, lecz zjednoczeni. Siejba waśni i niezgody jest siejbą, zabijającą naszą przyszłość. Nad wadami oświeconych i herbowych trzeba tak pracować, jak nad wadami nie umiejących czytać...

— To samo mówił pan Czesław — przerwała Halka.

— Któż więc jest ów Czesław? — pyta Mieczysław ze zdziwieniem, a w tej chwili odpowiada mu głos męski:

— Jestem tych zapatrywań, co pan, więc witam pana serdecznie, bo mimowoli podsłuchałem, coś pan mówił.

Mieczysław obrócił się; we drzwiach stał Czesław. Powitali się nie jako ludzie obcy, lecz jako dobrzy znajomi. Teraz rozmowa poszła jeszcze w szybszym tempie.

Około dziewiątej wieczór ja z Halką w drugim pokoju naradzałam się, co my pocniemy obie?... Dowie się ktoś we wsi, że u nas są goście, i to mężczyźni, i powie, że my „kawalerów“ przyjmujemy. Gdy się o tem dowiedzą we dworze, lub na plebanii, jakżeż nas mogą oczernić.

Ten zacny nasz przyjaciel przyjechał ze Lwowa, nie wiedząc o tem, że mama wyjechała. Gdzież teraz noc spędzi? Czy będzie aż do S. jechać, taki kawał drogi? Czyż pójdzie gdzie do chaty pukać i prosić o nocleg?

Doprawdy nie umiałam znaleźć rady. Trudno przecież zamknąć drzwi domu i powiedzieć: nikomu wejść nie wolno, bo tutaj uboga dziewczyna sama mieszka. Gdy za chwilę wróciłam do pokoju, zastałam Mieczysława w serdecznym uścisku z Czesławem.

— Panno Zofio! — rzekł Mieczysław, — oto znalazłem człowieka z naszego świata; rozumie pani: on nasz, sercem, myślą, duszą!...

Wyciągnęłam ku niemu rękę, mówiąc:

— To słowo „nasz“, w ustach p. Mieczysława wiele znaczy. Więc witam pana serdecznie.

— Mnie niech będzie wolno wyrazić moją cześć i uznanie, — odparł Czesław. — W walce

tej, którą pani podjęła, trzeba sił niezłamanych, trzeba zaparcia się zupełnego. Obyż tego nie brakło pani...

Zacny Czesław zaprosił Mieczysława do siebie w gościnę na tych parę dni, które w Dąbrowy spędzi.

Drugi, trzeci i czwarty dzień przeszedł nam jak sen, jak marzenie. Mieczysław z Czesławem przychodził na pogadankę, która snuła się jak tężowe pasmo świetlanych myśli i marzeń.

Jednego dnia, wieczorem, wybraliśmy się na przechadzkę do lasu. Żłoty deszcz liści sypał się na nasze głowy, czerwone korale kaliny, rumieniły się na gałęziach, a blaski zachodzącego słońca dziwnie malowały gąszczą leśne.

Halka z Anusią szła przodem, zbierając mech do okien, ja z Mieczysławem szłam za nimi, a Czesław oddalony o parę kroków na prawo, nucił aryę z jakiejś opery.

— Nie tak dawno odjechała pani od nas, — mówił Mieczysław — a przecież, jak wielką zmianę widzę w usposobieniu pani. Spoważniała pani bardzo.

— Czyż to dziwne? W ciągu trzech miesięcy przeżyłam lat parę. Za wiele silnych wrażeń i doświadczeń rozmaitych na mnie ze wszech stron uderzało, abym mogła pozostać taką, jaką byłam. Zresztą, widzi pan, dziś już moje stanowisko wymaga wielkiej powagi.

— Ho! ho!... co za rektorska godność, może pani będzie potrzebowała już toga profesora uniwersytetu, aby większym majestatem swoją osobę otoczyć? — zaśmiał się Mieczysław, a Czesław wmieszał się, mówiąc:

— Zapewne, że osoba, która naraz dostaje 117 dzieci, musi być już bardzo poważną i zamyśloną, choć oczy jej zdradzają dziecinne nieraz pragnienie weselości i swobody.

— Proszę się ze mnie nie śmiać, lecz proszę przyznać szczerze, że już mi teraz nie wolno być ani tak wesołą, ani tak swobodną, jak byłam w domu, u mamy. Jestem tutaj teraz samą. A to wiele znaczy. Każdy mój krok, czyn i słowo będą teraz brane pod surowy sąd i ostrą krytykę. Gdyby ludzie byli dobrzy i zacni, nie szukaliby złego, lecz że są sami źli, dobrego nie chcą widzieć, a skrzętnie szukają nawet cienia podejrzenia.

— Ależ, panno Zofio, — zawołał Mieczysław, — gdyby pani chciała uważać na nierozumne sądy ludzkie, to musiałaby się chyba pani zamknąć za furtaa, jak w klasztorze i nas, jak tu obaj jesteśmy, wypędziłabyś pani bez litości i współczucia...

— Nie, nie uczyniłabym tego — odrzekłam, schylając się po błądy kwiat, który jeszcze przypadkowo o tej porze się znalazł.

— Zresztą, — dodałam po chwili, — panowie

i tak wyjedziecie stąd obaj, więc nie będzie obawy o to, abym się zamykała.

Czesław zatrzymał się i rzekł:

— Odjadę do swego pustego dworu, lecz myślą wracać tutaj będę często.

— Kochany druhu, — zawołał znów Mieczysław żywo, — tylko nie za często tu wracaj myślą, bo i ja chcę znaleźć dla swoich odwiedzin wolną porę.

— Pan Czesław będzie gościć we dworze, nie w chacie strzechą pokrytej, więc dla pana, panie Mieczysławie zostanie dużo chwil wolnych.

Wczoraj Mieczysław odjechał. Żegnając się, pocałował mnie po raz pierwszy w rękę i szepnął ledwie dosłyszalnym głosem:

— Myśl i serce moje zostaje w tej chatce. Wróć, da Bóg, rychło...

— Do widzenia!... — rzekłam wzruszona nad wyraz.

Czesław go odwiózł na kolej.

9 listopada.

Nie wiem, czy we dworze wiedzą o odwiedzinach Czesława w szkole, ale, zdaje mi się, że wzrok pani Łomskiej, przeszywający mnie w kościele, dużo o tem mówi.

Prawdziwie jestem w bardzo przykrem położeniu. Nawet gdyby i mama była z nami, taka ary-

stokratka, jak pani Łomska, oburzoną by była na wieść, iż jej brat bywa u nauczycielki... O ileż bardziej musi ją to irytować gdy wie, iż nauczycielka jest samą.

10 listopada.

Coraz gorzej, coraz smutniej. Brat ciężko chory.

Czarne listopadowe niebo tak odarło nas ze słońca i ciepła, iż zdaje się chwilami, że myśl zamiera we mnie i serce.

11 listopada.

Praco, praco! czem ty dla mnie jesteś!? Już nie umiem znaleźć nazwy na to, czem mię obdarzasz. Wiem tylko i czuję, iż bez ciebie byłabym zwiedłym kwiatem, któremu korzeń podcięto, słońce zabrano, który zimnym wiatrem zmrożono.

14 listopada.

Dziś Czesław odjechał, żegnając się życzliwie i mówiąc: „do widzenia!“ Na Boże Narodzenie przyjedzie do siostry. Spotkał się wczoraj z Pychnickim, który był u nas na chwilę.

Od mamy listu niema.

Mieczysław przysłał nam paczkę dawniejszych dzienników. Wielką tem sprawił mi uciechę.

20 listopada.

Wątle zdrowie Marceliego wymaga, aby mama dłużej u niego została, więc nie prędko będzie mogła do nas wrócić. Jakże nas to smuci!

U mnie, w szkole, oddział starszych dzieci robi znaczne postępy: co dzień prawie nową literę poznają, wkrótce, zdaje się, będą już znały abecadło.

Z dziećmi młodszymi nauka idzie bardzo powoli, raz dlatego, że pobierają tylko 2 godziny dziennie nauki, powtórę, że są bardzo nierozwinięte. Opierając się na doświadczeniu, mogę twierdzić stanowczo, że dla dzieci wiejskich rok szósty jest zawczesnym do nauki. Zmarnowana praca nad nimi. One wprost nie umią jeszcze mówić.

21 listopada.

Dziś pierwszy raz był ksiądz proboszcz na religii w szkole. Gdy wszedł, powitały go dzieci uprzejmie, powstając i mówiąc:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Cóż to za powietrze okropne, coś za zaduch... Trzeba okna pootwierać, — zawołał na to ksiądz.

— Ależ księżo proboszczu — mówię — trudno okna otwierać, bo jest zimno, ja dotychczas nie mam opału dla klasy, termometr wskazuje ledwo 9 stopni.

— Cóż to znaczy? Myśli pani, że takie chłostwo zaziębi się? Oni zwykle chodzą boso po śniegu.

— Jednak przepisy szkolne wymagają temperatury odpowiedniej. Zresztą ja nie mogę pracować piersiami przy otwartych oknach, powietrze jesienne, okropne.

— Trzeba się przyzwyczaić, moja pani, trzeba do niejednego. Kiedy się pani wybrała na wieś, należy znieść niejedno... Cóż? chodzą do szkoły, chodzą?

— Oto jest katalog, proszę przegłądać, dzieci uczęszczają regularnie.

— A pacierz umia?

— Wstańcie dzieci, zmówcie pacierz.

Wstała moja biedna, zalekniona gromadka i poczyną pacierz odmawiać. Zaśpiewała też „Serdeczna Matko“.

Ksiądz wpadł w trochę lepszy humor.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy, jak będzie z religią, zobaczymy.

— Ale proszę księdza dobrodzieja, kiedyż będę mieć drzewo do opalania. Ja przecież mojem izby szkolnej ogrzewać nie mogę.

— To się robi, to się robi, zwołam posiedzenie, ale czasu nie mam, teraz młocka, z robotnikami człowiek ciągle się ujada, złodzieje, draby..

Wysłałam, upominając dzieci, aby były grzeczne. Ksiądz rozpoczął pierwszą lekcję religii.

Gdy po godzinie wyszedł, zastałam u siebie większą część dzieci splakanych. Kilkoro klęczało pod tablicą, inne stały pod ścianą. Była to pierwsza kara w mojej szkole, dotychczas bowiem jeszcze u mnie żadne dziecko nie klęczało, ani bite nie było.

22 listopada.

Przeglądając dziś moje dawne notatki, znalazłam „Jaselka“ ks. Soleckiego. Przyszło mi wtedy na myśl, co by to było, gdybym ja tu w mojej szkole podobne jaselka urządziła?... Nie mam ani jednego dziecka, któreby umiało czytać, nie mam nikogo, ktoby mi zechciał dopomóc, a przecież — cóżby to była za wielka rzecz urządzić w szkole jaselka, zaprosić lud i żywo mu tę wielką chwilę Narodzenia Pańskiego przypomnieć?... Trud to wielki, może nawet nad siły, lecz czyż się go bać?...

Rozjaśniło mi się w duszy na tę myśl. Układam cały plan i zacznę pracować.

23 listopada.

Mówiłam dziś Wierzejskiemu, gdy wstąpił do nas, jadąc z miasta, o moich kłopotach. Opału mi nie dali dla szkoły, dotychczas stróża nie dostałam, studni blisko nie ma, a dzieci szkolne dużo wody piją, więc nasza Anusia nie może im na-
starczyć wody...

On na to wszystko radził odnieść się do inspektora. A boję się użyć tego środka, bo takie odniesienie się do Rady szkolnej okręgowej jest skargą na Radę szkolną miejscową, więc i ksiądz i tutejsi gospodarze będą się gniewać, że na nich skargę wnoszę.

Radziłam się też co do jaselek. On przyklasnął tej myśli szczerze, lecz sądził, że muszę mieć na to zezwolenie Rady szkolnej okręgowej. Pytałam go, czyli w tej okolicy po szkołkach jaselek nie urządzają, lecz odpowiedział, że nie słyszał dotychczas o czemś podobnem.

25 listopada.

U Kiwackiego tej nocy była muzyka i tańce. Opowiada mi Anusia rano, że to „zalatoty“. Gdy nie rozumiałam dobrze, co to oznacza, opowiada mi wtedy:

— Widzi panienka, u nas jest tak. Jeśli w tej, albo tamtej chacie jest dziewczyna na wydaniu, to parobek posyła do niej zaloty. Prosi on trzech albo czterech gospodarzy starszych, aby szli z wódką i z muzyką do tej chaty i powiedzieli, kto ich przysyła. Parobek od siebie posyła znów „pierogi“, piwo, kołacze. Zaloty idą zawsze późno wieczór, i to w sobotę. Parobek na swoje zaloty zaprasza i dziewczęta i parobków; wszyscy się schodzą, całą noc trwają tany, śpiewy, pijatyka.

— Więc to są zaręczyny? — pytam...

— Ale to zaloty dopiero. Dzisiaj w południe, przyjdą ci sami gospodarze, co wczoraj szli z wódką, i będą pytać Kiwackiego, czyli Kasia pójdzie za Marcina, lub nie. Jeżeli dziewczyna powie, że dobrze, to na drugą sobotę będą zaręczyny. Jeżeli dziewczyna odmówi, to Kiwacki musi wrócić „konszt”. A na „konszt” porachuje sobie parobek nieraz i ze trzydzieści reńskich. To też, wie panienka, nieraz dziewczyna gorzko się napłacze na takie zaloty, bo jej ojcowie dokuczają, że przez nią wiele wydali. A nieraz, wie pani, dlatego tylko dziewczyna musi wyjść za tego, co zaloty posłał, choć kocha innego, bo nie ma za co „konsztu” wrócić. Zdarzy się czasem we wsi taki *dościpny*, co umyślnie posyła zaloty do tych dziewcząt, które go nie lubią, ażeby mu „konszta” wracały. Jak posła co soboty do innej, a każdej „konszt” porachuje 30 zlr., to z 50 zlr., schowa do kieszeni.

— A cóż Kasia Kiwackiego? Będzie wracała „konszt?”

— O, nie! Oni się bardzo kochają, ona na niego czekała *bez* trzy roki, jak był w wojsku.

Ciekawy ten obyczaj zalotów ubawił mię nieco. Gdyby go tak przeniesiono do miasta, cóżby się działo?... Dobrze, że on ukryty w zakątku wioski.

26 listopada.

Czasem biorąc pióro do ręki, myślę sobie, po co ja to wszystko właściwie piszę? Nie szkoda czasu? Nie lepiej żyć przez tę chwilę?

Wszystko przecież, co jest pracą, powinno mieć cel jakiś, a ty mój papierowy przyjacielu, ty, pamiętniku mój, jakież masz cel?... Płaczą się tutaj moje myśli bez ładu i porządku, spisuję tutaj moje wrażenia i plany, ot tak..., jak się uda... Zmarnowana praca!

A przecież gdybym chciała przerwać te notatki, byłoby mi żal bardzo. Kiedyś, kiedyś, gdy już mi zaczęła włosy siwieć nad czołem, gdy zmarszczki twarzy sfałdują, a marzenia tak opadną z młodej duszy, jak oto te liście z drzew, przymrozkiem zwarzone, przeglądać będę dzisiejsze zapiski moje i przeszłość, jak żywa stanie mi przed oczyma.

Snuj się więc dalej szara nici marzeń ubogiej pracownicy; przedź się tkanino dumań i nadziei; rysuj się obrazie życia nauczycielki ludowej.

27 listopada.

Praca urzędnika jasełek rozpoczęta. Wybrałam już sobie gromadkę dzieci, będą przychodziły po południu w osobnych godzinach i zaczęły się próby. Sama myśl o tem cieszy mię bardzo. Halka mi będzie wiele pomagać.

Mrozy już są silne, szkoła opału jeszcze nie ma. U nas w mieszkanku pali się dwa razy dziennie, jednak zimno jest zawsze. Te piece są tak nieczule na płomienie drzewa, iż ledwie do letniej temperatury dadzą się doprowadzić, więc jakże mogą ogrzać pokoiki i nas?...

W izbie szkolnej chwilami powietrze wprost jest zabijające. Otwieram okna, wietrzę, dzieci wyprowadzam na pauzę, wszystko to nie pomaga. Izba niska, ciasna, liczba dzieci wielka, a wentylacji żadnej. Chwilami słabnę i czuję się dziwnie senną.

3 grudnia.

Oto żalobą jestem okryta, łzy płyną po licu ręką drga, nie mogąc pióra utrzymać.

Mama wróciła przed kilku dniami; wróciła chora i złamana boleścią straszną. Już jej tylko jeden syn pozostał.

.....
Tak, świeża, nowa mogiła stanęła na szlaku naszego życia. Ot!... życie nieraz przynosi z sobą chwile bólów nad siły... Przecież i to znieść trzeba.
.....

9 grudnia.

Mama chora. O lekarza, do miasta, jakże trudno, jak daleko. Gdy pošlemy stąd gospodarza

rano, ledwie koło wieczora doktora przywiezie, gdy zaś z nim wróci do miasta, to koło północy lekarstwo z apteki dostaniemy.

Po nocy spędzonej przy łóżku chorej matki, nadchodzi zimny, ponury ranek. Kilkadziesiąt dzieci czeka w szkole. Idę, pracuję i wracam znów do zimnej izdebki, do chorej matki. Nie chcę się żalić, ale czasem, gdy czekam 9 godzin na przybycie lekarza, pytam się w duchu tych ludzi, zamieszkałych we dworze, u których lekarz zjawia się na zawołanie, czemu oni *sereca* nie mają, czemu nie chcą tyle bogdaj życzliwości okazać, by można w takiej chwili bólu zapukać do nich z prośbą o pomoc.

11 grudnia.

Dzięki Bogu, mamie już lepiej, niebezpieczeństwo minęło. Zalecił jednak lekarz jak największe wygody: ciepło, dobre odżywianie się... A tu zimno mrozi nas, jakbyśmy w czystym żyły polu. Pali się w piecu od rana do nocy, jednak piec zimny.

Już drugi sąg drzewa kupiłam we dworze, za mięso rzeźnikowi winnam, pensya wzięta 2 grudnia wyczerpana, a przed nami miesiąc prawie cały...

Do pracy mojej trzeba sił; ja czuję przecież, że już słabnąć zaczynam; brak czasem i najpotrzebniejszych rzeczy.

Halka jak cień blada i milcząca siedzi przy łó-

zku mamy; trudno usłyszeć od niej słowo jedno. A tu lekarz polecił, aby ile możliwości mamę rozrywać opowiadaniem, rozmową, zajęciem, aby myśl swą zwróciła do życia po bolesnej stracie syna.

Ja nie chcę, nie mogę nawet w to wierzyć by tak było, jak jest. Wszystko to zdaje mi się snem strasznym. A przecież? Przecież wyroki boskie są nieublagane i niezmiennione! Trzeba się przed nimi ukorzyć i nieść krzyż w spokoju.

12 grudnia.

Wreszcie Rada szkolna miejscowa uchwaliła preliminarz szkolny. Na drzewo przeznaczyła 20 złr. Jest to tak mało, iż do połowy zimy nie wystarczy. Cóż jednak robić?

— Będzie dość! — mówił ksiądz.

— Będzie dość! — mówili chłopci.

— Chłopskie dzieci do zimna przyzwyczajone, — dodał jeden radny — nie przemarzną.

Nikt nie pomyślał o tem, iż w tej izbie szkolnej pracuje dziewczyna, która z zimna dzwoni zębami, a w zsiniałych palcach nie może utrzymać kredy, gdy ma pisać na tablicy.

Smutek, troska, zimno... niedostatek. Trzeba koniecznie starać się o powiększenie moich dochodów. To, co mam, nie może wystarczyć, ale gdzież ja tu znajdę zarobek?

Lekcyi przecież nigdzie nie dostanę.

Możeby mi się udało zarobić coś szyciem, ale

któż tu mi da robotę?... Te wiejskie, z grubego płótna ubrania, szyją sobie wioskowe „szewkinie“, ja nawet nie potrafiłabym uszyć tego, a innej bielejny tu nie noszą.

Mogłabym zgłosić się do dworu, możeby tam mieli co do szycia. Ale iść do tych ludzi i prosić o pomoc... Ah! to nad siły, to nad możność!... W głowie mi się mąci, myśleć przestaję z bólu. Gdybyż to przebyć tę ciężką zimę, — z wiosną będzie może lepiej.

14 grudnia.

Nadzwyczajną pamięć mają dzieci. Całe jasełka umia na pamięć i wcale dobrze już odgrywają swoje role. Śpiewy kolend idą dobrze. Wystarczy, aby im zanucić 2 lub 3 razy jedną zwrotkę, a już ją pojęli. Dowiedziałam się przy tem, że mam w szkole dwóch braci „muzyków“. Jeden gra na skrzypkach drugi na basie. Kazałam im skrzypki przynieść do szkoły; każdą melodyę wygrają dobrze. Teraz śpiewy pastuszków idą znakomicie przy skrzypkach, a dziatwa w ogień, w wodę skoczyłaby pewnie, gdybym powiedziała, iż tam ma jeszcze co zdobyć dla jasełek.

Franek Borsuk, to komik znakomity. On gra starego Bartosza, pasterza uczonego, a gra tak, jakby co najmniej od lat kilku przypatrywał się grze artystów.

Nieraz zmienić musiałam układ jasełek, bo

musiałam zastosować się i do mojej ciasnej sceny i do kostyumów nader ubożuchnych i do tego, że w moich jasełkach muszą wystąpić dziewczęta, jako pasterki.

Mamie lepiej — fizycznie, ale moralnie srogo cierpi. Widzę dobrze, iż wobec nas stara się ukryć swój ból, bo przecież chce nas ukoić, ale wyraz tych ust smutnych, jakże wiele mówi!

Któż mógł spodziewać się podobnego ciosu!... Przeziębienie silne spowodowało zapalenie płuc, a potem nieć życia już została stargana.

15 grudnia.

Śnieg biały, puszysty, otulił całą okolicę. Rozjaśniało jakoś wokoło i ostre mrozy zlagodniały. Do szkółki ledwo zdołano udeptać ścieżkę przez śnieg, a na drodze nawet nie ma śladu, aby kto przejechał.

Czyby kto dał wiarę, że ja przecież, do dziś jeszcze mam dzieci bose w szkole? Są dzieci ośmio- i dziewięcioletnie, które przychodzą w butach ojca lub matki do szkoły. Buty to wielkości niezmiernej; to też takie dziecko nieraz pada, przewraca się. Są dzieci, które pierwszy raz w życiu wdziały obuwie, chociaż przeżyły lat 10. Pocóż im było butów? „Na piecu“ przesiedziały zimę, a na wiosnę już butów nie trzeba. Zdarza się, iż w nie-

jednej chacie jedna para butów wszystkich przyodziewa.

— Dlaczego Michała wczoraj w szkole nie było? — pytam chłopca; a na to otrzymuję odpowiedź:

— Ojciec poszli do sądu do miasta; nie miałem butów do szkoły.

Zdarza się też, że przychodzą dzieci do szkoły nie tylko w butach ojca lub matki, lecz mają z matki „kachtan“ podwiązany 2 razy, aby pod nogi się nie plątał, a z ojca czapkę tak wielką, iż poniżej nosa zachodzi. Gotówby kto pomyśleć, że to wszystko jest tylko niedołęstwem, skąpstwem lub udawaniem ubóstwa?... Niestety, ciężka dłoń niedostatku przygniata nasz lud bezlitośnie. Kilku, może kilkunastu jest tutaj gospodarzy zamożnych; 30 najwyżej średnio dostatnich, ale większa część prawdziwi nędzarze.

Zaledwie zrana przyjdą dzieci do szkoły, już wyciągają zimne, pieczone ziemniaki i zaczynają jeść. Gniewam się więc i powiadam:

— Dopiero po śniadaniu przyszlście i już jeść zaczynacie.

Na to jeden z chłopców powstaje i mówi:

— Proszę pani nauczycielki, u nas nikt we wsi nie „śniada“. U nas tylko raz na dzień się pali, — kiedy matka na obiad rozpali, a śniadania nikt nie je. Na obiad zawsze jedno i to samo: barszcz, ziemniaki — albo kapusta i ziemniaki.

Fasola się zalicza do delikatesów, a już kasza,

jeśli trochę do tego z mlekiem, to specyał nad specyały.

Chleb tutejszy lepki, czarny — biedny — taki, jak nasza dola.

17 grudnia.

Nie było innej rady, musiałam zapakować moich parę klejnocików, broszkę, bransoletkę, dwa pierścionki i t. p. i posłałam do Stacha z prośbą, aby te przedmioty zastawił. Ponieważ nie chciałam go martwić przypuszczeniami, iż nam istotnie dokucza niedostatek, napisałam więc, że pieniądze te chcę pożyczyć tutaj pewnej wdowie. Zrobiłam to tak, aby mama i Halka nic o tem nie wiedziały.

Może przecie na święta będę mogła jaki taki zapas zrobić, może bogdaj wina dla mamy kupię. Tak mi czasem ciemno robi się w duszy, tak smutno, iż tylko siła wiary i ufności w Opatrzność Boską mnie trzyma.

Tam, w szkole, wśród dziatwy, inne życie, inny świat... Tam widzę serce ludu, pełne wielkich skarbów, talentów i pragnień. Tam widzę kilkadziesiąt dusz młodych, które lgną do mego słowa, które garną się ku mnie, które czekają codzien na nowe obdarowanie ich, na nowe wzbogacenie ich ziarnkiem wiedzy, przykładem żywym, zachętą do cnoty...

A za tem wlecze się, jak łańcuch, długie pasmo trosk, cierpień i bólów.

Wokoło obco, zimno... Ani przed kim pożalić się, ani komu odkryć ranę, w głębi duszy piekącą.

Ach! bracie mój ukochany, czemuż odszedłeś tak prędko, czemuż osierociłeś i nas i matkę tę biedną!...

20 grudnia.

Dziś spotkała mnie nowa boleść. Oto z gminy szedł asesor z policyantem wiejskim wybierać pieniądze „na szkołę“. To się u nich nazywa „na szkołę“, a właściwie jest to na opał szkoły, na opłatę stróża (który rocznie ma pobierać 10 złr.), na książki dla najbiedniejszych dzieci, na asekurację budynku szkolnego i ogrodzenie ogrodu przy szkole. Cała suma preliminarza, na ten rok ułożonego, wynosi niewiele, bo 45 złr. Z tego dwór da, o ile się nie mylę, ósmą część, reszta zaś rozłożona będzie przeszło na dwieście chat; nie uczyni więc wiele. Jednak i to wydało się włościanom ciężarem wielkim. Poczęto się opierać, krzyczeć, że szkoła tyle kosztuje. Nie dość — mówiono, — że dzieci nam zabiera, ale jeszcze i płacić każe, a przed samemi świętami chce ludzi z ostatniego centa obedrzeć. We wsi był żal i gniew, a do mnie zaczęły się zbiegać kobiety z płaczem i zawodem.

— Niech się pani nauczycielka zlituje, niech odpisze, żeby nie brali.

— Niech pani nauczycielka nie wybiera, bo my i tak biedny naród, a jeszcze teraz przy tej szkole chyba na żebry pójdziemy.

Tłumaczę im:

— Moi kochani, nie miejcie do mnie urazy, to nie dla mnie; mnie z tego nic nie przyjdzie, czy wieś złoży opłatę, lub nie.

Musiano w wielu chatach fantować i nad wieczorem przynoszą do mnie przedziwo, kożuchy, poduszki, chustki, a nawet od jednego tutejszego grajka zabrane skrzypce!...

— Co robicie! — wołam do wójta, — wszak ja tego nie chcę, wszak ja bym tego nie trzymała u siebie. Ludziska będą do mnie z płaczem biegli. Weźcie to do siebie...

O! nie mało dziś ta biedna szkółka usłyszała gniewu, przekleństw i grózb na siebie! A wszystko łączy się ściśle z moją osobą i wszystkiemu ja winnam.

Wieczorem już późno wszedł jakiś chłop pijany i zaczął najokropniejszymi przezwiskami obrzucać cały stan nauczycielski i całą oświatę.

— Nie gniewajcie się bez potrzeby — mówię mu grzecznie — ja wam nic złego nie zrobiłam... Nie róbcie tutaj hałasu, mój gospodarzu, mam matkę chorą; jej to szkodzi.

Ale cóż dla niego moja prośba znaczy?...

— Dobrze tu pani siedzieć w trzech pokojach, dobrze tu cudzemi dziećmi się wysługiwać,

a z biednych ludzi ostatni dech wyciągać! Nam szkoły nie trzeba, bo my nie mamy co jeść! — krzyczy ochryplym, dzikim głosem, a ja nie umiem się od jego napaści uwolnić.

Szczęściem nadszedł Kiwacki z prośbą o pożyczenie atramentu i wyprowadził napastnika.

Ukryłam się potem w najciemniejszym kątku mego pokoiku i płakałam długo... długo.

24 grudnia.

Dziś dzień wigilii. Mama zboliała i milcząca modli się, ja z Halką krzątamy się koło wieczery ubogiej a smutnej.

Trochę barszczu, wedle tradycji, jedna mała rybka usmażona, pierogi z powidłami i ...*kutia*. Zrana jeszcze upiekłam bułeczek parę i piernik dość duży. Miód dostałam w podarku od dobrego Wierzejskiego.

Nakryłyśmy stół obrusem, siano kładąc pod spód, na środku opłatki. Uklękłyśmy do modlitwy, ale żadna z nas nie mogła głośno przemówić ani słowa. Ciche łzy toczyły się po licach.

Wreszcie mama wstała, wzięła opłatek w ręce i poczęła nas błogosławić.

Wtem ktoś silnie zapukał. Drgnęłam niespokojna, myśląc, iż może znów jakiś pijany człowiek nas nachodzi. Silniejsze pukanie powtórzyło się. Anusia otwiera: wchodzi do nas... Stach!...

Stach pocziwy, dobry, najlepszy, spieszył, co

mógł, aby przybyć do nas na wigilię! Witamy go z radością, lecz lzy bólu płyną obficie. Zabrakło nam już jednego serca...

Siadamy do wieczerzy. We wsi cicho, uroczyscie. Po chatach światła płoną, ton kołеды radoonej dolata zdaleka.

Z Narodzenia Pana dziś dzień wesoly! — zczynają już i pod naszym oknem nucić kołednicy, a my słuchamy śpiewu bez uśmiechu na ustach, bez radości w sercu.

28 grudnia.

Święta przeszły cicho i spokojnie. Drugiego dnia świąt był pan Czesław. Mamie i Stachowi on się bardzo podobał. Zrobił też wspaniały podarek dla mojej dziatwy: przysłał duże, piękne drzewko, a na niem pełno podarków. Czapki, chusteczki, buty, książki, tabliczki, skrzypczki, bębenek, trąbka, słowem wszystko to, co może zrobić wielką uciechę dla dzieci.

Postanowiłam na jutro zaprosić dziatwę na drzewko i wtedy rozdać podarki.

Pan Pychnicki był u nas w święta także. Bardzo się on Halką naszą zajął, ale wiem ja, że to na darmo. Halka ma inne wymagania. Jej podoba się Czesław. O! widzę to dobrze, bo też to prawdziwie zacy charakter.

Gdy się go słyszy mówiącego, zdaje się, że to

jakiś wymarzony obraz bohatera z powieści, tak niepodobny jest do ludzi swojego otoczenia.

Od Mieczysława dostały także moje dzieci gwiazdkę. Przysłał im 12 ładnych, czerwonych konfederatek. List jego, jak zawsze, pełen otuchy, zachęty i pocieszenia.

Ah! Jak on mnie rozumie — jak odgaduje moje myśli, moje uczucia! Gdybyż on był bliżej, gdybym w czarnych chwilach bólu miała jego słowo pociechy! Ale trudno...

Zresztą, kto wie, może to i lepiej, że on daleko, że się powoli odzwyczaję od niego. Moja dola wije się już smutnym szlakiem, jego potoczy się szczęsną ścieżką. On, mężczyzna, zdobędzie, co zechce, on rozwinie skrzydła i wzleci, dokąd go ideały uniosą; a ja?... Cóż mogę zrobić?...

Nad szczęściem drugich mogę pracować — o szczęściu własnem nie mogę myśleć.

Lecz po co o tem pisać?

29 grudnia.

Dziś w szkółce była radość nie do opisania. Dzieci dostały podarki, a ucieszone nie umiały ukryć swego podziwu. Jakże ładnie chłopcom w konfederatkach czerwonych!

Śpiewają, skaczą, klaszczą w dłonie, cieszą się, wykrzykując w głos...

I ja uradowana ich weselem trochę przecie uczulałam się pogodniejszą. I mama biedna przyszła po-

patrzeć na radość dzieci. Stach z Halką uśmiechają się, obserwując miny dzieci, ustrojonych w nowe czapki lub chustki. Wieczorem, w kółku naszym rozmowa już była nieco żywsza.

Wdzięczna byłam bardzo panu Czesławowi za jego odwiedzin. Rozweselił i mamę i nas, a umie on tak rozmowę naginać, iżby nie tknąć nigdy struny wspomnień.

Zapewnie, wspomnienia są wielkim skarbem dla ludzi szczęśliwych, ale dla serc świeżą stratą dotkniętych, są bolącą raną.

30 grudnia.

Ludu mój, ludu, wołam z najwyższym bólem i żalem, ludu mój biedny, dlaczego mnie tak srogo ranisz?... Cóżem ci zrobiła złego, czem zasłużyłam na to, czego od ciebie doświadczam?...

Więc miałooby to wszystko być prawdą, co mówił jeszcze na wstępie ksiądz, co mówili inni, na co ja się tak srogo oburzałam?... Więc ten lud za najlepsze serce odpłaca niewdzięcznością? Więc on nie wierzy wcale w naszą ku niemu życzliwość?..

Oh! jak bolesną chwilę przeżyłam dziś, jak bezlitośnie szarpnięte me serce.

Znaleźli się we wsi gospodarze, którzy przyszli dziś do mnie do klasy, rzucili ze złością darowane wczoraj ich dzieciom podarki, mówiąc:

— Gmina od pana ze dworu nie potrzebuje adnych „darunków“. Pan się z nami od dawna

o staw procesuje, a teraz przez szkołę chce nas przekupić. Pani nauczycielka niech z dworem nie trzyma, tylko z gminą, bo dwór nauczycielce chleba nie daje, tylko gmina. Za parę głupich czapek i chustek, myślicie, że już gmina będzie dobra! Nie potrzebujemy „waszego“ — niech sobie to pan zabierze!...

Rozplakałam się w głos i nie rzekłam ani słowa. Oni krzyczeli jeszcze długo, rzucili na stół przyniesione podarki i odeszli.

.....

31 grudnia.

Stach jest oburzony do najwyższego stopnia na wczorajszy postępek gminy. Powiada, że wśród takich ludzi rzeczywiście niema co robić, że on ani wyobrażenia nie miał, iż jeszcze tacy źli ludzie wśród naszego ludu mogą się znaleźć. Ja już także zwątpiłam zupełnie. Mama się martwi, lecz powiada, aby sobie z tego wiele nie robić i iść swoją drogą.

Pan Czesław nic o tym wypadku nie wie. Właśnie rozmyślam nad tem, co zrobić: czy mu powiedzieć, czy nie?...

Niby obręcz żelazna ból serce mi ściska.

Co począć? Co począć?...

Iść dalej swoją drogą, pracować i wytrwać. Łątwo to powiedzieć — trudno wykonać.

Wracając z kościoła, po nieszpórach, które na

zakończenie starego roku odprawiono, zbliżył się do mnie Czesław i rzekł:

— Niech mi pani dziś złoży życzenia Nowego Roku. Pragnę z ust pani usłyszeć pierwsze życzenia, więc dlatego o nie dziś się upominam.

— Daj Boże, abys pan w Nowym Roku znalazł tyle szczęścia, ile ja w minionym zaznałam bólu i zawodu.

— Jakże smutne życzenia pani.

— Jak moja dusza.

— A przecież wierzę szczerze, że ból ten chwilowo pochylający panią ku zwątpieniu, ducha pani nie złamie. Ja życzę, aby pani tyle w Nowym Roku znalazła szczęścia, ile mi go pani dotychczas dała.

Stanęłam.

— Ja? panu?... Cóż za szczęście dać mogłam?...

— Dałaś mi pani ową gwiazdę złotą, za którą w baśni dziecię rączęta wyciąga, do której idzie za dziesiątą górę i za siódmą rzekę. Dałaś mi pani wiarę w serce ludu...

O Boże!... Cóż on mówi?... Dziś, dziś, kiedy lada chwila dojść może do niego smutna wieść o odrzuceniu przez gminę jego podarków, on mi za wiarę w serce ludu dziękuje.

To prawdziwie mistrzowska gmatwanina losu. Więc miałabym tę wiarę w nim teraz zachwiać, zburzyć?

Odrzekłam więc:

— Panie Czesławie!... Wielką mi pan sprawia radość tem, com usłyszała. Jestem też tego przekonania, iż gdy pan raz ten lud pokocha szczerze, nie da się pan zrazić czemkolwiek i nie straci swej wiary w jego serce...

On nie wie, iż i me serce od zwątpienia uratował.

Tak, lud kochać, to wielka powinność. Kocham go i idę w nowy rok z miłością do niego, mimo tego, czegom od niego doznała.

Nowy Rok...

Nowy rok, nowa karta życia, nowa struna pieśni! Przyszłość mglista i niepewna odchyła nowy rąbek tajemniczej zasłony. Duch ludzki z ciekawością i trwogą staje na progu nowej daty i pyta: co dalej?

Wszystko lub nic.

Zanim nowo rozpoczęty rok dopłynie do brzegu, zanim na kartach tej księgi napiszę nową datę i zanim do ostatniej karty dojdę, — ktoś wie, ile fal uderzy w mą łódź sierocą, ile bólów mą pierś skaleczy, ile pieśni szczęścia wydzwoni mi cicha struna przyszłości...

Co będzie, niewiadomo, nie wolno jednak, abym przestała wierzyć i ufać.

Komu? Komu mam ufać niezłomnie i w co wierzyć silnie? Pracy i sercu memu ufać — a wie-

rzyć w pomoc Boga. On dobrej sprawie pobłogosławi!...

Więc naprzód z nadzieją i otuchą. Cóż dziwnego, że lud nieufny, że nam nie wierzy, że od nas stroni?... On zaznał niemało, on jeszcze słyszy opowiadania o pańszczyźnie, on cierpi niedostatek, toczy walkę z niedolą, a nie umie doszukać się prawdziwej przyczyny..

Jeśli ja zwątpię, to któż go kochać będzie?...

Jeśli ja odejdę z tej wioski z sercem złamanem, to któż przyjdzie tu z miłością i z sercem siostry?... Wytrwam i nie utonę. — Ty mi Niepokalani Dziewico pobłogosławisz i dodasz sił...

Roku nowy!... witam cię!...

8 stycznia.

Otóż jasełka odbyły się. Wszystko poszło dobrze i ładnie. Jedną część sali szkolnej przedzieliłam firankami: tam była scena. W drugiej części ustawiłam parę ławek dla osób starszych, inni obecni musieli stać z braku miejsca. Dobry Stach wiele mi pomógł. Scenę ustroiliśmy choiłą, szopka była w rogu.

Po wsi jako zaproszenie poszedł motyl, do dworu i na plebanię posłałam zaproszenie osobne.

Z bijącym sercem oczekiwałam oznaczonej godziny. Czy też kto przybędzie. Zaczynają się ze wsi schodzić; najpierw młodzież, dziewczęta i parobczaki, potem kobiety. Z gospodarzy niema ni-

kogo, a właśnie o nich mi najwięcej idzie. Wreszcie zjawia się jeden, dwóch, już ich jest kilku-nastu.

Słychać dzwonki od sanek. Wchodzi pan Łomski z Czesławem, za chwilę zjawia się ksiądz proboszcz ze swoją siostrą.

Rozsuwają się firanki. Pasterze śpią pod gajem, chór aniołów, ubranych w cudne suknie (zrobione z mojej balowej dawnej sukienki), śpiewa z cicha. Zaczyna się znane już wszystkim przedstawienie. Pasterze się budzą, anioł im ogłasza nowinę, zbierają się do Betlejem, biorą podarki. W pochodzie do Betlejem śpiewają pastuszkowie śliczne nasze kolędy; dwóch gra na skrzypkach, dwóch na fujarce, jeden na basie, jeden na drumli. Ci, którzy są ubrani w czerwone konfederatki (dar Miecysława), wyglądają ślicznie.

W scenie drugiej jest szopka, przy niej grupa aniołów, z papierowymi skrzydłami, w welonach. Pasterze oddają podarki, śpiewają... Śliczna była chwila, gdy Mikołajek gra na fujarce rzewnie i cicho a chór mu w przerwach nuci ową tęskną piosenkę:

Jam ci jest dudka Jezusa mojego
I grać mu będę z serca uprzejmego.
Graj dudko, graj,
Bóg ci pomagaj!
Graj dudko, graj!

Trzecia scena przedstawia pasterzy przy ognisku pod gajem. Śpiewają:

A wczora z wieczora
Z niebieskiego dwora...

Opowiadają sobie rozmaite przygody, jakie ich spotkały w drodze do Betlejem. Opowiadanie to ma wiele humorystyki, a widzowie zanoszą się od śmiechu. Lud bardzo lubi humorystkę.

Czwarta scena znów rozgrywa się przed szopką. Pasterze śpiewają Dzieciątku, wtem nadchodzi chłopak, niosąc dużą, różnokolorową gwiazdę. Za nią postępuje dwóch trębaczy, dwóch doboszów, muzyka, wojsko, a za nimi trzech królowie.

Teraz zachwyty ludu nie ma granic. Okrzyki odzywają się większe, podziw i zachwyty objawia się coraz głośniejsze. Bo też orszak trzech królów wspaniał!

Długie, czerwone płaszcze królewskie: to nasze kapy; korony, wyklejane z papierów złotych. Paziowie w długich sukniach, przerobionych z sukienek Hali, a na głowach mają dziwaczne, strzępiaste czapki papierowe.

Słowem, wszystko jest bardzo liche — ubogie i komiczne, ale lud wita te stroje z takim podziwem, jakby istotnie przed sobą miał orszak trzech mędrców ze wschodu.

Królowie klękają, oddają dary, chór śpiewa coraz ciszej — coraz ciszej...

— Lulajże Jezuniu — lulajże lulaj,
A Ty go Matulu z płaczu utulaj...

Przedstawienie skończone.

Ja czuję się zmęczoną nad wyraz, ale sił mi dodaje to, co widzę na twarzy swoich gości. Dziękują mi wszyscy serdecznie, a ksiądz proboszcz powstawszy przemawia uroczyście do ludu:

— Oto widzicie, moi kochani, co znaczy oświata. Oto widzicie, jak się już wasze dzieci dużo nauczyły. Powinniście być wdzięczni pani nauczycielce, a dzieci do szkoły chętnie posyłać.

Serdecznie byłam wdzięczną księdzu, za tych parę słów uznania.

Wójt prosi, aby jeszcze jutro powtórzone zostało; rozchodzą się wszyscy, ksiądz proboszcz z siostrą i p. Łomski z Czesławem przeszli do naszego mieszkania. Ja zostałam, aby porozbierać moich aktorów i zgrzanym dzieciom nie pozwolić wyjść ze szkoły.

Przeszło może ze trzy kwadranse, gdym wreszcie weszła do pokoju. Goście byli przy herbacie.

Jeszcze raz zaczęli mi wszyscy dziękować za trud i podziwiać, iż tyle mogłam zrobić z dziećmi nie umiejącymi jeszcze czytać.

Pan Łomski rzekł też uprzejmie.

— Przyznaję się szczerze, iż byłem niewiernym

Tomaszem bo nigdy nie przypuszczałem, aby pani sobie tutaj rady dała z naszą dżiczą. Lecz panie zawsze mają jakieś czary i umieją nimi przemieniać niedowiarków w wierzących, pessimistów w optymistów, dzikich w cywilizowanych...

Siedzący obok mnie Czesław szepnął mi z cicha:

— Umieją też panie roztląć tam ogień, gdzie już były przepalone zgliszczka i zimne popioły. Wie pani co?... radbym zapisać się u pani do szkółki na takiego ucznia elementarnego, jakim jest ów ładny Mikołajek i bystry Franio, bo wtedy kochałaby mnie pani tak, jak kocha pani teraz dzieci szkolne.

— Nie wiem, czy pan byłbyś tak posłusznym i grzecznym, jak są one; u pana pewnie odkryłabym dużo wad, a one ich nie mają. Są to czyste serca, na których niema skazy, a tylko zewnętrzna powłoka czyni je niemiłymi. Widzi pan, na stojącej spokojnie wodzie narosła zielona powierzchnia. Kto przejdzie, pomyśli, że to kałuża; tymczasem po odsunięciu porostu, gdy słońce na tę wodę rzuci snopy światła, woda lśni się, jak kryształ. To obraz serc ludu.

— A nasze serca?...

— A serca ludzi z świata wielkiego częstokroć są albo przepalone, albo zmrożone, albo puste zupełnie. U nich zewnętrzna forma, blask, etykieta, tak pochłaniają treść życia, jak chłonie gąbka napój zdrowy.

— Czy nie zechce pani przyznać chociaż tego, iż są wyjątki?

— O tem nikt nie wątpi, lecz wyjątki, to szczyty drzew, które wyżej nad ciemne tło lasu strzeliły. My mówimy o lesie. Są w nim skarłale, spruchniałe drzewa, są i dęby wspaniałe

— Jeśli pani jutro jasełka urządzi — wmieszał się do rozmowy p. Łomski — to proszę o parę miejsc dla mojej służby. Niech się i oni rozweselą.

— I owszem, może i ksiądz proboszcz swoich przysze — odpowiedziałam, zwracając się do księdza.

— A to niech idą — zdecydował ksiądz proboszcz i zaczął rozmowę na inny temat.

Przy pożegnaniu rzekł Czesław:

— I moje liche podarki przydały się pani do jasełek! Czyż mogłem się tego spodziewać? Czy dziatwa się cieszyła?...

Zarumieniłam się, nie wiedząc, co odpowiedzieć

— Bardzo wdzięczną jestem za nie; dzieci były uradowane, starsi z gminy jednak trochę niedowierzająco na te podarki patrzyli, sądząc, że je p. Łomski ofiarował, chcąc przejednać gminę w procesie — odrzekłam.

Ażeby zaś zmienić rozmowę, zapytałam zaraz:

— Kiedy pan odjeżdża?

— Za parę dni.

10 stycznia.

Z jasełkami niema końca. Taki zachwyt wywołały wśród ludu, tak są czemś dla niego i pięknem i miłem, iż nie mogę wystarczyć przedstawień.

Z powodu ruskich świąt parę dni nie było nauki, więc mogłam przedstawienia urządzać. Jutro już ma być lekcya, trzeba więc salę szkolną do porządku przyprowadzić, a tu wójt z dwoma radnymi przychodzi i mówi:

— My przyszli prosić, aby pani nauczycielka jeszcze nie rozbraiała jasełek, bo tu z innych „wsiów“ ludzie się zbierają na „kumedyę“.

— Sprawiedliwa rzecz — dodaje Borsuk — iż jak gromada gromadą, to jeszcze takiej uciechy nie miała. Po wszystkich chatach jeno o jasełkach gadają, a dziwują się, jak to pani potrafiła wymyśleć wszystko „do składu“.

Odpowiadam na to, iż mię to nadzwyczaj cieszy, że się tak jasełka podobały, że to nie ja wymyśliłam, ale jeden ksiądz we Lwowie napisał to w książce, aby wedle tego odgrywać, i, że to nie jest „komedia“, ale rzecz religijna, bo w dawniejszych czasach, nawet w kościołach odgrywano jasełka.

— Ale, moi kochani, — powiadam na końcu — cóż zrobimy z jasełkami, kiedy jutro musi być nauka. Trzebaby chyba aż do pana inspektora udać się z prośbą o zezwolenie jeszcze na dzień lub dwa dni.

— To my pójdziemy do miasta i będziemy prosić o to — odpowiada Borsuk i wójt, dziękując mi jeszcze raz za tę śliczną naukę dla dzieci.

11 stycznia.

Inspektor pozwolił. Dziś i jutro jeszcze będą jasełka. Gospodarze cieszą się bardzo, a nawet Fiałka Wawrzyniec przysłał mi dziś szklankę miodu „na kolendę“ za jasełka, Mikołajka zaś matka przyniosła mi jagiel trochę w fartuszk, mówiąc:

— To za to, że mój Mikołajek w jasełkach tak pięknie był wyuczony.

Mam więc sowitą zapłatę za mój trud wielki. Ludowi zrobiłam przyjemność, zainteresowałam go i ku mnie pociągnęłam. Jest to wielka zdobycz.

U ludu tak zaniedbanego pod względem oświaty, jak nasz, przedstawienia teatralne, choćby najbardziej prymitywne, ubogie, działają nadzwyczaj dobrze. Przemawiają one żywo do niego, dają mu wrażenia wyraźne i poruszają w nim śpiące uczucia.

12 stycznia.

Wczoraj był z pożegnaniem Czesław. Nie wiem, czy człowiek ten stanął na drodze mego życia, jako cień ponury, czy jako błysk jasny; czyli on ptakiem przeleciał nad chatką moją ubogą czyli stanął u jej progu, jako duch bratni. Nie wiem, czyli

moje oczy przyodziewają go w piękne szaty z myśli głęboko odczuty, czy też on mi sam jaśniej duchem swoim męskim, silnym?

Nie wiem, ale zdaje mi się, że jakoś dziwnie poplątały się niektóre pasemka moich myśli i dumań.

Dotychczas nie rozważałam nawet dobrze, czym jest życzliwość Czesława dla nas; przyszedł do nas w czasie wielkiej trwogi, podczas pożaru strasznego, kiedy my dwie biedne drżałyśmy z lęku i smutku, a potem zaczął bywać częściej. Poważny, szlachetnie myślący, był gościem miłym.

Młody, słuszny, o pięknych rysach twarzy, ciemny blondyn, człowiek pełen dystynkcji i szyku świata, w którym się urodził i wychował, był w oczach moich zawsze gościem, który przypadkowo zaszedł do mieszkania nauczycielki ludowej, który, w naszym świecie pracy i walki o byt, wyglądał tak, jak zbyt kowny mebel w skromnie urządzonej mieszkanie.

Tymczasem wczoraj... on mi się przedstawił inaczej... To nie ptak przelotny, nie gość obojętny, — to przyjaciel szczery i życzliwy.

A zresztą któż wie?...

Może w wielkim świecie to, co on mi mówił wczoraj, nazywa się zwykłym flirtem, rozmową salonową; może to nie ma znaczenia tak, jak ów kwiat na szybce chaty, dłonią mrozu rysowany...

A było wczoraj tak. Ja, po przedstawieniu jaśleka, wróciłam zmęczona i usiadłam na małej sofce

za franką, obok mego biurka. Czesław rozmawiał z Halką i Stachem. Był też i pan Pychnicki i Wierzejski.

Po chwili Czesław zbliżył się, a przystawiając krzesło, siadł przy mnie.

— Widzę, że pani zmęczona i żal mi, bo zmęczenie, to nie słoneczna strona życia.

— Są przecież ludzie, którzy twierdzą, że życie nasze ma tyle wartości, ile daje trudu i bojuwania. Spróżnowane życie nie jest życiem.

— Zgodzę się i ja na to, lecz sam trud nie daje wartości życia; trzeba z trudem połączyć treść, czasem fizyczne umęczenie, aż do potu stu par ramion ludzkich nie przyniesie tyle korzyści, ile jej da godzina pracy duchowej.

— Tak, ale i pracą, najuboższą w treść ducha, gardzić nie można. Zdaje się, iż parę godzin takiej lekcji, jak 2 razy 2 jest 4, to przecież wielka biedota dla serca i dla ducha, i umęczenie owe, jakie po pracy tej zostaje, jest mniej cenne od tego, jakie przyniesie wykład profesora historii, lub odkrycie badacza przyrody. Gdyby jednak każdy chciał sięgać wyżej, a gardził ubożuchną pracą, świat w ruchu swoim musiałby stanąć.

— Porządek świata powinien układać i ciężar pracy i jej wartość moralną wedle zdolności pracowników. Słabsze ramiona niech się nie biorą do młota i kosy, słabe duchy do siejby zasad.

— Byłoby to bardzo idealnie, gdyby tak było.

Lecz niestety jest inaczej. Siła woli i serca nie raz jeden zastępuje brak siły fizycznej.

— Ale prędzej, czy później, okażą się złe skutki przepracowania. Gdy się pani dalej będzie kierowała sercem, złamie swe młode życie zawczasie. A szkoda... Może dla tego życia jaśniejszy cel wytkniemy...

— Jaśniejszy?.. Piękniejszego niema dziś dla kobiety polskiej. A czy w niem trochę więcej lub mniej szczęścia, trochę więcej lub mniej ciszy i jasności, wszak o to mniejsza. Głos serca własnego milknie, gdy słyszymy głos serca ludu...

— To złudne; każde serce ludzkie ma swoje własne pragnienie szczęścia; każde chwytą się bogdaj pajęczą nicią tego rąbka świetlanego, który mu kędyś w marzeniach się ukazuje; każde szuka go w tej pieśni miłości, która stanowi prawdziwą istotę szczęścia na ziemi...

— Miłość Ojczyzny, a w niej miłość ludu, jest tak wielką, iż własne pragnienie miłości dla siebie zdaje się w niej tonąć.

— Zdaje się...

— Bo też dzisiejszy świat każe kobietom miłości nie szukać i na nią nie czekać.

— To świat emancypacyjnej mody, a pani do obozu emancypowanych kobiet chyba nie zapisana.

— Jeśli emancypacją jest rwać się do pracy, do czynu, jestem jej najgorętszą zwolenniczką; jeśli emancypacja jest targaniem związków rodzinnych,

gaszeniem ognisk domowych, — jestem jej zaciętym wrogiem.

— A więc, widzi pani, że serca pani nie gasi. Ognisko domowe, to życie kobiety. Więc gdyby stał teraz przed panią ktoś serca twego godny i powiedział: rzuć tę pracę mozolną, a przyjdź do mnie, do mego domu, do mego życia... Tam zimno i pusto. Roztlej ognisko, — daj swe serce i duszę na wspólne szczęście... Cóżbyś pani zrobiła?...

Zmieszałam się; krew buchnęła mi do twarzy, w oczach dziwne błyski zamigotały...

— Odpowiedź moja zawisłaby od dwóch rzeczy, — odrzekłam powstając z kanapki — od serca mego i serca jego...

— Zresztą — rzekłam — nie wiem dobrze... O to obawy niema... Uboga, jak ja, dziewczyna za mąż nie wychodzi... W takim odludziu, w takim osamotnieniu, nikt mnie nie znajdzie...

Zaśmiałam się, udając zupełny spokój, i chciałam zbliżyć się do reszty towarzystwa, bo już i tak zadługo przeciągało się to nasze sam na sam.

Czesław jednak zastąpił mi drogę i rzekł:

— Ale gdyby ktoś znalazł tu panią, gdyby był ktoś, komu by się pani wydała bardzo bogatą, najposażniejszą panną w kraju, cóżby wtedy pani powiedziała?

— Proszę do herbaty — zawołała Halka żwawo stając w progu pokoju, a Pychnicki zwrócił się do mnie zapytaniem:

— Kiedy też pani wybierze się z wizytą do najbliższej swej koleżanki, panny Bronisławy?...

Odpowiedziałam, iż czekam, aż sanna się nieco ustali, bo chłopskimi sankami boję się jechać w tę drogę i prosiłam wszystkich do stołu.

Czesław milczący i zamyślony usiadł naprzeciw mnie. Wpatrywał się długo w obraz Matki Boskiej, oświetlony czerwoną lampką... Duże, piękne jego oczy miały wyraz dziwnie smętny.

Po herbacie, przy fortepianie śpiewano kolędy. Mama usiadła na kanapie, ja stałam we drzwiach,

Czesław zbliżył się.

— Dziś odjadę. Czy nie usłyszę od pani odpowiedzi?...

— Dlaczego pan o nią nagli. Kiedyś, gdyby pan usłyszał: panna Zofia zaręczona, miałby pan wtedy odpowiedź. Po cóż dziś odpowiedzi, gdy do serca nikt nie puka?

— Nikt?... czy pani to może stanowczo powiedzieć?

— Ah! — zawołałam żywo, — przecieżby moje serce wiedziało, gdyby kto pukał do niego; przecież onoby już wtedy paliło się miłością, przecieżby już nie potrzebowało wahać się, co dać za odpowiedź?!

— Ta-a-a-ak?... Więc rozumiem — odpowiedział ponuro.

Przeszedł się po pokoju, poczem zaczął żegnać wszystkich.

— Kiedyż pan zawita tutaj, do rodziny? — pytał Stach uprzejmie, — a Czesław odrzekł na to:

— Nie wiem, będzie to zależało od wielu okoliczności... Nie wiem, może wrócę rychło, może nie prędko.

Żegnał się życzliwie, do mnie przyszedł na ostatku.

Ani się spostrzegłam, kiedy moją rękę do ust przycisnął.

— Żegnam panią i życzę szczęścia zupełnego...

— Do widzenia, do widzenia!... — odpowiedziałam, przytłumiając wzruszenie.

Pojechał. Ale myśl o nim nie przerwała się. Dziwnie, dziwnie spowiła się około mej duszy, jak owa jesienna, srebrna pajęczyna, która się czepia czoła, twarzy, rąk, i niby leci w dal i niby rwie się kędys, a przecież trzyma się nas.

Czego on chciał odemnie, zrozumieć nie mogę.

Czy to kryje tajemnicę jakąś, czy to próba, o ile biedna dziewczyna może być łatwowierną? Przecież on nie może w żaden sposób przypuścić, abym jego słowa chciała brać za rzeczywiste pytanie. Przecież on powinien dobrze wiedzieć, że między moim światem, a jego światem jest taka sama przepaść kastowa, jak między rośliną cieplarnianą, a kłosem naszego żyta. Ich świat, to przepych, zabawa, użycie, swoboda; nasz świat, to praca, trud, walka i rdzeń życia narodu.

Pojechał. To dobrze. Że miły, że rozumny, że ma uroku wiele, nie przeczę.

Ach!... wyraz ócz śliczny... Lecz pocóż o tem pisać? Przeleciał ptak, sokół jasnopióry, i pomknął dalej. Przebrzmiała pieśń cicha, tęskna, i echo jej umilkło.

Do mego serca nikt nie puka i nie prosi: chodź do mej chaty.

20 stycznia.

Stach odjechał przed kilku dniami. W szkole nauka idzie zwykłym trybem. Na dworze cicho, biało i ślicznie. Parę razy sankowałyśmy się, ale sanki, „gręzoły“, jak je tu lud nazywa, idą bardzo w zatoki i to nas zawsze przestrasza.

Byłam z wizytą w trzeciej wiosce, u nauczycielki Bronisławy S. Szkółka licha, nizka, a tak wilgotna, iż wszystkie jej mebelki stoją prawie na środku pokoiku, bo ich do ściany przysunąć nie można.

Opowiada mi, że w jesieni i na wiosnę w klasie u niej jest nieraz wody na parę centymetrów. Ona musi wraz z dziećmi siedzieć w takiej klasie.

To okropne!

Nie uwierzyłabym, gdyby mi nie pokazywała śladów na ścianie.

Szkołę postawiono na dole, a w tyle za nią,

na wzgórzu, leży wioska. Z wód, ściekających z góry, zbiera się około szkoły całe jezioro. Trzebaby tylko okopać budynek szkolny rowem, a już wszystko byłoby dobrze.

Ksiądz tamtejszy, zacny, gorliwy kapłan, formalne utarczki stacza z gminą o to okopanie budynku szkolnego, lecz bez skutku.

Wiele smutnych faktów z niedoli naszego zawodu od niej usłyszałam.

A przykro bardzo spotkać osobę tak młodą, a tak już boleśnie złamaną!...

Powiada mi ona:

— Pani szczęśliwa: ma przy sobie matkę, ma siostrę, ale ja? — sama jedna; ani przed kim pożalić się, ani przed kim popłakać!...

Zaprosiłam ją szczerze, by nas często odwiedzała. Ucieszyła się i żegnała mnie tak serdecznie, jak gdyby oddawna mnie znała.

22 stycznia.

Przygotowuję wszystko do półrocznej klasyfikacji. Robota to nie mała. Z drugim półroczem zajdzie w mej pracy ważna zmiana.

Z jaką chęcią i pilnością moje dzieci do szkoły uczęszczają, to rzecz godna podziwu. Od dnia rozpoczęcia nauki nie miałam kłopotu z wykazami dzieci nieuczęszczających do szkoły.

Kłopot mam tylko zawsze wielki we środę. Jest to dzień prawdziwej pokuty. Jest w nim wyzna-

czona godzina religii. Ponieważ zaś ksiądz proboszcz oświadczył, iż nie może dwa razy w tygodniu przychodzić do szkoły, a rano są tylko dzieci starsze, we środę więc mają się zejść razem wszystkie dzieci i czekać na księdza. Ah!... wysilałam się na wszystkie możliwe pomysły, ale rady sobie dać nie mogę; 117 dzieci pomieścić nie mogę w jednej izbie. Jedne stoją, jedne siedzą na stopniu około stołu, inne tulą się i cisną w ławkach, jak śledzie w beczce.

Gdybyż to cały mój trud i męka dzieci nie były daremne. Ale przejdą 3 i 4 środy, a ksiądz na religię nie przychodzi.

— Ksiądz nie przyjdzie — powiada Kiwacki, zjawiając się po godzinie 10 — bo musiał jechać do miasta.

Drugiej środy mówi Kiwacki:

— Ksiądz „dostał gości“, nie przyjdzie na religię.

Trzeciej środy przysyła Kiwacki Kasię:

— Tatuś kazali powiedzieć, co ksiądz nie przyjdzie, bo pojechał do chorego.

Jakże mi żal, że dzieci tak mało z nauki religii korzystają!... Przecież to początek całego wychowania!

Prosiłam raz księdza, czy mi zezwoli, abym w razie jego nieobecności, mogła go zastąpić i dzieci uczyć, wykazałam się nawet osobnem świadectwem

z egzaminu religii, ale ksiądz odpowiedział mi na to:

— Dostyc, dostyc tego, co mają. Nie od razu Kraków zbudowany, nie od razu oni pomądrzeją.

Bronisława S. opowiadała mi, iż ona ma znowu tak gorliwego pomocnika w osobie tamtejszego księdza, iż jej aż za dużo godzin zabiera.

— Wie pani? — mówiła mi — czasem się kłócimy z księdzem, bo ksiądz przyjdzie o której bądź godzinie i powiada: mam czas, pani się już zapracowała, proszę mi teraz dać dzieci.

— Ale księżu proboszczu, teraz zadanie, teraz zeszyty rozłożone.

— Religia ważniejsza nad wszystko, proszę mi dać dzieci.

I wejdzie i uczy serdecznie, dogodnie a słodko... Szkoda, że nasz ksiądz proboszcz nie ma więcej czasu wolnego!...

24 stycznia.

Otóż musiałam być dziś u Kiwackiego na „wieczynach“, to jest na obrzędzie ubierania Kasi w wieciec, bo jutro już jest ślub.

Chata wymyta czysto, to znaczy, że i sufit i ściany starannie oczyszczone z tego czarnego osadu, jaki w chatach „kurnych“ ściany maluje.

Z chaty wyniesiono sprzęty; około ławy w jednym kącie szafa z naczyniem. Obrazy zawieszono nisko, tuż ponad ławami, bo w górnej części kur-

nej chaty zupełnieby poczerniały, a dołem dym się mniej ściele. W chacie sporo ludzi. „Swachy“ wiją ogromny wieniec barwnikowy, starostowie i „bojary“ (drużbowie) piją piwo, muzyka gra.

Gdym weszła z mamą, witają nas jak najuprzejmiej, zapraszają na ławę, wnoszą stół i dają jedzenie. Jest biała bułka z miasta, pieczona kura i flaszka wina.

Swachy śpiewają:

Prybywaj Boża Maty,
Budemo wesile poczynaty.
Hej, hej!

Budemo wesile poczynaty.
Kasine wołosia rozplitaty.
Hej! hej! hej!

Nuta pieśni i smętna i rzewna, a te ostatnie hej! są już jakby właściwem ludowi ruskiemu zawodzeniem. Lud tu polski, gwara ma polską, chociaż bardzo zepsuta, śpiewa jednak w większej części po rusku. Chociaż dają się tu słyszeć i polskie pieśni, lecz jest ich mniej. Spotyka się też tu niektóre bardzo stare zwroty polskiej mowy, n. p. dwie kurce, dwie córce, dwie nodzy i t. p.

Na środku izby stawiają konewkę, na niej siada Kasia, płacząc, druchny jej włosy rozplatają. Muzyka gra piskliwie, swachy znów śpiewają:

Prybywaj Boża Maty,
Budemo wesile zaczynaty,

Budemo wesile zaczynaty
Kasi winok zakładaty.

Wieniec jest olbrzymi, ledwie go w dwóch rękach uniosłam, barwnikowy, pozłacany. Wstążek na nim w tyle niezliczona liczba.

Pytam, gdzie pan młody. Powiadają, że u siebie; tam u niego w chacie teraz także jest muzyka, „swachy“ i starostowie, jemu dają harapchustkę i rąbek. Z harapem, chustką i rąbkem będzie on jeździć na koniu po całej wsi, prosząc o błogosławieństwo. W jednej ręce harap, do drugiej ręki przywiązany rąbek, to jest długi kawał płótna białego złożony w kilkanaścioro, chustka do pasa przyczepiona.

Ubrana już Kasia w wieniec, włosy rozplecione, a rozplatała je najpierw matka, potem ojciec, siostra, brat, ciotka, „stryjna“, „krzestna“, swacha, družki, słowem, kto był w chacie, dotknąć musiał włosów i dopomódz do rozplatania.

Teraz „swachy“ śpiewają znów długą pieśń, a starosta zaczyna przemawiać do Kasi, aby rodzicom podziękowała za to, że ją uczyli, karmili, przyodziewali i wychowali na dobrą gospodynię. Wzywają ją, żeby upadła teraz im do nóg i prosiła o błogosławieństwo.

Po tej uroczystej panegirycznej przemowie, siadają rodzice na ławie, ja z mamą przy nich. Kasia pada każdej osobie trzy razy do nóg i prosi o błogosła-

wieństwo. W chacie płacz cichy, muzyka gra bardzo rzewnie, a „swaszki“ śpiewają:

Oj! leżała łasiwonka po nad dolynu —
Rozpustyla sywe pera po nad kałynu...
O! któż to ti sywe pera pozbyraje...
A tam Kasia otca maty, pokiedaje...

Kłania się Kasia wszystkim w chacie, począwszy od osób starszych do najmłodszych. Teraz idzie na wieś prosić o błogosławieństwo.

Musi być w każdej chacie, i chociażby tam z kimś od dawna się gniewała teraz o błogosławieństwo musi go prosić! Kogo spotka na drodze, do nóg mu upada, bo gdyby jednej osoby nie prosiła o błogosławieństwo, mogłaby tego całe życie żałować.

Brat Kasię wyprowadza za wrota, ale ona za chwilę wraca i wraz z druchnami śpiewa:

— Oj! ne pijdu w świd wid matyneńki...
Bo ne znaju, bo ne znaju dorożeńki...

Na to swachy śpiewają, jak pierwiej, tylko zamiast brata, siostra Kasi drogę ma pokazać. Ale Kasia wraca i znów śpiewa, że drogi nie zna.

Ta scena powtarza się niezliczone razy, pokazuje Kasi drogę, drugi brat, siostra, ciotka, bratowa, stryj, „krzestni“ matka, stryjna i t. d... wreszcie i ojciec, ale ona wciąż wraca i śpiewa:

— Oj! nie pijdu w świt wid matyneńki...
Bo ne znaju, bo ne znaju dorożeńki...

Wreście śpiewają swachy...

Idy Kasiu, hde nowaja dorożeńka,
Wyprowadytia twoja matyneńka...

Matka wyszła za wrota i córce drogę wskazała, więc już teraz Kasia się nie wraca. Poszła prosić o błogosławieństwo.

I my wróciłyśmy do domu.

Mnie w uszach brzmiały te śpiewy swaszek, a serce wzruszone zachwycało się wrażeniem odniesionem.

26 stycznia.

Znów był we wsi pożar. Obok chaty pana młodego, w stodole wybuchł ogień — i wszyscy powiadają, że był podłożony, bo ów parobczak miał się żenić przedtem z inną dziewczyną i ją porzucił, aby żenić się z Kasią, a tamta z zemsty podpaliła mu zagrodę.

Każdy pożar działa na nas tak przygnębiająco, iż nie jestem w stanie tego wypowiedzieć. Dwór, plebania, nie boją się; one są tak odosobnione od całej wsi, tak oszańcowane i osłonięte drzewami, że iskra pożaru nie dojdzie, ale nasza szkółka stoi tuż obok chat wiejskich i lada powiew wiatru może nam zabrać wszystko...

Doprawdy, każdej nocy boję się, czy nie usłyszę okrzyku strasznego?

— Gore! gore!...

A ile te pożary przynoszą szkody we wsi!... Ileż to pójdzie z dymem zboża — przyodziewy, budynków!... Kiedyż, o kiedyż ten lud wyleczy się z tej zemsty strasznej!...

Wesele biednej Kasi skończyło się bardzo smutno. Nie mieli jej goście dokąd z muzyką odprowadzić, bo pan młody nie miał domu, w którymby powitał ją z harapem w rękę.

31 stycznia.

Oto pierwsze półrocze mej pracy szkolnej ukończone. Trzydzieści sześć dzieci przeszło do drugiej klasy; postęp widoczny. Lecz ponad postęp w zakresie czytania i kreślenia liter, droższa jest zdobycz, odniesiona w wychowaniu dziatwy.

Prawdziwie, stokrotny plon jest już tu widoczny. Wiele dzieci tak się dało nagiąć, pokierować i uszlachetnić, iż zdaje się, jakoby nad wykonaniem ich pracowano od lat dziesięciu lub jedenastu. A przecież dziatwa ta wychowania nie miała żadnego, przykład ma często jak najgorszy w domu, do szkoły przyszła ze skłonnościami złemi.

Jest to najlepszy dowód, iż lud nasz jest materiałem szlachetnym, potrzeba tylko oszlifowania, a tam, gdzie była ruda niepewnej wartości, oto błyska kawał szczerego złota.

Skarby — skarby wielkie mamy, — lecz nie umiemy ich ani cenić, ani wydobywać.

Wiem o tem dobrze, iż niektóre z moich dzieci

do wielkich postępów doszły wytrwałością, godną podziwu. Długie, zimowe wieczory rwały ich myśli ku książce. Poznawszy litery, czuły one nienasycone piagnienie czytania. Po chatach zaś tutaj lamp nie świecą wcale. Cała wieś, począwszy od chaty najzamożniejszego kmiecia, do najuboższego komornika, w czasie od Bożego Narodzenia do Wielkiego Postu spędza wieczory przy kądzieli. Przędą mężczyźni, kobiety, parobcy i dziewczęta. Do kądzieli lamp im nie trzeba. „Nachta“ — jak oni powiadają, — jest zbyt droga.

W uboższych chatach więc świecą szczypkami, w zamożniejszych knotkami, to jest w szklanke wlewają wodę i trochę oleju, w który wkładają skręcony krętek i tem izbę oświetlają.

Jakże przy takim świetle dziatwa ma czytać, lub pisać?...

Prosi ten, lub ów ojca:

— Kupcie lampę... jabym czytał i pisał. — Ale ojciec odpowiada:

— A ty umiesz czytać? Pół roku do szkoły nie chodzisz, a już chcesz czytać? Nie umiesz nic jeszcze; ot, siadaj groch łuskać.

Ludziom tym, zupełnie z nauką nie zaznajomionym, litery wydają się tak dziwnie trudnymi hieroglifami, iż nie mogą pojąć, jakby się chłopak za parę miesięcy mógł z tajemną mową liter zapoznać.

Lecz zdolne i chciwe nauki dzieci nie przestra-

szają się. Najdowcipniejszy Mikołajek składa z innymi po cencie na lampę. Kupili lampę za 19 centów, „nachty“ za 2 centy i jest światło pożądane.

Lampa ta kolejno odbywa podróż od chaty do chaty, a za lampą idzie gromadka dzieci z książkami i uniwersytet ludowy studyów nie zaniedbuje. Czarodziejską moc z sobą przyniosła owa pierwsza lampa. Widzą ci i owi, że jakoś z nią w chacie milej i weselej, widzą, że dzieci „naprawdę“ czytają, więc Michał Borsuk i Mikołaj Tracz kupują lampy dla siebie.

Oto jest wielki postęp, bo dzisiaj we wsi jest już lamp 16.

Jutro i pojutrze są małe wakacje. Przyszło mi na myśl, aby urządzić jutro w szkole wieczornicę. — Powiedziałam dziś dzieciom, żeby każde u siebie w domu poprosiło rodziców, siostrę lub brata, kto może i zechce, aby jutro, koło godziny 4-tej, z kądziałą przyszedł do szkoły. — Kazałam powiedzieć, że ich proszę grzecznie, bo chcę przypatrzeć się, jak oni przędą i posłuchać, jak śpiewają.

Mama mnie zapewnia, że młodzi prędej zbiorą się, ale starzy nie zechcą przyjść. Ja jednak ciekawa jestem, czyli mi się podobne zebranie uda. Wszak to moja karnawałowa zabawa i mój bal tegoroczny!

Tam, kędyś daleko, w miastach ludnych i bogatych, brzmia dźwięki muzyki i postrojone, piękne panny uwijają się po sali; a tu... niech mi

wrzeciona zacząć brzęczeć, niech zadzwonią piosnki dziewcząt. Dość będzie i tego.

2 lutego.

Święto Matki Boskiej Gromnicznej!... Z powodu nadzwyczajnej zawieruchy nawet niepodobna się było dostać do kościoła na nabożeństwo. Zupełnie śladu drogi niema, a przydrożnych płotów nawet nie znać. Okienka mojej chatki są tak śniegiem zasypane, iż ledwie kawałkiem górnej szyby trochę światła wciska się do pokoju. Podczas wiatru zimno w naszym mieszkaniu jest nie do zniesienia.

Mama musi nawet zostać w łóżku, bo kaszel dręczy ją duszący, ja z Halką jesteśmy ubrane w ciepłe paltociki, berlacze i tak w pokoju jeszcze nie jest nam ciepło.

Bezustanny ogień w piecu pochłania niezliczoną ilość drzewa, a ciepła nie daje. Gdy Stach oglądał te piece, powiedział, iż okazy te możnaby dać na wystawę, ażeby świat cywilizowany mógł się przekonać, jak wyglądały pierwotne pomysły pieców.

Dwa razy udawałam się z prośbą do Rady szkolnej miejscowej o przestawienie pieców, ale orzekła ona, że teraz nie można nic robić, bo ani gliny, ani kamyków na piec w zimie nie dostanie. Byłam u p. inspektora żaląc się, ale on zdecydował, abym czekała cierpliwie, aż na wizytację szkoły przyjedzie, to zbada stan rzeczy i zarządzi odpowiednie kroki.

Drzewo pochłania prawie połowę mojej pensji. Całe szczęście, iż za pośrednictwem Wierzejskiego dostałam robotę. Haft na tiulu, rzecz bardzo żmudna: sześć firanek dla właścicielki Górki. Wynagrodzenie za to bardzo lichy, bo tylko 4 zlr. od firanki, ale jesteśmy z Halką uradowane tem bardzo.

Nieraz też siedzimy i do 1-szej w nocy w naszej izdebce, haftując, a tu palce tak ziębną, że igły utrzymać nie mogą.

Wczorajsza moja wieczornica powiodła się znakomicie. Nie mniej i nie więcej, tylko 42 kądzieli miałam u siebie. Wyglądał też ów las kądzieli dziwnie fantastycznie, a brzęk wrzecion miłą grał mi muzyką. Gdy już zasiedli wszyscy do kądzieli, a ja powitałam gości wypytując, co słyhać nowego, prosiłam, abyśmy zaczęli od pobożnej pieśni.

Wtedy chór miły zaśpiewał ową starą, a tak piękną pieśń: „Bądź pozdrowiona Panienko Marya“.

Gdy lud śpiewał ową zwrotkę:

„Nasza Korona srodze utrapiona,
Niechaj nie będzie od Ciebie opuszczona“.

pomyślałam też sobie, czy oni rozumiają, o jakiej koronie tu mowa i czy mają chociaż jakie takie pojęcie o utrapieniu naszej Ojczyzny.

Po prześpiewaniu pieśni zaczęłam im opowiadać ową śliczną opowieść fantastyczną Andersena o matce, której śmierć porwała dziecko, a ona bie-

gła i wszystko poświęcała, byle dziecko uratować od śmierci.

Wrażenie było ogromne. W niektórych momentach płacz nawet było słyhać w sali. Miłość matki, poświęcającej się bez granic — to przecież silna struna i nie wiem, czy byłoby serce, któreby na tę opowieść nie rozczuliło się. Moi goście przy kądzielach byli zachwyceni.

Potem przyniosłam z pokoju dość duży obraz „aniołowie u Piasta“ i opowiadałam im treść. Naturalnie, oni przysłuchują się z zajęciem wielkiem i bardzo im się to podoba. Zajmują ich takie szczegóły.

— O! dziw się! — wołają; — pług, a tu ul, a tu kołyska.

— O! dłuto nawet jest wymalowane. — Piast ręce rozłożył...

— O! a tu „buśko“ na gnieździe.

Zachwycają ich drobnostki i cieszą; jest to najlepszy dowód, jakim lud ten jest jeszcze dzieckiem.

Po wieczornicy rozchodzą się; dziękowali mi wszyscy za „przyjemność“.

Wniosę teraz podanie do Rady szkolnej okręgowej o zezwolenie na zbieranie raz w tygodniu starszych ze wsi do szkoły. Będzie to osłonięte płaszczykiem „nauki dopełniającej“, ażeby w niczem nie przekroczyć przepisów szkolnych.

7 lutego.

Od Milki miałam list. Już jest na innej posadzie. Nie mogła tam wytrzymać, prześladowana przez kierownika szkoły, zawziętego moskalofila. Podsluchiwał pod drzwiami jej klasy, czy nie mówi do dzieci po polsku, a za każde słowo polskie robił awantury.

— Pomyśl, jak to przykro — pisze do mnie — żegnać te dzieci, do których już serce przywykło, nad którymi już się pół roku pracowało. Ledwie jakie takie stosunki zawiązałam, a miałam i dwie lekcje dość korzystne, już mnie przenoszą gdzieś indziej. Czy to sprawiedliwie? Teraz jestem we wsi, w szkole dwuklasowej; kierowniczką jest nauczycielka, ale to osoba bardzo źle wychowana.

Biedna Milka, żal mi jej bardzo. Ja przynajmniej o tyle szczęśliwszą jestem, iż mogę moją pracę rozwijać wedle mego doświadczenia i zapamiętania, ale kto się dostanie pod kierownictwo osoby bardzo ograniczonej, źle wychowanej i pełnej pychy, — ten przecierpi nie mało.

9 lutego.

Dziś był pan inspektor pierwszy raz u mnie na wizytacji. Frekwencja dzieci bardzo dobra, bo nawet o dwoje dzieci miałam w klasie więcej, niż jest zapisanych. Dwóch chłopaków nie obowiązanych do nauki szkolnej, przyszło z prośbą o przy-

jęcie ich na naukę do wiosny. Pan inspektor był zachwycony postępem dzieci. Powiedział mi też potem, iż nie zdumiewa go jeszcze tyle postęp w nauce, co wychowanie dzieci.

— Prawdziwie, muszę pani pogratulować, — rzekł z serdeczną życzliwością; — udała się pani wielka sztuka.

Byłam tak uradowaną, iż nie umiałam nawet odpowiedzieć.

Prosiłam o zlitowanie się i zajęcie się sprawą pieców. Ciepłomierz w szkole wskazywał 11 stopni, w mieszkaniu 9. Obiecał, iż urzędownie rozkaże piece poprawić.

Ah!... jakież Bóg dobry, jaki łaskawy! iż pobłogosławił mi w pracy i dozwolił już zebrać tak słodkie plony. Lecz to wszystko jest odrobiną, ziarnkiem piasku wobec tego, co ma być zrobione... Cóż znaczy 100 dzieci uszlachetnionych nieco wobec 1000 ludzi ciemnych i nieświadomionych, co dobre, a co złe!...

12 lutego.

Wskutek procesu gminy z dworem, musiała tu zjechać na dłuższy czas komisja śledcza z sądu wyższego. Sędzia starszy i dwaj jego pomocnicy, mają we wsi zamieszkać i protokoły prowadzić, bo niepodobna tylu świadków do sądu sprowadzić.

Otóż z przybyciem tej komisji wydarzyła się

rzecz ciekawa. Gmina nie chciała pozwolić, aby pan sędzia zajechał do dworu lub na plebanie. Chłopi stanęli z krzykiem, iż nie będą dawać żadnych odpowiedzi, jeśli pan sędzia mieszkać będzie we dworze lub na plebanii, bo tam pan i ksiądz przeplacą go, skutkiem czego będzie stać po stronie dworu.

Darmo sędzia dowodzi im, że on przekupić się nie da, że on wyroku nie wyda, a będzie tylko to spisywać, co świadkowie zeznają: wszystko było bezskutecznie. Do dworu i na plebanie komisji nie puscili.

Rada w radę co robić.

— A, no — powiada jeden z gospodarzy:

— Do szkoły niech pan zajedzie.

Było już późno wieczorem, u nas w pokojach jeszcze było ciemno. W pokoiku koło kuchni światło czerwone rzucała lampka przed Matką Boską, w większym pokoju, ogień wiekusiście płonący w zimnym, jak Rada szkolna miejscowa, — piecu. Ktoś puka. Wchodzi niski, otyły mężczyzna, w ogromnym futrze.

— Przepraszam bardzo, że tak napadam, ale zmuszony okolicznościami -- nie mogę znaleźć innej rady, jak tylko w szkole prosić o przytułek. Jestem sędzia L...

Wnosi Anusia światło, pan sędzia opowiada, całą przegodę. Przychodzi wójt i dwóch radnych

i wszyscy decydują, że komisja w szkole zamieszka.

— Ja nie mam nic przeciw temu, — odzywam się — chętnie, oddam salkę szkolną na umieszczenie komisji, ale trzeba mieć na to zezwolenie Rady szkolnej okręgowej.

— Ja pojadę jutro do pana inspektora — mówi wójt.

— Dobrze, ale w razie jakiejś nieprzyjemności, wy, panie wójcie, na siebie weźmiecie odpowiedzialność — proszę go uprzejmie.

— Niech się pani nauczycielka o nic nie boi, my odpowiadamy, co my zrobimy, to zrobimy.

Musiałam w szkole przyrządzić jakie takie posłanie dla sędziego, dać lampę do oświecenia, ale nadto trzeba było przecież biedaka czem pożywić. Przełknięty był prawdziwie tem napadem gminy. Tak niespodzianie dostaliśmy na jakiś czas lokatora.

17 lutego.

Tak długo nauki w szkole nie będzie, jak długo będzie tu bawić komisja śledcza. Od rana do nocy w szkole jest pełno bab, chłopów, parobków; wszyscy składają zeznania co do owego sporu o staw.

Wszyscy powiadają, iż im dwór robi straszną krzywdę, że chce im nawet tę odrobinę wody zabrać, jaką tu mają dla pojenia bydła, dla biele-

nia płótna; narzekają, że niema sprawiedliwości u panów „ani krzty“. Nieraz aż do mieszkania mego dochodzą odgrazania się ludu. — Pan Łomski często jest wzywany; przychodzi do szkoły, siedzi długo. Raz wstąpił do nas na chwilę, ale był bardzo chmurny i gniewny.

Parę dni mam wolnych. Firanki już są ukończone, odeszł je jutro.

20 lutego.

Pan Wierzejski zaprosił nas wczoraj do siebie na małe zebranie towarzyskie. Była to rocznica ich ślubu. Dzień ten zawsze u Wierzejskich jest świętem rodzinnem.

Ja pojechałam z Halką, bo mama, z powodu kaszlu, w mrozy zupełnie nie może się narażać na wichry i przeziębienie.

U Wierzejskich była Bronisława S., Pychnicki, dwóch nauczycieli z dalszych wiosek i jeszcze jedna młoda nauczycielka, panna Malwina O.

Mój Boże! jakież wrażenie odniosłam z tego zebrania!? Nie umiem tego wypowiedzieć, nie potrafię nawet określić tego.

Wierzejski, zacny, prawy i wykształcony człowiek, ale inni — biedni ludzie... Że rubaszni, że nie obcy z formami towarzyskimi, o to przecież mniejsza, boć nieraz pod powłoką szorstką kryje się dusza wielka, ale tu: ani idei wyższej, ani za-

miłowania zawodowego, ani ukochania ludu, ani myśli głębszej.

— No, i cóż z naszą sprawą o pięciolecie? — pytał starszy, z czarną brodą nauczyciel pana Wierzejskiego.

— A!... jakoś mi tam robią trudności — odrzekł Wierzejski; — należy się od dwóch lat, ale Rada szkolna krajowa nie chce przyznać.

— Ha! ha!... nie rzadka to rzecz; ja służę lat trzynaście, a pięciolecia ani jednego nie mam. Oszczędności... oszczędności — dodał ze złośliwym śmiechem pan T., słuszny, chudy i bardzo brzydki mężczyzna.

— Nie dadzą, to nie dadzą, trudna rada; — pan Bobrzyński udawał niedawno w Sejmie, iż nauczyciele mają dostateczną płacę, więc pocóż dodawać więcej? — mówił Sławski.

— Mnie już doręczono uwiadomienie, iż nie wolno trudnić się pisarką gminną, ale nie dali rozkazu, aby się buty nie dały.

— A temu nauczycielowi z Stawów kazała rada krajowa teraz składać egzamin! Człowiek lat 50, ojciec siedmiorga dzieci... ma się uczyć do egzaminu, wedle myśli tego, lub owego pana, a z pewnością nie jeden wielki radca wielkiej Rady szkolnej krajowej tych egzaminów i innych nie ma...

— Powiadam, duszą nas, jak mogą, i wyszukują, co mogą, aby tego głodomora galicyjskiego lepiej przygnić.

— Dajcie pokój — przerywa Wierzejski — zejđźmy na inny temat.

— Dobrze tobie kolego wołać: „na inny temat“ — powiada Sławski, spluwając co chwilę — tobie się jakoś wszystko wiedzie, ale nam leje się za kółnierz.

— O! jemu się wiedzie, bo pani Zuzanna trzyma wszystko w rękach — z słodkim uśmiechem woła nauczyciel ze Stawów.

— Ale ja mam ciekawe teraz zdarzenie u siebie — zaczyna opowiadać Pychnicki. — Jak wiecie, naszej szkole już dawno poprzedni dziedzic darował 2 morgi pola. Był to kawał pola zupełnie od gruntów dworskich oderwany. Teraźniejszy spadkobierca tej wsi chciał owe dwa morgi odebrać, lecz gdy widział, że się nie uda, bo akt darowizny ma gmina w rękach, na jakież koncept się bierze?... Wysła geometrę, aby starannie do milimetrów wymierzył, czyli tam jest istotnie 2 morgi. Cóż powiecie panowie? Geometra przekonał się, iż jest więcej nad 2 morgi. Pozostał więc klin 3 sążni długi, a półtora w jednym boku szeroki, więc dziedzic ten klin kazał odkopać fosą i darował go żydowi.

— I tu powiadają: nie buntujcie ludu na szlachtę; nie siejcie nienawiści!... Tak! Jeszcze ich po łapach mamy całować.

— Szlachta nas jak lokai swoich nawet nie

chce traktować; my „socyaly“ w ich oczach... Cóż to my — proletaryat, a oni — panowie.

Nie mogłam słuchać takiej rozmowy; krew biła mi do głowy.

Wstałam, aby się pożegnać.

— Ależ, panno Zofio, co pani robi, co się stało, dlaczego się pani spieszy? — począł Wierzejski prosić, zatrzymując.

Pani Zuzanna także siłą i mocą mię zatrzymywała. Usiadłam.

— Ej, zostawcie te mowy — odzywa się Pychnicki — lepiej bawmy się w co...

— Zabawmy się, zabawmy! — woła panna Malwina, która dotychczas z Pychnickim przyczyszona rozmowę prowadziła.

Zaczyna się zabawa, nie pamiętam nawet jej treści, bo dym z fajek i cygar, krzyki, śmiechy i żarty, dość dwuznaczne, tak mię zdenerwowały a zarazem przeraziły, że nie wiedziałam, co z sobą począć.

Są fanty, w ślad za nimi idą śpiewy i deklamacje. Śpiewa Pychnicki, ale treść pieśni pełna cynizmu. Panna Malwina, na wpół leżąc na foteliku, opowiada coś tak wesołego Sławskiemu, iż ten aż ze śmiechu płacze i dużą czerwoną chustką oczy ociera. Bronisława układała projekt pikniku nauczycielskiego.

Z jednej strony słyszę taką rozmowę:

— Głupibym był poza godzinami obowiązko-

wemi pracować; kazałbym sobie wyróżnić 25; jak oni płacą, taką mają pracę, to daremne.

Pani Zuzanna, na to:

— Gdyby wszyscy tak powiedzieli i zrobili, zarazy dali lepszą pensję, ale cóż, kiedy niema zgody. Mój mąż, pierwszy, panna Zofia druga, a takich dość... radziby w szkole siedzieć po 10 godzin dziennie.

Z drugiej strony słyszę:

— Patriotyzm! Ba, on dobry przy szampanie i przy rozbratlu, ale kiedy i głodno i chłodno, to miłość ojczyzny w ką! Niechbym się odezwał z czemkolwiek, to mi zaraz Rada szkolna przypnie łatkę i pięciolecia nie dostanę...

— Wiecie, jaka jest teraz najnowsza powieść? — pyta Pychnicki żywo...

— Jaka? jaka?... — nauczycielki z zajęciem czekają na odpowiedź, a jeden z starszych profesorów mówi:

— Było trzech braci, dwóch było mądrych, a trzeci ...był nauczycielem ludowym!...

— Ha, ha, ha! — śmieją się wszyscy chórem.

Oto mniej więcej treść rozmowy ludzi, którzy niosą oświaty kaganiec...

Biedni!... Żal mi ich... Czy ich wina w zupełności, jeśli są takimi, jakimi są...

O! nie... Jest wielka fala ludzi w naszej ojczyźnie, która powinna odpowiedzieć przed sądem hi-

storyi oświaty ludowej... dlaczego tak strasznie po macoszemu odepchnęła od siebie ludzi, zaciągniętych do pracy po szkołkach. Zapomniane, zaniebane i skrzywdzone są nie raz jeden srogo te serca pracowników nad ludem, które już mają i tak niedolą wyzięble uczucia, przygaszone ideały, zniżone skrzydła w locie...

3 marca.

Mieczysław pisze coraz rzadziej, a zdaje mi się nieraz, że w listach tych pióro mówi co innego, a myśl znowu co innego. Dawno, dawno już o nim nie powiedziałam ci nic, mój papierowy przyjacielu. Czyżby to miało znaczyć, iż mniej o nim myślę? Sama nie umiem na to pytanie odpowiedzieć.

Coś się w moich myślach poplątało, coś pogmatwało. Nieraz radeby one owijać się około jednego przedmiotu i czepiają się go, jak powoje dębu, lecz wtedy rozum karci je za samowolę i każe trzymać się wskazanego celu. Niekiedy myśli te są tak niespokojne i tęskne, jakby rwały się ku innemu życiu.

Mieczysław, stary przyjaciel, z którym tyle, tyle lat przegawędziłam, dziś wydaje mi się kimś innym, niż był dotąd. W jego słowach szukam jakiejś innej myśli, w jego czynach śledzę za jakimś nowym kierunkiem.

Zapewne przyczyna leży w oddaleniu. Nie wi-

działał go dawno, a że żyję teraz w niezwykłych warunkach, więc myśli moje unoszą mnie daleko... marzę... Albo ja zresztą wiem, co ja plotę.

Piszę i sama siebie nie rozumiem; myślę i nie chcę myśleć.

Milcia mi pisze, iż ma konkurenta; młody rządcą tamtejszej wioski zdobywa jej serce silniejszym szturmem, niż Szwed zdobywał Częstochowę.

— Przyznaj się też szczerze, czyś ty już tam nie zbałamuciła kogo, bo to u ciebie nie kupić. Miałaś tam we Lwowie wiernego towarzysza na spacerach, owego brunecika z czarnymi wąsikami; czy już o tobie zapomniał?

Brzydka dziewczyna! Posądza Mieczysława że się kochał we mnie... Jakżeby to było pospolicie, jak trywialnie!...

O! nas nie zwykła miłość łączy, nas jednoczy idea, wielkie cele przyszłości!... Wszak ja nigdy z ust Mieczysława nie usłyszałam jednego komplementu, jednego bogdaj wyrazu o jego uczuciach, o jego planach osobistych.

Czyż mnie mogło kiedy przyjść na myśl, aby on był dla mnie kimś innym, jak tylko przyjacielem? Zresztą, któż wie, jak się teraz drogi naszego życia potoczą?

On kończy nauki, ostatnie egzamina ma składać.

Otrzyma posadę, obejmie pracę, osiedli się gdzieś w mieście. A może być, że i zacznie my-

śleć o własnem szczęściu. Wszak prawda, on jest sam jeden teraz na świecie, sierota, nie ma nikogo. Cóż pocznie tak samotny?

Ah!... ciekawam bardzo, czy on się zakocha i jaka też panna zdoła zająć jego serce!.

5 marca.

Powiada mi dziś jeden chłopak w szkole:

— Proszę pani nauczycielki, kazali wójt poskarżyć, aby pani ich Piotra dobrze ukarała, bo on się „zmaścił“.

— „Zmaścił się“? co to znaczy?

— No „zmaścił się“, nie wie pani, co to znaczy. Napił się mleka.

— Czyjego mleka?

— A u nich w komorze.

— Więc za cóż go mam karać?

— Bo to teraz „pust“.

Dowiaduję się więc po długich wypytywaniach, iż tu we wsi od Popielca do Wielkanocy nikt nie je z nabiałem, tylko z olejem, a nawet dzieciom nie wolno pić mleka, chyba takim, co są bardzo „maluskie“. Otóż Piotr wójta, chłopiec 10-letni, „zmaścił się“, bo wypił w post mleko, i wójt każe, abym go wobec uczniów ukarała.

Co tu począć?... Jakże ja go ukarzę i za co?

Ale trudno, zwyczaj dawny, piękny, religijny, choć może dzisiejsza hygieny nie bardzo się nim

zachwyca, trzeba go jednak uszanować i chłopaka za wypicie mleka ukarać.

Każę mu więc, aby został w klasie po nauce i napisał na zeszyte ładnie mały ustęp z biblii.

Podobne sprawy coraz częściej się u mnie wydarzają. Jeśli tylko dziecko w czemkolwiek bądź w domu rodziców rozniewia, dają mi o tem znać i żądają kary.

Była raz u mnie Bronisława w takiej chwili, gdy matka ze wsi przysłała, prosząc, abym jej dziecko w szkole ukarała za to, iż w domu jest nieposłuszne:

— Takie to „zuchwalne“, proszę pani nauczycielki, że skaranie boskie, a nie usłuchane, że rady na niego niema.

Obiecałam kobiecie, iż dziecko upomnę, a gdy ona wyszła mówi do mnie Bronisława:

— Że się też tobie chce podobnemi rzeczami zajmować? Ja, gdybym zechciała skarg każdej matki słuchać, a potem znów każdemu dziecku w szkole kazanie gadać za to, co w domu robi, to chybabym od świtu do nocy była zajęta, a na naukę w klasie chwili wolnej nie miała.

— Moja kochana — odpowiadam na to koleżance — jeśli jabym tylko chciała uważać za swoją powinność, co mi plan naukowy zakresła, byłabym bardzo lichą nauczycielką.

— Proszę! To ci jeszcze tego mało, co my mamy do roboty?

— Dla nauczzenia dzieci czytania, pisania i rachowania nie mało, ale dla zadziernięcia między ludem a nami złotej nici bratniej miłości, wzajemnej ufności, dla wychowania tego ludu tak, iżby on istotnie był siłą moralną narodu, — wszystkiego jeszcze mało.

— Ale cóż znaczy wobec tego ogromu powinności, jaki sobie zakreslasz, owa pogawędka z jedną babą przez godzinę lub ukaranie chłopaka za „nieusłuchanie“ w chacie?

— Wyśmiesz się ze mnie, ale ja ci to wytłumaczę tak, jak pojmuję. Gdy kobiecina ze wsi do mnie przyjdzie, czy to w sprawie nieposłusznego chłopaka, czy to o lekarstwo dla kaszlącego męża, ważną jest rzeczą nie przyjąć jej z niechęcią, z zimną duszą i tą wyniosłością odpychającą, która daje zanadto wyraźnie poznać, iż pani jest „panią“, a kobiecina „chłopką“. To, że jedna odziana w konopne szaty, a druga w jedwabne, jest przecież rzeczą malej wagi, jak to, że są papugi, strojne w różnokolorowe pióra i skowronki szare, jak ziemia. To, że „pani“ umie 2 lub 3 języki, gra i śpiewa, przeczytała bardzo dużo romansów i powieści, a owa kobieta ze wsi nie umie nawet na „modlącej“ książce poznać litery, to także jeszcze o rzeczywistej wartości kobiety nie wyrokuje. Cudowna, wspaniała królowa kwiatów, róża, nie da w całej swojej krasie tyle korzyści, ile da snop szarych kłosów żyta.

— Więc w takim razie, ty, kapłanka oświaty, sama z sobą stoisz w sprzeczności — przerywa mi Bronisława. — Jeśli bowiem taka kobieta, nie umiejąca czytać i pisać, u ciebie więcej znaczy, niż dama czytana, wykształcona, to po cóż idziesz do chat i uczysz lud czytać?

— Ależ nie idzie tu o drobnostkę tak małą, jaką jest czytanie.

— Ty to nazywasz drobnostką?

— Czytanie, jako czytanie, jest tem wobec wartości moralnej człowieka, czem jest światło drobnej lampki wobec jasności słonecznej. Mogą być osoby czytające wiele, aż za wiele, a wartość ich moralna, w stosunku do przeczytanych rzeczy, nie rośnie, lecz maleje tak, iż w końcu nie masz u nich wcale żadnej wartości duchowej. Przyznasz więc, iż czytanie jest drobnostką, potęgą zaś staje się tam, gdzie jest środkiem do szerzenia myśli.

— Bawisz się w ekscentryczne jakieś filozofie — śmiejąc się przerywa Bronisława — i boję się, że wkrótce z całej tej rozmowy, ani ty, ani ja nic nie będziemy rozumiały.

— Być może, iż moje zapatrywania są zupełnie niezrozumiałe, nie mam pretensyi do filozoficznych medytacyj, ale pozwól niech dojdę do końca.

— Dobrze, dobrze, ale co to wszystko ma za związek z babą ze wsi?

— Bo wiele osób, jak ty powiada: niema co

z babą wdawać się w długie rozmowy, będzie o jednym 10 razy mówiła, będzie od Adama i Ewy poczynala historję swego życia, a na to czasu szkoda. Więc i ty mówisz: że się też tobie chce słuchać skarg baby!... A ja ci na to: Nie idzie mi o treść skargi biednej kobieciny, ale o to, aby zyskać zaufanie ludu wiejskiego i równocześnie poznać jego serce i jego duszę. Żalą się dziś niejednemu z klasy inteligentnej, iż lud zupełnie nie ma do nas zaufania, że jest skryty, a raczej nieraz przed żydem prędzej i chętniej wygada się, niż przed nami.

— To zupełnie słuszne. Lud żydowi ufa i wierzy lepiej, niż dworom i szkołom.

— Moja kochana — rzekłam na to, siadając obok Bronisławy i biorąc robotę do ręki — boleśna to prawda i jeśli ma ona okryć czyje czoło sromem, to nie czoło ludu ona zarumieni, lecz nasze.

— Widać, że jeszcze niedługo jesteś na wsi — zawołała z niecierpliwością Bronisława, — jeśli podobne wypowiadasz zdanie. My, my mamy się za to rumienić, iż lud żyda bogdaj czy nie lepiej poważa od nas?

A ja na to:

— Wiesz co?... Lud, to dziwna mieszanina kontrastów. Jest on w niejednym względzie dzieckiem, i to dzieckiem w całym tego słowa znaczeniu; w innym wypadku mędrce, i to tak doświadczo-

nym, że trzeba ukorzyć się przed jego wiedzą. W niektórych okolicznościach jest on łatwowierny i da się wieść bądź komu; w innych jest nieporuszoną, jak głaz. Gdy kocha, to kocha duszą i sercem, gdy nienawidzi, to bezlitośnie, gdy idzie za tobą, to skoczy w ogień i wodę, a gdy nie chce cię do swego życia wpuścić, to choćbyś kołatał dzień i noc, on drzwi ci nie otworzy... Ci byli u nas największymi bohaterami, którzy umieli trafić do ludu. Dziś szlachta nasza ginie dla narodu; bo nie umie żyć z ludem. Dziś duchowieństwo nasze jest w przeważnej części tak srogo podkopane w swej powadze wielkiej, bo nie umie wejrzeć w życie ludu, a i nauczycielstwo nasze dlatego nie wszędzie posiada ten mir, jakiby mu się należało zdobyć, bo jeszcze nie umie dobrze i trafnie spełniać swego posłannictwa narodowego wobec ludu, a ogranicza się przeważnie do nauczania w szkole.

Mówiłam to z takim przejęciem się, że aż na mój podniesiony głos mama wyjrzała z drugiego pokoju, pytając:

— Cóż to koleżanki za żywą dysputę prowadzą?

— Proszę pani dobrodziejki, Zośka się unosi nad ludem — odrzekła Bronisława — a ja znów powiadam, że nie ma się czem zanadto przejmować. Dziwię się tylko, skąd ona, jeszcze przecież niedoświadczona, ma tak wyrobione poglądy o sprawie ludowej.

Na to mama, zdejmując okulary, rzekła:

— Widzi pani; Zosia od lat dzieciennych żyła z ludem. Nieboszczyk mój mąż do ostatniego tchu pracował nad ludem. — W wiosce naszej wszyscy stanowili jedną rodzinę. U nas, jeśli wśród najbliższego grona gości wszedł gospodarz ze wsi w interesie, zasiadał do stołu pospółu z innymi i brał udział w rozmowie. Mąż mój zawsze nauczał dzieci, jak mają lud szanować, jak go mają cenić.

I zaczęła mama przytaczać wiele przykładów z życia ojca, jak nad ludem pracował, — jak lud go kochał. W końcu rzekła:

— Zośka też zaczyna się robić taką chłopomanką, jak jej ojciec; oddaje się ona ludowi całą duszą, to też z radością widzę, jak i w tej wiosce, lud twardy i oporny z początku, zaczyna się już ku niej nakłaniać.

Wśród rozmowy, anim spostrzegła, że już ciemno. Bronisława zaczęła się zbierać do odjazdu. Żegnając się rzekła:

— Zależy bardzo wiele od tego, jak nas w dzieciństwie uczył na lud patrzeć.

— O! O tem takżeby można dużo pogadać, — rzekłam z westchnieniem — żegnając koleżankę.



7 marca.

Od Mieczysława miałam list. Śliczny — pełen wielkich myśli i poglądów na sprawę narodowej pracy w dzisiejszej dobie.

Gdy ten list czytałam, zdawało mi się, że mi rosną skrzydła duże i silne, że uniosą mnie nad pola jeszcze większych prac i ofiar, niż ten oto ubogi i ciasny mój zagon, na którym stoję.

Przy końcu listu był dopisek: „Pan Czesław zasyła ukłony. Jest we Lwowie od kilku tygodni. Widujemy się często“...

Przypisek ten podzielał tak na mnie, jak w głębokiej ciszy działa gwałtowne stukanie do drzwi. Drgnęłam, spojrzałam na te słowa jeszcze raz i jeszcze raz...

Zdawało mi się potem, że jestem o coś bardzo zła i gniewna. Doprawdy, jestem chyba zwykłą szarą gęsią.

Z całej treści listu, który był cudowną kartą planów i marzeń młodzieńca polskiego, przyjaciele mego zacnego, nic mi się tak w myśli nie odbiło i nie zarysowało, jak ta czcza forma przesłania ukłonów... Bo i po co on mi o tem pisze?...

Co też Czesław robi we Lwowie? Pewnie był tam dla karnawałowych zabaw, pewnie dobijał targu, o jakiś posag poważny, a dodatek, panna, musiała olśniewać oczy brylantami. Bawił się, a teraz łaskawie przypomniał sobie o mnie. Ale

nie, to pewnie Mieczysław mu przypomniał, więc bąknął: proszę się kłaniać. Zaginam dopisek, aby nie był czytelny. List Mieczysława odczytuję po raz drugi.

8 marca.

Więc już wiosna poczyna pukać do okienka i promyki słoneczne ciska do tak nawet niskich chat, jak moja. Śniegi topnieją szybko. A już i bosa dzieciaki do szkoły przybiegają.

Wczoraj był u nas Tracz, ten duży, czarny, starszy brat z bractwa; powiedział, iż jeszcze będzie długo zimno, bo się już pszczoły ruszyły, a na ile dni przed św. Józefem pszczoły wylecą, tyle tygodni po św. Józefie będzie zimno. No!... przepowiednia nie bardzo pocieszająca...

Mówił też Tracz wczoraj:

— Powiadają wszyscy w gminie, że już się Pan Bóg nad naszą wsią ulitował i przysłał taką dobrą nauczycielkę. Ani jednej kary przez całą zimę nie było, ani raz rodzice nie mieli kłopotu, ani się pani z nikim nie „swarzy“, a nauka idzie, jakby po maśle. Koweńscy chłopci, co już mają szkołę lat siedm, powiadają, że u nich takiego porządku niema z dziećmi, jak u pani. Nawet ciężko dziecko w chacie utrzymać, tak się rwie do szkoły. Wie pani, na zapusty, kiedy to wszyscy idą do karczmy na len hulać, (bo czem kto lepiej hula, tem lepszy len urośnie, a kto nie hula, ten lnu

nie będzie miał) jaka moja Maryśka szła na hulanie, prosi Anusię, zostań przy dziecku, nie idź dziś do szkoły. To, Panie Święty, takiego płaczu narobiła, a tak zaczęła prosić, że żona w domu została, a dziecko szkoły nie opuściło.

13 marca.

Moja mama stała się już tutaj sławną lekarką na całą okolicę. Zjeżdżają się chorzy, kobiety z dziećmi, starcy, kaleki, „bo pani nauczycielka zna się na chorobach“.

Jeszcze w grudniu, przyszła raz do mnie młoda kobiecina z dzieckiem na rękę:

— Może by też pani „zezwolili“ jutro moją Kasię ze szkoły — prosi mię z płaczem — bo mam dziecko bardzo chore i muszę iść z niem do Konewic, tam jest baba, co się zna na „wsilakich“ chorobach.

Dziecko mizerne, rozpalone gorączką. Posłałam do mamy i proszę, aby coś może poradziła. Mama wtedy była bardzo smutna, zboliała, ledwie się poruszała. Zwlokła się jednak z fotelu, poszła do kuchni opatrzyła dziecko i powiada:

— Ja wam, moja kobieto, nie radzę, iść do trzeciej wsi w tak ostrem powietrzu do baby, ale jeśli zechcecie, ja wam dam lekarstwo.

Ona popatrzyła z niedowierzaniem, czy z trwogą, ale mówi:

— Jeśli pani umieją „odczyniać uroki“, to dobrze, ja zapłacę.

— Nie, moja kobieto, ja uroków odczyniać nie umię, ale wiem, co by było dobre dla waszego dziecka. Zapłaty żadnej nie wezmę, a lekarstwo dam.

I dała kilka ziółek, wyjaśniła wszystko dobrze, jak ma być zgotowane, jak dziecko okryć by się spociło i nie zaziębiło.

Za parę dni przychodzi jakaś dziewczyna, przynosi trochę ziemniaków i mówi:

— To moja siostra przysłała pani za lekarstwo i prosi jeszcze, bo się dziecku polepszyło.

Nie mogłam w pierwszej chwili zrozumieć, kto przysyła, ale obecna przy tem Anusia wyjaśnia mi:

— To Kaśka Józkowego Jaśka, co była wtedy z dzieckiem.

Dałyśmy znowu ślazu i wszystko dobrze poszło.

To był początek. Odtąd poczęły się zjawiać coraz częściej kobiety z chorem dziećmi. Ale nie dość na tem. Sława rozeszła się daleko i z sąsiednich wiosek ciągną chorzy, a są zawsze tego przekonania, iż mama leczy tak samo, jak owe baby znachorki i że odczynia uroki.

Tłómaczenia i perswazyje są daremne. Zawsze ja wolę, niech już oni leczą się temi środkami domowymi, które im mama daje, niż gdyby się mieli

leczyć czarami. Nie zawsze przecież może mama dostarczyć lekarstwa dla chorego, bo apteczka nasza nie starczy na wszystko, a tu czasem zjawi się u mamy chory ciężko. Wtedy mama radzi, aby jechali do lekarza do miasta. Ale na to zawsze jedyna jest odpowiedź:

— Albo to „dochtór“ co wie? On patrzy tylko, aby pieniądze brać.

— Eee! „dochtór“ — odzywa się inny, machnąwszy ręką — da „kwitek“ i każe z tym do „japteki“, a zioła nijakiego nie da.

— „Dochtorowie“ tylko znają do szpitala dawać, oni tylko dla państwa mają naukę i delikatność, a dla narodu biednego, to jak dla psów; ale gdzieś dla psów, oni dla psów lepsi, jak dla nas!...

Przekonałyśmy się, że opinia naszych eskulapów w oczach ludu jest bardzo licha, i że lud ten wierzy tylko w zioła i „baby“. Ma więc mama często chorych u siebie, a to sprawia, iż lud zbliża się ku nam coraz bardziej.

Lecz nie dość na tem. Nietylko na choroby szukają u nas lekarstw, ale i na strapienie.

Dziś przysła do mnie Rachalska, słuszną, ładną kobiecina i z płaczem mnie prosi o chwilę rozmowy.

Przewodzę ją do pokoju, a ona poczyną mówić:

— Przyszłam już do pani nauczycielki, by mi

jaką radę dali, bo już z żalu mało mi serce nie pęknie.

— Cóż wam takiego, moja kobiecino, cóż takiego? — pytam życzliwie.

— Oto „mój“ już się tak rozpuścił, że rady sobie dać z nim nie mogę. Nic, ino cały dzień w karczmie, ino na chrzciny a wesela, ino do miasta, a tak „po próznicy“ zejdzie i miesiąc, i pół roku. W domu gospodarstwo niszczeje, dzieci niekarne, ładu niema, a jego coś opętało i wodzi go po hulankach.

— Moja matusiu, — odzywam się na to — bardzo was żałuję, że takie macie zmartwienie, ale cóż ja wam na to poradzę?...

— Powiadali mi tak we wsi, co pani nauczycielka nikogo nie odgoni, choć przyjdzie chłop nieuczony i baba uboga, co pani, i z każdym pogada, i poradzi jakoś, to i ja przyszlłam, może mi pani poradzą...

Poradziłam jej, aby na męża nie krzyczała, gdy przyjdzie do domu, aby mu nie wytykała, że nic nie robi, aby całkiem spokojnie z nim rozmawiała, a będzie dobrze.

Ciekawam, co się też stanie dalej?

Oto, do czego już moja powaga dochodzi... mam godzić poważnionych małżonków, ja, która nieraz swoich własnych myśli nie umiem pogodzić!

17 marca.

Słońce już wschodzi coraz wyżej i cieplej grzeje. A i u nas w szkółce już coraz jaśniej i weselej. Oddział najstarszych dzieci czyta już doskonale, a całe utrapienie moje teraz z tego wynika, że na ciągle, usilne prośby dzieci, aby im pożyzczać co do czytania, nie mogę wystarać się o jaką taką bogdaj bibliotekę. Napisałam też wczoraj na ręce Mieczysława prośbę do Towarzystwa oświaty ludowej, aby mi zechciało dostarczyć książeczek.

20 marca.

Pisałam już raz w dzienniku, iż tu są we wsi tylko trzy rody, rozdzielone w liczne gałęzie: Jaszczyszyny, Staszczyszyny i Fiałki. Borsuk i Tracz, to wyjątkowe nazwiska. Że zaś imiona także są prawie te same w każdej chacie, jakże przemysłny dowcip ludu daje sobie tu rady.

Do każdego imienia dodaje się imię ojca lub matki i ztąd tworzy się taki labirynt imion, iż dopiero dobrze obznajomiony człowiek w niem się nie zgubi.

Kaśka Józkowego Jaśka, nazywała się ta kobieta, która z chorem dzieckiem pierwszy raz przyszła. Michaś Warzkowego Szczepana, Anusia Józkowego Walentego, Franek Kaśczynej Ewki — oto

bliższe określenia osób. Lecz poza tem pełno jest jeszcze „przywisk”.

— Jak się nazywacie ojciec? — pytam gospodarza, który przychodzi z prośbą, aby mu napisać list do syna, do „Hameryki”.

— Niby po nazwisku piszę się Jaszczyszyn, a po przywisku „Poddany”.

— Ja na nazwisko piszę się Fiałka Jan, a na przewisko „Rozczochrany”.

— Ja piszę się Staszczyszyn, a na przewisko „Zbereźnik” i tak dalej i tak dalej. Każdy ma swoje osobne przewisko i tak je nosi przy sobie, jak szlachta nasza co najmniej Sasów, Odrowążów, Nałęczów i t. d.

Jakaż jest różnica między temi a tamtemi przywiskami? Tym przyrosło ono do życia, jak mech na korze dębu; tamtym wzrastało w sławę, jako klejnot, zdobyty zasługą. Tak. Nie zaprzeczam, ale ci, którzy dziś noszą te herby, czyż zasłużyli zupełnie na to, by się chlubili zdobyczami praocjów, gdy sami ich nie zdobyli?

21 marca.

Wieczornice moje schodzą bardzo przyjemnie. Dużo, dużo już mam spisanych legend i baśni i pieśni z tych, które mi tu moje prządki i prządniczy opowiadali.

Wszystkie niemal baśnie i legendy tutejsze są nadzwyczaj piękne i treść mają bogatą w znacze-

nie. Forma, jako ludowa, świeża, zupełnie nie-
tknięta ręką cywilizacji, ma swój urok wspaniały.
Zawsze św. Piotr, który z Panem Jezusem dużo
chodzi po świecie, figuruje jako bohater o zupeł-
nie ludzkich, i to ludowych wadach. W jednej le-
gendzie kradnie, w drugiej kłamie, w trzeciej jest
leniwy, — słowem, wady dzisiejsze żyją w osobie
św. Piotra, a Pan Jezus zawsze daje poznać, iż
wie o każdym uczynku, choć święty Piotr chce go
ukryć i utaić.

To jest jedna forma legend. Druga zawsze
przedstawia złą macochę, biedne sieroty, albo złe
dzieci, które ojców na starość wypędzają. Trzecia
forma baśni, jedna z najbardziej fantastycznych,
osnuta jest zawsze na tle opowieści o dwóch bra-
ciach mądrych a trzecim głupim; zawsze mądrzy
zostają głupcami, a głupi jest mądrym.

Pytam Tracza:

— Powiedźcie mi, ojczce, dlaczego ci głupi wła-
śnie stają się mądrymi?

A on mi na to:

— Wie pani, ten głupi, to niby „znaczy“ tych
ludzi, co to nie mają nijakiego pojęcia i znacze-
nia w świecie, biedni są i „nie znają“ rozumu
z książek. A ci mądrzy, to są tacy, co się stra-
sznie pyszną ze swego rozumu i świat ich ma za
bardzo wielkich.

— To dobrze — przerywam mu, — ale dla-

czegoż ci, niby uczeni i mądrzy, zawsze okazują
się głupimi?

— A, widzi pani nauczycielka, tak mój ojciec
nieboszczyk jeszcze dawno, dawno powiadali, że
kiedyś przyjdą takie czasy, że ci, co uchodzą za
najgorszych, będą najlepszymi.

— Być może — szepnęłam sobie w duchu.

Ale, wspominając o bajkach ludowych z tej
okolicy, muszę jeszcze wzmiankę zrobić o jednym
rodzaju bajek, choć to gatunek najlichszy. Zawsze
tu bohaterką jest rozumna i „prześcipna“ kowa-
lowa, dyakowa, lub organiścina, a bohaterem jest
ksiądz. „Ksiądz chodzi do kowalowej“ — ona go
wywiodła w pole i ksiądz zaznał dość wstydu.

Skąd się już ten rodzaj bajek tu zaplątał, nie
mogę pojąć, ani zrozumieć. Zdarzy się też nieraz,
iż ten lub ów pocznie opowiadać bajkę takiej tre-
ści, iż nie wiedzieć, co z sobą począć: uciekać, czy
uszy zatykać?... Słuchają bajki i młodzi i starzy
i wcale nie widzą w niej nic nieprzyzwoitego, a ja
nie wiem, co z sobą począć?...

Powiem im: — proszę was, przestańcie, nie
mogę takiej bajki słuchać, — to się obrażą na
mnie, zniechęcą i potem nie wiedzą, co mówić.
Przekonałam się już dobrze, że lud jest nadzw-
yczaj czuły na to, co słyszy o swoich pieśniach, ba-
śniach i podaniach gminnych. Trzeba go długo,
długo prosić, zanim zacznie opowiadać, ale gdyby

w czasie opowiadania zrobić uwagę, zamknie się w sobie i umilknie.

Cóż więc robić?... W opowieściach ludu są i perły i brylanty, są jednak i plewy. Poszukiwacz złota, czy brylantu, odrzuci kamieni wiele, piasku, ziemi, mułu, zanim klejnot znajdzie.

27 marca.

Mieczysław przysłał dość dużą paczkę książek do czytania dla dziatwy starszej. Są to dzieła z wydawnictw „Macierzy“ — komitetu wydawnictw ludowych i Towarzystwa pedagogicznego. Są między nimi dobre i zajmujące: inne zupełnie nudne. Wogóle wszystkiego jest mało. Mieczysław pisze:

— Gdyśmy zaczęli szukać za książkami dla ludu, przekonaliśmy się z wielkim bólem, iż u nas jest jeszcze wielkie ubóstwo w tym względzie. Brak książek dobrych dla ludu, to wstyd i hańba dla nas. Nie dość lud nauczyć czytać, trzeba się starać o pokarm dla niego zdrowy, posilny i uszlachetniający ducha. A czyż na ten pokarm starczy 30 do 50, choćby nawet 300 dziełek?... To przeczytają w lot; — a potem?...

— Wie pani, panno Zofio, my tu oburzeni jesteśmy do najwyższego stopnia. Powiadają nam ludzie doświadczeni, iż każde wydawnictwo słabo się rozwija, a nawet upada, bo nie ma funduszków,

a z ludzi zamożnych nikt centa na dziełka lub gazetki nie daje...

Długo rozwodzi się dzielny mój przyjaciel nad potrzebą wydawnictw dla ludu, opisuje mi też stosunki między młodzieżą akademicką, a wreszcie pisze:

„Ja dopłynąłem już do jednej mety. Ostatni egzamin zdałem, spodziewam się wkrótce otrzymać posadę, a wtedy okres mego życia, jako młodzieńca, ukończy się. Zacznę myśleć już o swoim kątku, o szczęściu własnem. Wszak należy mi się go trochę, wszak ja wiem, że owo szczęście, o jakim roję, nie jest marzeniem niedoścignionem. Jeżeli ja swoje szczęście widzę, znam, wiem, gdzie ono mnie czeka, to już ono jest rzeczywistością, a nie marzeniem. Prawda? A cóż pani mi na to odpisze? Spodziewam się, że powie pani: życzę panu, jak najwięcej szczęścia, szczęścia jak najtrwalszego. Prawda? Jeżeli jednak pani tyle tylko powie, to dla mnie będzie za mało i ja tam kiedyś padnę z deszczem wiosennym i poproszę o coś innego.

„Czesław jeszcze jest we Lwowie. Bardzo się z nim zaprzyjaźniłem. Szlachetny to człowiek, ale ma jakiś ukryty smutek w duszy. Nieraz chwytalem go na tem, iż tak oddał się zadumie, jak gdyby nie widział nic w około siebie. O panią, o szkółkę, pyta mię nieraz“.

29 marca.

Czem więcej lud się ku szkole i ku mnie garnie, czem jest dla mnie życzliwszy, tem więcej i lud i szkoła ma do zniesienia od księdza i od dworu. Pan Łomski coraz bardziej z gminą się gniewa. Byle bydełko nogą stąpiło na dworską łąkę, już zajęte, a wykup drogi. Do maszyny, do młócenia, na robotę z tej wsi nikogo nie przyjmie. Przychodzą do niego z innych wiosek. W lesie, gdy schwyci ubogą babinę z pękiem suchych gałęzi, to bije bezlitośnie.

Smutny to i straszny obraz. Tu już wiem, o co mu idzie; przyczyną całej tej ogromnej waśni jest ów mały nieszczęsny staw. A gmina nic więcej nie chce nad to, by jej było wolno w tym stawie bydło poić i płótno maczać do bielienia. Wielkie żądania!

Lecz dlaczego ksiądz gniewa się na lud ciągle, tego w żaden sposób nie mogę zrozumieć.

Nieraz jestem w bardzo przykrem położeniu. Przyjdzie ten, ów z gospodarzy do mnie w interesie, pogadamy chwilę, a on zaczyna:

— Coraz gorszy robi się nasz ksiądz. Już chcemy do biskupa pisać skargę, bo już gmina nie wytrzyma. Jak trzeba dziewczynie dać na zapowiedzi, to ksiądz nie przyjmie dopóki oboje, i ona i parobek, nie chodzą na „katechiz“. Musi chodzić

młody trzy tygodnie z cepem, a dziewczyna do żaren.

— Jak to? co to znaczy? — pytam z wielkiem zdziwieniem, bo nie mogę pojąć na co do „katechizmu“ potrzebny cep, albo żarna.

Ale gospodarz mi wyjaśnia:

— Młody młóci zboże trzy tygodnie, a młoda miele na żarnach dla świń. A w lecie on idzie albo z pługiem, albo z kosą, a ona z sierpem lub do innej roboty.

Niestety dowiedziałam się smutnej prawdy. Owo chodzenie na „katechiz“ — to tylko nazwa, lecz niema tam z katechizmu ani jednego słowa. Ksiądz nie uczy, lecz każe sobie robić trzy tygodnie za darmo...

2 kwietnia.

Błota w tej porze, to istne topieliska. Ani piechotą, ani końmi się dostać nie można. Na poczcie posłaniec już nie był cztery dni, mięsa rzeźnik nie dostarczył, wszelka komunikacya z światem przerywana. Moje biedne dzieci, zwłaszcza najmłodsze, formalnie topią się w drodze do szkoły, a wiele z nich rodzice przynoszą na plecach.

Mama na zdrowiu znów zapada. W domu u nas kłopotów nie mało. Pensya moja w żaden sposób na wyżycie i odzienie nie starczy. Halka szyje dla dziewcząt fartuchy cienkie, ładne, a za to dostaje parę jaj, trochę mleka. Ja miałam z dworu robotę:

12 poszewek do znaczenia atlaskiem. Policzyłam za to 6 złr., bo przecież 50 ct. za duży monogram, to już tanio bardzo. Pani Łomska przysłała 3 złr. i jedną kaczkę. Trzeba było i na to się zgodzić.

5 kwietnia.

Dwa dni byłam chora i musiałam zostać w łóżku. Gdy się dzieci rano dowiedziały, iż nauki nie będzie, „bo pani nauczycielka słaba“, nie wiedziały, co z sobą począć. Jedne płakały, inne nie chciały iść do domu, mówiąc, że same sobie będą pisać w szkole, inne chciały iść na mnie się popatrzeć.

Gdy udało się wreszcie Halce im wytłumaczyć, że to trudno, rozeszły się. Ale w godzinę później przychodzi Anusia i powiada:

— Proszę pani, Wawrzko Stachowego Józka przyniósł mleka, bo pani słaba.

Uśmiechnęłam się na to, kazałam podziękować, a mama mówi:

— Pocziwy lud, u niego ten zwyczaj, iż gdy tylko kto chory, to dają mu mleka, więc i tobie przysłali dzbanek mleka, myśląc, że cię to zaraz pokrzepi.

Za chwilę wchodzi służąca i oznajmia, że jakaś Anusia przyniosła mi kurę. Ale nie dość tego; dostałam i miodu szklanekę i sera kawał i prosa trochę i oleju flaszkę...

Pocziwy, kochany a biedny mój ludek; „najgorszy w powiecie“, jak mi powiadano.

7 kwietnia.

Mieczysława listy zaczynają być dziwne: niby tęskne, niby pełne niepokoju. Czasem zdaje mi się jakby on coś przedemną ukrywał, jakby mi miał coś bardzo ważnego do powiedzenia... Chciałabym go zobaczyć. Milcia już zaręczona. Wychodzi za owego rządcę i bardzo się nad jego charakterem unosi.

9 kwietnia.

Noc! znów o tej godzinie ciszy i milczenia przychodzę do ciebie papierowy przyjacielu, znowu przynoszę czoło me osnute pajęczą siecią zagadnień i marzeń, a serce pełne uczuć niewypowiedzianej tęsknoty...

Nocy cicha!... Gdy schodzisz, któż pyta, po co przychodzisz? — woła Konrad w „Dziadach“, a ja myślę i wołam w chwili tej: zagadko dumań wiecznych i tęsknic bez końca, z kąd przychodzisz, — czy kto pyta?... Dlaczego nad czołem jednych ludzi rozpalasz gwiazdę wiecznej tęsknoty i marzeń, a innych nie znasz, omijasz?... Skąd czerpiesz wieczną treść swoich pytań niby coraz nowych, a ciągle w jednym kole się powtarzających? Dlaczego

w chwilach samotności występujesz z taką potęgą, dlaczego nie dasz usnąć sercu i myślom?...

Noc cicha, jasna, srebrzyście oświetlona. Słychać nawoływanie nocnego stróża z dworu, szczerkanie psów od chat wioskowych, i odgłos wahań u zegara, który powtarza monotonnie „tyk — tak”. — Ja czuję się w takiej chwili tak sama, iż rodzina, przyjaciele, lud i ziemia nasza stara, zdają się gdzieś daleko, daleko odemnie znajdować. Tam, w oddali, widzę tłumy, szeregi ludzi całe ogromne pochody, ja stoję na uboczu sama. Tam tłum spieszy, przegania się, potraça, orderami złoci, lśni bogactwem, szyderstwem plwa i urąga cnocie. Tam szereg mędrców pochylonych, którzy bez gwiazdy na niebie, a krzyża na ziemi chcą dociec prawdy.

Tu cała rzesza głodnych i omdlewających z pragnienia wiedzy, błądzi po rozlicznych drogach, biorąc błysk za słońce, błędny ogień za gwiazdę przewodnią. A tu tyle łez spływa ludziom po licu, — a tu tyle mógł srebrzy się rosa wieczorną, a tu tyle bólu i jęku i nędzy biednej.

Ah!... a tam co szczęścia, pieśni, wesela, miłości, pieszczot, pocałunków i życia pięknego, jak sen!...

A w około mnie co?... Cisza, trud i tęsknota...

Zdaje mi się czasem, że niby brakuje mi jednego skrzydła do szczęścia, że mi brak jednej struny do

pieśni i ciszy, że mi brak jednego promienia do wiecznej pogody życia...

Wiem, że są takie dusze, serca i czoła takie, które mogą dać albo skrzydła do lotu, albo strunę do pieśni, albo promień do światła. Lecz one daleko, a ja sama... Choćbym z takiej wielkiej oddali pukala tam, choćbym wołała silnym głosem, czyż usłyszą?... Czyż mnie spotka kto, gdy moja ścieżynka tylko od szkółki do chat, od chat do gaju, od gaju do kościoła, a oni idą gościńcem postępu, wiedzy, przepychu, zdobyczy i wielkich planów...

Za mało trochę tu życia dla mej duszy, za mało... Ach!... gdybyż to kto o nas tam pamiętał! Gdyby kto zasnął bogdaj tak cienką jak pajęczą przędza nitkę jedną i związał życie biednych nauczycieli, życie ubożuchne pod każdym względem, z ruchem życia szerszego... nie wyrwałaby się może z mego serca ta cicha skarga.

— Sama!...

A istotnie jestem tu sama...

2 maja.

O! dość czasu przeszło, a jam nie pisała.

Wstydę się nawet tego, com ostatnim razem w nocy tu bazgrała. Poco takie skargi zapisywać? Ale dziś zaczynam inaczej.

O, papierowy przyjacielu, nie spodziewasz się, ile ci tu teraz nagadam, bo mam dość tematu.

Wiesz przecież, że były święta, uroczyste Święta Wielkanocne.

Przed świętami, jak zwykle, roboty nie mało. I w ogrodzie już ładne ścieżki porobiłam i kaliny i brzoź dość nasadziłam, a dał mi sadzonek Wierzejski, bo „pan“ powiedział, że za darmo „chłopom“ nic nie da. No i bielić było trzeba nasze pokoiki, bo przez zimę dość się odymiały. Stary Droński, co u nas drzewo rąbie, bieleł pokoiki i kuchenkę. Trzeba mu było za trzy dni zapłacić 1 złr. A i tak dałyśmy z mamą więcej, bo tu i dwór i plebania za dzień roboty płacą najwyżej 20 centów, czasem dają nawet 8 centów za dzień roboty.

Otrzymawszy zapłatę, Droński całuje mamę w rękę i mówi:

— Prosiłbym, aby pani była łaskawa dać mi tylko 5 szóstek, a za drugie 5 wziąć dla mnie u Chaima mięsa na święta.

— Dobrze, ja wam to z chęcią zrobię, ale to będzie bardzo mało...

— My i tak na żadne święta mięsa nie brali, jeno ja już teraz chciałem, aby pani nam wzięła, bo niechby tam dzieci choć powąchały...

Żal mi ściszał serce: 13 ludzi w chacie, a dla nich na Święta, na całą ucztę, bierze się za 50 centów mięsa!

Przyjdź i popatrz na nędzę naszego ludu ty, który wołasz: „lud nie biedny, ale leniwy“. Przyjdź

i popatrz ty, która wywozisz tysiące za granicę, a nie dasz tutaj zarobku. Przyjdź i popatrz ty, który miliony wkładasz w banki angielskie, a nie włożysz ich w podniesienie przemysłu krajowego?...

Lecz wracam do opowiadania. W Wielką sobotę, z bardzo wielu chat przybiegały dzieci z prośbą:

— Mama prosili, czy pani pozwoli tu przynieść „do święcenia“?

Odpowiadałam każdemu przyzwalając, bo naturalnie cóż mi to szkodzi, że obok mego święconego postawi sobie kilka gospodyń swoje paski i mięsiwa? Poznosiły więc „dary boże“ do święcenia, ale gdyśmy je zaczęły z mamą przeglądać, lży nam z oczu płynęły.

— Biedni, jacyż biedni — szeptałyśmy raz po raz.

Paski czarne, jęczmienne owsiane lub żytnie, gdzie „pszeniczne“, tam już bogactwo wielkie. „Mięso“, to znaczy kawałek słoniny może na 15 cm. długi, albo pół łokcia suchej, wąskiej kielbasy lub, co najwyżej, kawał wieprzowego mięsa upieczony. Do tego parę jaj, chrzan, pieprz, sól i ocet — ten musi być w flaszeczce niezbędnie. Oto jest święcone, na które lud czeka cały rok i do którego postem zupełnym się przygotowuje!...

O takiej nędzy nie miałam wyobrażenia. Gdy na to święcone patrzała, formalnie wstydziłam się, iż ja mam na święta jasną, pszenną „paskę“, je-

dnę szynkę i dwa mazurki... Ksiądz proboszcz jechał z dworu i wstąpił do nas.

Gniewał się bardzo, że tutaj chłopci swoje „do-statki“ poznosili.

— Cóż to? Nie mogli jutro iść, wedle zwyczaju pod kościół? Śpieszą się, aby czemp prędzej się najeść.

Pomyślałam sobie w duchu, że wcale nie mają się czym najeść, lecz już nic nie mówiłam.

— Niech się pani cieszy, — obracając się ku mnie, powiada z uśmiechem ksiądz proboszcz — przyjechał do dworu gość.

Zarumieniłam się po uszy, a mama na to poważnie:

— Ci goście, którzy bywają we dworze, nie należą do naszej sfery, więc się Zosia nie ma czego cieszyć.

— Ale ten gość bywa i tutaj, bywał bardzo często, zwłaszcza gdy mamy nie było, wiem ja wiem.

Myślałam, że się rozplaczę w głos, więc uciekłam, lecz wróciłam w tej chwili, panując nad sobą, bo pomyślałam, że właśnie lepiej przyjąć te przy-cinki spokojnie. Zastałam mamę, kończącą swoją odpowiedź.

Słyszałam już tylko te słowa:

— ...Ręczę za to, iż w mojej nieobecności córki moje umiały się zachować, jak przystoi dziewczętom, wychowanym po chrześcijańsku.

Ksiądz się trochę zmieszał, począł się niby tłumaczyć, niby w żart spostrzeżenia obracać, a wreszcie, żegnając się, zaprosił nas na święcone jutro o dwunastej.

Gdy wyszedł, rozplakałam się, ale mama mnie uspokoiła, tłumacząc, że zawsze i wszędzie tak bywa, jeśli jest panna dorosła, a mężczyzna młody pojawi się 2 lub 3 razy w domu.

— Nie rób sobie z tego nic — mówiła mama — pan Czesław jest pełen taktu i w niczem tu nie zawinił.

Na drugi dzień z kościoła liczne grono osób poszło do księdza proboszcza na święcone. Poszliśmy i my, a choć to nie była dla mnie miła rzecz, jednak jeśli ksiądz prosił, to trzeba iść.

W drodze z kościoła do plebanii, Czesław powitał nas i szedł przy mnie.

— Jakże się pani miewa? Co słychać? Znać, że się pani męczy pracą, bo trochę pani pobladła i zmizerniała.

Odpowiadałam mu urywanemi zdaniami, bojąc się, aby się dłuższa rozmowa nie zawiązała i aby znów złośliwi ludzie nie mieli tematu do obmowy.

On wydał mi się także bladym i mizernym. Spytałam, czy nie był chory?

— Nie, fizycznie nie chorowałem, ale w duchu przeistaczałem się w innego człowieka.

— Jakto? więc jest pan teraz „Konradem“, a dawny Czesław zginął?...

— I to nie. Dopiero od drugiej duszy i drugiego serca będzie zależało, czem zostanę.

— Więc o własnej mocy i sile pan siebie nie zdoła przemienić?

— O! proszę pani, są chwile, w których wszystko zależy od drugiej czy wybranej, czy przez los nam przeznaczonej osoby.

Weszliśmy do mieszkania. Stół suto zastawiony, do którego wszyscy zasiadają po obdzieleniu się jajkiem święconem. Zauważyłam, iż pani Łomska usiadła przy mamie i żywą rozpoczęła rozmowę.

Czesław zajął przy mnie miejsce. Ja, czując tyle ocz badawczych na sobie, a wiedząc też dobrze, że wszystkie oczy patrzą na mnie z złośliwą niechęcią, byłam tak pomieszana i niespokojną, iż chwilami nie umiałam odpowiadać na dawane mi pytania.

Zauważył to Czesław i spytał:

— Co pani jest?

Czyż mogłam mu na to odpowiedzieć: — człowieku zacny, dobry, odejdz odemnie i nie mów do mnie, bo źli ludzie mię obmówią, bo ja biedna dziewczyna, a ty „pan“ bogaty?!...

Zagadałam o czem innem.

— Czy w okolicy pana lud także jest ubogi, jak tutaj?

— W przeważnej części jest biedny bardzo, ale nie można tego ogółem powiedzieć. Są przecie za-

możni u nas włościanie, ale ci żyją również nędźnie, jak i najubożsi.

— To prawda odpowiedziałam. Zauważyłam to wczoraj, gdy przynosili do naszej szkółki do święcenia paski i mięsa. Taki n. p. Staszczyszyn, najbogatszy kmieć we wsi, który ma 8 koni, 10 sztuk bydła, który ma 40 zagonów, przysłał tak samo czarną, z żarnowej mąki upieczoną paskę, jak i ów gospodarz, który ma tylko pół zagona roli *to bogacz!*

— Widzi pani, jest to nieporadność ludu. Ma on zboże i karmi niem wielu ludzi w swej ojczyźnie, a sam nie umie swego ziarna dobrze zużytkować. Ma drób, i znów niem karmi wszystkich, tylko nie siebie i nie swoje dzieci. Powiedział już dawno pewien uczony, że jeśli chłop je kurę, to albo „on“, albo „ona“ jest chora. A trzeba już bardzo ciężkiej choroby, aby chłopu kurę zgutowano. Zresztą lud nasz nie czuje potrzeby lepszego pożywienia, postępu w sporządzaniu potraw lub pieczywa. On tak przywykł do grubego chleba, kapusty, barszczu i ziemniaków, że długie dopiero lata pracy będą mogły zmienić i jego nawyczki.

— Przecież, gdy na to ich odżywianie się patrzę, bardzo mi się robi przykro. Widzę, jak wiele zawiniliśmy, iż dawniej nie nauczyliśmy ich używać dobrze darów ziemi rodzicielski.

— To przyniesie oświata — odparł Czesław. — W Czechach, na Morawach, dalej na zachód, pokarm ludu jest coraz lepszy, zdrowszy i posil-

niejszy; u nas jeszcze ten sam, jaki był XVII i XVIII wieku.

— Gdybym mogła, chodziłabym po chatach i uczyła kobiety gotować i piec, — ale — niestety i nie mam czasu i nie potrafię.

— To też trudno, aby na jedne ramiona spadał ciężar całej pracy. Należałoby innym do tego się zabrać.

Powstano od stołu. Mężczyźni poszli na cygara, kobiety zebrały się w jednym pokoju. Zauważyłam, iż na mnie uwaga szczególnie była zwróconą. Pewnie litowały się panie nad moją ubogą sukienką, bo u kobiet naszych sprawa sukni jeszcze zawsze jest bogdaj czy nie najważniejszą.

Ja mam w całym zapasie garderoby jedną czarną sukienkę, jeszcze tę, którą sobie za lekcje do matury sprawiłam. Sukienka ta już zniszczona, najbardziej przez jazdę na wozie do S... Deszcz ją skropił bez litości; sukienka na tem więcej ucierpiała, niż moje gardło. Przytem jest już niemożna. Ale, co sobie tam będę z takiej drobnostki robiła?...

Pożegnałyśmy wkrótce całe towarzystwo i poszły do naszej szkółki.

Dzień był ciepły i słoneczny. Przed szkołą zebrała się spora gromadka dziewcząt i parobczaków. Wychodzę na ganek i pytam, czego chcą, a na to jedna z dziewcząt powiada:

— Myby chcieli się bawić w „hajiwki“, bo

ksiądz z pod kościoła pędzi i nie pozwala pod kościołem się bawić.

— Dobrze, bawcie się tu przed szkołą, ja się będę przypatrywała.

Na Podolu nieraz widziałam „hajówki“ i nawet dość pamiętałam z tamtych pieśni, ale tu zupełnie inaczej się bawią. Bawią się same dziewczęta, a parobcy stoją jako widzowie na boku.

Najpierw tworzą one długi sznur, jedna chwytając drugą w pasie; sznur ten wywija się, kręci, przegina, zakresła rozmaite figury. Pieśń brzmi bezustannie. Teraz sznur ten zatacza wielkie koło; jedna z dziewcząt staje w środku i trzyma duży pręt. Chór śpiewa:

Czernuszek, duszko,
Wstawaj raniuszek,
Myj się, czeszy się,
Żywo zberaj się,
Ta schoczut tja ludy wzięty,
Ta schoczut tja zamiż daty.

Ta, która jest w środku, odpowiada:

Ta za koho, matynońku,
Ta za koho, tatynońku.

Teraz zaczyna się śpiew znów od początku, a gdy dziewczyna pyta, za kogo ją chce matka wydać za mąż, chór wymienia coraz to kogo innego: to urzędnika, to żołnierza, to pisarza, orga-

nistę, „popa“ i inne godności, lecz odpowiedź jest zawsze jedna:

Oj, ne pijdu, matynońku,
Oj, ne pijdu, tatynońku.

Aż gdy chór powiada, że ją matka da za mąż

Ta za chłopą — za bidnoho,
Z seła twoho myleńnikoho...

dzieweczyna kończy:

Ta wże pijdu, matynońku,
Ta wże pijdu, tatynońku.

Po malej przerwie następuje druga zabawa: Znów dziewczęta tworzą koło, jedna jest w środku, z dużym prętem. Co ten pręt ma oznaczać, nie mogłam się dowiedzieć.

Chór śpiewa:

Pryjd swacho, pryjd,
Pryjd swacho, pryjd.
Odna kurka peczena,
Druha kurka warena,
Pryjd swacho, pryjd.

To ostatnie „pryjd“ przeciąga się bardzo długo. Na to „swacha“ odpowiada:

Nycz — ne pryjdu,
Nycz — ne pryjdu.
Zleś sy syna wyuczyla,
Diwezynuś my zwoloczyła,
Nycz — ne pryjdu.

Te dwie zwrotki powtarzają się bez końca, z tą tylko różnicą, że za każdym razem chór daje zamiast kury co innego.

— Oden buśko peczeny,
Druhyj buśko warenyj,

albo:

— Odna żaba peczena,
Druha żaba warena —

a wtedy śmiechy rozgłośnie rozlegają się w okóło. Tak schodził czas, aż dzwon wezwał na nieszpory.

Wszyscy poszli do kościoła, a przed naszą chatą zrobiło się cicho. Wyszła mama na ganek, usiadła obok mnie i powiada:

— Widziałaś, jak Łomska cały czas przy śniadaniu ze mną rozmawiała. Opowiadała mi, że jej brat, pan Czesław, żeni się bogato, z jakąś panną z Litwy. Poznał ją we Lwowie, w karnawale. Panna śliczna, rozumna, ale nadewszystko bogata. Zdaje się, że w czerwcu będzie ślub.

Słuchałam o tem na pozór obojętnie, a wreszcie powiedziałam mamie:

— Bardzo dobrze, że się żeni, bo już nie będą go posądzali o jakieś plany względem mnie.

— I ja bardzo jestem z tego zadowolona. — dodała mama, — ale pani Łomska prosiła mnie bardzo o tajemnicę, ażebym nic przed Czesławem

o tem nie wspominała, bo on żądał od siostry, aby nikomu o tem nie mówiła.

W drugi dzień świąt po południu, przyszedł Czesław. Chciałam być zupełnie taką samą w obejściu, jak dawniej, aby mu niczem nie okazać, iż wiem o jego planach co do małżeństwa, lecz szło mi trudno. Myślałam też sobie: dlaczego on tai przedemną swoje zamiary? Dlaczego się kryje? Czyżby chciał istotnie bawić się tu ze mną, ubogą dziewczyną, a tam serce nieść pannie bogatej?

Jakoś wydał mi się dziś niemiły, a w każdym jego zdaniu widziałam ukryte plany, maskowanie się i nieprawdę. Trzymałam się nawet tak z daleka, aby nie mógł ze mną do dłuższej jak to zwykle robił, zasiąść gawędki.

Wieczorem nadjechali Wierzejscy, Bronia i Pychnicki. Było więc osób więcej, a i gwaru i śmiechu trochę odezwało się w naszej cichej zawsze chatce.

Usiadłam na chwilę do fortepianu.

Czesław zbliżył się.

Grałam same ludowe, tęskne, ruskie melodye, bo to ze mnie grajek lichy i nie wiele umiem, a gram tylko to, co mi najwięcej do serca przypada.

— Nie uwierzy pani — przemówił Czesław przyciszonym głosem — jak niecierpliwie czekałam, aby się ten nudny karnawał i smutny wielki

post już skończył. Chciałem bogdaj jak niedźwiedź zasnąć zimowym snem, a obudzić się dopiero z wiosną.

— Ależ wierzę i wyobrażam sobie pana w tęsknem oczekiwaniu wiosny — śmiejąc się, rzekłam. — Ja, gdybym była na miejscu pana, tak samobym tęskniła.

— Tęskniłaby pani?... — spytał jakby ze zdziwieniem, — a przez całą zimę i tyle długich miesięcy pracy nie miała pani czasu na jedną bogdaj chwilę tęsknoty?

— Dlaczego? Czyż pan sądzi, że myśli biednej dziewczyny, zaprzagniętej w jarzmo pracy i skazanej na odludne życie, nie rwą się czasem do świata, do serc bratnich?

— Ostatnim razem, gdym z panią rozmawiał, wydała mi się pani tak chłodną, iż prawdziwie myślałem: tu jeszcze serce śpi, jeszcze nie zna ognia miłości, więc i nie miałem odwagi pukać, ani pytać o jedno słodkie a szczęsne słówko.

Uderzyłam parę silnych akordów, aby zagłuszyć jego słowa, a ukryć swoje zmieszanie.

— Jakże on chce bawić się mną — pomyślałam w duchu z wielkim bólem, lecz udając zupełny spokój popatrzyłam mu w oczy i rzekłam:

— Moje serce nie śpi, bije silnie i gorąco, ale ma także swoje rygle i zamki. Gdy się dla kogo zamknie, szturm daremny.

On spojrzał na mnie swemi pięknymi oczyma

tak jakoś głęboko, iż drgnęłam pod siłą tego wzroku, przetarł ręką czoło i rzekł:

— I czemu pani mnie o tem mówi? Czemu? Czy pani pojmuję, jak te słowa na mnie działają?

— Wie pan co, nie mówmy o tem, nie bawmy się tem, co jest i powinno być święte.

— A któż się bawi? Pani przecież nie, a ja... ja?... Czy pani jest zdolną nawet przypuszczać, że ja się bawię?

— Przyszłość okaże — rzekłam, wstając od fortepianu.

Tego wieczora już ze mną nie rozmawiał.

We wtorek, około godziny 11, zajechał przed nasz dom wózek, z niego wysiadł... Mieczysław. Tożto witaliśmy się szczerze, jak nigdy! Otrzymał już posadę „bezpłatną“ i wyjeżdża do Tarnowa. Zmężniał i wypiękniał. A jaki dobry zawsze, jaki dobry!...

Po obiedzie wyszliśmy wszyscy z mamą przejść się trochę, do lasu. Skowronki śpiewały wesoło, parę bocianów już zobaczyliśmy, a w lesie i kwiatków znalazło się dość. Czesław, dowiedziawszy się od Anusi, że jesteśmy w lesie przyszedł do nas.

Ja z Mieczysławem rozmawiałam ciągle; śmiałyśmy się chwilami i bawili wesoło. Uważałam, że Czesław patrzył na to z radosnym uśmiechem, Podał mamie rękę, szukając miejsca, gdzieby mama mogła spocząć. Mieczysław w powrocie mówi do mnie:

— Wszystko to dobrze, moja pani nauczycielko, co mi opowiadacie o swoich dzieciach, o lekarstwach „na uroki“, o wieczornicach i bajkach, ale ja mam do was jedną, bardzo, bardzo wielką prośbę. Zanim ją jednak powiem, musicie najpierw przyrzec, że odpowiecie: „dobrze“. Zgoda?

— Ależ zgoda, przyrzekam, że na wszystkie prośby pana Mieczysława zawsze będę odpowiadała: „dobrze“.

— I nie boi się pani, aby potem nie żałowała tego przyrzeczenia?

— Nie! Jestem pewna, że pan o nic takiego prosić nie będzie, czegobym nie mogła zrobić.

— A więc — zbliżając się ku mnie coraz bardziej, prawie szeptem, rzekł Mieczysław:

— Niech mnie pani kocha!...

Stałam. Czułam, że zarumieniłam się silnie.

— Panie Mieczysławie, a cóż pan mówi — zapytałam żywo, — czyż ja panu nie sprzyjam, czyż pan nie wie, że jestem życzliwą, że że...

Zająknęłam się i ani rusz dalej, a Mieczysław na to:

— Ja to wszystko wiem i za to jestem niezmiernie wdzięczny, ale dla mnie to za mało, ja chcę, aby pani mi powiedziała: kocham...

Nie odrzekłam nic, szliśmy dalej; gdy już kawalek drogi w milczeniu uszliśmy, Mieczysław znowu mówił prawie szeptem:

— To jedna prośba, i na nią mam obietnicę, że pani powie: „dobrze“. Więc czekam na to słówko, a teraz druga prośba. Niech pani mi przyrzeknie, że nie pozwoli sobie nikomu mówić o miłości, a będzie czekać na tę chwilę, w której ja zjawię się i powiem: byłaś moją od lat dziecinnych, będziesz moją do końca życia. Dobrze?

Mnie z rąk wysypały się kwiaty na ziemię: stanęłam jak wryta.

Mieczysław patrzył na mnie, oczekując odpowiedzi. Przeszła chwila jedna i druga, wreszcie podałam rękę Mieczysławowi i powiedziałam:

— Dobrze!...

Otóż teraz, pisząc ci o tem przyjacielu papierowy, powiadam sobie: czy to prawda, czy sen? Czy to złudne jakieś wyobrażenie moich myśli?... Ja nie wiem sama i już nie pamiętam potem, co było?

Coś jak przez mgłę widzę, że Mieczysław wieczór długo z mamą rozmawiał, że go mama błogosławiła, a on ukląkł i dłoń jej całował, że i Halka mu wiele uprzejmości okazywała, ale opowiedzieć jak to było, nie mogę. Potem trzymał się odemnie na uboczu i mało co do mnie mówił.

Święta przeszły, teraz nadchodzą dni zwykłej pracy, a ja jakaś niby zmęczona, niby inna, jak przedtem.

4 maja.

Więc jestem narzeczoną; dałam słowo człowiekowi zacnemu, prawemu, przyjacielowi memu od lat dziecinnych. Ale nasze zaręczyny zostaną w zupełnej tajemnicy przed światem, bo mama twierdzi, że tak będzie lepiej. Ja jeszcze popracuję nad ludem, o, długo, długo, on zdobędzie płatną posadę, o potem... cóż za życie przedemną się otwiera? Czy ja się tego spodziewałam? Czy ja mogłam marzyć o takim szczęściu? Jakże się to wszystko stało nagle, niespodzianie?...

Dziwy, dziwy prawdziwe!

I tak myślę sobie teraz: jakże ja byłam dziecinna, gdym pytała się nieraz swego serca, czyli ono wie, co to miłość? Ja kochałam Mieczysława od lat wielu, a nic o tem nie wiedziałam. Dopiero teraz, gdy on swe słowo „kocham“ wyszeptał, podziałało ono jak iskra elektryczna na moje uczucia, ogień strzelił jasny i silny.

Kocham!...

Jakże słodko brzmi to słowo, jakże je miło wymawiać...

Ah! cudowna wiosna tego roku!

6 maja.

Poweselało wokoło. Wiosna w czarownej, co dzień piękniejszej, co dzień strojnniejszej występuje

szacie. Z gaju śpiew ptasząt dzwoni piosnkę już od świtu, a kukulka kuka figlarnie.

We wsi też roboty teraz wiele. Pukają one do okienka chaty i wołają już wczas razem z świtem:

— Chodźcie ludzie, chodźcie dzieci, chodźcie wszyscy!...

A tu lud się poczyną żalić znowu: dzieci nam brak, dzieci nam trzeba, co będziemy robić?

Przyjdzie jeden do mnie i powiada, jak to szkoła w czasie robocizny ludziom ręce krępuje, oczy wiąże, świat zamyka. Bo gdy chłop dziecka nie ma przy sobie, przy bydelku i przy chacie, rady sobie nie da.

Przyszła wdowa Rzepecka i znów mi prawi:

— Tak paniusiu, tak, bez dzieci nie niema, aniby żyto kłosem nie szumiało, aniby lnu na przyodziewę nie było, aniby się żadna gaska nie uchowała, gdyby nie dzieci. A cóż poczniemy bez nich?

I słyszę te skargi wokół i widzę, że ludowi rzeczywiście dziatwy trzeba. Więc myślę i dumam, jakby tu poradzić?

Wołam dwóch gospodarzy i pytam:

— Powiedziecie byłoby wam dogodniej, gdyby starsze dzieci przychodziły rano do szkoły o szóstej i siedziały do dziewiątej, bo potem wam cały dzień już mogą być pomocne? Później przyjdą młodsze o dziesiątej, będą się uczyć do dwunastej i do południa już będzie po nauce szkolnej.

Gospodarze powiadają, że w ten sposób doznałoby wielkiej ulgi, żeby Boga za moje zdrowie prosili, gdybym im tak naukę ułożyła. Więc idę do księdza proboszcza z zapytaniem, czy Rada szkolna miejscowa na to się zgodzi; potem piszę do Rady okręgowej, i rzecz załatwiona.

Jutro już dzieci przyjdą o szóstej. Raniutko wstaje rolnik do pracy — mogę i ja o szóstej już pracować. Zastosować się do pracy ludu i jego potrzeb, to wielkie powołanie szkółki wioskowej!...

U mnie w ogródku, już coraz ładniej. Porysowałam ścieżki. posadzałam krzewy, a jak się dziatwa rozbiegnie na pauzę po ogrodzie, ma którejś pohulać.

Bronia S. często do mnie przyjeżdża, uczy się u mnie robić kwiaty. Rzecz to bardzo potrzebna dla ludu w tej stronie, gdzie dziewczęta ubierają się w kwiaty robione. Wszystkie kwiaty, jakie nasz lud nosi, są sprowadzane z zagranicy. Czyżby nie można przecież zaprowadzić domowej roboty kwiatów? Oto ja spróbowałam i dzieciom doskonale się to udaje. W ogóle plan robót kobiecych w szkołach ludowych potrzebuje wielkiej reformy i dokładnego zastosowania do potrzeb ludu. Powiat każdy dla siebie powinien sporządzić osobny plan, opracowany przez doświadczonych w pracy po wsiach nauczycielki i wedle niego ten tak ważny dział w oświacie ludowej zorganizować. Ja u siebie roboty przyznam się szczerze, prowadzę zupełnie we-

dle własnego pomysłu. A zanim ja ten dział nauki w życie wprowadziłam, miałam nie mało roboty.

Zapowiadam dziewczętom raz, drugi i dziesiąty, ażeby przyniosły do szkoły kawałek płótna, igłę i nici; będą się uczyć szyć. Ale ta moja zapowiedź jest głosem wołającego na puszczy.

— Dlaczego nie przynosicie roboty — pytam jednej i drugiej. Kasi lub Marysi, a one na to:

— Mama nie chcą płótna dać, — powiadają, że szkoda, bo ja się szyć nie nauczę.

Gdy więc spostrzegłam, że rodzice nie chcą dawać materyałów do szycia, wybrałam się raz na wieś i spotkawszy tę lub ową kobiecinę, której dziewczynki do szkoły chodzą, mówię:

— Moja gospośiu! Czemu wy nie dacie płótna na szycie dla Kasi? Czyż wam to źle będzie, jeśli się dziewczyna szyć nauczy?

A ona odpowiada zupełnie po prostu:

— Proszę pani nauczycielki, powiadają wszyscy, co niejkiej nauki szycia w szkole niema. Z tych „wsiów“ gospodynie, w których jest szkoła, „przekazywały“ nam, abyśmy szycia nie dawali, bo jedno się płótno marnuje. Szyje tam dziecko jakiś kawałek płótna cały rok, a potem z tego ani pożytku, ani ubrania.

Domyśliłam się, że tu mowa o tak zwanym „płatku“, na którym, wedle planu, dzieci w szkole szyją. Niby to jest cel, aby na jednym kawałku

dziecko się nauczyło szyć, podszewkować, obrębiać, stępnować, cerować, i t. d. Ale to dzieci zniechęca i rodzicom się nie podoba. Istna robota Penelopy, bez końca. Lud lubi widzieć wszędzie jakiś cel praktyczny; gdy więc do chaty dziewczyna przyniesie uszyty fartuch, uciechy jest dość, ale taki miśternie wyszyty kawałek płótna, bez pożytku oznaczanego rzucają z niechęcią.

Ja u siebie dostarczyłam dla dzieci sama igiel i nici a nawet dla całkiem ubogich dałam płótna. Poczęły szyć od fartuchów, a były to wcale ładne, czerwono wyszywane fartuszki. Gdy się one potem we wsi pokazały, zachwyt był niemący. Potem szyły koszule, teraz już robią tak zwane mereżki, bo są one we wsi w zwyczaj.

Niejedna dziewczyna dlatego nie nauczy się szyć, że nie ma materyału. Czyli zaś moje szczupłe dochody starczą mi i na to, abym dzieciom dostarczała materyału do robót? Czy to ja już mało dała zeszytów, piór, ołówków, a nawet książek takim biedakom, którzy istotnie nie mogą sobie nie kupić?..

Rada szkolna miejscowa nie może dać na takie wydatki, bo i na najpotrzebniejsze za mało ma grosza.

Ale przecież dwór, Rada powiatowa, wreszcie dobroczynne instytucje nie mogą o biednych szkołach pamiętać?..

9 maja.

Bronia nie może mi się dość naopowiadać o tem, jak tamtejszy ksiądz nad ludem gorliwie pracuje, jak poświęca się, jak pragnie istotnie powierzone sobie owieczki prowadzić dobrą drogą. Gdy o tem słyszę, smutno wzdygam. Niestety, u nas inaczej. Zanadto boleśnie byłoby nawet pisać o tem, co się tu dzieje. Wolę zamilczeć i prosić Boga o przemienienie...

10 maja.

Okno otwarte. Za ogrodem pole zielone, za niem parę małych chatek, nad niemi niebo chmurne i łzawe, a pod jego skrzydłem jaskółek roje płaczą się, unoszą.

Ja siedzę sama w klasie. Oto niedawno wyszła ostatnia gromadka moich dzieci i pobiegła wesoła do wsi. Był tu przedtem gwar i śmiech, śpiew i nauka — teraz: cisza.

Deszcz i deszcz prawie ciągle. Padają krople jego na zielone pola, na rozkwitłe drzewa, a kwiatów białe listki, jak śnieg wiosenny, na ziemię się sypią.

Szkoda kwiatów, które przedwcześnie opadną z gałązki, szkoda kwiatów, które wiatr rozwieje, szkoda i tych, które zwiedną pod skwarem słońca, a szkoda i tych, które rozkwitły kędyś na dale-

kiem pustkowiu, i nikt ich nie zobaczy, nie oceni, nie posłucha.

Wiosna! Czarowne słowo... Tyle razy już wymawiały je usta nasze, a tyle zawsze ma w sobie uroku i sily.

Wiosna! To pierwszy błysk słońca ciepłego, powiew wiatru z dąbrowy, woń ziół i kwiatów, szybki lot jaskółki, harmonijny akord przyrody, budzącej się do życia, a przynoszącej nam ożywcza siłę i nadzieję. Wiosna! to piękno i młodość, nadzieja i wiara, czas zasiewu i pracy, pieśń zapалу i uniesienia!

Nauczycielko! Każde dziecko w twej szkółce — to wiosna! To wiosna jedna, niepowrotna. Wiosna dla kwiatów, ptasząt, dla roli czarnej, wraca co roku, ale wiosna serc dziecięcych nie wróci.

A ileż ty, nauczycielko, takich wiosenek masz pod strzechą swoją?... Ileż to trzeba tobie mieć skarbów ciepła i światła, byś każde serce zasiała, ogrzała i oświeciła?...

Tyle wiosen, a przecież wiosna jedna!...

12 maja.

Trudno mi, o czem innem teraz dumać, o czem innem śnić, czem innem się poić, jak tą jedną pieśnią czarowną w duszy mej roztloną, pieśnią ukochania.

Tak! Ja sama przed sobą kryłam się przedtem

z uczuciem miłości, ja nie przyznawałam sama przed sobą tego, co było na dnie serca, ale teraz, teraz mogę o tem dumać i śnić. Kocham i jestem kochaną!...

Wszystko, co może podnosić człowieka, męczyznę, nad miarę zwykłych ludzi, co mówi znacznie o charakterze i czystym i silnym, wszystko, co go może na liście wielkich dusz stawiać, ja w nim od dawna widziałam.

Być kochaną, to takie szczęście wielkie, jak życie długie, jak słońce wysokie, jak wiara silne.

Być kochaną, to tyle kwiatów naokół, tyle jasności w duszy, tyle piękna w świecie. Być kochaną, to taka pieśń cudna, cicha i nieskończona, to taka nie złota, której nie przerwie i nikt i nie, nawet śmierci kosa. A ja jestem kochaną!...

Ale być kochaną, to znaczy zarazem być odpowiedzialną za to, co się z tą wielką siłą uczucia stanie. Przecież wiem, że są kobiety, które łamią i depczą, brudzą i zabijają miłość czystą, młodzieńczą; są takie, które się bawią nią, jak cackiem, jak rzeczą, która może być zmieniana. Są wreszcie i takie, które biorą miłość na swoją zupełną własność, egoizmem swoim tak skrępują serce mężczyzny, iż ten utonie w miłości i poza nią celu życia i powinności nie widzi.

Ale ja nie boję się. Ja biorę twe serce w swe dłonie i nieść je będę nieskalanie i święcie; będę też strzedz, by uczucia serca twego były zawsze

jak lot orla wysokie, jako granit nieugięte i silne, jako wód fale czyste i srebrne.

O! nie odwiodę ciebie od poświęceń dla Ojczyzny, nie ukolyszę cię pieśnią własnego szczęścia nie otoczę kołem ciasnych, tylko naszych pragnień..

Ty musisz jeszcze mozolić się i trudzić, walczyć i działać, — a ja, pracować jeszcze dla ludu muszę, muszę.

13 maja.

Gdy tylko śniegi znikły, a trochę cieplejsze słońko, błysło, wygnano już ze wsi bydelko na błonia. Błonia te leżą prawie o pół mili od wsi; ogromne, niezmierzone obszary, ciągną się równą nizina. Środkiem błoni przepływa Strwiąż. Z każdej chaty idzie osobny pastuszek, czy pastuszką z bydłem na błonia i tam całe dnie spędza. Gdy zaczęły i moje dzieci szkolne chodzić na błonia, spostrzegłam w nich wielką zmianę. Nietylko stawały się dziwnie zmienione, opalone, brudne, włosy rozczochrane, wzrok jakiś rozpalony, dziki, ale i pod względem obejścia się, uwagi przy nauce, wszystko było coraz gorsze.

Poczęłam badać przyczynę. Jednego, drugiego dnia, wybrałam się na przechadzkę na błonia. Wrażenie, jakie odniosłam, było okropne!... Na ogromnej przestrzeni doliny ciemnieją nie duże krzewy łozy, rosnącej nad brzegami Strwiąża, a między niemi stadko była mizernego, drobnego,

ledwie się ruszającego. Bydła nie wiele, krów, jałownika i koni nie roboczych jeszcze, może razem ze sto kilkadziesiąt sztuk. Na dozorowanie ich wygnano ze wsi blisko do 80 dzieci.

Bydło skubie tę trawę, jak może, bo nie ma jej wiele, a dzieci z nudów zabawiają się w rozmaity sposób. Gdybyż tam były tylko moje dzieci, jeszczebym radę znalazła; dawałabym im książki do czytania, lub pieśni do śpiewania, a dziewczętom jakie roboty, ale prócz moich dzieci jest tam spora gromadka tych, których już szkoła nie chwyciła bo przeszły lata obowiązujące do nauki, a te — to zaraza.

Patrzę więc na to życie wpół zwierzęce, z bydłętami, i przemyśliwam, coby na to wymyśleć i jaki znaleźć środek zaradczy. Mówię z rozumniejszymi gospodarzami, aby oni sobie wynajęli dwóch lub trzech pastuchów gminnych i aby ci paśli bydło, bo dzieci się tam psują i uczą wiele złego. Ale oni powiadają:

— Pani nauczycielka nie wiedzą, jak nasza gmina z bydłem bieduje. Na błoniach bydło się pasie tylko do połowy maja. Potem nie wolno nikomu tam paść, bo się błonie „zapuszcza“ na siano. Teraz zaczyna się we wsi największa bieda, bo każdy swoje bydelko jak może i gdzie może musi paść, aby jako tako przy życiu utrzymać. Ten pasie na kawałku ugoru, ten na miedzy, ów na rozdrożu i tak jak może sobie radzi. Więc pa-

stucha gminnego nie możemy trzymać, bo niema na lato pastwiska jednego. Na błoniach siano się kosi raz przed św. Janem, a otawa się kosi przed Matką Boską Siewną. Wtedy bydło znowu idzie na błonia i już tam jest, aż dokąd śniegi nie spadną. Tyle jego życia i użycia, bo się przez lato i przez zimę ciężko nabieduje.

Chciałam koniecznie wymyśleć jakieś zajęcie dla dzieci i przypadek podsunął mi plan dobry.

Jeden mały chłopak upłócił na błoniu dość ładny koszycek i przyniósł mi do szkoły. Otóż to, pomyślałam, mają tam łóz tyle, niech się nauczą koszyki wyplatać, będzie zajęcie, zużytkowanie łozy i zarobek jaki taki.

Ale kto ich nauczy?... Rozpytuję się, czy gdzieś w okolicy niema jakiego koszykarza, lecz mi chłopci mówią:

— Tu nikt „nie zna“ robić koszyków, a choć łozy pełno, my musimy kupować w mieście koszyki i drogo za nie płacimy.

Byłam więc dziś u inspektora i pytałam, czy nie będzie miał nic przeciw temu, jeśli bym pojechała w wakacje na naukę koszykarstwa, a potem je w szkole zaprowadziła.

Zgodził się, ale zastrzegł się z góry, iż żadnych funduszków niema na koszt a że jeśli chcę, to muszę wszystko zrobić na własny koszt. Własny koszt! Dobrze powiedzieć, ale ja nie mam na to ani

centa. Teraz sprawiłam sobie jasną, letnią sukienkę i kapelusik, a to wydatki wielkie.

Halka z szycia fartuchów uskładała sobie tyle, iż także kupiła sobie sukienkę różową. Wygląda w niej, jak zorza poranna. Śliczna dziewczyna...

14 maja.

Dziś dostałam temata z Rady szkolnej do opracowania na konferencję okręgową, która ma się odbyć w połowie czerwca. Treść tematów istotnie taka, że nie wiedzieć, co z tego wybrać.

O sadach, o pasiekach, o ułamkach dziesiętnych, o przeprowadzeniu ustępu „Monarchia austriacko-węgierska“ i t. d. Wszystko teorye, a dla rozwinięcia celu, idei, — nic!...

Trzeba przecież pamiętać, iż nauczyciel ma ogrzewać i karmić siłą swoich uczuć serce wiele, a więc to serce nauczyciela trzeba od czasu do czasu rozgrzać i hasłem wielkich idei rozbudzić z apatyj lub umęczenia.

15 maja.

Od dawna myślałam nad tem, co przygotować dzieciom do rozdania na egzamin. Rada szkolna krajowa zaleciła surowo, aby tylko te książki były wydawane, które są polecane przez Radę szkolną krajową. Cóż zrobić, jeśli ja takich książek nie mam, ale mam natomiast inne.

Pocziwy Mieczysław napisał sam i wydał własnym kosztem śliczną książeczkę dla dzieci. Są tam opowiadania z życia najślawniejszych Polaków: o Żółkiewskim, Czarnieckim, Pułaskim, Kościuszcze, Brodzińskim, Mickiewiczu i t. d. Styl doskonały, forma opowiadania bardzo zajmująca. Otóż przysłał on niedawno mi tych książeczek około 100; wszystkie ładnie oprawne w czerwone płótno, z białym orzelkiem.

Wniosłam więc podanie do Rady szkolnej krajowej i załączyłam jeden egzemplarz, aby mi poleciła to dziełko na nagrodę. Na odpowiedź czekam niecierpliwie.

16 maja.

Ciekawe zdarzenie spotkało Wierzejskiego. Przed kilku laty został on mianowany stałym nauczycielem w Górkach. Każdy nauczyciel, po otrzymaniu dekretu na stałą posadę, musi płacić dość znaczną sumę za dekret, obliczoną według procentu od płacy. Płacił więc coś blisko przez dwa lata po 2 złr. miesięcznie. Teraz dostał wezwanie surowe, że, jeżeli sumy tej nie uiści, zapłaci karę.

Biedaczysko jest bardzo strapiony. Żona go trapi, że kwitów nie chował za tamte raty, a on nie ma się czem wykazać, że już raz zapłacił.

18 maja.

Dziś byłam we wsi i w kilku zagrodach, gdzie są starsze dziewczęta. Urządzałam ogródki kwiatowe. Uprosiłszy tu i tam u matuli kawalek ziemi, zrobiłyśmy grządeczki i okrągłe i ukośne, ścieżki udeptały, kwiaty zasiewały. Co to było uciechy, co radości!...

O nasiona kwiatów postarał się pan Czesław, bo pamiętał, gdy mu już dawno wspomniałam, iż trzebaby powoli, przez działwę, między lud wprowadzać hodowlę kwiatów, gdyż uszlachetnia to serca i ozdobia wioskę.

Pamiętał o tem i przysłał mi niedawno paczkę nasion sprowadzonych z zagranicy. Przy nasionach był tylko jego bilet z napisem: „z prośbą o przyjęcie i rozsianie po ogródkach przed chatami“. Rozsiałyśmy kwiaty, a ja dumałam pytając:— kiedy będzie siejba wielkich myśli po chatach?

Kto wie, czy ten sam anioł dobry, który wiosną przelatując nad ziemią sieje kwiaty polne, nie rzuca ziarn myśli nad kolebką tej lub owej dziecińcy po chatach?

Czemuż kwiaty, rzucone na błonia dzikie, na łąki leśne, na brzegi strumieni i ruczajów, kwitną obficie i pięknie, a tak mało kwiatów u nas wschodzi i zakwita w duszach ludzkich? Czemuż tamte i tyle burz przetrwają i przeciwnościom się oprą, a tyle marzeń, uczuć i pragnień wędnie tak rychło przed nami?...

21 maja.

Gdy pytałam Milki, czem jej narzeczony zdo był jej serce, za co go pokochała, ona mi odpisała:

— Kocham go takim, jakim jest, a jest dzieckiem swego wieku.

Zdanie to jej zastanowiło mię. Jakże to każde serce kobiety inaczej miłość pojmuje!... Ona kocha go jakim jest, a jest dzieckiem swego wieku; ja, kocham „go“, jakim jest, ale jest właśnie zupełnie odmienny od dzieci tego wieku i to go w oczach moich stawia wysoko, to go czyni godnym czci, szacunku i ukochania.

Nie jestem tak bardzo doświadczona, bym mogła przed ludźmi śmiało swoje poglądy wypowiadać, ale tu, przed tobą, papierowy przyjacielu, mogę snuć myśli przędzę, bo i tak nikt tego czytać nie będzie. Dzisiejsza młodzież albo wcale nie zna ideałów, albo ideałem jest dla niej grosz, order i rozkosz życia.

Dziś każdy się pyta,

Ile kto ma zagonów, lub ile par wołów,
A wtedy się pytano młodzieńców sokołów,
Ile grodów zdobyli, ile ran odnieśli?...

A dziś pytają, kiedy awans możliwy, na ilu balach byli w karnawale, ile orderów otrzymali, ile lat praktyki mają, lub ile egzaminów złożyli?...

Ah te egzamina!... Czyż dają one jakąkolwiek gwarancję zasad, czynów, wartości człowieka? Są one tylko warunkiem zdobycia chleba, lecz poza tem należałoby naszych młodzieńców powoływać do egzaminów innych, gdzieby mogli dowieść, jaka właściwie jest ich wartość.

Młodzież nasza grzeszy przede wszystkim wielką zarozumiałością i nadętością. Owe hasła postępu, zdobyczy nauki i wynalazków, które nie są zupełnie zasługą młodzieży, lecz które ona gotowe już dostaje, czynią ją napuszystą. Za tem w ślad idzie gonitwa o byt i to byt jak najwygodniejszy. U nas dziś młodzież nie ma czasu zapoznać się nawet dobrze z dziełami największych naszych poetów, nie czyta nic z zakresu historii literatury, ludu nie zna, za to wszyscy śpieszą, gonią, aby dostać posadę.

Ja kocham zacnego, szlachetnego młodzieńca i to mię napęłnia szczęściem. Ubogi syn szlacheckiej szlachty, trudem i walką zdobywał wiedzę, wśród prądów rozlicznych, kierował swoją łodzią prosto ku jasno wytkniętemu celowi. On mój, — a ja go ojczyźnie i ludowi nie zabiorę. Dla siebie wezmę najmniejszy, najlichszy kącik serca i myśli, aby dużo, dużo zostało dla sprawy narodowej i ukochania ludu!

22 maja.

Sprawa procesu gminy z dworem zdaje się ukończoną. Wspomniał mi dziś ksiądz proboszcz o tem, gdy był w szkole. Gmina proces wygrała. P. Łomski ma być do najwyższego stopnia rozgniewany. Ksiądz także przepowiada, że teraz chłopci będą jeszcze butniejsi i jeszcze bardziej będą dokuczali. Biedni chłopci! Przecież doczekali się zakończenia tego smutnego procesu.

26 maja.

Żyta już się wysypały. Cudnie teraz pięknie na wsi, a i lud poweselał. Przednowek, co prawda, ciężki, lecz nadzieja krzepi serce, będzie chleb, już faluja zboża.

Cichym wieczorem wracałam dziś z gaju do domu, a wspomnienia moje snuły się koło duszy. Jakże dużo można przejść w przeciągu krótkiego czasu!... Jakże ja niedawno byłam jeszcze uczenicą, a dziś czuję się doświadczoną nauczycielką. I już zdaje mi się chwilami, że jestem tak bardzo zmęczona, tak zbolala i utrudzona, jak gdybym chyba za wielu ludzi pracowała. I patrzę na tę moją pracę i pytam, czyli jeszcze w czem nie zawiniłam, czyli w tak wielkiem dziele, jakim jest wychowanie dziatwy, nie zrobiłam jakiej omyłki? Wychowanie wszystkich, to dzieło nieskończone, wychowanie dziatwy z klas wyższych, to rzecz

wielka i doniosła, ale wychowanie ludu, to arcydzieło, i trzeba na to serca, jak wulkan, duszy, jak kryształ, woli, jak granat niezłomnej!...

Poszło nas dużo po wioskach i do tej pracy stańło, ale czy mamy tu wytknięty jasno cel, czy wiemy, jakimi środkami trzeba się posługiwać?... Zaprawdę, kto ludu nie kocha, nie godzien do niego się zbliżyć!

27 maja.

Jest tu zwyczaj obchodzenia tak zwanej „granicznej procesyi“. Gdy już siewy i roboty wiosenne w polu skończone, gdy już żyto zacznie się kłosić, wtedy idą posłańcy po wsi od chaty do chaty i „wybierają“ na procesyę. Ile kto może, daje, czy grosz, czy ziarno, czy kaszę. Wszystko to odnosią do księdza i proszą o procesyę.

W oznaczony dzień procesyi, przyszlį gospodarze mnie prosić, abym dzieci od nauki uwolniła i sama także z niemi na procesyę poszła. Rano już stała przed moim gankiem fura, zaścielona białą płachtą. Gmina mi ją przysłała.

Po mszy świętej procesya wyruszyła z kościoła, z chorągwiemi, „ołtarzykami“ z krzyżem, poszła drogą, aż do miejsca, gdzie się pola Dąbrowy schodzą z polami sąsiedniej wsi. Tutaj granica. Zeszła więc procesya na miedzę, rozwinęła się długim barwnym węzem i tak poczęła iść granicami, wsi, ażeby przez wszystkie pola, łąki, błonia i lasy

obejść wioskę do koła. Na granicy od wschodu, zachodu, południa i północy, ksiądz odczytywał modlitwy, a starszy brat zakopał w ziemię jedną ewangelię, napisaną na ćwiartce papieru. Procesya ta skończyła się o godzinie 7 wieczór, bo też nie-mały kawał ziemi miała do obejścia. Są już we wsi teraz wszyscy spokojniejsi, że grad nie spadnie na te pola.

Gdzie było można jechać, tam było jako tako, ale zdarzały się miejsca, gdzie nietylko, że nie było można przejechać, ale nawet musiano i mnie i księdza przenosić, czy to przez wodę, czy przez moczary.

Wiara ludu, to jego potęga i jego siła. Jak też by ten srode kaleczył rdzeń olbrzymiego dębu, ktoby u ludu począł niszczyć wiarę i ufność jego w moc modlitwy!

Z procesyi wróciłam rozrzuwniona. Hej, wy, co czas i życie trwonicie na sianiu niewiary i brudu, przyjdźcie i popatrzcie, jak lud granice swoje otacza szanćem wiary!

29 maja.

Pan Łomski tak się zirytował sprawą przegranego stawu, iż chce Dąbrowę sprzedać. Teraz wyjeżdża stąd zupełnie. — W dworze tymczasem zamieszka rządcą.

2 czerwca.

Bronia S. ciężko chora na tyfus. Położenie jej okropne. Ani opieki, ani pomocy, ani środków na lekarzy. Jakże mi jej żal serdecznie. Toż to prawdziwie samotną w takiej niedoli czuje się biedna pracownica, gdy choroba u jej łoża stanie... Czy nad choremi nauczycielkami i nauczycielami czuwa kto? Czy jest jakaś pocziwa dłoń, która przyjdzie z pomocą, da środki na doktora i lekarstwo?

Mają tam gdzieś kasę chorych i najubożsi robotnicy, ale nauczyciele jej nie mają.

Któż o tem myśli, któż pyta o ich los?

3 czerwca.

Z Rady szkolnej krajowej przysłano mi zawiadomienie, ażeby do prośby, wniesionej o aprobatę książeczki na nagrodę dla dzieci, załączyła egzemplarz w takiej oprawie, w jakiej miałyby dzieciom być rozdawany.

Zrozumiałam dobrze, o co się rozchodzi. Włożyłam więc znów egzemplarz w oprawie czerwonej, z wyciśniętym białym orzełkiem, i napisałam: Wedle wezwania z dnia tego a tego, liczba ta i ta, przesyłam książeczkę w takiej oprawie, w jakiej ma być rozdawana dzieciom na nagrody.

4 czerwca.

Po długich nareszcie upałach, które znaczną szkodę w polu wyrządziły, deszcz pada i orzeźwia ziemię. Po deszczu jeszcze piękniej, jeszcze zielonej i jeszcze więcej kwiatów. Kukułki kukają, słowik żali się zcicha, skowronek modli się i godzinki śpiewa, a choć pszenica splewiona, przepiórka powtarza ciągle: pit-pi-lit... pit-pi-lit...

Ach wiosko! jak cudownie piękną jesteś! Jak ja cię kocham! Nie mogę już wyobrazić sobie życia bez ciebie! Skąd ci tyle, wiosko, ciszy i piękni, kwiecie i słonecznych blasków, tyle pracy i bajek, tyle modlitw i niedoli!...

Czemże ty, stolico wspaniała, wydajesz mi się teraz, gdy ja wioskę kocham? Jesteś zimną, starą, kamienną figurą, przybraną w fałszywe stroje; jesteś wielką kuźnią upadków i grzechów, miejscem gonitwy za kawałkiem chleba i fałszywą nutą pieśni miłości!... U ciebie wszystko, co jest, jest dziełem rąk ludzkich, a we wsi cuda Boże wokoło nas się ściągają. U ciebie ciasno, duszno, każdy kąt wyzyskany dziesięciokrotnie, każdy atom powietrza porywany chciwie, — a tu tyle fali zieleni, tyle pola i łąk i lasów i dolin...

Tutaj tak miło, choć przy chlebie czarnym, choć przy pracy ciężkiej, choć przy chatach dymnych!...

5 czerwca.

Tęskno mi!... Jak ptak z rozpiętymi skrzydły, jak kwiat z rozwiniętym kielichem, jak błysk kaganka, stoi duch mój w tej chwili na nowych tęsknic fali i pragnie lotu dla skrzydeł jasnych, woni dla kwiatu, a zapachu dla ognia uczuć.

Tęskno mi!... Wszystko co mię otacza, wszystko, co się snuje przedzą dumań i marzeń, co drga w łonie gorącym uczuciem, co stanowi tło moich prac, wydaje mi się jeszcze bardzo bladym i wątpliwym, zimnym i nieudolnym... Tęskno mi!...

Ah!... Jakże my z wszystkiem tem, czem się szcycimy i sławimy, jesteśmy drobnymi i ubodzy wobec cudów przyrody! Cóż cała nasza wiedza, owe wyuczone na pamięć daty, owe dyktowane daty i formułki, owe obwody matematyczne, — czemże to wszystko jest wobec lasu, łąki i łąnu zboża?...

Prawda i piękno, to treść przyrody, a u nas ileż fałszu, brzydoty i lichego naśladownictwa!...

Lud dlatego, że przyrodą poi się, przy niej wzrasta, żyje i uczy się, od niej czerpie swą mądrość i drogi życia wedle jej dróg prowadzi; lud dlatego nieporównanie jest od nas bogatszym duchowo. My, z tym zasobem wiedzy, jakie zdobyliśmy z książek, radzi popisujemy się; lud kryje głęboko swoje spostrzeżenia i z wielkim trudem niezręczny badacz do nich się dopuka. My wró-

zimy o pogodzie lub słońcu wedle barometru, rzeczy martwej, bądź co bądź nie pięknej; lud powiada:

— Gdy się wierzby kłaniają „do kościoła“, będzie pogoda, gdy od kościoła się kłaniają, będzie ślota.

Czy to nie ładny barometr? Naturalnie, taki nasz Jaszczyszyn lub Staszczyszyn nie umie określić, że owo kłanianie się wierzb zależy od wiatru, ale jakże to spostrzeżenie swoje wypowiada pięknie i miło...

Gdy się w życiu ludu bliżej wejdzie, doznaje duch nasz tęsknoty za tem, co u ludu bije silnym tętnem, a u nas zamiera. Jest to owa poetyczna struna życia, która czyni grube płótnianki miłszymi nad miękkie tkaniny tybetów i lśniące jedwabie.

6 czerwca.

Państwo Łomscy sprzedają Dąbrowę i wyjeżdżają stąd jeszcze w tym tygodniu. Powiadają gospodarze, iż Dąbrowę kupuje pan Czesław. Miałoby to być prawdą?...

Zapewnie ożenił się już, albo wkrótce się ożeni i tutaj z młodą swoją żoną zamieszka. Dziwnieby to było.

Nie umiem wypowiedzieć dobrze, jak ta wieść na mnie podziałała.

Czyli mnie to gniewa, czy cieszy?... Czy ja wiem? Cóż mi zresztą na tem zależy?

7 czerwca.

Był dziś Wierzejski. Biedna Bronia przeżyła ciężki tyfus, a położenie jej materyalne jest okropne. Musiała nawet pożyczyć u żyda 50 złr. na niezbędne wydatki, lecz płaci procent wielki. Gdy mi Wierzejski opowiadał o tem, — zawołałam z żalem:

— Czyż nie mamy jakiejś kasy, Towarzystwa, lub czegoś podobnego, gdziebyśmy się mogli w razie nieszczęścia poratować?

— Niestety — odrzekł Wierzejski. — Dotychczas niema nic takiego dla nauczycieli. Był zamiar, otwarcia w oddziałach Towarzystwa pedagogicznego kasy pożyczkowej, ale to szło, licho. Brali ci, co byli bliżej; nauczyciele ze wsi nie mogli się poratować. W ogóle jest wielka przedziałowa, kastowa, że tak rzeknę, jakaś niechęć i niesolidarność między nauczycielami z miast większych, a nauczycielami z ubogich wiosek.

— Czy to możebne? — spytałam.

— Uwierz pani, gdy za dni parę zejdziemy się z całem gronem nauczycielskiem z powiatu tu-tejszego. Niema wśród nas harmonii i bratniej miłości, jakaby być mogła. Jest dziwna zazdrość i pycha. Nauczyciel, który się dostał na posadę do

miasta, spogląda na biednego nauczyciela ze wsi, jak na człowieka, odepchniętego od grona ludzi wykształconych. Nieraz nauczyciel ze wsi przyjdzie do miasta pieszo, obłocony lub okurzony, ubranie jego wytarte i ubogie, twarz zmęczona i zboląła. Patrzą na niego jedni z niechęcią, drudzy ze wzgardą. Czegoż żądać od ludzi innych, gdy i koledzy nami gardzą.

— Panie Wierzejski — przerwałam mu z bólem, — co też pan mówi? Dlaczego pan dziś, po raz pierwszy zdradzasz pesymizm i ból?... Kto pana dotknął?

Wierzejski przeszedł się po pokoju, usiadł, chwilę milczał, a potem zaczął:

— Nie godzi się, prawda, nie godzi się do serc młodych rzucać straszego ziarna zwątpienia, ale niech pani daruje i wybaczy. Czasem i żelazne uczucie miłości bratniej starga się, uderzy w żalobny ton skargi. Spotkała mnie wielka przykrość ze strony kolegów, lecz mniejsza o to. Pani pierwszy raz będzie na konferencji okręgowej?

— Pierwszy raz, cieszę się bardzo, bo poznam wszystkie siły pedagogiczne z powiatu.

— Spracowani i zmęczeni ludzie; niedola i walka o byt smaga ich, u wielu z nich brak prawdziwego powołania, więc niejeden narzeka i żali się nanadto.

— Dziwi mnie to, co pan powiada, że mało jest tu ludzi z powołaniem, bo u nas, w semina-

ryum, większa część koleżanek była oddana sercem i duszą wielkiej myśli służenia narodowi, przez szerzenie oświaty.

— U pań, rzecz zupełnie inna — odpowiedział Wierzejski. — Na nauczycielki, w przeważnej części, idą te panienki, które zapragnęły wyższego wykształcenia i widzą cel jasny przed sobą. Do seminaryum męskiego nieliczne wyjątki idą z powołania.

— A reszta?

— Inni idą do seminaryum nauczycielskiego ze smutnej konieczności. Ten i ów nie mógł kończyć gimnazjum bądź to dla braku talentów, bądź dla braku środków materyalnych; w ostateczności poszedł do seminaryum. Tamten został wydany za jakąś psotę ze szkół średnich — także rzucił się do seminaryum; bardzo często więc są tutaj ludzie porwani na tę drogę wichrem dziwnych okoliczności.

— Smutne rzeczy mi pan powiada, ale ja myślę, że chociaż nawet ktoś pójdzie do pracy nauczycielskiej bez zamilowania, a pozna ją potem bliżej, to ukocha ten swój zagon ubogi. Wszak tyle na nim kłosów i ziarn!...

Na to Wierzejski rzekł mi ze smutnym uśmiechem:

— Niech mi pani wierzy: walka z brakiem najpotrzebniejszych środków do życia depce i przytłumia nieraz najszlachetniejsze uczucia. O! niech

się pani nie dziwi tym, których pani spotyka płazami, gdy mogliby być orłami. Gdzie głód i zimno, a dzieci jeść proszą, tam czarne myśli nekają życie...

Nawinęła się Halka z dużym bukietem polnych kwiatów. Wierzejski zwrócił się ku niej z zapytaniem.

— Czy przez wakacje nie zechciałaby pani przyjąć mej Kazi na naukę robót ręcznych? Przychodziłaby do pani codzień pieszo, a ja bym się za trud odwdzięczył. Nie uwierzy pani, jak to przykro patrzeć ojcu na swe dzieci, gdy rosną, nie ucząc się, jakby się uczyć nie powinny. Kazia potrzebuje koniecznie trochę więcej wychowania kobiecego, a moja żona, zajęta gospodarstwem, mało jej może poświęcić czasu.

Naturalnie, Halka z przyjemnością zgodziła się na propozycję. Uradziłyśmy, że w razie niepogody uczennica jej będzie mogła u nas 2 do 3 dni pozostać.

Chwilę jeszcze gawędziłyśmy z zacnym panem Wierzejskim. Gdy już odchodził, rzekł mi:

— Niech pani nie pamięta o tych słowach gorczy, które rzuciłem; żał mi, że to uczyniłem. Lecz powód miałem ważny. Przekonałem się, że koledzy z miasta użyli środków nieuczciwych, byle mi przeszkodzić w otrzymaniu posady na przedmieściu. Pragnąłem tego dla moich dzieci.

8 czerwca.

Mieczysław pisze:

„Zdaje mi się czasem, że jesteś ptakiem i masz niewidzialnych skrzydeł dwoje u ramion, że płyniesz niemi, jak mgła poranna, nad łąki i pola, nad gaje i rzeki, a zbliżasz się ku mnie coraz więcej, coraz więcej. Zdaje mi się, że widzę cię przy sobie, że słyszę szept twego głosu i czuję ciepło twej dłoni na moich skroniach. I pójdziesz już ze mną w dal nieznaną — pójdziesz, bo wiesz, że cię tu czeka życie nie samolubnej ciszy, lecz pracy i walki dalszej o rozniecanie światła wśród mroków. Pójdziesz, bo wiesz, że mi tu nie braknie siły kochać i walczyć, choćby do mogiły... Wszystko, co zdobędę, co sobie zaskarbię usilną i wytrwałą pracą, będzie i twojem.

„Nie szukamy w naszej przyszłości złota, tytułów i dobrobytu, lecz służby ofiarnej, cichej, wytrwałej, oddanej ojczyźnie. Chatka nasza, do której, da Bóg, ciebie kiedyś wprowadzę, będzie gniazdkiem, uwitem na skale. Będą w nią biły burze, chmury się o nią będą ocierać, ale naszej pogody serc nie spłoszą, jasności naszych myśli nie zamkną. Miłość w niej będzie bez zwątpień, a praca bez wrażenia trudu.

„Czy pojmujesz, jak serce młodzieńca marzy o przyszłości wspólnej dwóch dusz, dwóch serc? A przecież na tę chwilę jeszcze nam czekać trzeba.

Nie tak łatwo nam, walczącym o byt, zdobywać szczęścia ciszę, jak mogą ją zdobyć ci, którzy mają materialne potrzeby aż nadto obficie zaspokojone. Czy jednak czekanie nasze nie jest nam miłe? Wszak wiemy, że się zejdziemy, a czy zwalczane przeszkody mogą nam wyziębnić serca?... Ubodzy materialnie — czujemy się bardzo bogatymi w szczęściu i ciszy duchowej. Wytrwaj zatem pracownico na swoim zagonie, aż przyjdę i wezmę cię z lanu tego i poprowadzę do cichej chatki i powiem: bądźże tu szczęściem, jak byłeś dotąd światłem!“.

Ah!... jeszcze daleko do tej chwili, daleko!...

9 czerwca.

Upały są silne, posucha niszczy plony. Lud we wsi trwoży się bardzo, bo, jak powiada, i trawa na błoniach „zapalona“ i zboża przedwcześnie żółkną. We wsi jest też zmartwienie wielkie. Studnia gminna wyschła z powodu posuchy.

U Staszczyszyna, za wójtem, jest studnia, ale i w niej wody zabrakło. W dworskiej studni jest wody bardzo dużo, ale Łomski nie pozwala nikomu z niej czerpać.

Do Strwiąża jest przeszło ćwierć mili, więc stamtąd nosić wodę, to rzecz bardzo uciążliwa. Zresztą taka woda rzeczna czyż jest możliwa do picia?

Jesteśmy w wielkim kłopotcie. Wczoraj i przed-

wczoraj herbaty nie miałyśmy z braku wody, bo Anusia do dworu bała się iść. Kto ze wsi przyjdzie po wodę, fornale biorą konewki i nie wydadzą aż za opłatą 10 centów.

Ah! ta niezgoda między wsią a dworem, to krwawa, bolesna rana... Ja nie umiem sobie tego wytłómaczyć i wyjaśnić, skąd ona swój początek wzięła. Czyż na tę ranę niema balsamu?...

Wczoraj wieczorem usłyszałam żalorny płacz kobiety. Biegła ona ku karczmie i „zawodziła“ tak boleśnie, jak gdyby jakieś największe nieszczęście ją spotkało. Znajoma to moja, wdowa Borsukowa. Zbliżyłam się więc i pytam:

— Cóż się stało? Dla Boga, co się stało?

— Ah! pannunciu! pannunciu!... nie wyżyć dziś człowiekowi w świecie. Pasła dziewczynina na miedzy przy „pańskim“ moją siwulę. Dziecko zasnęło od gorąca zmęczone, a krowa stąpiła na „pańskie“. Zbili ją, zegnali „fornale“, zajęli do dworu, a krowa była cielna. Teraz przyszedłam do dworu wedle tego, aby zapłacić, a tu krowa się ocielila i ledwie dycha... Nieszczęśliwa godzina, nieszczęśliwa!...

I jęcząc, pędziła dalej.

10 czerwca.

Dziś poszłam osobiście do pana Łomskiego z prośbą o pozwolenie brania wody ze studni. Pan Łomski mi rzekł:

— Owszem, ale muszę postawić jeden warunek. Dwa dni w tygodniu musi mi pani dać robotnika do dworu za branie wody.

Myślałam, że to żart, więc uśmiechając się odpowiedziałam;

— Może też będzie trzeba liczyć, ile konewek wody moja Anusia dziennie dostanie?

— Ja tu dam pani kwity, z którymi robotnik ma wychodzić na lan — mówi zupełnie na seryo pan Łomski.

— Jakto? Więc to pan naprawdę żąda odemnie robotnika za wodę? — zawołałam z największym zdziwieniem, a p. Łomski na to:

— Moja pani, ja wobec tutejszej gminy inaczej postąpić nie mogę. Niech pani zrozumie, że są okoliczności nieraz bardzo trudne. Pani należy do gminy, nie do obszaru dworskiego, więc muszę tu postępować bezwzględnie.

— Rozumiem — szepnęłam ledwie dosłyszaniem głosem. — Zgadzam się na żądanie pana i za wodę tygodniowo będę płaciła 50 ct.

Skloniłam się z pożegnaniem. Pan Łomski wiadać czuł sam niestosowność swego kroku, więc chciał tłómaczyć się, zatrzymał mnie, wyjaśniał powody.

Ja wreszcie rzekłam uśmiechając się ironicznie.

— Ależ istotnie, ja, która należę do tej nieszczęsnej gminy, muszę być zarówno z gminą traktowana i uważana. Nie mam też wcale pre-

tensyi, bym była wyłączoną... czego nie wolno gminie nie wolno i mnie...

— My wyjeżdżamy za parę dni — dodał pan Łomski — zarząd będzie miał w rękach nasz rządca, który tu zjedzie pojutrze. Do niego niech się pani odnosi we wszystkich sprawach.

— Dobrze.

Odeszłam wzruszona i zasmucona bardzo. I prawdziwie już nie wiem teraz, nad kim mam więcej ubolewać, kogo więcej godnym litości uważać: czy tę gminę zaniedbaną, lud ciemny, czy mieszkańców dworu? Więc tak dalece rozdział między nim a dworem jest zakreślony, iż nauczycielka nie może tu stać na pograniczu, być drogą, łączącą dwa światy, lecz jest odsunięta zupełnie od jednego, a wcielona do drugiego? Więc tak — ja należę do gminy, więc z dworem nic mnie nie łączy, nic, nawet tyle, ile warta jest konewka wody, zaczerpniętej ze studni dworskiej!... Ale czyż gmina, zechce mnie uznać za swoją?... Czyż ona powie „pani nasza“? Lud ciemny, szkole niechętny, odrzuca nauczycielkę z nieświadomości, dwór odpycha z dumy... Czemże więc jestem?

— O! posucho lata gorącego! Ileż ty skwaru przyniosłaś ze sobą, jakże palisz i me myśli bezlitośnie!

Rozmyślałam długo, jak mamie o tem powiedzieć, jak Anusię w to wtajemniczyć... Cieszę się

przecież bardzo, iż już w takich chwilach umiem być silną i nie płaczę, jak dzieciak. Bo i czegoż tu płakać?...

Choć można płakać istotnie bardzo gorzko. Jest wśród nas dziś czarna ponura niechęć braci ku braciom, ludzi zamożniejszych do biednych i ciemnych, do oświeconych. To przepaść. Rozkopały ją wieki, a czyż mogą zasypać lata?... Dwór a wieś, jakież to dalekie światy!

12 czerwca.

Milcia pisze wiele o swoim szczęściu. Na październik wyznaczony ślub. Cieszę się i ja jej powodzeniem, bo to zawsze pocziwe było dziewczę. Jednak widzę z jej listów, że ona miłość inaczej odemnie pojmuje. U niej znać, że poza słowem „kocham“ kryje się zaraz słowo: „bogaty“, a poza uczuciem miłości snuje się chęć posiadania wygodnych warunków życia. Są przecież kobiety, dla których wybór serca łączy się z pytaniami: ile ma pensyi? jakie egzamina? jaka przyszłość?... Nieraz odepchnie ta lub owa najzacniejsze serce młodzieńca dlatego, iż trzebaby nieco dłużej poczekać na niego, bo przecież lepiej brać to, co daje od razu dostatnie utrzymanie.

Niejedna też odrzuci miłość czystą, jak lza, bo młodzieniec nie objawia „szyku“ i elegancyi. Niejedna wyśmiewa śmiałka, który odważa się mówić

o miłości, gdy ma brzydki nos, oczy, usta... Jakżeż można kochać brzydala!

A przecież ów postęć, o którym tyle już kobiety głoszą, powinienby się oprzeć na rozumie. Celem kobiety dawać szczęście i nie dla siebie szczęścia szukać. Więć jeśli kochana kobieta ma dać szczęście, niechże nie pyta, czy dużo złota, czy oczy piękne, czy suknie modne, czy ruchy salonowe.

13 czerwca.

W koszulinie wątlę, bosi,
Przepasany wązką krajką,
Opalony, białe włosy —
Bóg wie, gdzieby szedł za bajką.

Tak śpiewał Lenartowicz o chłopczynie wiejskim, tak i ja mogę o swojej gromadce powiedzieć. Opalone to, w koszulinach białych, a chude i zmizerowane przednowkiem. Przychodzą codzien do mnie, jak owe ubożuchne dzieci do bogacza, który im chleb rozdziela. Biada bogaczowi, jeśli głodne dzieci do domu odesłę, biada i tobie szkółko wioskowa, jeśli dzieci twoje puścisz do chat bez światła i ciepła!

A tych dzieci codzien tyle, a do obdarzania jedną tylko masz serce — nauczycielko... A dzieci patrzą w twoje oczy, chwytają każde słowo, chłoną twoją manę, czerpią z twej wiedzy i miłości, jak ze źródła czystego. Cóż?.. nie braknie ci

pokarmu na posilenie i światła na rozproszenie ciemności?

Przyszłam tutaj ubożuchna, bo ów zasób wiedzy, jaki przyniosłam, niczem był w porównaniu z potrzebą. Dziś czuję się bogatą. Mam już doświadczenie.

Wiecie wy, jak to serce uzbraja do walki doświadczenie? Wiecie wy, jak ono mocy dodaje i śmielszymi krokami w przyszłość prowadzi?

Dla działwy ludu osobnej trzeba pedagogii, innej, niż dla dzieci z domów miejskich. A nam w seminaryach, jakież dzieci dają przed oczy? Niejedna młoda nauczycielka, która na wieś przybywa, może po raz pierwszy z ludem się styka. Niejeden z profesorów seminaryum nie zna zarówno ludu naszego, jak nie zna i ludu francuskiego. Czy to nie boleśnie?..

Oto ja wiodę za sobą gromadkę dzieci i pytam się:

— Czyliż nie błędę w czem? czyli rzecz mogę śmiało: zrozumiałam dobrze, jak trzeba lud wychowywać?

Powiadają niektórzy: dzieci wiejskie powoli się rozwijają. Ja twierdę inaczej. Są okoliczności, które dowodzą, iż dzieci na wsi są nieraz „stare“, one wiedzą więcej odemnie, a wiedzą to, czego by znać nie powinny. One słyszą rozmowy starszych i uczą się, one umią już tak samo nienawidzić „pana“ jak nienawidzą go i starzy.

Gdy się o tem przekonuję, dreszcz i ból mnie przejmują. Jakże tu radzić?

A radzić potrzeba.

Zacznę nawoływać do zgody, do miłości bratniej, rzuci się lud na mnie mówiąc, że z „panem“ trzymam. Może teraz, gdy rządca będzie, uda mi się łatwiej nawiązać stosunek łagodniejszy, może powoli nagną się ku sobie te dwa tak niechętnie na siebie spoglądające światy.

17 czerwca.

Oto byłem dwa dni w S. na konferencji okręgowej. Wróciłam bardzo zmęczona i wieloma wrażeniami zdenerwowana. Chciałabym ci, papierowy przyjacielu, jak najdokładniej opowiedzieć to wszystko, co zauważyłam i usłyszałam na tym zjeździe nauczycieli powiatu naszego, ażeby utrwalić to wszystko w pamięci.

Wyjechałam 17-go rano wcześniej, bo o ósmej miałam być na nabożeństwie. Przed szóstą więc zjadłam śniadanie, wsiadłam na wózek i, przeżegnawszy się, ruszyłam w drogę. Tumany kurzu zasłaniały mi świat dziwnie szarym obłokiem. Długa posucha uścieliła drogę na ćwierć łokcia grubym pokładem kurzu.

Zajechałam jak zwykle, na targowicę, i poszłam do kościoła. Po nabożeństwie liczne grono

nauczycieli i nauczycielek poszło do szkoły żeńskiej, gdzie w dużej sali miały się odbywać obrady.

Wszyscy mi nieznajomi, Bronia chora nie mogła przybyć, Wierzejskiego nie spostrzegłam. Nauczyciele i nauczycielki z miasta tworzą odrębną grupę, zupełnie nie łączą się z nauczycielami ze wsi. Owszem, w każdej chwili zaznaczają różnicę.

Nauczycielki zbierają się razem, ja także ku nim zbliżam się, ale jakoś nie mam odwagi rozpocząć rozmowy; one patrzą na mnie z ukosa. Jedne są bardzo postrojone, w jaskrawe kolory, pretensjonalne kwiaty, koronki, aksamity. Inne, ale tych mało, ubrane ciemno, ubogo. Na twarzach jednych znać zmęczenie i ból cichy, zaparcie się, na innych bezmyślność i bezdusność wielka osiadła, jak maska szpetna.

Nauczyciele zasiadają w ławkach po przeciwnej stronie. Młodych jest bardzo mało. Ci, dość weseli, bawią się rozmową, spoglądając z ciekawością na koleżanki. Starszych nauczycieli więcej. Zmęczeni są i biedni; widać to na pierwszy rzut oka.

Inspektor ładną przemową zagaił posiedzenie, a po załatwieniu pierwszych formalności wyboru sekretarzy, zastępców i t. d. potoczyły się obrady

Jeden z nauczycieli przeprowadzał z uczniami tak zwaną „lekcję praktyczną“, ułamki dziesiętne. Potem były odczyty najlepszych elaboratów; nad nimi dyskusya i stosowne wnioski.

Ja, zasłuchana w to wszystko, nie mogłam po-

jać, z czego koleżanki moje śmieją się ciągle. Oglądałam się raz jeden i drugi, ale przyczyny do śmiechu nie odkryłam. Zdaje mi się, że bawiły się one rozmową między sobą i zupełnie nie uważały, o czym mowa.

Tak przeszedł czas do 1-szej po południu. Teraz przewodniczący zapowiedział, że daje 2 godziny przerwy, aby uczestnicy konferencji mogli udać się na obiad i spoczęli nieco, a na trzecią zaprasza na dalszy ciąg posiedzenia.

Ruszyli się wszyscy z sali. Ja zawahałam się chwilę, myśląc nad tem, gdzie mam iść na obiad; dwie inne nauczycielki również zostały.

Zbliżam się do nich i pytam, co myślą zrobić z obiadem?

— Właśnie nie mamy się gdzie udać, — odpowiada mi jedna, słuszną, ładną brunetka.

— Kto ma znajomych w mieście, to idzie do nich, ale my nie mamy nikogo — dodaje druga.

— Ja tak samo nie mam nikogo znajomego, więc może razem zostaniemy — odpowiedziałam uprzejmie.

Rada w radę, zdecydowałyśmy wreszcie, iż kupimy sobie parę bułek, nieco szynki — wyjdziemy niby przechadzką za miasto i tam przeczekamy do trzeciej godziny, bo tak błąkać się po mieście trzem dziewczętom niemiło.

Upał był niezmierny. Czuliśmy się zmęczone, a tu ani gdzie spocząć, ani głowy przytulić. Tak

mi jakoś było dziwnie smutno i sieroco w tem mieście, tak jakoś cudzo i zimno, że chwilami lzy cisnące się czułam pod powieką.

Moje towarzyszki humoru nie traciły; bawiły się między sobą dobrze.

Po południu Wierzejski miał odczyt: „O stosunku szkoły do chat“.

Oto niektóre, dobrze zapamiętane wyjątki:

— Szkółki wiejskie i dobrzy nauczyciele wiejscy, są najżywotniejszą potrzebą ludu, a nie kocha kraju, ani nie przejął się duchem miłości ojczyzny ten, kto się o oświecenie ludu swego nie troszczy — powiedział Libelt, — a nie pojął swego posłannictwa, kto stanąwszy wśród ludu, usiłuje szkołę na zamki arystokratycznych pojęć zarygłować. Szkoła we wsi ma być matką, a matka nie robi różnicy między dziećmi uboższymi lub bogatszymi, między bardziej mądrymi lub mniej rozwiniętymi, co ważniejsze, matka złe dzieci więcej usiłuje ku sobie przyciągnąć, niż dzieci dobre, bo nad poprawą złych trzeba sercem pracować. Nie samo obdarowywanie wiedzą jest celem szkoły, nie samo zaznajamianie młodzieży, z najpotrzebniejszymi wiadomościami ze świata nauki powinno być pracą szkoły, bo szkoła ma jeszcze wielkie posłannictwo obywatelskie, a wykonanie jego leży w stosunku szkoły do chat. Chat tych dużo. Jak stado białych gołębi rozłożyły się one w okół szkoły. Ubogie, niskie, ciemne, ciasne, ale w nich

jest serc i dusz ludzkich nieraz wiele. Najdrobniejsze, nierozbudzone jeszcze pisklęta z chat przychodzą do szkoły co dzień, a reszta, albo szkoły nie zna — albo jej nie kocha, albo jej nie ufa. Szkoła może zdobyć sobie i cześć i miłość i zaufanie ludu.

Szkoła nie wolno być pyszną damą, przybyłą z wielkiego miasta na wieś, niby dla rozrywki, nie wolno jej też być i tą dziewczyną wiejską, która poza zakres życia ludu, dalej myśla nie sięga. Zdarsza się często, iż osoby z miasta, gdy są na wsi, chcą się ludem bawić i zetknięcie się swoje z chatą uważają za rozrywkę, za rzecz wcale zajmującą, dobrą dla odmiany wrażeń. Lud przecież nie powinien być nigdy zabawką. Zanadto on cennym jest, aby z nim igrać można.

Szkoła w stosunku swoim do chat, musi bardzo przestrzegać, aby nie stała się sama zabawką, lub ludu za zabawkę nie uważała. Szkoła musi być wzorem i to najczystszy wzorem życia ludzkiego, narodowego. Biada tej która nie pojęła swego apostołstwa.

.....

Odczyt trwał dość długo, poruszał sprawy żywotne i nader ważne, w każdym prawie zdaniu znać było, iż wygłaszał go nauczyciel poeta, wychowawca kapłan. Przecież, z bólem przyznać trzeba, nie słuchano go z takim zajęciem, jakby należało. Jedni rozmawiali, inni wychodzili, nauczycielki między sobą szeptały. Dla mnie było to rze-

czę wprost niezrozumiałą, dlaczego wogóle w obradach konferencyjnych tak mało znać zajęcia. Czy to są już dla nauczycieli, dłużej pracujących znane tematy, czy ich zmęczenie jest już tak silne, iż przynosi ze sobą zupełną apatyę?... Może być, że z własnej winy doznałam rozczarowania. Zawsze zanadto różowo patrzyłam na życie. Idealizowałam też zawód nauczycielski tak, iż wad, ani usterek w niem nie szukałam. Zapomniałam, iż przecie tutaj są także ludzie, a ludzie ci często godni są większego uznania i poparcia, bo są zmęczeni pracą, złamani twardą walką niedoli.

Posiedzenie popołudniowe trwało do późna. Już mrok padał, gdy doszłam do wozu na mnie czekającego.

— Pannunciu „od gór chmury suną“, będzie deszcz — powiada Michał, nasz gospodarz, który zwykle z nami jeździ.

— Ale czy dojedziemy jeszcze za pogody do domu?

— Kto wie? Może lepiej, by pannuncia zanocowała?

— Ale gdzież zanocuję? Nie mam tutaj nikogo znajomego, a w żydowskim hotelu jakoś boję się. Raczej jedźmy...

— Łyska się raz po raz i wiatr silny wieje, „deszcz jeno patrzy“. Nie radzę pani nauczycielce jechać.

Stoję przy wozie i rozmyślam, co robić. Opo-

dal przy wozie stała jedna z tych nauczycielek, które razem ze mną nie miały gdzie zjeść obiadu. Zbliżyłam się do niej.

— Cóż pocniemy? — pytam zakłopotana, a ona mi z płaczem powiada:

— Niema już prawdziwie biedniejszych istot od nas, nauczycielek ludowych. Zwołują nas do miasta, każą dwa dni przebyć, ale nikt nie zapyta, czy jest tu dla nas kąt jaki. Czyż tutejsze nauczycielstwo nie powinno było pamiętać o koleżankach ze wsi i tu lub tam wyszukać jakie takie dla nich pomieszczenie?

Przykre bardzo położenie, ale cóż robić? Niepodobna puszczać się w taką burzę do domu. Wiatr coraz silniejszy zrywał się. Po długiej spiekocie zebrały się chmury ciężkie, ołowiane, płomieniste błyskawice przerzynały ciemne tło nieba coraz wyraźniej, a głuchy łoskot grzmotu przerażał coraz bardziej. W mieście ruch ustał, wszystko się skryło do domów; my stoimy bezradnie. Wreszcie gęste, duże krople deszczu poczynają padać.

Oto w pobliżu jest żydowski hotel, idziemy tam i każemy naszym gospodarzom, aby z wozami zajeżdżali.

Na podsieniu hotelu ścisk i tłok, miejsca nie ma wcale. Pytamy o pokój. Jest jeden tylko wolny, frontowy, duży, za 2 złr.

Rozgościłyśmy się jako tako, o tyle przynajmniej uspo-

kojone, że już nie zmokniemy, ale dokucza nam głód.

Ja od śniadania przez dzień cały nic ciepłego nie zjadłam. Trzebaby bogdaj szklankę herbaty dostać.

Ale czy to warto o tem pisać? Dość, że ledwie po 9-tej doczekaliśmy się herbaty lichej, woniejącej cebulą. Noc całą nie spałyśmy, bo gromy i błyskawice nas trwożyły, a serce wielki ból przejmował...

Ah! smutno to i boleśnie samemu dziewczęciu iść przez życie. Ah!.. nieraz tak ciężkie są warunki tego samodzielnego istnienia, iż radby człowiek wracać daleko, daleko, aż tam, gdzie cicha chatka, i... szczęście rodzinne!...

Wanda M., towarzyszyka moja, noc całą prawie przeplakała. Opowiadała mi wiele szczegółów ze swego życia. Niewiele lat przeżyła, ale już zaznała dość goryczy. Córka organisty z dalszych stron, zanim nauki w seminarium ukończyła, z głodem przez trzy lata walczyła. I teraz dostatku nie zna. Z pensyi swej posyła jeszcze 10 złr. na utrzymanie brata w szkołach.

Zaczęło świtać; deszcz pada bez ustanku. Poszliśmy do kościoła, stamtąd na śniadanie, a wreszcie na obrady.

Po południu zapowiedział mi pan inspektor, iż mam odczytać głośno mój elaborat, ponieważ zo-

stał uznany przez komisję za najlepszy. Krew mi uderzyła do twarzy. Serce biło, jak młotem...

Czyż to możebne?... Czyż to, co ja napisałam, istotnie jest co warte? Wszak bałam się, iż nagane chyba za to dostanę. Gdy miałam wejść na estradę, w oczach mi się émiło; gdy zaczęłam czytać, liter nie widziałam.

Temat był na pozór bardzo niepopłatny, bo polecono opracować metodycznie lekcję ustępu, wyjętego z czytanki szkolnej, p. t.: „Skarb zakopany“. Treść taka: Ojciec umiera i powiada synom, że w ogrodzie jest skarb zakopany. — Niech szukają, a znajdą. Synowie zabrali się do szukania; przekopali ogród starannie i nie znaleźli nic. Z latem przyszły plony obfite. Gdy się synowie dziwili takim zbiorom, rzekł im sąsiad stary: w pracy jest ukryty skarb, pracą użyźniliście rolę i znaleźliście wielkie plony.

Ustęp ten opracowałam metodycznie, jakbym miała przed sobą działwę. Ale po odczytaniu i objaśnieniu treści, w elaboracie moim przesłam do innej myśli. — Zauważyłam, iż powiastka ta w przenośni może mieć wielkie i rozległe znaczenie. Ojcem umierającym, to nasza przeszłość; ogród, zostawiony w spadku, to ziemia nasza ojczysta; skarb zakopany, to owa przyszłość, o której wyszukanie pracą wielką i usilną walczyć trzeba.

— Skarb zakopany, to owa ukryta i uśpiona moc ludu naszego, moc jego ducha i serca, której

wielu nie zna, wielu w nią nie wierzy, wielu jej nie chce odszukać. A przecież ona jest ową, w głębi roli niewidzialną siłą, która z drobnych ziarn dźwiga olbrzymie dęby; ona spichrzem ziarna złoci niezmierzone obszary pól naszych i mocą swą żywi miliony istot na ziemi. Szukaliśmy w ojczyźnie naszej dotychczas wielu skarbów i zdobiliśmy niemi czoła praojców naszych, jak niewiedzącymi liśćmi wawrzynów. Dziś, gdy ucichły szmery husarskich skrzydeł, zardzewiały szablice, poszczerbione w bojach, opadły wieńce chwały i trąbki powstańcze w bój nie wzywają; dziś dzwonki szkolne dają hasło do nowej pracy, przyszłość woła o nowe siły, naród na nią czeka. Po ten wielki skarb oto wyszliśmy wszyscy, którzy stoimy wśród ludu i nad jego wychowaniem pracujemy. Czyż możemy się tu liczyć z godzinami pracy, z zapłatą za trudy? Czy możemy wątpić, ażali plony opłacą mozoli nasze? Jesteśmy ową strażnicą, która w ludzkości pochodzie ku wyższym celom i jaśniejszym gwiazdom drogę prostuje, wskazuje i ułatwia.

Gdy skończyłam, burza oklasków trwała długo. Dobrzy, zacni pracownicy nasi nadto łaskawi byli dla mnie i nagrodzili mię zbyt hojnie. Przekonałam się jednak, że w sercach tych ludzi, miłość ojczyzny tli się silnym ogniem. — O!... nieobojętni oni na to, co nasze, co nam drogie, co rozświetla kaganiec nadziei!... Powierzchnownie wydaje się nauczycielstwo nasze zimnem, obojętnem, za-

sklepionem w sobie. To zimna skorupa niedoli. Pod nią serce gorące, uczucie szlachetne...

Otoczono mnie kołem, słowa ciepłe, serdeczne sypały się, jak kwiaty na me czoło. Oni mi dziękowali, ale za co, nie wiem — lecz ja im chciałam dziękować szczerze — serdecznie za to, iż mi dali poznać swe serce...

Wierzejski milczy, rękę moją do ust przycisnął, a Pychnicki kilka gorących słów szepnął.

Było już późno, gdy wyjechałam z miasta. Droga była straszna. Deszcz lał bez ustanku, koła ślizgały się, wicher szumiał dziką jakąś melodyą, a noc czarna, ponura pochłaniała tak wszystko koło nas, jak chłonie ból wszelką nadzieję, szczęścia. Wlokły się nasze koniki prawie trzy godziny. Gdy przyjechałam do domu, czułam się tak zmęczoną i biedną, iż witając mamę, rozplakałam się w głos.

Mama się zlekła, sądząc, że mnie jakie nieszczęście spotkało. Na drugi dzień ledwie zwlokłam się z łóżka, ale uczyć nie mogłam.

Oto jak przebyłam moją pierwszą konferencyę nauczycielską.

19 czerwca.

Łomscy już wyjechali. We dworze mieszka rzadca, żonaty, z dziećmi, p. Raziński.

Deszcz pada ciągle, bez grzmotów i burzy, jak

zwykle, gdy się na długą słotę zaniesie, ale poprzędni, gwałtowny, zrobił nie mało szkody.

Ja jestem zmartwiona kłopotami pieniężnymi. Pobyt na konferencyi kosztował mnie dużo, a 2 złr. dyetyiennej, ledwie starczyło na opłatę koni.

Dla zaoszczędzenia, musi nasza Anusia dwa razy w tygodniu iść na „pańskie“ za wodę, a wtedy Halka i mama pracują w kuchni.

Bronia jeszcze chora; mama ją odwiedziła. Gdy tylko będę nieco wolniejszą, pójdę do niej.

20 czerwca.

Dziś rano obudził mnie głośny płacz i lament wielu kobiet. Zerwałam się przelekniona i pobiegłam do okna. Droga obok nas biegły gromady bab, dzieci, chłopów z krzykiem i lamentem okropnym. Przyodziawszy się nieco, wychodzę na ganek i pytam:

— Co takiego? co się stało?

— „Woda leje!“... „woda leje!“... — odpowiada mi ta lub owa kobieta i goni co tchu za innemi.

Nie mogłam pojąć, co to znaczy, więc pytam znowu, aż wreszcie jeden z gospodarzy powiada mi:

— Woda leje na błonia z rzeki, nasze wszystkie siana na nic — na nic...

Ah!... biedni ludzie!... Przed kilku dniami skosili swoje ukochane błonia, cieszyli się na zbiór siana, a teraz wylew rzeki wszystko im zabierze

lub zamuli... We wsi zbiór siana jest rzeczą równie ważną, jak zbiór zboża, bo siano stanowi najgłówniejszy ich zarobek. Gdy woda siano zamuli, nie dość, że zbiór jeden przepadł, ale i bydła potem paść nie można.

Dzisiaj więc we wsi płacz jak po pożarze...

21 czerwca.

Rada szkolna krajowa odesłała moją prośbę o aprobatę załączonego dziełka na premie dla dzieci, nie uwzględniając jej. Mówił mi Wierzejski, że odrzucono tylko dlatego, że na okładce był biały orzełek. Bo jeżeli Rada szkolna nie aprobuje dziełka z powodu jego treści, w takim razie zaznacza, że ten a ten ustęp nie jest odpowiedni.

Ciekawe postępowanie! Treść może być najlepsza, gdy jednak okładka się nie podoba, książeczka między ludźmi nie pójdzie... Więc i okładka musi mieć aprobowaną szatę!...

Zmartwiłam się tem, bo coż moim dzieciom rozdadę na egzaminie?... Przecież to chwila tak ważna, tak uroczysta, toż godzi się dać dziecku jakąś nagrodę, jakąś pamiątkę, a coż ja jej dam?

Rada szkolna miejscowa włożyła wprawdzie w preliminarz kwotę 2 do 3 złr., na nagrody, ale i tych pieniędzy nawet nie zebrano. Biedacy we wsi prosili, lamentowali, bo zabierano im i poduszki i chusty, a jednemu grajkowi nawet zafanto-

wano skrzypce, bo nie zapłacił „na szkołę”. Skrzypce u mnie w szkole wisiały coś tydzień, czy 10 dni, a ilekroć na nie spojrzalam, serce mi się krajało wreszcie odesłałam muzykowi wiejskiemu jego skrzypce.

Przyznaję sama, że lud w wielu razach cierpi nędzę, z powodu nieporadności swej, lenistwa i braku rzutkości, ale że w wielu wypadkach nędza ta jest istotną i gorzką, to także prawda. A że właśnie widzę tę nędzę, nie mogę żądać, aby fantowaniem poduszek zebrano 2 złr. na książeczki jako nagrody egzaminowe. Lecz gdy dzień egzaminu nadejdzie, a ja stanę z próżnymi rękoma w drzwiach mojej izby szkolnej, jakże mi będzie smutno, bardzo smutno.

Muszę napisać do Mieczysława i prosić go o radę i pomoc. Wszak on, tam, w mieście, wśród ludzi inteligentnych i średnio zamożnych, zdoła uprosić coś dla biednych dzieci z wioski, dla moich pastuszków.

22 czerwca

Przychodzi dziś Anusia i prosi:

— Możeby mnie pani nauczycielka mogła dać naprzód za dwa miesiące pieniądze, bo mi się trafiła ładna cieliczka do kupienia.

— Dobrze, moja Anusiu, dam ci, ale gdzież ty będziesz cieliczkę chowała?

— Dam, pannuńciu, „na wychówek”.

— Do kogo? i wiele będziesz płacić za to?

— U nas tak się robi. Kto biedny, jak ja, to sobie kupi małe cielátko i daje do tego albo tamtego gospodarza na chowanie. On jałówkę trzyma, bo mu trzeba na nawóz wiele bydła, bo tu u nas grunt jałowy. Więc gdy dam do Jaszczyszyna, do tego Wawrzkowego Jaska, co za Borsukiem mieszka, moją cieliczkę na chowanie, to on mi ją potem odda, jak będzie z niej krowa. Jenó wiele lat chowa jałówkę, tyle lat krowę trzyma i przez ten czas sobie cielęta bierze.

— Więc to sobie dobrze radzicie, bo zawsze dobrze mieć krowę, gdy się za nią da teraz tylko 6 do 8 złr.

— Pewnie, że dla biednych to wygoda. To u nas we wsi sobie ludzie powymyślali rozmaite sposoby, aby się jakoś ratować. Biedny chałupnik, co nie ma, tylko chałupinę, radby gdzie choć z jeden zagon ziemniaków posadzić, aby na zimę miał dzieci czem pożywić. To, wiecie, pannunciu, jak sobie radzi? Chowa on w chlewku, koło chaty, albo nieraz, jak mrozy pocisną, i w chacie, razem z dziećmi, dwoje albo troje „paciąt“ (prosiąt). Z pod tej „bezrogi“ składa nawóz, na wiosnę wynajmie sobie u jakiego kmiecia zagon, ale nie płaci, tylko da na zagon „obornik“, zasadzi sobie ziemniaki, obrobi, a z tego, co zbierze, połowę dostanie. Dla biedaka i to wielka wygoda. Biorą sobie także ludziska u kmieci zagony „na wyrobek“ — to zna-

czy, że on za zagon czy pod ziemniaki, czy pod jęczmień, nie płaci, ale w żniwa odrabia. O len i „przędziwo“, to także sobie ludzie radzą. Moja bratowa zeszłego roku na trzy sztuki naprzedła lnu tylko z wyczesków.

— Jakto?... nie urodził się jej len?

— Nie, ona zagonów nie ma, a tu dzieci kilkoro, trzeba i koszuliny i dymki i „kachtana“. Wzięła u Staszczyszyny Bartkowej, tej kmiecichy, co miała 19 zagonów lnu, na wyczeski lnu dosyć. Ona ten len wybierała, rosila, suszyła, miedliła i cesała; u nas len się rachuje na garście, czesany, to od 10-ciu garści już gotowego, uczesanego lnu, bratowej się należy jedna garść. Tak nazbierała na trzy sztuki.

Z zajęciem słuchałam opowiadania; — dowiedziałam się wiele szczegółów, nader ciekawych. Pieniądz tutaj u ludu zupełnie jest niepotrzebnym. We wsi, przez lata całe, bez centa lud by się obszedł, bo za wszystko płaci wymianą pracy, lub płodów. Pojedzie jeden drugiemu do lasu, za to odrobi dzień; przywiezie mu siana z błoni, musi mu kosić dwa dni. Dziś u wójta na żniwach jest 30 ludzi, jutro od wójta wszyscy będą u Staszczyszyna, po jutrze u Borsuka.

Tu tylko grosz potrzebny „na podatek“ i dla księdza na pogrzeb, chrzest lub ślub. A podatek ten, to najtwardszy do zgryzienia orzech. Przejdź przez wieś sto razy, za każdym razem usłyszysz

skarżę „na podatek”. Egzekutor z czapką z bączkiem, to widmo nieszczęścia i płaczu całej wsi. A kłania się lud przed nim, jak przed dygnitarzem, i prosi go o zlitowanie się, o łaskę, o miłosierdzie. Odwracam oczy nieraz od tego widoku.

24 czerwca.

Dziś św. Jana. We wsi każda chata umajona bylicą, piolunem i Bożem drzewkiem. To ma chronić od „wsilakich” chorób.

Pan Czesław przyjechał, widziałam go dziś rano, z daleka, jechał z lasu na koniu. Ciekawa jestem bardzo, czy też Dąbrowę kupi.

U mnie w ogrodzie kwiatów już dużo, ale w ogródkach, które we wsi pozakładałam „śliczności” „*wsilakoho zila*”, że się napatrzeć nie mogę.

U Staszczyszyna burza strąciła bocianie gniazdo ze stodoły, a gniazdo to przeszło 20 lat tam stało. Umyślnie poszłam popatrzeć na to gniazdo. Powiedział mi gospodarz, że dobra fura chróstu jest na niem, a tak te gałęzie silnie posplatane ze sobą, że trudno wyjąć bogdaj jeden pręcik. Ciekawi są we wsi, czy bocian sobie robi nowe gniazdo, czy się „odrzuca” całkiem z tego miejsca.

28 czerwca.

Jakież dziwne jest serce moje!... Szczęśliwe, nadmiernie szczęśliwe, kocha i kochane, widzi przed

sobą jasną, różową nić wspólnej doli z ukochanym, a zacnym człowiekiem. Wie ono, że miłość jego stała i silna, jak wiara, lecz przecież sercu memu jeszcze tego za mało... Czy to nie grzech, co mówię?... Czy ja nie kaleczę tem świętej naszej miłości?...

Mojemu sercu za mało tego, bo ono pragnie szczęścia wszystkich. Mickiewicz wołał już dawno: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie!”...

Ja też mogę rzec sobie: nie znajdę szczęścia zupełnego w mojem własnem szczęściu, bo go nie ma w mej wiosce!... Myślą rwę się w przyszłość i widzę tę chwilę, w której mój dobry, ukochany, przyjdzie i zabierze mnie stąd, jako swoją wieczną towarzyszkę, a ja znajdę ciszę, spokój, szczęście zupełne. A tu lud, jak dotąd, będzie żalić się, cierpieć i nędzę wlec za sobą. Wtedy tęskno mi i dziwnie smutno.

Przylgnęłam już duszą i sercem do kątki tego ubogiego, z żyłam się już tymi ludźmi, z dziatwą moją pocziwą i tak mi się czasem zdaje, że jestem w Dąbrowie od dawna, od bardzo dawna.

Przypominam sobie nieraz, jak z początku bałam się tego ludu, lud mnie się lękał, nie ufał mi, chciał odepchnąć stąd, a przecież oto teraz myśmy jak jedna rodzina.

Czyż nie doznałam tutaj wielu dowodów życzliwości?... Czyż nie słyszę zawsze jak najmiłszych

dla siebie słów uznania, ufności i miłości?... I tak mi się czasem zdaje, gdy myślą zwracam się ku Mieczysławowi, że mój lud krzywdzę, gdy serce odrywam od niego, a stoję się egoistką lichą. Lecz gdy znowu ku ludowi myśl zwracam, serce moje niespokojne i pyta: czy nie za mało oddajesz i myśli i uczuć, — jemu, ukochanemu?...

Zagadką dla mnie—moje własne serce. Czyżby egoizm, ta szpetna roślina, która niestety wschodzi w każdej prawie duszy, zakorzenia się w sercach ludzkich i rozrasta dziś potężnej, niż kiedyindziej, i w mem także sercu zamieszkała? Egoizm, to siła i potęga, to hasło wstrętne i niegodziwe, to prawo, nieznające litości, ślepe bóstwo, idące z srogim mieczem w dłoni, zdolne podeptać i pognać wielu, byle jemu było dobrze, ah!... jakże się wciśka wszędzie, jak wiele szuka dla siebie ofiar!...

I szerzy się ta siła coraz potężniej i opanowuje coraz więcej ludzkość dzisiejszą, a stąd życie obecne staje się ponurem, pełnem walk i łez, nie ozdobione kwiatami uczuć i czynów wielkich. Gdyby dziś wypleniono tę roślinę szpetną z dna ludzkości, gdyby zniszczono jej potęgę, wysysającą soki żywotne narodów, gdyby stargano jej więzy i podeptano jej hasła: jakże inaczej wyglądałoby życie ludów, jak inne cele miałyby istnienie na ziemi, jak bliską szczęścia byłaby ta ziemia pełna cierni i glogów.

29 czerwca.

Dziś Świętego Piotra i Pawła. Wybrałam się po południu z Halką i Anusią do lasu. Lasy tu duże, rozległe, gęste, a piękne. Anusia powiada:

— Dziś będą pierwsze grzyby w lesie, bo na św. Piotra muszą się grzyby pokazać.

— Dlaczego?

— Bo gdy św. Piotr z Panem Jezusem po świecie chodził, to przyszedł raz do biednej wdowy, a ona piekła placek. Św. Piotr jeden placek zabrał i schował. Wyszli potem i szli przez las. Pan Jezus szedł naprzód, a św. Piotr za nim. Św. Piotr chciał zjeść ten placek, co miał za „pazuchą“, ale co włoży kawałek do gęby, to pan Jezus o coś go zapytał. Św. Piotr chce odpowiedzieć, więc wypłuka placek na ziemię. Tak było, aż św. Piotr ostatni kawałek placeka wypłuł. Wtedy stanął Pan Jezus i powiada:

— Oglądnij się Piotrze za sobą, co na twojej ścieżce?

Św. Piotr patrzy, a tam powyrastały grzyby; z każdego kawałka wypłutego wyrósł grzyb.

Mówi wtedy Pan Jezus:

— Myślałeś, że nie widzę i nie wiem, co robisz. Oto na wieki zostanie pamiątka po tobie, aby ludzie wiedzieli, jak źle zrobiłeś.

I teraz zawsze od św. Piotra grzyby się zaczynają pokazywać.

Przeszliśmy dalej, aż na zrab i tam usiadliśmy na pniaku. W lesie cisza i spokój.

Posiedziawszy jeszcze chwilę, idziemy dalej. Halka śpiewa smętne, ludowe dumki, Anusia grzybów szuka, ja idę zamyślona i dziwnie w sercu spokojna. Wtem — czyjeś kroki słyszę...

Z gaju brzozowego wyszedł Czesław. W jasnym, eleganckim ubraniu, w kapeluszu białym, na tle zieleni odbijał pięknie. Uśmiechnął się życzliwie i począł witać z radością nieklamana.

— Co za szczególne zdarzenie, że właśnie tą drogą wybrałem się dzisiaj. Co za szczęśliwy przypadek... Dobry wieczór panno Heleno!... — wołał, zwracając się do Halki.

Ona przystanęła, powitała go z uśmiechem życzliwym, wołając z oddali:

— Więc już pan ogląda lasy Dąbrowy, aby się przekonać, ile warte?

— Ile warte? Skąd to pani przyszło na myśl?

— Bo we wsi wszyscy mówią, iż pan Dąbrowę kupi na własność.

Czesław uśmiechnął się.

— Wieści te są, jak na teraz mylne, a co do lasów Dąbrowy, nie potrzebuję ich już oceniać, ile warte. Czasem wartość ich pomnaża się w dziesięcioro, jak np. w tej chwili, gdy mają takich miłych gości w swoim chłodzie.

— Ale za to one same dziś nie bardzo mile,—

śmiejąc się, mówiła Halka — błota pełno, że czasem trudno przejść.

— Moja Halko, — przerwałam jej na to — toż trudno, by w lesie po deszczu silnym wyschło tak prędko, jak na drodze polnej. Ocieniona droga powoli wysycha; i serca ludzkie, osłonięte mrokiem, nie łatwo się rozjaśniają.

— Filozofka!... — mówi Halka — istna filozofka, nie uwierzy pan, jaka ona tu robi się prze-mądra osoba, ciągle coś rozważa, rozmyśla i filozofuje.

— Bo to całkiem naturalne — odpowiadam żywo. — Życie moje teraz jest pełne wrażeń psychologicznych, i dziatwa i lud dostarczają mi bardzo wiele tematu do rozmyślań. Ale mówmy o czem innym. Czy pan długo w Dąbrowy zabawi?

— Nie wiem jeszcze, ale zdaje się tylko parę dni.

— Szkoda!

— Dlaczego?

— Bo byłabym pana prosiła na egzamin do mojej szkoły, na pierwsze żniwa moje. Radabym, aby ten dzień był uroczystością wielką, aby moja dziatwa przekonała się, iż o jej postęp, o jej pracę przyszli ludzie pytać, przyszli jej rzucić słówko pochwały i zachęty.

— Żałuję bardzo, ale nie będę mógł przybyć; muszę wrócić do siebie, bo zaczną się żniwa.

Poszliśmy dalej. Rozmowa nie kleiła się. Jak

spłoszony ptak, rzuciła się z gałęzi na gałęź. On był niby złośliwy chwilami, niby chciał trochę dokuczyć: czy komplementem, czy żartem, a ja znowu na osobisty temat nie dałam zejść rozmowie.

Wychodząc z lasu, rzekłam:

— Jeśli będzie pogoda parę dni, a w lesie lepiej podeschnie, wybiorę się tu kiedy z dziećmi na pół dnia. Każda prawie szkółka urządza dzieciom majówki; zrobię ją ja swoim.

— Dobrze, że mi pani o tem wspomniała, bo polecę rządce, aby nie stawiała przeszkody.

— Przeszkody? Jak to?... Czyż mógłby kto zabronić, abym z dziećmi do lasu przyszła?

— Widzi pani, są... pewne formalności... czasem trudno się obyć..., ale to tylko forma, — zresztą, rzecz mniejszej wagi.

Zakłopotany był i nie wiedział, co mówić. Wrócił z nami aż do domu, a jeszcze potem długą chwilę na ganeczku przy gawędce posiedział. Odchodząc, rzekł:

— Jeśliby pani mogła urządzić dzieciom majówkę w tych dniach, tobym się cieszył, bo i ja z niemi zrobiłbym sobie majówkę, — a to już tak dawno, tak dawno bawiłem się w piłkę z kolegami.

30 czerwca.

Dziś czytały dzieci w szkole ten ustęp z książki, w którym jest opis brzozy, dębu, grabu i t. d..

Po kilkakrotnem odczytaniu ustępu i wyjaśnianiu odpowiednich wyrazów zapytałam dzieci, czy były kiedy w lesie? naturalnie, spodziewając się choralnej odpowiedzi: byliśmy! byliśmy!

Jakże się zdziwiłam, gdy na to pytanie odpowiedziała mi cisza, a po chwili nieśmiało odezwał się Franuś Michałowego Pawła:

— Ja byłem raz, gdy z ojcem pojechalśmy po chróst.

— Jakto tutaj przecież lasów tyle, a wy nie byliście w nich? Dlaczego?...

— Była, proszę pani, Ewka Borsukowego Jaska, ale gajowy zagrabiał jej chustę, bo jagody zbierała, — dodał tonem skargi Mikołajek.

— Tu nie wolno do lasu chodzić, bo leśny i gajowy zdziera „kachtany“, a jeszcze niekiedy „pasem“ zerżnie do krwi, — mówi jeden chłopak.

— „Pański las“, to jak „pański“ ugor, nikomu z gminy stąpić nie można, — dodaje drugi.

I tak zaczynają mi dzieci dorzucać słówko do słówka:

— Była „kiedysiek“ ścieżka przez las, co Kowęńscy chodzili tędy do kościoła, ale teraz nie wolno.

— Powiadali stary Droński, co „kiedysiek“ mieli ludzie lasy także, a teraz mają abo „pany“ abo żydy.

— Stara kulawa Maryśka, co się zna na zio-

łach i umie „gościć“ zamawiać, to ona do lasu po zioła musi iść „po kradzieży“.

Słucham, a w oczach mi dziwne snują się obrazy.

Widzę jakieś bezlitośne ręce, które na naszej ojczyściej ziemicy kreślą i rysują, kopią i wysypują tysiącznemi liniami granice, a granice te palą, jak rozpalone żelazo, kolą, jak cierniowe sploty... to „pańskie“, to „chłopskie“, to „gminne“ to „dworskie“, to „biednych“, to „bogatych“, to wasze, a to nasze...

Jakże ja byłam szczęśliwą do chwili, w której jeszcze nie wiedziałam o prawdzie bardzo smutnej.

Rozumiem: jest podział własności, na mniejsze i większe zagony, łąny i niwy malutkie, bo jest prawo dziedzictwa, pracy, skrzętności i znowu jest surowa w skutkach rozrzutność, lenistwo, pijaństwo. Rozumiem. Są i będą, wielkie, bogate obszary majątków ziemskich, oraz nędzne, ubogie zagony i chaty.

Ale czy ma być ta licząca się o każdy krok, o każde dotknięcie dłonią, niechęć jednych ku drugim?...

Tak!

— Ja, biedna, dzienna zarobnica na wielkim zagonie, która nie mam swej własnej ziemi nawet tyle, by na niej bogdaj czarny krzyż postawić, — cóż ja mogę mówić o tem, co „pańskie“, a „chłopskie“, co „wasze“, a co „nasze“...

Dzieci na sobotę po południu mają już zapowiedzianą majówkę. Słuchały o tem, jak o żelaznym wilku. Dobrze, że jest Czesław, on ułatwi niejedno. Zaproszę Wierzejskich, Pychnickiego, dwóch gospodarzy z Rady szkolnej miejscowej. Pójdę jutro do Broni, jeśli już zdrowa, może także przyjedzie.

1 lipca.

Czesław wydaje mi się czasem zupełnie fałszywym człowiekiem. Wstrzymuje się, aby nie wybuchnąć i nie wygadać się z tem, iż wiem o tajemnicy jego serca. Wiem przecież dobrze, że kocha się, że ślub jego ma być wkrótce, bo o tem pani Łomska mamie w Wielkanoc opowiadała, a on czasem sobie pozwala rozpoczynać rozmowę w takim tonie, jakby... niby...

Ale nie dziwię się. W ich świecie niema zdaje się, miłości takiej świętej, wielkiej, stałej i wiernej, jaką my „proletaryusze“ w sercach nosimy. Oni bawią się i własnem i drugich sercem.

On się tam niby kocha w jakiejś bardzo bogatej pannie, a tu myśli sobie; — co mi szkodzi zabawić się?...

Gdybym mogła mu zapowiedzieć: jestem narzeczoną, kocham i jestem kochana, o, wtedy zrozumiałby, jak niestosownie czasem postępuje. Lecz ja obiecałam Mieczysławowi, iż o naszych zaręczynach nikomu nie powiem.

Dziś po południu był u nas Czesław. Siedzieliśmy w kalinowej mojej altanie, ja z robotą w rękę, on z ołówkiem. Szkicował dla mnie widok mojej szkółki.

Rozmawialiśmy o majówce, na której wspomnienie, aż mi serce drży z radości. Chwilę milczał, nie odpowiadając na moje pytanie, a wreszcie wstając — rzekł:

— Narysowałem, ale nie szkółkę, tylko jej królowę.

Podniosłam głowę, spojrzałam, a on mi pokazuje naszkicowany mój profil, i to bardzo podobny.

— Bardzo nie ładnie, — odpowiedziałam z cicha, — obiecywać co innego, a zrobić co innego.

— Przyznaję się do winy, jednak niech mi pani wybacz, mimo mej woli stało się tak, iż schwyciłem rysy pani i... już tego nie dam za nic w świecie.

— Ja będę prosiła tak długo, aż pan mej prośbie nie zdoła odmówić. Po co panu taka drobnostka?...

On usiadł blisko mnie, nachylił się, a patrząc dziwnie gorącym, palącym wzrokiem w moje oczy rzekł:

— Panno Zofio! niech pani nie żąda, abym to oddał, niech pani mi zostawi... panno Zofio... Ja panią tak będę prosić, aż pani nie zdoła, odmówić mi...

Odłożyłam robotę, odsunęłam się nieznacznie

od niego, czując wielkie wzruszenie. On po chwili milczenia, mówił dalej przyciszonym głosem:

— Takie oczy gniewać się nie mogą; takie usta nie mogą powiedzieć słowa, któreby mogło czyjeś serce zranić; a to serce nie zdoła przecież być zimnem. Prawda?...

Nie odpowiadając nic, wyciągnęłam rękę ku ćwiartce papieru, na której był naszkicowany mój profil, i rzekłam:

— Proszę pana, niech mi pan to da!

On podniósł głowę, wpatrywał się długo we mnie.

— A gdy nie dam, co będzie?...

— Będzie źle, bo ja zacznę płakać.

— Czyż tak pani boi się mnie, iż nawet nie pozwoli swej podobiznie być blisko mnie? Czy pani nie ufa i nie wierzy mej przyjaźni, memu...

Naparstek mi spadł, schyliłam się po niego prędko, czując, iż płonę rumieńcami.

On mówił:

— — ...memu sercu pani nie ufa?... nie wie pani, że i ono, choć na pozór zimne, wystygłe, gorąco bić umie?...

— Ależ, wierzę — odrzekłam na pozór spokojnie; — spodziewam się też niedługo usłyszeć o tem, że serce pana zdobyło piękną, bogatą pannę, i szczęście zupełne znalazło.

— Dlaczego pani mi to mówi? — spytał chłodnym głosem.

— Bo wierzę, że serce pana nie jest, jak przepalony wulkan, więc kochać potrafi, a gdyby pan Dąbrowę kupił i tu po ślubie przyjechał, nauczyłabym dzieci stosownej piosenki, aby młodą parę życzeniami powitały.

— A gdybym ja na tę młodą panią prosił kogoś takiego, kogoby dzieci nie potrzebowały witać.

Szarpnęłam ręką mimo chęci, straciłam koszyczek, i na ziemię posypały się guziki, haftki, igły, nici...

Co tu roboty, co zbierania! Śmiałam się przytem wesoło, udając, że z rozmowy tej zupełnie nie sobie nie robię. Za chwilę zwróciłam się ku Anusi, która zajęta była nieco dalej w ogrodzie i rzekłam:

— Anusiu! proś-że pannę Halę, aby nam tu podwieczorek przysłała.

Tak się skończyła rozmowa arcy-ciekawa.—

Więc czyż mogę się nie gniewać i nie mam uważać tego, bądź co bądź bardzo przyjemnego pana, za człowieka fałszywego?...

Bawi się!... Widocznie mu to sprawia przyjemność, gdy ja się rumienię, czerwienię, mieszam, a ja, na przekór, zapanować nad wzruszeniem nie mogę.

Może to i moja wina, że dużo z nim rozmawiam, że mu nie dam do poznania, aby zupełnie przestał bywać?... Ale jakże to zrobić? Powodu żadnego wyraźnego niema. A nic mu nie mogę za-

rzucić oprócz tego jednego, że chce się bawić mojemu uczuciami. To mnie obraża i przestrasza czasem. Ostatecznie powiem mu prawdę.

2 lipca.

Ileż ja mam teraz roboty w szkole. I katalogi piszę i klasyfikację notuję i świadectwa przysposabiam!... Wszystko mnie cieszy, wszystko poszło dobrze. W złotej książeczce zapisano niemało przykładów pilności i grzeczności moich dzieci; w czarnej książce mam tylko dwa nieszczęsne wypadki zanotowane. Piotr wójtów za to, że się „zmaścił“ i Rachalski Jaś, że w kościele rozmawiał i śmiał się.

Na egzamin ubiorę szkolkę w wieńce z dębowych liści, maków i bławatów. Tu, między oknami zawieszę Kościuszkę w sukmanie, niech on też będzie u mnie na tych uroczystych godach, na tych pierwszych żniwach mojej pracy. Na stoliku koło drzwi ułożę roboty dziewcząt, zeszyty z ćwiczeniami pisemnymi.

A tu od tablicy aż pod okno poustawiam krzesła i foteliki dla gości. Mikołajek będzie deklamować „Powrót taty“, a deklamuje bardzo ładnie. Chłopak to jak „malowanie“, i ładny i przyjemny i zdolny. „Dwie dusze“ Lenartowicza deklamować będzie Anusia Staszczyszyn, „jaskółka“, jak ją nazywają w szkole, bo tylko ona jedna, na 57 dziewcząt, ma czarne włosy i oczy.

Ja sobie szyję nową, ładną sukienkę batysciową. Różowa, w drobne białe pierścionki, cała sukienka kosztuje 5 złr. 70 ct. — ale jest śliczna. Musiałam sobie ją kupić, bo w wakacje pewnie przyjedzie na parę dni Mieczysław, więc w czymże bym paradowała? Różowa sukienka i drobne pierścionki po niej, — tak, tak, to dla zaręczonej panny strój dobry.

Wszystko mnie cieszy, ale... ja nie mam nagród dla dzieci. Mieczysław mi jeszcze nie odpisał, czy się o nie postarał. Do Rady powiatowej wniosłam pisemną prośbę o dostarczenie książeczek na nagrody i do Rady szkolnej okręgowej pisałam także. Może przecie dostanę stąd, lub zowąd.

3 lipca.

Dziś był pan Raziński z żoną u nas z wizytą. Średnich lat mężczyzna, trochę szorstki w obejściu, zdaje się, że nie będzie umiał ludu kochać. Ona mizerna, chuda, zapracowana, typ gospodarczej kobiety i matki kilkorga dzieci.

Po południu przyszedł Czesław. Błady, jakby wstał po chorobie. Zwróciło to uwagę mamy, zapytała go więc, czy nie chory. Przy tej bladej twarzy duże wymowne jego oczy wydają się jeszcze piękniejsze, a gdy na mnie patrzy, zdawało mi się, że oczy jego żalą się jakoś dziwnie, cicho i tęsknie.

Czyż ja im w czem zawiniłam?

Szara godzina usiadł przy fortepianie, grał pięknie, długo... długo, aż w końcu i śpiewać począł. Głos miły, łagodny.

Ostatnią zwrotkę powtórzył dwa razy:

Więc radbym teraz już żyć dla ciebie,
Radbym być tobie słońcem na niebie.
I za to wszystko, za uczuć tyle,
Radbym mieć twoją łzę na mogile.

Wstał, pożegnał się, moją rękę serdecznie do ust, przycisnął i wyszedł.

Żal mi go!...

4 lipca.

Boże!... Boże!... jakże mi smutno, jak dziwnie w sercu, duszy, myśli... tulę me czoło w drżące dłonie i raz wraz się pytam:

— Czemu się tak stało? czemu? czemu?... Czyż ja jestem co winna?... Czyż igrałam z jego sercem, czyż dałam jaki powód?... Trudno mi myśleć, trudno pisać, trudno uspokoić się.

Mama i Halka nie wiedzą, co zaszło między mną a Czesławem, uważają tylko, iż jestem zmieniona i pytają, co mi jest.

Dziś w kościele ledwie, że nie zapłakałam w głos. Chciałam się wypowiadać, może ja isto-

tnie zgrzeszyłam, może istotnie w czem zawiniłam...

.....
.....
Tak cieszyłam się na majówkę, chciałam wraz z dziećmi użyć wesela i swobody, chciałam też nasycić się widokiem szczęścia tej gromadki pastuszej, która raz pierwszy mogła pójść wesoło i swobodnie do „pańskiego“ lasu, tam biegać, zbierać jagody i grzyby, rzucać piłką i śpiewać.

Wyszliśmy po trzeciej: dzieci parami, z wesołą pieśnią, Halka z dwoma starszemi dziewczátkami szła obok, ja z mamą na końcu. W lesie czekał na nas Czesław. Wierzejscy z dziećmi także już tam byli.

Weszliśmy na dużą polankę. Dzieci ustawiłam w wielkie koło, zaczęła się rażno zabawa „w kotka i myszkę“. Potem przyszedł „ojciec Wirgiliusz“, za nim „jastrząb i gołębie“. Dla posiłku dostały wszystkie dzieci kwaśne mleko, bułeczki z miasta. Potem kilka pilek poczęło bujać w powietrzu, a trąbki i bębenki, jeszcze te, których używano przy „jasełkach“, odzywały się hałaśliwą wrzawą po lesie, a drzewa zdumione zdawały się pytać: cóż to za mieszkańcy nowi zjawili się wśród nas? Mleko, bułeczki i piłki przysłał p. Czesław.

Po jakiejś chwili, poczęłam ze starszemi gospodarzami trochę gawędzić: opowiedziałam im też ową śliczną legendę o drzewach, jak drżały i pła-

kały, gdy przyszli żołnierze ścinać drzewo na krzyż dla Pana Jezusa.

Czas mijał szybko, a szczęściu dzieci nie było miary. Już mieliśmy się zbierać do powrotu, gdy Czesław zbliżył się do mnie, a podając ładną gałązkę dzwonnków leśnych, rzekł:

— Całe popołudnie byłem na uboczu, na ostatnim planie, nie naprzykrzałem się, nie zwracałem na siebie uwagi, a teraz czy mogę poprosić o parę chwil dla siebie.

— Parę chwil, mogę dać panu, ale nie wiele, bo widzi pan, trzeba dzieci ustawić w pary, przekonać się, czy które za daleko nie poszło, aby jeszcze się w lesie nie zablakało.

— Tak się pani zastrzega naprzód, że mi dużo czasu nie może oddać, a czy to nie z krzywdą dla mnie? Tym dzieciom, i tak zupełnie szczęśliwym, daje pani wiele swego życia, a dla mnie, czyż nie nie zostanie?...

— Owszem, przecież gawędzimy nieraz parę godzin, nawet czasem sprzeczamy się, zdania nasze ścierają się i krzyżują...

Czesław wskazał mi opodal pniak duży, prosząc, bym usiadła. Sam oparł się o drzewo. Chwilę milczeliśmy. Wreszcie on poważnym głosem począł mówić:

— Panno Zofio!... Niech mi pani szczerze i otwarcie powie, czyli w sercu pani nie ma jakiego, choćby najuboższego kątka wolnego?... Czy

już tak oddała pani swoje serce ludowi i działwie, że poza niemi nie chce pani usłyszeć nawet jednego słowa gorącego wyznania i prośby o wzajemność?...

Mówił to drżąc, a chwilami zdawało się, że mu tchu brakuje.

Ja, w ten sposób zapytana, podniosłam się, zbliżyłam o krok ku niemu, a patrząc nań długo, odrzekłam:

— Panie Czesławie, ja jestem zaręczoną.

— Pani?... — zawołał, robiąc ruch, jakby mnie chciał za rękę chwycić, lecz cofnął się, przetarł ręką po czole i szepnął:

— Czy wolno wiedzieć, kto jest pani narzeczonym?

— Mieczysław.

Błady był, jakby wszystka krew w nim zamarła. Milczał chwilę, a potem wziął moje obie ręce, przycisnął do ust i rzekł silnym głosem:

— Niech pani Bóg błogosławi!... A niech pani zachowa dla mnie życzliwą przyjaźń, panno Zofio, niech pani o mnie czasem wspomni. Część mej duszy została przy pani.

Zasłoniłam oczy, opadłam na moje miejsce, w uszach mi szumiało, w oczach miałam łzy.

On, nachyliwszy się, jeszcze szeptał:

— I za to dzięki, co mi pani dała i za to niech Bóg nagrodzi. Marzyłem o złotych dniach szczęścia, lecz niestety.... niema ich dla mnie....

Panno Zofio, miej w życiu tyle szczęścia, ile ja ci go dać chciałem.

Hop! hop!... rozległy się wołania po lesie; hop! hop!... odzywano się raz po raz. Podałam mu rękę i, nie spojrzawszy na niego, poszłam ku działwie.

Szłam jak pijana, drżałam ze wzruszenia. Jego nie zobaczyłam już...

Ah!... jakże mi dziwnie, jak jestem niespokojna, jak smutna. Czyżby on mię istotnie kochał? Jakto? A jego ślub z tą bogatą panną, o której Łomska mówiła?... Czyż może żartować z uczuciem człowieka, jak on?

Nie pojmuję, nie rozumiem tego wszystkiego. Gdyby Mieczysław jak najprędzej przyjechał, chciałabym mu o tem powiedzieć. Mój ukochany!... Gdybyż on wiedział, jakie mnie zmartwienie spotkało!

5 lipca.

Zastanawiam się i pytam się sama siebie, dla czego mnie to tak wzruszyło i zasmuciło, co zaszło między mną a Czesławem? Jeśli on istotnie mnie pokochał szczerze, a dowiedziawszy się, iż jestem zaręczoną, cierpi, — cóż ja winna temu? Sumienie moje przecież jest zupełnie spokojne, nie zawiniłam tu wcale, nie kokietowałam go, nie starałam się mu podobać. Owszem, parę razy nawet dość ostro dałam mu do poznania, iż zaznaczam różnicę między jego światem, a światem moim, —

zarzucałam mu, że podlega tysamym wadom, jakie licznie widnieją na tak zwanym świecie „panów“, ludzi zamożnych.

Jak to się stać mogło, że on mnie pokochał, nie rozumiem. Ale to żart, próba, czyli ja, biedna, uwierzę paniczyni, czyli dam się porwać tą czarodziejską nutą szczęścia: być bogatą, mieć dwór, konie, lokajów, brylanty! Może on doprawdy żartował?...

Nie! nie!... jeśli by umiano już tak w świecie kłamać, to świat ten nie byłby godnym wspomnienia... On był dla mnie zawsze dobrym, zawsze otaczał mnie należnym szacunkiem, nigdy, ani jednym słówkiem nie odważył się na żart jakiś, lub komplement oklepny.

Cóż przecież mogło mu się we mnie podobać? Nie jestem ani piękną, ani uczoną, ani zalotną; ot, taka uboga dziewczyna, jakich wiele, wiele w naszej sferze.

A on?... On piękny, rozumny, szlachetny.

Prawda, ja w jego rozmowach nigdy nie usłyszałam ani jednej myśli takiej, której bym nie przyznała, że płynie z serca szlachetnego. I dla ludu on był zawsze uprzejmy, życzliwy, dobry.

A jednak...

Ja kocham Mieczysława, jestem jego narzeczoną i szczęście moje widzę przy jego ramieniu, przy jego życiu, przy jego duszy. Mieczysław biedny, zaledwie za dwa lub trzy lata będzie miał dosta-

teczne utrzymanie; nigdy nie będzie opływać w dostatki, jak Czesław. Lecz Mieczysław mój... mój po wszystkie wieki, a Czesław?...

On zapomni. Pojedzie za granicę, zabawi się, pocieszy.

Jednak żal mi go.

Pewnie, o! pewnie cierpi; przecież widziałam, czułam, że w tych słowach jego: „niech pani Bóg da szczęście“, mieści się całe jego serce.

Czyżbym ja nie chciała nawzajem jego szczęścia?...

O, Boże!... Radabym zobaczyć go szczęśliwym, radabym, aby o mnie zapomniał całkiem — całkiem.

Tak byłoby boleśnie widzieć we wspomnieniach swoich ból obcy, lzy i żal. Czemuż tak się stało?... I znów wracam, jak w zaczarowanym kole, do jednego pytania, do jednej myśli: czyli ja winna?...

Jeśli bym była winna, wielki grzech miałabym na sumieniu.

Igrać i bawić się sercem ludzkim — to niegodziwość!...

Łzę czuję pod powieką, smutno mi bardzo.

7 lipca.

Porozpisywałam zaproszenia do gości na egzamin. Zaproszeń wysłałam wiele: i do członków Rady powiatowej i do sąsiednich szkół, i do dworu

tutejszego i do Kowenic. Wszędzie prosiłam, aby państwo byli łaskawi przybyć, bo egzamin w szkółce to ważna chwila i dla nauczyciela i dla dziatwy, a nawet dla ludu. Jest to wielką podniętą do dalszej pracy, jeśli się widzi, że zacni rodacy postępowaniem uczniów się interesują.

Nagród dotychczas jeszcze nie mam prawie żadnych. Z mojej pensji kupiłam parę chusteczek i na parę fartuszków perkalu dla dziewcząt, kilka ołówków i „scyzoryków“ dla chłopców. Ale idzie mi o książki.

Martwię się, że Mieczysław już dawno nie pisał.

Odwiedziłam Bronię, już ma się lepiej. Zastałam u niej zanego, czcigodnego księdza Świątki. On przez cały prawie czas choroby Broni, dziatwę sam uczył.

Idealna to postać kapłana, sługi Bożego i pa-tryoty. Opowiedziałam mu o moim zamiarze zaprowadzenia tu koszykarstwa. Przyklasnął tej myśli z całą radością, bo przyznał, że próżnowanie dzieci wiejskich jest matką wielu grzechów i upadków, a co dalej idzie, — nędzy.

— Jedna tylko bardzo ważna przeszkoda stoi tu w drodze, mówiłam, a to środki materyalne. Rada szkolna okręgowa nie ma funduszu, gmina mi na wyjazd nie da funduszków, a moje zasoby w żaden sposób nie starczą.

— O te nieszczęsne, materyalne przeszkody naj-

częściej u nas rozbija się wiele znacznych planów, — odrzekł ksiądz proboszcz. — Na niepotrzebne, zbyt-kowne, często nawet na nieuczciwe rzeczy, mają niektórzy ludzie wiele do wydania. Ale na ciche wsparcie pracy, oświaty, niema dziś filantropów. Niech pani jednak nie zraża się i nie odstępuje od zamierzonego planu; ja będę się starał wynaleźć odpowiednią subwencję na cel tak pocziwy i praktyczny.

— Bardzobym się cieszyła i jestem pewną, że włożony grosz tysiąckrotnie będzie pomnożony.

Wróciwszy dowiedziałam się, że Czesław był u mamy z pożegnaniem. Wyjeżdża na dłuższy czas, ale jeszcze się nie zdecydował, czy kupi Dą-browę.

12 lipca.

Jestem tak zajęta, że nie miałam chwili czasu do pisania.

Może to i lepiej, bo mi praca ukołysała niespokojne myśli. Mieczysław przysłał mi aż 20 książeczek ładnych, z wydawnictw Towarzystwa pedagogicznego. Sam kupił, bo trudno było zebrać składkę. Toż to będzie radość! Książeczki w czerwonej oprawie, ze złoconymi napisami, a każda ma parę obrazków.

W sobotę dzieci od 10 do 12 lat były pierwszy raz do spowiedzi świętej. Ksiądz proboszcz parę razy przychodził dla ich przygotowania. Z jakimż

sercem, pełnem niepokoju i trwogi, wiodłam moje dzieci do konfesyonału; jakże sama trwożnie u trybunału pokuty uklękałam!...

Czyż wykonałam wszystko, jak było potrzeba? Czy i czego nie zaniedbałam? Takie mnie chwilami wzruszenie przejmuję, że boję się, abym w głos nie płakała. Koniec roku mej pracy, zbiór plonu... pojutrze.

A to praca nie na roli, nie na drzewie, nie na kamieniu, lecz na sercach dziatwy — i to dziatwy ludu!...

13 lipca.

Dziś, w niedzielę rano, poszłam do kościoła z dziećmi, które miały pierwszy raz przystąpić do św. komunii.

Myślę sobie, pewnie ksiądz proboszcz przemówi do nich w kościele, pomodli się, da im św. komunię, dzieci pójdą do domów na śniadanie, a na sumę znów przyjdą razem. Ale nie wiem, co mogło księdzu proboszczowi przeszkodzić, iż nie przyszedł. Czekalam do dziewiątej. O dziewiątej posyłam Kiwackiego do księdza proboszcza i proszę, aby był łaskaw przyjść dzieci komunikować, gdyż obawiam się, aby które z nich czegoś nie zjadło. Jednak ksiądz przyszedł dopiero o dziesiątej. Wyszedł na ambonę, wypowiedział kazanie i dopiero przy mszy św., po komunii kapłańskiej, obdarzył dzieci pokarmem zbawienia.

Ale niestety, stała się rzecz okropna!...

Jedna z kobiet przybiega do mnie i szepcze:

— Pani nauczycielko, dwoje z tych dzieci już „śniadało“ chleb pod kościołem...

Ścierpłam!... Z płaczem podeszłam ku dzieciom i odprowadziłam dwóch chłopaków. Któż mnie jednak może zapewnić, iż nie stało się tak z innymi?

— Jakże mi ciemno w duszy, jak smutno!... I znowu wynurza się wieczne pytanie:

— Możem ja zawinila?...

17 lipca.

Więc już są wakacje.

Egzamin się odbył. Niestety, nie było gości! Nikt nie przyszedł popatrzeć na moje żniwo, nikt nie przyszedł posłuchać, jak moje dzieci odpowiadają. Ksiądz proboszcz był, ale i to niedługo. Śpieszył się, bo miał jeszcze w drugiej wsi egzamin.

Foteliki, krzeselka stały próżne. Mama usiadła na jednym i nieznacznie lży ocierała. Halka stała obok, — błada. One rozumiały, co się w mojem sercu dzieje.

Kościuszek ze ściany spoglądał na moją gromadkę.

— O! On pewnie widział mnie w tej chwili i pewnie moje dzieci kochał szczerze.

Z miasta nie przyjechał nikt. — Tam zjawił się

głośny cyrk, więc nie mogli wybierać się na wieści, którzy chcieli być na popołudniowym przedstawieniu.

Rozdałam nagrody po przeczytaniu klasyfikacji, pożegnałam dziatwę na 6 tygodni, i zrobiło się w szkółce cicho.

Oparłam się o okno i długo, długo płakałam.

Tak zakończyłam pierwszy rok mej pracy nauczycielskiej.

20 lipca.

Więc praca skończona. Kłos plonu zebrany i wolne chwile nadeszły. Działwa moja rozbiegła się dziś po polach i łąkach, a pod strzechą mej szkółki cisza i spokój.

Witam cię chwilo wytechnienia, swobody i ciszy! Jednakże znowu jestem niespokojna i niepewna. Coś się we mnie waży, przechyla, coś mnie rwie i unosi daleko, a chwilami znowu trzyma siłą nieprzepartą na miejscu.

Są chwile, w których znam siebie i wtedy ze spokojem i ciszą patrzę w dal życia mojego, nie lękając się tych wszystkich obrazów, które mi przyszłość okazuje. Są zaś chwile, w których stoję z rękami załamane i patrzę na drogę moją, lękając się jednego kroku naprzód uczynić, abym już nie wysunęła się za daleko od przeznaczenia kobiety, abym nie straciła z oczu ostatniego wzgórką miejsc

rodzinnych, abym nie zapomniała pieśni wiary i nie zmroziła serca na wieki, na wieki...

A potem... potem znowu szala rozważgi przeważa i rozum prawa swoje dyktuje; świat, zlocistych marzeń zanika przed prawdą szarą, i wtedy dotykam ręką czoła rozpalonego i pytam! czy mi rozum nie jest zdrajcą, czy mi nie zabiera jedy-nych skarbów, złudzeń?

I nie wiem czasem, czylim silną drzewiną, która, strzeliwszy szczytem wyżej nad swe siostrzyce, toczy walkę z wichrami, o których tamte nie wiedzą i wiedzieć nie będą?... I nie wiem, czylim tą wątłą pajęczyną, którą wicher niesie po świecie, ani pytając, gdzie jej początek, ani myśiąc gdzie jej koniec?...

21 lipca.

Czarownie piękny jest ten świat lata, ozłoconego falą kłosów, wzbogacony plonami ziemi, a ożywiony dźwiękiem kosi i pieśnią żniwiarek...

Patrzę na falujące morze pól i zbóż bogatych w ziarno i pytam, czemu nasze prace wobec zabiegów rolnika? Patrzę na silne wyniosłe lasy nasze, które przez wieki szumią wielką pieśń wytrwania i opierania się burzom, i pytam: czemu nasze czyny i plany wobec ich trwałości? Słucham szmeru wody płynącej przez tyle wieków. Cóż mi

ta przejrzysta fala powiada?... Idź dalej i dalej... bądź czystą i niebo odbijaj w swoim łonie...

Głosy ziemi i przyrody upokarzają człowieka, bo wykazują, iż nie tak łatwo nie podlega zboczeniom i błędom, jak właśnie człowiek, — ten pan ziemi!...

Czyliż sokół zniży drogę górnych lotów i będzie pełzać po ziemi?... A człowiek ileż razy z jasnych dróg zejdzie na manowce i błędne ścieżki! Czyliż brzoza, płaczka smutna, rozkwitnie kwiatem szczęścia, gdy jej przeznaczono być namogilną siostrą smutku?

A człowiek, na ziemi bólów i krzyżów ileż poświęca, byle zdobyć uśmiech szczęścia. Czyż najmniejsza nawet roślina, choćby na bezludnym stepie, na skalistym odłamie nie stara się rozkwitnąć i plon przynieść? A człowiek, przeznaczony do pracy i czynów, żyje nieraz tak marnie, iż nie jest ani ozdobą, ani pożytkiem narodu...

Są nieraz wielkie gmachy, niezamieszkałe, puste, o których lud powiada, iż tam coś „straszy“. Są i ludzkie serca nieraz dziwnie puste i zimne. Od nich, jak od tych gmachów, ucieka lud i woła, że „straszą“.

Tak!... Straszy pustka i głupota.

23 lipca.

Dziś przyjechał fizyk z miasta dla szczepienia dzieci. Przyszła kobiecina z dzieckiem na rękę chorem w gorączce. On oglądnął i powiada:

— Dziecko ma zapalenie płuc, szczepić nie będę.

Kobieta się skłoniła i, płacząc, zaczęła prosić:

— Może wielmożny pan doktor co poradzi, może co zapisze. Dziecko mam jedyne, do miasta iść z niem daleko.

Fizyk odwrócił się, mówiąc:

— To do mnie nie należy. Ja przyjechałem szczepić ospę.

Kobiecina, zawodząc, poszła do mamy. Mama, dowiedziawszy się, że dziecko ma zapalenie, przysła jeszcze raz z tą kobietą i prosi uprzejmie:

— Może pan konsyliarz będzie łaskaw przepisać co dla dziecka.

— Zapłaci reńskiego, to napiszę.

— O Boże mój, Boże! Skądże ja wezmę reńskiego, biedna zarobnica.

Nie było rady, Halka swego reńskiego uskładanego z centów przyniosła. Pan konsyliarz napisał receptę.

25 lipca.

Mieczysław przyjedzie za parę dni. Trudno mu o urlop dłuższy, a chce jeszcze pojechać na Podole, w rodzinne strony.

Wiele marzeń i planów snuje mi się po głowie, jak to my parę wolnych dni spędzimy. Rada-bym czytać wiele, a niestety książek nie mam. Radabym też użyć wiele przechadzki po naszych polach, błoniach i lasach, ale mama osłabiona nie może wiele chodzić, a nam z Halką, w towarzystwie mężczyzny, nie wypada wybierać się na dalsze wycieczki.

Nie długi będzie mój spoczynek.

Po pierwszym wyjeździe do N... na naukę koszykarstwa. Listownie już, za pośrednictwem jednej nauczycielki umówiłam się o mieszkanie. U jej znajomej dostanę wikt i mieszkanie za 15 złr. na miesiąc. Bronia doniosła mi dziś przez chłopaka, iż książdź z jej parafii u swego krewnego dostał kwotę 25 złr. na kosztą mojej nauki koszykarstwa. Cieszę się z tego, choć mi tęskno wyjeżdżać z ci-chego kąta, choć chciałabym istotnie spocząć przez wakacje.

1 sierpnia.

Mieczysław już przyjechał. Byłam z mamą i Halką w mieście po pensję i dla załatwienia potrzebnych sprawunków. Tam odebrałam list od niego i dowiedziałam się, że południowym pociągiem przyjedzie. Poszliśmy więc z Halką na dworzec. Trzeba było widzieć jego zdziwienie gdy nas zobaczył.

Zmężniał i wypiękniał.

Z powrotem bawiliśmy się wesoło. Już dawno, dawno nie było u nas tyle śmiechu, figlów i śpiewu, co teraz. Po herbacie siedzieliśmy długo na ganczku. Noc jasna, srebrzysta, spokojna, czarowała serca swoją ciszą i pięknem. Zdawało się, że dzwoniła echem pieśń fujarki pastuszej, lub skrzyp zórawia u studni dworskiej.

Wtem od chat wioskowych odezwała się piosenka. Kilka głosów dziecięcych śpiewało żwawo:

Oj ostre, oj ostre, oj ostre kosa nasze
Wystarczą na krótkie moskiewskie pałasze.

Mieczysław, usłyszawszy to, rzekł:

— Czyż nie miło to słyszeć, jak już nasze pachołęta śpiewają takie piosenki?... Poza abecadłem, pieśń narodowa, patryotyczna, idzie zaraz jako posłanka oświaty. Wielka rzecz, podawać ludowi pieśni nasze dziarskie, silne, pełne otuchy. Bo pieśń taka wpije się w pamięć, do serca się wciśnie i nie utonie w zapomnieniu...

Zauważyłam też, że lud nasz nadzwyczaj lubi pieśni żołnierskie, powstańcze. Tutaj w ustach ludu, dotychczas takie pieśni nie dzwoniły, gdy przeciwnie, na Podolu, lud ma bardzo wiele pieśni, opiewających zdarzenia wojenne i losy żołnierza.

Gawędziliśmy jeszcze długo, aż coraz ciszej, coraz ciszej było we wsi. Księżyc odbył też spory kawał drogi i mama wreszcie poczęła wołać:

— Dzieci spać, spać!

Gdybyż to sen przyszedł, lecz on gdzieś uleciał, daleko... Serce przepelnione uczuciem miłości nie uspokoi się prędko; wyobraźnia przędzie tysiące nici marzeń i planów różowych, a zegar raz po raz powtarza: tak, tak, tak...

4 sierpnia.

Czyż ja mam teraz czas pisać?... Czy to wreszcie można spisywać wszystkie wrażenia? Szkoda nawet próbować. Czy tak, czy owak napiszę, zawsze to na papierze wygląda zimno, sztywnie, nudno...

Mieczysław wesół jak dziecko, to się droczy ze mną, to mi znowu snuje cudowne plany przeszłości, to śpiewa raz po raz... bez końca:

Nie dość, nie dość patrzeć w oczy,
Trzeba głębię serca znać,
Aby można życie całe
Jednym oczom w darze dać.

.....
Czasem w rękę pocałuje, czasem szepnie z cicha, tuż koło ucha, jakby muszka brzęczała: czy kochasz?... Czasem kwiatami mię zarzuci i znów pyta: moja? moja?...

— Twoja, twoja — odpowiadam i chylę się nad robótką, aby nie widział, jak mi rumieńce na twarz biją.

Mówił Mieczysław mamie, że za 2 lata mieć już będzie stałą posadę i pensję taką, aby można skromnie żyć.

Dwa lata... Czy to daleko, czy blisko?... Gdy słyszę głos Mieczysława, gdy go widzę, gdy jest przy mnie, zdaje mi się, że dwa lata, to chwilka. Upłyną prędko. Wtedy mi żal, że już nie będę w szkółce, że nie będę przy mamie, że wszystko zostawię i pójdę za nim, dla niego. Ale gdy go niema przy mnie, gdy tęsknota rozściela swoje szare, duże skrzydła nademną, wtedy mi się dwa lata wydają takie długie, dalekie, niezmierzone!...

Moja różowa sukienka jest śliczna, a Mieczysław powiada, że w tej sukience nie powinnam się nikomu, nikomu pokazywać, tylko jemu, bo wyglądam tak, jakbym jeszcze komu chciała głowę zawrócić, a narzeczonej tego nie wolno.

— Tak! tak! Zaręczona panna musi o tem pamiętać, że już należy do jednego i do innych ani się stroić, ani uśmiechać się nie wolno — mówił mój pan, śmiejąc się i wydzierając mi z ręki robótkę.

Przypomniałam sobie wtedy Czesława i zaczerwieniwszy się, rzekłam:

— Ale ja mam się przed panem wypowiadać. Czylim winna, czy nie, mój pan osądzi. Ja opowiem wszystko, jak było.

I zaczęłam opowiadać. Mieczysław słuchał poważnie, chwilami czoło jego się zasępiało. Cza-

sem bladł nieco. Gdym mu wreszcie powiedziała o mojej ostatniej rozmowie z Czesławem, rzekł z smutkiem:

— Biedny.

— Ale ja nie winna, prawda? prawda? Powiedz, proszę cię, bo mnie to ciągle niepokoi, czylim ja nie zawiniła?

— Nie. Znam cię zanadto dobrze, abym mógł posądzić cię o jakąś zalotność lub kokieterię. Już się tak dziwnie rzeczy złożyły, iż mojemu szczeremu przyjacielowi serce zraniłaś. Żal mi go bardzo. Zaczny i prawy charakter.

— Mnie przecież on się wydaje fałszywym, bo gdy się stara o tamtą bogatą pannę, gdy ślub jego gdzieś niedługo ma być, czemu odważa się mówić mi o miłości?

— Któż ci mówił, że on się stara o jakąś pannę?

— Pani Łomska mówiła mamie jeszcze na Wielkanoc.

— Nieprawda! W karnawale we Lwowie ani na jednym balu nie był, ani w myśli małżeństwa nie miał. Widywałem go codzień i znałem jego życie.

Zdziwiło mnie to bardzo. Musiała w tem mieć Łomska jakiś cel, gdy mamie mówiła o jego małżeństwie.

Mieczysław przeszedł się parę razy po pokoju, a potem, usiadłszy obok mnie, zapytał:

— A czy tobie nie żal Czesława?

— Żal mi go, bo zdaje mi się, że jest nie-szczęśliwy.

— A cóż twoje serce na jego miłość?

— Moje serce?... Jakże możesz o to pytać? Moje serce ukochało jednego, dawnego znajomego i dla nikogo więcej miejsca nie ma, bo serce to tak przepelnione dziatwą, iż mój pan ledwie się mieści na samym dnie.

Mówiłam to umyślnie, śmiejąc się, aby całą tę rozmowę na ton weselszy nastroić. Zauważyłam już od chwili, że Mieczysław ma rysę na czole, która znamionuje walkę jakąś lub ból wielki.

Znów przeszło parę chwil, on znów przeszedł się parę razy po pokoju, aż, stanąwszy przedemną, spytał:

— Czy rozważyłaś dobrze swój krok?

— Jakże możesz pytać? — nawpół z płaczem odpowiedziałam, a on na to:

— Pomyśl: on bogaty, ja biedny, on ci da dziś wszystko co do życia potrzebne, a ja, kiedyż dla ciebie moją chatkę zbuduję? Kiedyż dla ciebie jaką taką lepiankę stworzę i do niej, nie na wygody i dostatki, lecz na trudy i walkę ciebie poproszę? Pomyśl, moja ukochana, pomyśl.

Nie odpowiedziałam nic, jeno ukrywszy twarz na jego ramieniu w głos się rozplakałam.

— Czegóż płaczesz? Czyż ci zrobiłem przykrość? Czyż dziwne, iż ja teraz waham się i rozważam,

czyli nie zawinił, wiążąc cię słowem, gdy jeszcze nie mogę ci dać zupełnego szczęścia?

— Uspokój się Zosiu, nie płacz, bo każda łza twoja mnie rani. Cóżem ci zrobił, że się tak żalisz?

— Nie ufałeś mi. Myślałeś, iż dla majątku i dostatku mogę zerwać nasze szczęście, mogę serce moje zmienić i kazać mu o tobie zapomnieć — mówiłam mu potem, a on przepraszał, przepraszał... przepraszał.

— Kocham cię i więcej o niczem nie chcę wiedzieć. Będę czekać nie 2 lata, ale lat 20, aż wreszcie przyjdiesz mnie zabrać do swej chaty, a tu zamiast młodej Zośki, będzie stara, kaszląca, zgarbiona panna Zofia...

— Cicho!... nie wolno obrażać mojej Zośki, ona nigdy starą, nigdy brzydką nie będzie...

Teraz znów wesoło u nas. Czas mija szybko, ani wiem, kiedy dzień przemknął, jak ptak złotyskrzydły, ani wiem, ile tych dni było. Lecz niestety wiem, że za trzy dni Mieczysław odjedzie. Odjedzie, — a kiedyż wróci? Kiedy?

W N... 12 sierpnia.

Jestem tu już od trzech dni. Zapisana jako zwykły terminator, siedzę całe dnie w koszykarni, na

stoleczku małym, splatam pręty dość twarde i patroluję się życiu, jakie około siebie widzę.

Pracownia znajduje się w dużej sali. Czeladników starszych jest tu dziewięciu, chłopców, terminatorów jedenastu, — ja do ich rzędu należę. Warto było widzieć miny tych chłopaków, gdy ja w ich rzędzie zasiadłam. Patrzyli na mnie, jak na dziwo. Pierwszy dzień, drugi, pozwalali sobie nawet na rozmaite docinki i żarty, ale teraz już dają mi spokój.

Nauka rozpoczęła się od klócia prętów. Jest do tego osobny przyrząd, trzeba dość silnie naciskać, aby pręt łoży rozdzielić na 3 lub 4 części. W ślad za tem poszło heblowanie. Rozkłóte części pręta heblują się na płaskim heblu do znacznej cienkości. Palce od tego bolą bardzo i niemało są pokaleczone. Uheblowane tasiemki z prętów nazywają się „szyny“. Te idą pod drugi hebel tak zwany „szmachhebel“ i tu ścinają się do równej szerokości. Wszystkie narzędzia i przybory mają tu tylko niemiecką nazwę.

Praca ta, jak na moje fizyczne siły, jest zbyt ciężka, ale to mniejsza. Cięższe jest do zniesienia towarzystwo, w którym przebywam. Nauczyciel fachowej szkoły koszykarskiej wiecznie pijany, gbur i prostak. Nie przemówi, nie odezwie się nigdy inaczej do terminatorów, jak wyrazami niemożliwymi do powtórzenia. Czeladnicy stanowią osobną grupę. Oni rozmawiają między sobą o swoich co-

dziennych, sercowych przygodach, o bójkach z żołnierzami, o lichej zapłacie.

Nauczyciel raz po raz posyła Jaska, najmłodszego ucznia po piwo. Od jego oddechu można dostać silnego bólu głowy. Dym z fajek i cygar odurza mnie. Gdy po 12 godzinach pracy w koszykarni przyjdę do mej stancyi, jestem nad wyraz zmęczona.

14 sierpnia.

Jest w koszykarni jeden czeladnik zupełnie ciemny, którego przyprowadza siostra, mała dziewczynka i odprowadza go do domu. Robi śliczne rzeczy. Muszą mu inni czeladnicy dostarczyć gotowych szyn do wyplatania, on siedzi nieporuszony na stolku i wypłata deseniowe, ażurowe, ładne koszyczki. Ma przytem stare, ubogie skrzypki i ślicznie na nich czasami wygrywa. Gdy zacznie grać, to w całej koszykarni jak makiem siał. Wszyscy zasluchani, ani jednym słowem nie przerywają jego muzyki.

17 sierpnia.

Już uplotłam parę koszyków, co zadziwia moich kolegów, bo oni tu dłużej i takich rzeczy jeszcze nie robią.

Zaczynają też szemrać między sobą, iż pan profesor mnie inaczej uczy. Naturalnie; uczy inaczej, bo i ja to widzę. Mnie chętnie to i owo pokaże,

a chłopakom całemi dniami każe znosić pręty, zamiatać, biegać po cygara i piwo.

Już to taki los biednych terminatorów ponoś zawsze i wszędzie.

Często w naszej pracowni brzmia śpiewy choralne. Jest tu jeden, młody, dzielny czeladnik, Rusin; ten zawsze śpiewa. Otóż nauczył on kolegów wiele pieśni, a przyznam się szczerze, że śpiew ten robi mi wielką przyjemność.

Wczoraj, opowiadał Wicherek, czeladnik najmłodszy, a sprytny i żwawy, jaką on książkę czytał. Słuchano go z takim zajęciem; że chwilami nawet roboty ustały, a wszyscy wpatrzeni w niego czekali z ciekawością na dalszą treść książki.

Było tam coś o zbójach, o zaklętych skarbach, o rycerzu i t. p.... Ot, jakaś licha rzecz, — a przecież ile budziła zajęcia! Pomyślałam też, coby to było, gdybym ja im zaczęła opowiadać o tych książkach, które czytałam? Ale czy zechcą mnie słuchać?... Jakoś nie mam jeszcze odwagi, jeszcze się ich boję, może ośmielą się zanadto. Ich tylu, a ja jedna, sama... Boję się czasami.

18 sierpnia.

Z Dąbrowy listu nie mam. Martwię się, czy Boże broń, kto nie chory. Czy nie było tam znów ognia, bo pamiętam jak zeszłego roku po zbiorach często się we wsi palilo.

Mieczysław pisał do mnie, jak zawsze, pięknie i serdecznie, a list zakończył temi słowy:

„Mój terminatorze koszykarski! Trzymaj się dzielnie i pleć ładne koszyki, tylko strzeż się, aby ci nie przyszła kiedy myśl mnie kosztem obdarczyć“.

Żartuje sobie ze mnie, a ja się męczę bardzo. Nie jedną niewygodę mam do zniesienia, nie jedną przykrość do poznania. Od szóstej rano do dwunastej siedzę nieporuszona przy robocie, a potem od drugiej do ósmej wieczorem. Długo tu być nie mogę, bo i pieniędzy nie mam na opłatę wikt i mieszkania, a i wrzesień mię wołać niebawem pocznie do pracy szkolnej.

Chciałabym przez ten czas nauczyć się wiele. Najpierw zwykle koszyki, tanie, praktyczne, tak zwane „ducki“ z zielonej łozy, jakie są potrzebne do kartofli i t. p. rzeczy w gospodarstwie. Potem koszyki targowe, jakich potrzebują kobiety do miasta, na jaja, sól, masło. Za temi idą koszyczki „galanteryjne“, małe, delikatne, jak dla dzieci, bombonierki, na kwiaty i t. d. Ale poza tem jeszcze jest ważny dział: to mebelki koszykarskie. Robią tu ładne i zgrabne krzeselka, łóžeczka, kolebki, stoliki, szafki na książki. Byłoby bardzo dobrze, gdyby dzieci sobie zaczęły takie mebelki robić i pozwoli, ubogie chatki niemi ozdabiać.

Mówiłam dziś o tem z moim nauczycielem, ale on zapewnia mnie, iż ten dział dla mnie za tru-

dny, potrzeba do tego siły fizycznej. Gdy nauczę się koszyczki wyplatać, wezmę się koniecznie do mebelków.

21 sierpnia.

Wczoraj, nad wieczorem, było jakoś ciszej i spokojniej w pracowni. Wicherek gwizdał, inni mu pomagali. Wreszcie ów ciemny czeladnik powiada:

— Hej! możeby kto opowiedział bajkę.

— Nie ma nikogo takiego — odzywa się Wicherek. — Kto tu ma czas czytać książki?

— Niech mówi Paweł Mruk — woła jakiś żartowniś z boku — nigdy się nie odzywa, to może raz co mądrego powie.

— Cha! cha! cha! — śmiano się wesoło.

A ciemny znów prosi:

— Hej!... opowiadajcie co; wy czytacie, wiecie niejedno, a ja radbym słuchać.

Na tę cichą skargę ciemnego człowieka serce moje wzruszyło się... Przemogłam trwogę i odezwałam się:

— Jeżeli chcecie, ja wam opowiem ładną historję.

Spojrzeli na mnie z zdziwieniem; chwilę wahali się, co odpowiedzieć, aż wreszcie Wicherek odzywa się:

— A proszę, kiedy pani chcą, to niech opowiadają.

Zaczęłam, ale tak drżałam, iż chwilami ledwie mogłam mówić.

— W jednej wsi pięknej i zamożnej był dwór, dwór duży, drewniany, otoczony drzewami. Jednego dnia, zrana, przed dwór zajechała bryczka, a z niej wyskoczył młody i ładny mężczyzna. Idzie do dworu, a dwór zamknięty, nikogo w nim nie ma. Ale ów panicz znał dobrze i dwór i zwyczaje, wiedział, że na zamki i klucze tutaj drzwi nie zamykają. Odsunął zasuwę, wszedł do pokoju...

Tak rozpoczęłam opowiadanie „Pana Tadeusza”. Naturalnie, musiałam nadać mu formę jak najprzystępniejszą, a starać się przytem i ciekawość zaostriżyć.

Słuchano mnie z zajęciem. Gdy wreszcie przestałam, mówiąc, iż jutro dalej będę opowiadała, zaczęli wołać:

— Proszę jeszcze, proszę jeszcze mówić.

Wyjaśniłam, iż jestem zmęczona.

— Niech tam Telimena z Tadeuszem grzybów w lesie szuka — rzekłam z uśmiechem — a jutro dowiemy się, czyli co znaleźli.

24 sierpnia.

Roboty moje idą bardzo prędko. Już mam 16 koszyczków mej roboty, a każdy jako model, z innego fasonu i roboty innej. Przy koszyczkach, idą też teraz moje opowiadania już prawie bez przerwy,

tak, że mi nieraz głosu braknie do dalszej opowieści, a moi kochani koszykarze wołają raz po raz: proszę dalej! proszę dalej!

„Pan Tadeusz” skończony, za nim poszło „Pachole hetmańskie”, dziś znów opowiadałam „O obronie Częstochowy”.

Koło moich słuchaczy, to zdaje się dalszy ciąg mej dziatwy z Dąbrowy. Przekonałam się, iż ludzie ci nic a nic nie znają ani historyi Polski, ani najcenniejszych utworów literatury, nawet z tytułu bogdaj.

Cóż to za pole do pracy!... Niestety, ja odjadę za 10 dni, wszystko się między nami przerwie. Czyż przyjdzie tu potem ktoś, do ubogiej pracowni koszykarskiej, i będzie im czytać lub opowiadać? A czy to rzecz tak trudna i niemożliwa do wykonania?

Ileż jest panien, które nudzą się, nie wiedzą, co z czasem zrobić. Czyż nie mogłyby iść z książką do tej lub owej pracowni, do krawca, szewca, i tam godzinę na dzień poświęcić na głośne czytanie? Ludzie są tak spragnieni, iż chwytają każdą rzecz ze skwapliwością i wołają raz po raz: jeszcze, jeszcze...

25 sierpnia.

Czuje się już tak zmęczoną, iż prawdziwie ledwie przejdę z koszykarni do domu i napowrót. Ręce mam pokaleczone, sine, spracowane, a w ra-

mionach czuję ból wielki. Przytem muszę ciągle opowiadać.

Jakżeż: czy ja, mając w pugilaresiku kilkadziesiąt centów, mogłabym powiedzieć żebrakowi, gdy rękę wyciągnie: nie dam!... A gdy ci ludzie proszą o „historye“, a ja ich mam tyle, tyle w pamięci,— czy mogę rzec: nie dam wam!?...

27 sierpnia.

Dziś miała być pierwsza lekcya mebli koszykarskich, ale nie udała się. W żaden sposób tego nie mogę robić, bo na to potrzeba siły. Trzeba wbijać mocne gwoździe, pręty naginać, zacinać nożem, a tymczasem palce mam zakrwawione. I krzeselko nie zrobione.

Zasmuciłam się tem i mówię do profesora:

— Cóż pocznę?... Chciałabym u siebie dzieci nauczyć tych wyrobów, a gdy nie będę umiała, na nie plan mój cały.

Profesor kiwa głową, napił się znów piwa i powtarza:

— Jak niema siły, to „nie poradzi“.

Było to zrana.

Popołudniu przychodzę, jak zwykle, do koszykarni; siadam na swoim miejscu, a tu Wicherek przystępuje do mnie z poważną miną, przekłada nogą na nogę i zaczyna:

— Proszę pani, ja tu w imię czeladników mam

powiedzieć słów parę. Wedle tych mebelków, pani chciała się nauczyć, ale nie może, bo słabe ręce... To my pani z dobrej woli zrobimy po jednej sztuce „na fason“.

— Dziękuję szczerze za wasze dobre chęci, ale, moi kochani, przyznam się wam szczerze, ja nie mam pieniędzy na opłacenie każdego fasonu; mnie dość kosztuje ten pobyt i opłata za materyał.

— My pani zrobimy za darmo. My tak uradzili dzisiaj. Pani dla nas dobra i grzeczna, opowiada piękne rzeczy, my zrobimy na pamiątkę.

Rozrzewniło mnie to bardzo. Dziękowałam serdecznie i ucieszyłam się, przekonawszy się, iż moje opowiadania nie były marną pracą.

Lecz jeszcze z tego niewielka korzyść, gdy oni mi zrobią modele, bo ja chcę umieć sama robić. Oni, przemysłni i poradni, dobrze mi powiedzieli:

— Niech pani robi krzeselko, łóżko lub stolik, ale małe, jak dla lalki; to będzie łatwe, a robota jednakowa.

Będę więc robiła małe modeliki, a oni mi dadzą modele o wymiarach naturalnej wielkości.

Cieszę się, ale więcej jeszcze cieszę się, że serca tych ludzi okazały się tak dobre i pocziwe... Jeszcze raźniej teraz pójdą moje opowiadania.

Mam tu małą katedrę uniwersytetu ludowego, ale grono słuchaczy i ciekawe i pilne i roztropne.

Nie dużo tym ludziom trzeba, aby ich oświecić: tylko szczerą woli jednostki.

1 września.

Za trzy dni pojadę. Już umiem dość wiele, egzamin z koszykarstwa złożyłam, jutro dostanę świadectwo z odbytego terminu. Czy sądzi kto, iż dyplom doktora filozofii byłby mi droższym nad to ubogie świadectwo na czeladnika koszykarskiego?... Doprawdy — nie!...

Z tamtą zdobyczą wśród ludu nicbym nie zrobiła, i z tamtą wiedzą nie umiałabym do chat spieszyć, za pastuszkami tęsknić; a dziś roję całe plany o praktycznem zastosowaniu koszykarstwa i o tem, ile będzie uciechy, gdy taki biedny Mikołajek zarobi sobie na książki 1 zlr...

Poświęciłam moje wakacye na tę naukę, namęczyłam się szczerze, ale jakże jestem szczęśliwa!...

A tu moi koledzy, czeladnicy, zaczynają żalić się, że już pojadę i nie będzie komu im opowiadać.

Gdybyż, gdybyż był kto taki, ktoby zechciał do nich przychodzić!...

Profesor, dając mi świadectwo powiedział:

— Musi pani teraz kupić piwa i wódki, wedle zwyczaju, kolegom przy „wyzwolinach“.

A ja na to z uśmiechem:

— Nie, ja nie mam pieniędzy na to i nie pijam, ale na wyzwoliny przeczytam coś ładnego.

— Zgoda, zgoda, — odezwały się głosy.

Przeczytałam im głośno bitwę Racławicką, Lenartowicza. Kupiłam ją tu za parę centów.

4 września.

Jutro rannym pociągami odjeżdżam. Dziś już pożegnałam szkółkę koszykarską. Ów ciemny czeladnik, wyplół mi na pamiątkę śliczny koszyczek na roboty; inni dali swoje wyroby. Żegnali się ze mną, jakby z bardzo dawną znajomą.

Przypatrzywszy się z bliska życiu ludu pracującego w mieście, wracam znów do cichej mej wioski. Nowy rok pracy przedemną, nowe pole do zasiewu...

Byle sił nie brakło, byle nie było burz silnych i wichrów niszczących spokój ducha!...

Dąbrowa, 16 września.

Po przyjeździe do mej chatki, miałam wiele zajęć, nie mogłam notować wrażań. Tego roku przy zapisywaniu dzieci już żadnego nie miałam kłopotu. Owszem, lud z chęcią przyprowadzał dziatwę i darzył mnie rozmaitemi podarkami. Jeden na „zapis“ przyniósł cztery jabłka, inny kureczkę czubatą, tamten ziarna dla kur w chuście. Nie przyjąć trudno, bo pomyślą, że się tem gardzi, więc biorę, ale za to daję dziecku zeszyt, ołówek, tabliczkę.

Pan Raziński, rządcą, zapisał dwoje swoich dzieci na naukę: starszą Olgę do drugiej klasy, młodszego Kazika do pierwszej. Prócz tego Olga ma przychodzić do Hali na lekcye fortepianu i szyć. Za to dostajemy z dworu mleko i już nie płacimy posłańca na pocztę. Zapowiedział także pan Raziński, iż często, albo on, albo jego żona jeżdżą do miasta, więc gdy kto z nas ma interes może się „przysiąc”. Wielką to dla nas wygodą.

19 września.

W Szczurzynie, gdzie jest nauczycielem Pychnicki, smutne zaszły wypadki. — Młody ten człowiek nie umiał zachować należytej powagi wobec ludu. Często na weselach, zrękowinach, lub chrzcinach, bawił się po chatach, śpiewał i tańczył z dzievkami. To postępowanie zanadto spoufaliło lud, jeszcze nie oświecony należycie. Liczył on na to, iż nauczyciel, który jest z nim tak serdecznie, będzie pobłażliwym na niejedno. Poczęto też powoli zatrzymywać starsze dzieci w domu. Gdy frekwencya była tak nieregularna, a upomnienia Pychnickiego nie skutkowały, posłał do Rady szkolnej okręgowej wykaz dzieci, nie uczęszczających. Było to jeszcze w maju. Podobne sprawy nie załatwiają się szybko; Rada okręgowa aż w sierpniu przysłała egzekutora do ściągania „kar” za nieposyłanie dzieci. W porze wakacyjnej podobne „fanto-

wanie” za szkołę wydało się ludowi czemś barbarzyńskim. Gniewu i przeklinania było nie mało.

Pychnickiego w domu podczas wakacyj nie było. Teraz, gdy zjawił się i wezwał do zapisu, wielu gospodarzy, rozgniewanych, zrobiło w nocy formalny napad zbójce na szkołę. — Wpadli z kołami, drągami, połamali sprzęty, porozbijali, co było pod ręką.

Wiść o tem przygnębiające uczyniła na mnie wrażenie.

Pychnicki przeniósł się do innego okręgu — w Szczurzynie nie ma tymczasowo nikogo.

Ja czynię wszystkie potrzebne przygotowania, abym mogła naukę koszykarstwa rozpocząć, pierwszego października. Kupiłam całą furkę łoży u księdza proboszcza, aby dziatwa miała pod ręką pręty i nie wycinała na błoniach cudzych przecików. Zaczny ksiądz proboszcz Świątek na kupno hebli i form zebrał u znajomych 16 złr.

Wniosłam podanie do Rady szkolnej krajowej; może da subwencyę na tę naukę. W naszej chatce wiele roboty, przedstawiają piece, bielą pokoiki.

29 września.

Milki ślub w listopadzie. Zaprasza mnie na wesele, pisze krótko, widać, że jest bardzo roztagoniona. Kobieta kochająca i kochana musi być

mniej spokojną od tej, której serca wielka fala uczuć nie porusza.

Miłość w życiu kobiety, to rzecz tak wielka i doniosła, iż nie może wejść do serca, zamieszkać tam i być częścią życia, bez wyraźnego wpływu na wszystkie myśli, uczucia i czyny kochającej kobiety. Ja, odkąd przekonałam się, że kocham, widzę, iż zmieniam się bardzo. — Czasem zdaje mi się, iż mogę czuć się dumną i każdemu rzec śmiało: kocham, oddałam swe serce jemu i już mam wielki skarb na bogactwo życia odnaleziony.

A czasem, niby gołąb spłoszony, kryłbym się rada w cienistą ustron, a pochyliwszy czoło, pytam: com ja zrobiła?... po com wzięła jego serce? Czy umiem, czy zdołam dać mu to wszystko, co mu do szczęścia potrzeba?... Czyliż miłość moja nie zacięży mu w życiu? Czy mu nie zasłoni szerokiego widnokregu powinności wobec Ojczyzny, narodu?...

A ja, czyż śniąc o własnem szczęściu nie omtam tak swej duszy i myśli w jedynem kole, jak się prządka jedwabnika osnuwa swą przędzą?

Narieczona, — to cudne słowo... Ale któż je dobrze rozważył, zrozumiał i ocenił?...

Narieczona, to dziewczica poślubiona nie przysięgą, ale jednym słowem miłości wielkiej — a przecież poślubiona na życie całe.

Narieczona, to szczęśliwa kobieta, którą uko-

chano i której już widnieje cudna gwiazda szczęścia rodzinnego, to kobieta, na której uśmiech otwiera się świat rozkosznych marzeń, ku której nachyla się kwiat spełnionych pragnień.

Narieczona, to jego skarb, ukochanie, szczęście, piękno, siła i zamożność! To ptaszę, okute w złotą okowę. Biada jej, gdy tę okowę uważa za ciężką i niewolniczą lub ją zrywa lekkomyślnie. Wszystko, co jego życia ma być udziałem, jest jej udziałem, co ma być jego sławą, jest jej sławą. Gdy ona zna loty tylko niskie i poziome, gdy szuka tylko wesela, zabawy i strojów... gdzież dla niego będzie miejsce? Gdy ona poza tym ślubem serc dwojga widzi tylko byt dostatni, tytuły i zupełne zabezpieczenie się przeciw trudom i pracy, w czemże spocznie ich szczęście? Rzekła raz: kocham, i już tego słowa komu innemu powtórzyć jej nie wolno. Stało się! raz wypowiedziane słowo wiąże kobietę zacię na wieki, i... choćby on potargał wszystkie węzły i przysięgi, choćby zdeptał jej miłość i zapomniiał o niej, ona już nigdy nikomu nie powie: kocham!...

On usłyszał pierwszy to słowo, on pierwszy wziął pocałunek z ust dziewicy, on je uszanuje...

Ale czy ona jest dobrą narieczoną? Przecież aby czymś być skarbem, a zwłaszcza skarbem ducha, trzeba być godną tej nazwy.

Czemże ja jestem dla niego? Nie wolno mi teraz topić ducha w wielkiej i czystej, jak lza, pracy

nad ludem, nie wolno mi poświęcać wszystkich myśli i uczuć tej gromadce dziatwy, która u wrót mej szkoły staje i o światło prosi. Ja muszę życie rozdzielić na dwie wielkie połowy.

Kocham, więc miłość mi takie same niesie obowiązki, jak stanowisko nauczycielki. Bo i dla czego jestem nauczycielką, jeśli nie dla ukochania ludu? Więc, gdy ta miłość dała mi do wypełnienia wiele, czyż miłość jego niczego nie żąda? Są kobiety, które myślą, iż wystarczy kochać, być zaręczoną i postarać się o piękną wyprawę.

Ja widzę przed sobą inne powinności. Muszę wzrastać duchowo, wzbogacać się w cnoty, muszę być godną jego miłości, miłości młodzieńca zacnego, szlachetnego. On mię przyobleka w cudne szaty swoich marzeń, widzi we mnie te błyski ideału, które mu własna dusza rozświecila; czyż mogłabym wejść do jego chaty i przywlec za sobą straszny ból... rozczarowania?

Nie, o nie!...

27 września.

Cóż robić? Trzeba i to zanotować w pamiętniku, co mnie dziś spotkało; wszak i to godne zapamiętania. Czy to śmieszne, czy smutne, miłe czy nieprzyjemne, — ja ocenić nie mogę. W każdym razie ciekawy to objaw życzliwości ludu. Oto było tak.

W południe, gdyśmy już miały siadać do obiadu,

przychodzi do nas Kiwacki. Wystrojony zupełnie odświętnie, w granatowej, długiej czamarze z pętlcami, włosy wysmarowane świecą się z daleka; na szyi czerwona chustka, paradna, a buty „wyglancowane“ co się zwie.

— Jak się pan Kiwacki miewa? — witam go uprzejmie. — Cóż za nowinę pan nam przynosi?...

Kiwacki kłania się, ale wyraz twarzy ma bardzo stanowczy.

— Ja... tu, właściwie do pani nauczycielki i matki pani nauczycielki, od gminy przychodzę — mówi, łamiąc palce, aż trzeszczą kości.

Jakaś trwoga mnie przejęła. Od gminy?... Coś musi być ważnego...

— Proszę, niech pan siada, — zaprasza mama, ale Kiwacki odpowiada:

— To jest, w tym razie chciałbym na osobności z panią nauczycielką i z szanowną matką pani nauczycielki pogadać.

Mój niepokój zaczyna się wzmacniać, czuję, że blednę.

Mama zaprasza Kiwackiego do naszej bawialni; siadamy obie na kanapie i prosimy, aby on usiadł. Lecz Kiwacki stoi, chrząka, włosy gładzi, wreszcie zaczyna:

— Wielmożna pani nauczycielko i szanowna matko pani nauczycielki! Ponieważ gmina od dawien dawna była zawsze w poniewierce, gnębiona

przez wylewy i dziedzica i podatki; ponieważ ludzie tutejsi, to jest mieszkańcy, mieli wiele do ucierpienia, a i bieda tu wielka, a dał Pan Bóg nauczycielkę dobrą i pocziwą, co jest matką we wsi, bo inaczej nikt pani nie nazwie, tylko, że to matka, — więc mnie gmina tu wysłała w tym interesie. Wiadomo, Pan Bóg stworzył Adamowi Ewę i powiedział: nie dobrze jest człowiekowi samemu, — tak więc i stan małżeński jest przez kościół uważany, a pani nauczycielka, choć jest nauczycielką, za mąż wyjść może.

Tu się zakaszła pocziwy nasz orator, chwilę przy nosie operował, zażywając tabaki i powiewając dużą, kraciatą chustą, a my z mamą siedzimy, oczekując, co też dalej będzie.

Kiwacki mówi dalej:

— Tak więc gmina, obawiając się bardzo, aby pani nauczycielka za mąż nie wyszła i od nas nie odjechała, postanowiła znaleźć pani nauczycielce męża, a szanownej matce pani nauczycielki zięcia, tu, w gminie stale osiadłego.

Tu już wszystkie siły zbierać musiałam, aby nie parsknąć śmiechem na te uroczyste swaty gminne; ale wiedziałam przecież, że zrobiłabym przykrość, gdybym się rozśmiała, więc zaciskając ręce siedzę przy mamie i w milczeniu słucham dalszej mowy.

— Jest tu zamożny gospodarz, kawaler, pisze się Paweł Bojarski, a nazywają go we wsi Brzdęk.

Ma chatę i sześć zagonów ornego pola. Arenduje to teraz „Szmul Czerwony“, bo Paweł jest przy żandarmeryi, światowy człek, „postenführ“, umie i po niemiecku, piękny mężczyzna, co się zwie. Tak z nim gospodarze mówili względem pani nauczycielki, i on powiedział, „co dobrze“. Wystąpiłby z żandarmeryi, byłby u nas pisarzem, ożeniłby się z panią nauczycielką, a powiedział, coby panią szanował, wody-by nie dał nosić, ale-by trzymał „kucharkę“.

Skończył nasz biedny orator i, zmęczony, usiadł na fotelu.

Mama spokojnie i łagodnie na to odpowiada:

— Dziękujemy wam, panie Kiwacki, i gminie proszę podziękować za pamięć i za życzliwość, ale my teraz stanowczej odpowiedzi dać nie możemy. Córka moja jeszcze dość młoda, jeszcze jej się nie spieszy za mąż, zresztą, trzeba się tu rozmyślić. Widzi pan Kiwacki, tu nie można rozkazywać; nie wiedzieć kto się dziewczynie spodoba; jeszcze czas o tem myśleć...

Ja też dodałam od siebie słów parę:

— Dziękuję za życzliwe serce; proszę powiedzieć gospodarzom, że im dziękuję, ale jeszcze o weselu nie myślę, chcę jeszcze trochę poprawować.

Kiwacki odszedł z miną poważną, jak wszedł, a gdy już za nim drzwi się zamknęły, ja padłam w objęcia mamy i rozplakałam się w głos.

— Mamo, mamo!... na tom już zeszła, że mnie chcą za żandarma wydać?... — wołałam z łkaniem silnem.

A mama mnie uspokaja i cieszy, jak może:

— Cóż się dziwić? wszak co mieli najlepszego we wsi, chcieli ci ofiarować. Wszak u nich żandarm, to wielka figura. Nie bierz im tego za złe, nie żal się — nie ma sobie co z tego robić...

Długo nie mogłam moich łez uspokoić. Teraz, pisząc o tem, patrzę spokojniej i istotnie myślę, że nie było się czem rozżalać. Jak umieli, tak mnie swatali.

O mój Mieczysławie!... czyż ty możesz nawet przeczuwać, jakiego tu masz rywala?!...

Jakże ten lud jest dziecinny, jak on nie pojmuję tych wielkich różnic, jakie istnieją między ludźmi!

Ciekawa rzecz przecież: my, którzy nieraz wołamy śmiało, że różnic niema, w danej chwili dziwimy się, iż lud różnic tych nie poznaje.

2 października.

Od godziny 8 do 11 odbywa się nauka z dziećmi starszemi, w klasie drugiej i trzeciej. O 11 zostaje kilku chłopaków na naukę koszykarstwa. Już było parę lekcyj.

Ale przyznać muszę, że spryt małych koszykarzy zdumiewa mnie. Chwytają w lot, co im po-

każę i lepiej robią, niż ja, bo mają siłę. Krzeselka największy zachwyt wzbudzają, oglądają je, jako cuda wymysłu, siadają na nie, każdy chce zacząć robotę od krzeselka. Cieszą się na myśl o tej robocie, a i ja się cieszę.

U państwa Razińskich byliśmy z wizytą. Dom to dość życzliwy, ale nader ciasny ma zakres pojęć. Byle zrobić jak najprędzej majątek, wziąć gdzieś dzierżawę, dla dzieci posagi zebrać: oto cel życia. Pan Raziński w zapatrywaniach swoich o ludzie nie poszedł ani o krok dalej od typowych rządców i ekonomów, którzy na każdym kroku wypominają, że chłopci kradną i że bez bata nie się z nimi nie robi.

— Chłopu nigdy ufać nie można — mówi Raziński. — Najbogatszy ukradnie taksamo, jak i najuboższy, jeśli mu się tylko zdarzy sposobność.

Nie odpowiadam nic na to, ale w myśli stały mi te osobistości z bardzo znanymi tytułami, godnościami wielkimi, które także kraść umiały.

Niestety, gdy biedna wdowa w lesie uzbiera wiązkę chróstu — krzyku jest co niemiara. Gdy ten lub ów w rękawiczkach i sobolach ukradnie krocie, to się nie nazywa kradzieżą, ale „sprzeniewierzeniem“, „defraudacją“. Jednakową powinna być miara oburzenia na występki i zbrodnie.

Jednakowa?... Nie!... Stokroć większa kara i hańba tym, którzy wzięli krocie na hulanki, niegodziwe cele, którzy rozumieją dobrze, czym jest naruszenie

cudzej własności, niż tym, którzy biorą z nędzy, głodu lub ciemnoty!

6 października.

Do Szczurzyzna na miejsce Pychnickiego przybył młody nauczyciel, Zarzeczny. Był dziś u nas z wizytą. Syn ludu, nie zapiera się ani nie wstydzę tego, że z ubogiej chaty wyszedł. Ma przy sobie matkę staruszkę, która nie zmieniła swego stroju wieśniaczego.

Z całym zapalem i poświęceniem całem staje do pracy. Porobił wizyty u najbliższych kolegów i koleżanek, bo ma zamiar związać nas w ściślejsze braterskie koło.

— Pracujemy mozolnie, łamiemy się z losem — mówił dziś do mnie — a nie umiemy się wzmacniać duchowo do tej walki. Owa przypowieść, którą dzieciom w szkole rok po roku powtarzamy o wiązce prętów, nie dającej się złamać, powinna i nas uczyć, co znaczy mieć połączone serca, dłonie i myśli.

— Z całej duszy popieram pańskie zdanie i przyklasną mu zapewne wszyscy. My, bardziej od innych ludzi oddanych pracy, musimy starać się o solidarne związki, bo prawdziwie nazbyt wiele nam do zwalczenia dano.

— Ja też dlatego zabieram się rażno do zorganizowania towarzystwa naszego. Na pierwsze

walne zgromadzenie zaproszenia roześle wkrótce, a wtedy uradzimy i ułożymy bliższy plan.

Wspomniałam mu zaraz o Wierzejskim. Będzie filarem w jego planach; zacny, idealny pracownik. O nim śmiało rzec można, że to nauczyciel-poeta. Tak, on nie pisze wierszy, ale je rzeźbi przykładem i słowem w sercach dzieci.

Taka poezya — to wieczny hymn!...

Lecz niestety, jemu żona staje kamienną przeszkodą. Osoba to bez polotu i światła, a stokroć biedne życie poety, gdy mu największy realizm ciągle chce nutę pieśni w duszy zagłuszyć...

16 października.

Wczoraj Piotr wójtów ukończył pierwsze małe krzeselko. Radość jego nie miała granic, gdy mu powiedziała, że może wziąć to krzeselko do domu, jako swoją własność. Postanowiłam bowiem, aby każde dziecko pierwszą swoją robotę zaniósł do chaty i rodzicom ją pokazało, a zarazem aby miało wzór do roboty, czy to w domu, czy na błoniu.

Po dwunastej, gdy chłopcy wychodzili ze szkoły, poszedł i Piotr, niosąc swoje krzeselko, niby tryumfator zdobyty sztandar. W godzinę słyszę krzyk i płacz przed gankiem. Wychodzę, przed szkołą zebrano się wiele kobiet i dzieci.

Przyszedł wójt, policyant i asesor.

— Co się stało?... Dlaczego Piotr płacze? — pytam ujrawszy mego koszykarza zalanego łzami, z krzeselkiem obok.

— Proszę pani — odzywa się wójt, — pokarał mnie Pan Bóg chłopcem, lampartem, najgorszym w całej wsi, bo złodziejem mu się chce być — złodziejem! Zabrał widać ze szkoły krzesło i przyniósł mi do chaty.

— Ależ panie wójt, — odpowiadam na to wesoło — niewinnie chłopca obgadujecie, dziecko nie ukradło krzeselka, ale ja mu je darowałam. On sam to krzeselko zrobił, jemu się ono należy.

— Przepraszam bardzo, niech się pani nauczycielka nie gniewa, — kłaniając się, mówi wójt, — ale to nieprawda.

— Co nieprawda?

— To, co pani nauczycielka gadają, że to on, mój Piotr, takie krzeselko zrobił. Nie jego głowa na to, nie jego rozum do tego.

A policyant, asesor i kobiety powtarzają sobie raz po raz:

— Trzeba by pijanego, aby dał wiarę.

— Ile szkół po wsiach naokoło, a nigdzie tego nie robią, i tu by umieli?...

— Ukradł — pewnością ukradł...

Ja, słysząc te głosy, nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy gniewać?

Nie do uwierzenia, a przecież prawda. Ten nasz lud sam siebie nie zna, sam swoim siłom nie ufa.

Oto, chłopak przynosi do chaty własnej roboty meblek, a kilkanaście ludzi z krzykiem i wrzawą goni go do szkoły, wołając, że ukradł!...

Niema innej rady, jak zaprosić tych biedaków do szkoły. Prowadzę ich do szafy, w której są zaczęte różne roboty koszykarskie i powiadam:

— Patrzcie, moi kochani!... To łóżecko robi Mikołajek, ten kosz Franuś, te stoliki robią Rachalski i Wawrzek Fiałka, a Piotr najlepiej pojął robotę i pierwszy ją skończył. więc wziął zrobione przez siebie krzeselko do chaty bo ja mu tak kazałam.

Teraz zdumienie moich gospodarzy nie miało granic.

— To pani nauczycielka *zoprawdy* takich rzeczy uczy?

— A, widzicie! Nauczyłam się sama dlatego, aby wasze dzieci nauczyć. Nie gniewajcie się więc na Piotra, bo on nic złego nie zrobił. Lepiej go pochwalić za chęć i za zręczność. Weźcie krzeselko do chaty i spodziewajcie się, że wam niedługo coś nowego przyniesie.

— „Sztukaterya!“ — szepce jeden, oglądając roboty zaczęte, a drugi znów:

— Naucz się takie zabawki robić, to potem do cepa i pługa nie zechcą się brać.

— „Delikatne“, nie ma co mówić — znów powiada inny, — a tak zdania się ważą.

Biedny Piotr wójtów wraca do chaty z swoim

krzeselkiem, a oczy, jeszcze z łez nie obeschle, ociera rękawami.

Tak pierwszy mebel świata cywilizowanego został powitany łzami właściciela, a krzykiem ojca i sąsiadów.

18 października.

Dostałam odezwę od komitetu nauczycielskiego w S., wzywającą do składki na podarek dla inspektora na imieniny. Odezwa ta zadziwiła mnie bardzo.

Czyż to jest właściwe i odpowiednie?... Nie umiem dać na to stanowczej odpowiedzi, bo nie znam jeszcze dobrze stosunków nauczycielskich, ale sądzę, że nauczyciele z tak ubogiej szczupłej płacy, jaką pobierają, nie mogą, a nawet nie powinni dawać chociażby po pięćdziesiąt centów.

Pójdę do Wierzejskiego i zapytam, co on o tem myśli.

19 października.

Dziś rada szkolna miejscowa radziła nad preliminarzem na rok bieżący. Nie szło to tego roku tak trudno, jak roku pierwszego.

Tracz, radny, obstawał przy tem, aby pobić szkołę gontami. bo poszycie słomą już stare, a będzie bezpieczniej w razie ognia.

Drugi radny znowu przypominał, że koniecznie potrzeba studni przy szkole, bo i gmina z tej stu-

dni będzie miała wygodę. Wójt także mówił, że trzeba na zimę szkołę zabezpieczyć od zimna, żeby było dobrze zrobić „zagatę“, obłożyć ściany od „pola“ słomą.

— Wy, żebyście mogli, tobyście tę szkołę złotym dachem pobili — odzywa się na to zniecierpliwiony proboszcz.

A Tracz spokojnie odpowiada:

— „*Takoj*“ - byśmy pobili, gdybyśmy mogli.

— A ja odkąd wam mówię, że trzeba mi szpichlerz odnowić, to narzekacie: „gmina biedna“. Na szkołę to macie. Skąd? — mówi ksiądz dalej.

A inny znowu radny odzywa się:

— Bo i szkoła biedna, prosimy księdza dobrodzieja, a ta szkoła to nam matką jest rodzoną

Uśmiechnął się ksiądz proboszcz spokojnie i zdecydował na pobicie szkoły gontami, ale aż na wiosnę.

Przekonałam się teraz, że już w mojej wsi szkoła ma prawdziwych przyjaciół.

O!... jakaż to różnica między tym rokiem a zeszłym.

21 października.

Wierzejski mi w sprawie składki na imieniny inspektora tak powiedział:

— Jak w każdej instytucji i urzędowaniu każdym są jednostki, które starają się o szczególne

względy przełożonych, tak i wśród nauczycieli znajdują się tacy, którzy chcą inspektora życliwość pozyskać i dać dowód swej lojalności. Tacy zwykle zawiązują komitety czy to na obchód imienin, czy na pożegnanie lub powitanie inspektora. Wzywają kolegów do składek, a to jest rzecz nader przykra w rzeczywistości. Ten i ów wezwany do składki złoży bogdaj 50 ct., ale z jaką to jest nieraz ofiarą, czy to kto pojmie? Ja już nieraz przeciw temu walczyłem, lecz wszystko na darmo. Obsypano mnie epitetami rozmaitemi, a w końcu powiedziano, iż gdy sam nie chcę dawać, niechaj przynajmniej innym nie odradzam.

— Czyż przecie inspektorowie nie mogą zapowiedzieć, iż tego nie żądają, a nawet nie przyjmą? — spytałam nieśmiało.

— Owszem nieraz inspektor prywatnie prosi, aby zaniechano składek; ale nader gorliwi opiekunowie dalej swoje robią. Są wypadki, że przecież inspektor przyjmie podarek, a potem po drugich okęgach obiega wieść: tam dali, trzeba dać i tutaj.

— Zdaje mi się — przerwałam — że jeżeli kto, to przedewszystkiem wychowawcy powinni się strzedz pochlebstwa, wszak to czyni ujmę ich godności.

— A, moja pani, wiele jeszcze znajdzie się takich czynów wśród wychowawców, które świadczą, iż ci, którzy niosą światło wiedzy, sami błędni idą ścieżkami. Ale, czy można się dziwić?... Ludzie

są ludźmi. Seminaria każą kuć naukę, jak się kuje podkowę pod konia. Lekcja, byle lekcy... stąd do-
tąd, to i to trzeba wiedzieć, a co więcej, nie interesuje nikogo. Profesorowie w seminariach są to najczęściej ludzie starzy, których dla zasług i praktyki długoletniej przenosi Rada szkolna krajowa na lepszą płacę i miłsze zajęcie. W zasadzie jednak sprzeciwia się to pedagogii. Do wychowania apostołów, do rozsyłki nowoczesnych emisaryuszów oświaty trzeba ludzi z zapalem, ogniem, z ideą płonąca i świetlaną!

— Ah!... panie Wierzejski, mieliśmy i my takich, uczyli oni lud kochać i szanować.

— Nie przeczę, iż tacy się znajdują, ale to znów wyjątki. Proszę pani, mnie się raz zdarzyło, iż wpadły mi w ręce ćwiczenia stylistyczne uczennicy z IV kursu seminarium. Co za temata tam były dawane! Pamiętam dobrze jeden temat: „niewdzięczność jest zapłatą świata“. Czyż godzi się młode serce napawać tak gorzką myślą. Niewdzięczność ma być zapłatą za wszystko? Czyż my możemy to powiedzieć? A trzy mogiły, usypane pod Krakowem nie stoją przez wieki i nie mówią, jak naród wdzięczność swą uwiecznia?

— Tak! tak! pesymizm, to owo „cierp ziele“, o którym lud prawi. Kto go w młode serca szczepi, szczepi jad. Trzeba umieć wychowywać młodzież z wiarą i nadzieją, chociaż w sercu własnem niedola już je zgryzła do szczętu... Czy nie tak?

Potwierdziłam tę myśl i chwilę gawędząc, pomyślałam o powrocie do domu. Idąc po przez błonia, zobaczyłam z radością gromadkę pastuszków wypłatających koszyki.

30 października.

Ubóstwo jest bolesne nie przez niedostatek rzeczy potrzebnych niezbędnie, lub miłych dla ducha; nie przez trudną walkę w zdobywaniu sobie bytu, nie przez owo przekonanie, iż pieniędzy wiele może zrobić i dać, ale jest ono przykre przez to upokorzenie, jakie nieraz ze sobą przynosi.

Majątni ludzie z lekceważeniem nieraz mijają nas na drodze, potrącają zuchwale i urągają złośliwie. Tylko prawdziwie szlachetny człowiek, o wysoko wyrobionym charakterze, może uszanować ubóstwo i należną cześć mu oddać. Tak — należy się cześć nie tym, co złoto rozrzucają i trwonią, ale tym, co na chleb krwawo pracują, a duchem swoim posilają i podnoszą wielkie masy ludu.

Nauczycielstwo ludowe nieraz boleśnie jest zranione pychą i wzdargą ludzi majątnych. Stara to historia — ktoś jej nie zna?... A przecież zawsze ona boli, zawsze kaleczy. Z płaczem opowiadała Bronia, jak ją tam we dworze lekceważą, jak ją gorzej od szwaczki traktują. Udziela tam lekcji dwom chłopczykom i błogosławi zrządzenie, iż lekcye te dostała, bo sobie wypłaci trochę długów z czasów choroby — ale lekcye tę drogo okupuje.

My tu nie mamy teraz we dworze dumnych „panów“, a także nie jedno znosimy. Szorstkość i złe wychowanie takiego rządcy niejednokrotnie dokuczy.

Nauczycielstwo ludowe stoi na pograniczu dwóch światów. Świat inteligencji nauczycielstwo od siebie odpycha, lud go jeszcze nie rozumie. A tak odepchnięty z jednej strony, do drugiej nie przygarniony, żyje taki wysłannik wiedzy sam i obrasta pleśnią, jak kamień z grona swoich towarzyszy wytrącony.

4 listopada.

O ukochany!... Czemuś daleko?... Byliśmy razem tyle, tyle lat, a teraz, gdy serca nasze tak ściśle z sobą związane, gdy dusze nasze tak zespolone, gdy nam teraz tak bardzo potrzeba wymiany myśli, gdy tęsknimy do szczęścia wspólnego, czemuż jesteśmy od siebie daleko?...

Tak łatwo powiedzieć: czekajmy na siebie, ale czasem jakże to długo, długo wlece się miesiąc, dwa miesiące, a coś dopiero, gdy przyjdzie rok i dwa?... A przecież, mimo tej tęsknoty, nie zamieniłabym swego szczęścia na inne, chociażby najbliższe. Wiem, że mam w oddali wierne serce młodzieńcze i wiem, że ono czyste jest, jak łą. Czegoż więcej trzeba?

Ubodzy, nie pragniemy wiele. On mi pisał z ucie-

chę, że powoli zaczyna mebelki kupować: ma już szafę na książki i zegar ścienny... Muszę i ja się zabrać do roboty, wszak do jego chatki trzeba mi przynieść wszystko, co ma uczynić z ubogich po-koików lube, szczesne gniazdko.

Jestem niedobrą narzeczoną: za dużo kocham szkołę, dzieci, tablicę czarną i koszyki, a za mało myślę o nim, ukochanym, najlepszym!...

9 listopada.

Zarzeczny, bardzo energiczny kolega, sprosił nas z powiatu na walne zgromadzenie do S..., w celu ułożenia koleżańskiego Towarzystwa bratniej pomocy. Przemawiał ogniście i pięknie:

— Trzeba nam wzajem się wspierać: i moralnie i materyalnie; trzeba nam prostować niejasne nieraz drogi, trzeba rozwidniać niejedne ciemne szlaki. Czyż możemy żądać, aby o nas myśleli i radzili inni, gdy sami o sobie nie myślimy? Na zagonie oświaty szeregi nasze powiększają się coraz bardziej, a walk i trudności nie ubywa. Wzajemna pomoc, to siła wielka i wielka dźwignia!

Zwracał uwagę na to, jak nauczyciel ludowy w razie gwałtownej potrzeby nie ma się gdzie udać o pożyczkę; żadnej kasy, żadnego źródła nie ma, gdzieby mógł dostać zapomogę. Jedyna droga — do żyda!... I potem z pensyi 25 złr. miesięcznie, czyż można i procent opłacać i dług umarzać?...

Ze strony nauczycieli posypało się wiele wymownych przykładów.

— Ja pożyczyłem na pogrzeb żony 30 złr., płacę już 4 lata po 10 złr. procentu rocznie, a płacić będę nie wiem dokąd?

— Ja, gdy miałem żonę i troje dzieci chorych na tyfus, pożyczyłem u żyda 50 złr. Płacę co miesiąca 1 złr. procentu przez lat 5.

Kolega z Jasielskiego powiatu musiał pożyczyć po pożarze, gdy mu się cały dobytek spalił, 40 złr. Do dziś dnia, chociaż już 8 miesięcy od tej pory minęło, ani z Rady szkolnej krajowej, ani z Towarzystwa pedagogicznego zapomogi nie otrzymał.

Tak mówił jeden, drugi i dziesiąty. Zarzeczny proponował założenie towarzystwa, gdzieby z składek drobnych można mieć jaki taki fundusz na nagłe potrzeby, a przez urządzanie w mieście od-czytów, wieczorków narodowych i t. p. fundusz ten potrochę zwiększać. Nauczyciele ze wsi zupełnie się na to godzili.

Nauczyciele miejscy pogardliwie od czasu do czasu rzucali uwagi.

Jeden ze starszych nauczycieli wiejskich powiedział:

— Mamy pewną kwotę przez parę lat zbieraną na bursę dla synów nauczycieli; możeby procenta z tej kwoty użyć na zapomogi lub pożyczki dla kolegów w nagłych wypadkach.

Na to jeden z nauczycieli z miasta odważył się rzec:

— Na podzelowanie butów nie mają, a namby oddali, co pożyczą?

Wobec takiego znalezienia się kolegi szmer głuchy, lecz groźny, przeszedł po sali.

Jak przed burzą szumią gdzieś dalekiem echem drzew wierchołki, tak tu... szemrały słowa wzburzenia.

Wreszcie Wierzejski, blady jak kreda, stanął na stopniu.

— Na podzelówki nauczyciel ludowy na wsi istotnie często nie ma, tego się nie wstydzi ani zapiera. Ale on ma duchowe siły na co innego i starczą mu one na zniesienie nawet takich słów, jakie w tej chwili padły z ust kolegi. Wy, którzy uczycie w mieście dzieci ludu robotniczego, rzemieślników, średniej klasy, inteligencji, — dlaczego urągacie nam, którzy uczymy dzieci ludu wiejskiego? Żeśmy ubożsi w grosz, cóż to znaczy? Że walczymy z większymi przeszkodami i trudnościami, czyśmy mniej warci? Jesteśmy najubożsi wśród najciemniejszych, to nasza chluba! Kiedyś Ojczyzna uczei nasz trud i powie: Tym, którzy najcięższej pracy się jeli cześć!...

Dzielnie i wzniosłe mówił jeszcze długo Wierzejski, a słuchacze nie śmieli ani jednym słowem przerwać jego mowy. Zarzeczny przeprowadził swój wniosek, aby na niedzielę zjeżdżano się kolejno

w tej lub owej szkole i w rozmowie wspierano się nawzajem.

Dzielny Zarzeczny godzien pochwały.

14 listopada.

Moja szkółka stała się teraz we wsi taką jakąś istotą żywą, bez której nikt we wsi obejść się nie może. Chory kto — do szkoły po lekarstwo; wesele w chacie — do szkoły po kwiaty na wianek. Tatuś umiera — do szkoły po papier i pióro na testament, a czasem nawet i po panią nauczycielkę, aby przyszła testament napisać. Pogنیwały się dwie sąsiadki — dalejże do szkoły na skargę i sąd. Dziecko w domu nie słucha — prowadzą go do mnie na „karę“. List pisać do „Borysławia“, bo tam wielu włościan chodzi na zarobek — także w szkole napiszą.

Słowem szkoła wszystko zrobi, wszystko poradzi.

A szkoła?... — Nie odmawia, nie odpycha, nie gniewa się...

17 listopada.

Mama i Halka także już tu do ludu i wioski przywykły. Gdy nam z początku zdawało się tu straszno, dziko, ponuro, — teraz jest miło, jesteśmy jak w rodzinie wśród ludu, a zmiana jest wielka, niezmiernie...

A tak mnie we Lwowie straszili, gdym chciała wyjeżdżać! Lud mi nie zrobił żadnej przykrości. Owszem od niego doznałam i doznaję ciągle wiele dowodów życzliwości. Gospodarze przy każdej sposobności proszą, abym tylko nie zechciała odjeżdżać, chcą już konkurs rozpiścić na tę posadę, abym „za dekretem“ tu była.

Tłómaczę im, iż wedle przepisów, muszę złożyć egzamin kwalifikacyjny, a to uczynić dopiero mogę po dwóch latach praktyki.

Po Nowym Roku zacznę się do egzaminu uczyć.

Koszykarstwo moje rozwija się.

20 listopada.

Wesele Milki już się odbyło. Jakże jest szczęśliwa!... Ciągle w liście pyta o moje serce, czyli jeszcze wolne?

Odpowiadam wymijająco. A słodko jest czasem pieścić w głębi serca tajemnicę wielką. Bo i po cóż ludziom opowiadać o tem, co jest nasze własne?...

Ja tak jakoś inaczej od innych pojmuję miłość. Uważam ją za ów biały, nietykalny kwiat, który im mniej światu i ludziom się ukazuje, tem jest piękniejszy.

Halka mi robi ładne firanki na tiulu, praca wielka, ale na nią czasu dosyć..

Ja coraz więcej mam zajęć w szkole. Prócz nauki szkolnej, udzielam robót ręcznych, koszykarstwa, a teraz i przygotowania do jasełek.

Obmyśliłam także coś nowego: Kleję z chłopakami ładną, dużą szopkę; będą z nią chodzić po kołędzie. Jest zwyczaj u nas po wsiach, że po kołędzie chodzą gromadki chłopaków, zbierają po parę centów, a potem przy ich podziale biją się, kupują za nie „dzygara“, lub co gorsza, piją wódkę. Ja i temu chcę zapobiedz. Moje dzieci pójdą z szopką po kołędzie, pieniądze będą zbierać do puszeki, a za nie kupią chorągiew szkolną do procesyi w kościele.

2 grudnia.

Znów się pożary we wsi pojawiają. W tym tygodniu dwa razy się paliło. Onegdajszy pożar był okropny. Spaliło się dwoje dzieci w chacie na węgiel. Starsza siostra, która przez okno do palącej się chaty wskoczyła, aby jeszcze dzieci ratować, tak się poparzyła, iż tylko tyle zdrowego ciała na niej zostało, ile zakrył pas obciskający ją w około.

Tragedye iście Szekspirowskie... Trudno o tem pisać; pióro z ręki wypada.

Z dzieci spalonych trochę kostek zebrano w trumienkę, wielkości pudełka z cygar zaniesiono do księdza z prośbą o pokropienie i zagrzebano na cmentarzu.

O wy, którzy w mieście szukacie na kunszt-

wnych tragediach wrażeń silnych, przyjdźcie tutaj, popatrzcie, jak lud cierpi, posłuchajcie jęku matki — żyjcie z tym ludem dłużej!...

9 grudnia.

Państwo Razińscy zaprosili nas wczoraj na herbatę. Były to imieniny pani Razińskiej. Byli ich krewni z miasteczka dalszego, — był ruski ksiądz z rodziną z innej wsi, — nasz ksiądz proboszcz i my.

Pani Razińska popisywała się ciastami swej roboty, rozmowa jak zwykle w takim towarzystwie, była banalna.

— A, to bardzo dobre ciastka; jak je pani robi?

— Sześć jaj, funt migdałów, trzy ćwierci funta cukru, masła pół funta...

— A jakże u pani sługi? Trzymają się?...

— Niezdary, leniuchy... Wczoraj Kaśka ukradła mi masła ćwierć garnka.

— Kury niosą się?

— Jakże dzieci się uczą?...

— Wiśkowska cztery zęby wyrwała w mieście.

— Czapski żeni się z córką księdza; dostanie półtora tysiąca.

Wtem drzwi się otwierają: wchodzi Czesław.

Porwali się wszyscy z ukłonami, i powitaniem, z pokorą sług wobec pana.

On, uprzejmie powitawszy Razińskich, zbliżył

się do mamy, pocałował ją w rękę, podał rękę Halce, księdzu jednemu i drugiemu, na ostatek mnie.

Dłoń jego była zimna, jak lód, gdym jej dotknęła. Mizerny nieco, ale ładny i nadzwyczaj miły.

Zdawał mi się o wiele spokojniejszym, niż był ostatnią razą. Usiadł przy stole, do herbaty, rozmowa skupiła się około niego.

— A jaka tam droga?

— Jak płacą zboże?

— Czy się ziemniaki nie psują? — pytali jedni; — inni znów:

— Co porabiają państwo Łomscy?

— Gdzie byli przez całe lato?

— Czy pan kupi Dąbrowę? — i t. d.

Ja byłam prawie zupełnie milcząca. Parę razy, gdy spojrzałam na niego, spotkałam jego wzrok, ku mnie skierowany. Po kolacyi, gdy wstano od stołu, on zbliżył się:

— Jakże się panie miewają? — spytał uprzejmie.

— Dziękuję, dobrze; tylko we wsi smutno. I opowiadałam o nieszczęsnym pożarze.

— Biedni ludzie! — szepnął z współczuciem, a potem spytał:

— Jakże się ma Mieczysław? Dawno już do mnie nie pisał; zapomniał o przyjacielu.

Zarumieniłam się na to pytanie i odpowiedziałam:

— Dziękuję za pamięć. Pan Mieczysław zdrów, zajęty jak zwykle, bo poza pracą urzędową zajmuje się czytelną, rzemieślnikami, wydawnictwem.

— Czy na święta przyjedzie?

— Do dziś jeszcze nie wiem, ale spodziewam się, że może zawita do nas.

— Ja zostanę w Dąbrowie z 10 dni, a potem jadę do siostry. Czy pozwoli pani odwiedzić swoją szkółkę?

— Proszę, będzie mi bardzo przyjemnie.

Oddalił się do grona panów, a przed pożegnaniem rzekł jeszcze zcicha:

— Niech się pani nie obawia, nie będę pani dokuczać wcale. Długo walczyłem z sobą, aby się oprzeć pragnieniu i nie jechać do Dąbrowy, ale nie mogłem. Pobędę trochę i odjadę znówu na długo.

Wróciłam do domu dziwnie niespokojna i smutna.

14 grudnia.

Czesław jest bardzo zacnym człowiekiem. Dziwię się, dlaczego przedtem posądzałam go o złe zamiary, o chęć bawienia się, o fałszywe postępowanie.

Gdyby ożenił się z ząną, a wykształconą kobietą, byłby bardzo szczęśliwy. Lecz w jego świecie są lalki...

Wczoraj gawędząc z nami dość długo, powiada, zwracając się do mnie:

— Gdybym mógł tak oddać się pracy, jak pani, jakżeby był zadowolony; ale niestety, nie umiem pracować!.. Dziwnie u nas, w tych „dworach“ dzieci wychowują. Dają nam wiele, ale nie dają zamiłowania do pracy. Nawet przychodzę do tego przekonania, iż lud dlatego tak nas — „panów“ nie lubi, że widzi, jak my życie marnujemy na próżnowaniu, gdy on pracuje i dla siebie i dla nas.

— Bardzo słuszną uwagę pan zrobił — odpowiedziałam na to. — Gdyby lud spostrzegł, iż „panowie“ po dworach istotnie pracują, złagodziłby swoje, dziś aż nadto ostre sądy. Nawet wtedy nie razilaby go tak owa wielka różnica, jaka zachodzi między posiadłością „dworu“ a włościąską. Lud dziś tak rozumuje: pan ma wszystko i nic nie robi, chłop pracuje od dziecka do starości i ledwie wyżyje. Myślą niektórzy, że lud dopiero wtedy oceniłby pracę „pana“, gdyby go widział za pługiem, przy kosie, lub z cepem.

Na tyle naiwnym nasz lud nie jest. Oceni on i pracę umysłową, ale chce widzieć jej użytek. Gdy chłop spracowany, utrudzony, widzi „pana“ tylko spacerującego, wie, że w domu tylko gra, pije, z gośćmi się bawi, w mieście tylko do „tyjnatru“ chodzi, i znów gra, tańczy, a używa świata — to musi się budzić w nim duch zawiści, który woła:

— Dlaczego wy nie pracujecie, gdy my pomęczeni?

— Lenistwo i próżniactwo tak nazwanej „ary-

stokracy“ istotnie dochodzi do zenitu. Jej życie, to „pracowite próżnowanie“. A gdzie wyjątkowo ktoś do pracy wyciągnie dłoń, tam krzyku i wrzawy co niemiara: „dziwak demokrata, oryginał!“ Ja sam już to słyszałem, mimo tego, że chcę się brać do pracy, jak kulawy do tańca.

Po chwili milczenia mówił Czesław dalej:

— A nasze panny na wydaniu, czy nie próbują pracować?... Z okien dworu patrzą pogardliwie na chaty wioskowe, a przecież mogłyby w chatach wiele znaleźć pola do pracy. Ja to widzę. i dlatego jestem dziwnie biednym człowiekiem. W naszym świecie nie znajduję tego, czego pragnę, a ten świat, wasz świat, odpycha mnie.

Umilkł i przeszedł się parę razy po pokoju.

Na gwiazdkę dla dzieci dostarczył mi wiele podarków. Będzie tu uciechy będzie...

19 grudnia.

Czesław odjechał wczoraj.

Przy pożegnaniu prosił mnie, bym Mieczysławowi jego pozdrowienie przesłała. Mówił, że będzie tu po Nowym Roku, w powrocie od Łomskich.

Dąbrowę, zdaje się, kupi, ale jeszcze nie wie na pewno. Ja go bardzo zachęcałam, by kupił tę miłą wioskę i był idealnie dobrym dziedzicem.

2 stycznia.

Mój papierowy przyjacielu, nie dziw się, że teraz coraz rzadziej do ciebie przychodzę. Nie dziw się, ale rozważ, że mam innego przyjaciela, bardzo ukochanego, bardzo pięknego, bardzo dobrego. Tamten także upomina się o listy, a gdy przyjdzie, to wszystkie chwile chce sobie zabrać.

Mieczysław był na Świętach. Wiesz? Był. A dobry, miły, śliczny.

Przyjeżdżał też Stach. Było u nas bardzo wesoło. Mieliśmy gości z okolicy i z Dąbrowy. Działwa kolendowała, były jasełka. Wszystko przeszło, przeminęło prędko.

Mieczysław mi przywiózł ładny pierścioneczek z orzelkiem i pogonią. A ja się zawstydziałam, bo nie miałam pierścionka dla niego.

Mam całego majątku dwa pierścionki, ale te zastawiłam zeszłego roku i jeszcze nie wykupione. Muszę teraz pracować przez parę tygodni i zarobić 6 złr. na pierścionek dla mego Mieczysława!...

Już kupił dwa obrazy na nasze gospodarstwo. Opowiadał mi o nich.

Ma tam z ludem dość styczności, bo w sądzie wiele spraw ludowych jest do załatwienia. Mówił mi też, że w tarnowskim lud butny, zuchwały, nie tak, jak w tej wiosce cichej, dalekiej od świata.

A moje koszyki jakże mu się podobały. Chcia-

łam koniecznie dać mu kosz na papiery mojej roboty, ale nie chciał brać.

— Pięknieby to wyglądało, gdybym ja od panny wiózł do domu kosz i to jeszcze taki wielki kosz!... nie chcę, nie wezmę.

Co też tu figlów było przez święta! Ktoby to wszystko spisał?

A była u nas tego roku wigilia weselsza i bogatsza, niż roku zeszłego.

Wierzejska przysłała dużą gęs za to, że Halka jej córeczkę uczyła szyć. Razińska przysłała 2 zające, a ze wsi dostałam także nieco podarków.

Jasełka trwać będą przez parę dni; dużo osób się zamawia.

Tego roku już śmielej idzie, bo ja wypraktykowana i dzieci już lepiej umieją. A ja taka wesoła, szczęśliwa — ah!... jak mi dobrze w tej chatce, w tej wiosce, z tym ludem!

Dobrze być nauczycielką ludową i kochać ładnego praktykanta sądowego.

7 stycznia.

O sprzedaży Dąbrowy mówią wszędzie. Przyszedł do mnie wójt, Tracz i Kiwacki i radzili, czyby gmina nie mogła odkupić Dąbrowy; Stach wziąłby ją w dzierżawę, a pani nauczycielka zamieszkałaby we dworze i już nigdy, nigdyby stąd nie odjechała.

Wyjaśniłam, że to niemożliwe. Mój brat nie

ma pieniędzy na dzierżawę wsi, a w mieście musi mieszkać, bo tam pracuje na utrzymanie. Uspokoiłam też kochanych moich gospodarzy, że z Dąbrowy teraz nie myślę wyjechać; jeszcze ich dzieci zbyt mało nauczyłam.

10 stycznia.

Czesław kupił Dąbrowę. Przyjechał już tu jako „dziedzic“. Zaprosił wczoraj radnych i starszych gospodarzy do dworu, witał ich serdecznie, zachęcając do zgody. Powiedział, że chce być dla nich bratem, ojcem i przyjacielem.

Gdy był u nas wieczorem, mówił:

— Zamieszkam tu w Dąbrowie, tak dla mnie milej i będę się starał wyszukać dla siebie jakąś istotną pracę. Gdy patrzę na to, co robią panie nauczycielki, wstydzę się prawdziwie. My jesteśmy niezdary, pasorzyty istotne.

Odpowiedziałam na to:

— Wy jesteście biedni, bo macie wychowanie skrzywione. Konserwatystami nazywają was i słusznie. Chcecie dla wielu względów zatrzymać świat w ruchu i dążeniu naprzód. Dlatego pozostaliście daleko od tych, którzy poszli naprzód. A gdy ta lub owa jednostka z „waszego świata“ pragnie zerwać krępujące ją, a ciężkie dość więzy, rzucać na nią potępieniem i perswazją studzić zapal.

— Słuszne zdanie — rzekł Czesław, — lecz co my właściwie mamy robić?... Przyznam się pani

szczerze, że jestem niedołą formalnym. Chcę, pragnę czynu, a nie umiem go wyszukać.

— W tem też jest wasz świat godny pożalowania. Ludzie z „wyższej sfery“, jeśli już o tyle postąpią naprzód, iż zapragną pracy, w wyszukiwaniu jej są nieudolni, jak owe kapryśne strojnisię, które nie wiedzą, co już wymyśleć dla siebie nowego. Jedni chcą pracy takiej, by przynosiła sławę; drudzy, by się tylko nazywała pracą, ale nią nie była; inni, aby była pracą bardzo wygodną i nie krępującą... Wreszcie są i tacy, którzy szukają pracy takiej, która „nie poniża“. Jak gdyby praca wogóle mogła poniżyć!!...

I rozśmiałam się na to szczerze, a Czesław, pochyliwszy się, mówił miłym, miękkim głosem:

— Niech mi też pani wytłómaczy, dlaczego wy z świata inteligencji, a nie arystokracji, umieliście pojąć potrzeby dzisiejszej chwili, zrozumieliście, na czem postęp zależy, i pracę uczyniliście dla siebie szczęściem, a nie jarzmem?

Na to pytanie w pierwszej chwili, nie umiałam znaleźć odpowiedzi. Zapewne on się czuł obrażony moimi słowy i chciał mię pytaniem mojem zawstydić. Zamyśliłam się chwilkę, a potem patrząc mu w oczy odrzekłam:

— Bo my nie zasklepiliśmy się tak w ciasnem kole, jak wy; nie oddzielił się przegrodą kastową od rzemieślników i ludu, więc żyjąc z tymi, którzy istotnie pracują za wielu, zrozumieliśmy,

czem jest praca i poznaliśmy, czego potrzeba ojczyźnie. Ja wiem dobrze, że pan to samo myśli i zbyteczne są moje odpowiedzi, lecz gdy pan próbuje, czyli nie idę ślepo za innymi...

— Skąd pani to przypuszcza — przerwał Czesław. — Dlaczego pani często mnie posądza o złośliwe i ukryte zamiary? Zaręczam, iż nie raz u mnie myśli i poglądy ważą się, budzi się we mnie nowy człowiek i walczy ze starym „arystokratą“. Byłem wychowany, jak wielu; wpływ kilku zacnych osób przełamał arystokratę, ale jeszcze nie stworzył prawdziwego... demokraty.

Halka podała herbatę, przeszliśmy do drugiego pokoiku. Rozmowa toczyła się około planów w zarządzie Dąbrowy.

— Założy pan tu gospodę katolicką, — mówiłam żywo; — przy niej z czasem będzie czytelnia. Potem zajmie się pan założeniem Kasy pożyczkowej; by lud nie brnął w długi u żydów. Potem będą tu sady, ładne krówki, kury i t. d...

— I będzie już zawsze zgoda między gminą, a dworem — dodała Halka, a mama też rzekła z cicha:

— Gdy pan to zdobędzie, że lud dwór pokocha, wiele pan zrobi.

Byliśmy wszyscy weseli, a Czesław ani razu nie miał już tej smutnej rysy na czole, którą nieraz u niego zauważyłam. Wszystko się składa teraz u nas pomyślnie. Tak nam miło i słodko w tej

ubogiej chatce, wśród tego ludu, który nas kocha bardzo!... bardzo.

Czesław już zapomniał o chwilowej swej przykrości; to dobrze. Mieczysław dobija się stanowiska wytrwale. A na dworze cudnie biało, srebrzyście, jak w zaczarowanym pałacu brylantowym...

A moje serce takie szczęśliwe — spokojne i bogate, ach!... jak bogate!...

Kocham... — kocham... — kocham...

Zawiśle pod Krakowem, 8 lipca.

Pół roku przeszło.

Ile przeżyłam w tym czasie — czy mogę zmierzyć lub zmierzyć?

Biorę dziś do ręki tę książkę biedną i nie wiem co pisać, czy pisać, po co pisać?

Na skalistym brzegu rosła sosna młoda. Przyszły wichry i gałęzie jej połamały, uderzył grom i zgruchotał pień drzewa, nadeszli zli ludzie i porabiali połamane szczątki. Zdawało się, że drzewo żyć przestanie. Lecz patrzcie: oto z pod pnia dźwiga się nowa gałązka, rozwijają się listki: drzewo żyje.

Tak było ze mną.

Przez jakiś czas i ja sądziłam, że już we mnie zamarło serce, że zamarła myśl, pragnienie życia. Lecz przecie poczynam się budzić.

Ból złamał moje życie, ale go nie zabił. Mój

przyjacielu papierowy, ty nie wiesz, ty nie przeczuwasz, co się stało? Dlaczego ja nie w Dąbrowie, lecz tutaj, w innej wiosce, w innej szkółce, i sama... sama jedna.

Ja ci opowiem, ale powoli, dziś i tak zdobywam się na wysiłek wielki, gdy cię biorę do ręki.

Ot! Wszystko daremne!... Łzy do ocz się tłoczą, zalewają kartki, zacierają litery.

Nie! Ja jeszcze pisać nie mogę... nie mogę!...

14 lipca.

Przeglądałam twoje kartki, papierowy przyjacielu i pytam się: dokąd uleciały owe szczęsne chwile, w których mogłam pisać co dzień, a pisać nieraz swobodnie i wesoło?

Tak się czuję teraz przygnębioną i zbolalą, że zdaje mi się, gdy zacznę tobie opowiadać to, com przeżyła, rany otworzą się na nowo, ból się odezwie z całą siłą wspomnień. A jednak serce pragnie, aby przed tobą odkryć me blizny, by zanotować i te czarne chwile, których pamięć z czasem może zblednie, a więc zabieram się do opowiadania tego, jak do odnawiania nieco zabliźnionej rany.

16 lipca.

Mam już wakacje od dwóch tygodni. Zdawałoby się, że mogłam spocząć. Mimo to, jestem je-

szcze bardzo zmęczona. Nie trud i praca tak mnie zmęczyły, ale cierpienie i ból.

Już teraz jestem spokojna, cicha, milcząca, więc bez skarg i płaczu mogę wrócić myślą w przeszłość.

Dawna to przeszłość. Pół roku to duży kawał życia, a jeszcze jakiego życia!... Było nam, tam w Dąbrowie, dobrze, miło i szczęśliwie. Wszak pamiętasz przyjacielu, jak ci pisałam: dobrze nam i słodko teraz w tej ubogiej chatce, wśród ludu życzliwego, w tej zgodzie i harmonii, jaka istnieje między szkołą a wioską. Pamiętam też — był to wieczór cichy, jasny i piękny. My z Halką wróciliśmy z przejażdżki sankami, a sanna była cudowna. Czesław nas zabrał na maleńkie saneczki, sam powoził, dzwonki grały śliczną piosenkę, a my mknęliśmy, jak ptaki, przez pola, przez błonia, daleko.

Po powrocie, po herbacie, po milej gawędce wreszcie, usnęła cała wioska i u nas światła pogasły. Ja jednak usnąć nie mogłam. Wszak mi dzwoniły owe dzwonki, które podczas sanny kołysały myśl moją do marzeń, a teraz przedza cudnych marzeń rozsnuła się w tęczy kolorach. Mieczysław, nasz dom, biała suknia, welon, złoty błysk szczęścia: wszystko to migotało mi w pół śnie, w pół na jawie.

Zapewne było już po północy, gdy mnie obudził straszny, okropny krzyk:

— Gore! gore!

Otwieram oczy: luna jaskrawa mnie olśniewa. W okolo krzyk, trzask, huk przeraźliwy. Pali się najbliższa obok nas chata Drońskiego, a pożar ten obejmuje nasze okna, drzwi.

Budzę mamę, Halkę, odziewamy się czemprędzej, a do drzwi już się cisną i dobijają ludziska ze wsi, wołając:

— Ratujcie się! gore!... ratujcie się!...

Wyprowadzono nas gwałtem z mieszkania. Chata Drońskiego cała w jednej, ognistej, łunie, płomienie jak węże wiją się i kręcą od ziemi począwszy, aż w górę strzelając rzucanemi raz po raz resztkami snopków ze strzechy.

Naszej chatki jeden róg już pali się. Ujrawszy to wbiegłam do mieszkania, aby zabrać kilka bogdaj najcenniejszych pamiątek; chwyciłam obraz Matki Boskiej, portret ojca, parę książek do modlenia i ciebie, mój przyjacielu. Wyprowadzono mnie siłą, bo dym duszący nie pozwalał tu zostać dłużej.

Co było dalej, sama nie pamiętam. Niby przez sen, widziałam, jak wieśniacy nasze mebelki wynosili z chatki, bieliznę, pościel, rzeczy, rzucali na śnieg w ogrodzie. Mama osłabła, więc ją do innej chaty zaprowadzono. Halka zemdląła, kobiety ją cucily i ratowały.

Potem, gdy sobie dobrze przypominam, chciano

nas prowadzić do dworu, ale my oparliśmy się temu.

Ogień ugaszono. Część budynku szkolnego została uratowana, izba szkolna i kuchnia. Pokoiki mieszkalne nie były spalone, ale bez dachu, okna potłuczone, wewnątrz domu zrujnowane. Z mebli naszych nic się nie spaliło. Dobry, życzliwy lud ratował nasz dobytek może gorliwiej, niż swój własny. Wniesiono potem wszystko do szkoły, jako tako pościelono łóżka. Hala, chora leżała jak senna, ócz wcale nie otwierając. Mama skamieniała z przerażenia i zimna. A ja, czy ja wiem, czem byłam: kamieniem, czy żelazem, czy inną martwą istotą...

Wszystko w okolo nas czuć tym strasznym swędem, jaki po spaleniznie zostaje; dużo naczynia potłuczonego; nie jednej rzeczy doszukać się nie można.

Ale to wszystko mniejsze straty.

Nad wieczorem, dnia następnego, u Hali, pokazała się silna gorączka. Całą noc majaczyła, zrywała się; jej oddech krótki, urywany, przestraszył nas bardzo. Rano posłałyśmy po doktora. Przyjechał w południe.

Powiedział mi w tajemnicy przed mamą, iż stan jest bardzo groźny: zapalenie mięśnia sercowego.

Ah!... cóż za męczarnie teraz się rozpoczęły! Choroba straszna, bezlitośna, przecinająca młode

życie, rozwiemożniła się, a nie było na nią ani środków lekarskich, ani modlitw błagalnych, ani lez palących. Cały tydzień, tydzień, jak wieczność długi, trwała walka. Wreszcie i ona się skończyła.

Nie! nie!... ja pisać nie mogę!...

20 lipca.

Pamiętam, był to czwartek, 23 stycznia, wieczór. Halka usnęła spokojnie na wieczny, długi sen.

O, tak!... Ja to wszystko pamiętam i opiszę, aby mi i te wspomnienia nie zatarły się, abym zapisując przeżyte cierpienia, dowiodła, jak one mi są drogie, chociaż tak bolesne, smutne i straszne.

Umarła moja siostrzyczka dobra, cicha, anielska. Ubrałyśmy ją w białą batyścikową sukienkę, włożyłyśmy wianuszek na głowę z mirtu naszego uwity, otoczyłyśmy ją wazonami swoich kwiatów, a lud ze wsi zbierał się licznie i ani na chwilę nas samych nie zostawił.

Byłyż to gody weselne dla naszej Halki! Pół chaty opalonej, w drugiej połowie światła i kwiaty i krzyż czarny i wianek weselny i suknia biała.

Lud otacza uśpioną dziewczeczkę dzień cały i noc, a śpiewa, smętne, żałobne pieśni. Ja siedzę w kącie i niby widzę to wszystko i słyszę, a właściwie nic nie widzę, nic nie słyszę. Sądysz, przyjacielu, że tak być nie może?

Oczy patrzą, widzą, a nie pojmują, co to jest, dlaczego tu ludzi tyle, dlaczego oni śpiewają, czemu

tu tyle światła?... Czemu Halka ubrana jak do ślubu, a wesela niema?

Uszy słyszą rozmaite wyrazy: „wieczny odpoczynek“, „Pan Jezus ją przyjmie“, „na mogiłki wyniosą“, ale dlaczego te wyrazy są tu wymawiane, myśl pojąć nie może.

.....
Na trzeci dzień był pogrzeb...

Halka miała czterech družbów. Czterech parobczaków ze wsi, ubranych jak na wesele z bukietami, wstęgami, przyszło do nas. Przyniesli białą trumienkę. Potem było dużo ludzi, chorągwie, krzyż czarny, ksiądz proboszcz...

O tak!... ja to wszystko pamiętam. Družbowie wzięli Halkę w trumience, na progu chaty trzy razy trumnę kładli na pożegnanie — i ponieśli.

Mamę w pół żywą prowadził Czesław. Ja szłam sama, sama jedna, a droga była długa, bardzo długa...

.....
Co potem — nie pamiętam.

.....
Mama leżała chora trzy dni, a lekarz do mnie przychodzi i mówi:

— Niech pani wszystko zostawi i natychmiast z matką stąd odjedzie. Trzeba oderwać koniecznie tę nieszczęśliwą istotę od wspomnień. Inaczej... nie przeniesie tego bólu.

Telegrafowałam po Stacha przed kilku dniami,

ale nie mógł przyjechać, bo właśnie w sprawie biurowej wyjechał za granicę. Teraz telegrafowałam drugi raz — odpowiedział, że przyjedzie za dwa dni.

I przyjechał. Mama chora coraz bardziej, lekarz nagli, aby natychmiast wyjeżdżać.

Zacny Czesław ileż nam tu dobrego zrobił! Pakowanie naszych rzeczy odbywa się potajemnie, gdyż boimy się, że gdy gmina się o tem dowie, zaczną ludzie się zbiegać, płakać, a to dla mamy będzie zabójcze.

Uradziliśmy wreszcie, że ja z mamą i Stachem wyjedziemy, a Czesław rzeczy każe odesłać później.

Lecz nie obeszło się i bez tych jeszcze, boleśnie serce rozdzierających scen, które były istotnie dopełnieniem naszego cierpienia.

We wsi dowiedziano się, iż „pani nauczycielka“ odjeżdża, a na tę wieść wszystko, co żyło, z płaczem, krzykiem i lamentem biegło do nas.

— Nie jedźcie od nas! nie jedźcie! — wołali jedni, drudzy zaś mówili z płaczem:

— Sieroty my teraz zostaniemy, prawdziwe sieroty!

— „Ostaną“ się dzieci teraz, jak bez matki, a my, jak bez słońca — biadali inni.

Jedni wyprzęgali nam konie od wozu, gdy drudzy wóz trzymali rękami, a szła za nami procesya

ludu, jak za pogrzebem: z płaczem, jękiem i bólem, aż pod niebiosa bijącym.

Ja na to wszystko musiałam patrzeć spokojnie. Mignęła mi jeszcze raz w pół opalona strzechy szkółki, mignęły drzewa wioskowe, cmentarz z krzyżami, i wszystko zostało, a my odjechaliśmy.

O! nie tak do ciebie, Dąbrowo, przyjeżdżałam, nie tak, lecz, cóż robić?... Zostawiłam ci na cmentarzu mogilkę z czarnym krzyżykiem i tyle po mnie w tej wiosce, — a mnie w sercu ileż zostało bólu, żalu i tęsknoty?...

24 lipca.

Trudno mi idzie to opowiadanie z czarnych dni, — lecz, jak mogę, — chcę je wysnuć z pamięci.

W Krakowie mama zaraz musiała się położyć; wezwaliśmy lekarzy. Znaleźli zdrowie bardzo nadwątlone i polecili jak największy spokój i ciszę. U Stacha ciasno, dwa malusieńkie pokoiki, ledwie można się było umieścić.

Smutno potoczyły się teraz dni życia naszego. Żaloba, smutek, cisza i trwoga o życie matki. Teraz mama jest w Zakopanem i zostanie do późnej jesieni; zdrowie już cokolwiek wzmocnione.

Ja doniosłam Radzie szkolnej okręgowej, iż z przyczyn nader ważnych musiałam wyjechać natychmiast z matką i nie mogłam czekać, aż Rada

okręgowa urzędownie da mi uwolnienie od obowiązków.

Rada szkolna wyraziła mi naganę za rzucenie służby bez uwiadomienia władzy. Tutaj z trudem wielkim uzyskałam jaką taką posadę w Zawiszu. Na nową posadę mogłam wyjechać z Krakowa dopiero w kwietniu, gdy już stan zdrowia mamy o tyle był lepszy, iż nie wymagał ciągłej mej obecności.

Tak rozpoczęłam moją pracę na nowej posadzie, wśród nowych warunków i ludu zupełnie odmiennego.

29 lipca.

Są rany, które się nie dadzą łatwo zbliżnić, a tem więcej bolą, im się więcej musi na zewnątrz udawać, że i pamięć o nich zamilkła.

Mój wyjazd z Dąbrowy — to była chwila ważna. Przerwane i przecięte struny tyłu uczuć, portargane nici tyłu marzeń i myśli pogodnych, wszystko zrobione nagle, gwałtownie, — a za tem nowe życie, nowi ludzie, nowe walki. Ach!... jakąż to czarna karta życia!...

I choćbyś chciał tu przylgnąć, tutaj ustalić się duchowo, tutaj rozsnuć nici swych planów i czynów daremnie. Myśl rwie się jak ptak więziony tam, do dalekiej wioski, do mogiły opuszczonej, do ludu osieroconego.

Co tydzień prawie przychodzą listy z Dąbrowy,

od dzieci, od gminy, od Kiwackiego, od Tracza, a każdy list woła i płacze: — wróćcie do nas, wróćcie do naszej wioski, do naszych dzieci!!...

Wróćcie?... O! nie, nie!

Serce pękłoby, gdyby tam mu żyć przyszło. O nie! nie!...

Przecięte wszystko ostrym nożem wypadków. Wy tam ku mnie tęsknicie, a ja tutaj obca wśród tego ludu nie mogę sercem przylgnąć.

Lud a lud, nie jedno i to samo. Lud z wioski dalekiej, cichej, oderwanej od ruchu świata, od miasta wielkiego, to jak dziecię: za jedno słowo ciepłe, odda serce całe, za jeden uśmiech serdeczny odwdzięczy się przywiązaniem wiernym.

A lud tutejszy... Śmiały, butny, rozpolitykowany, najpierw wszystko obliczy materialnie, a potem rozumem osądzi; serce na ostatniem planie.

Szkoła tu była od dawna. We wsi wszyscy starsi umieją czytać, ale nie czytają. Czy jest w szkole dziś nauczycielka, jutro nauczyciel, czy dziś ta osoba, jutro inna, to dla nich rzecz obojętna.

Przejdź przez wieś, nikt cię nie pozdrowi, zagadaj, zapytaj o co, odpowie krótko i spieszy dalej.

A lud to Kościuszkowski, dzielny, piękny, mallowlniczy, w sukmanach, tych prześlicznych, białych, w krakuskach czerwonych.

Dziatwa zuchwała i zdemoralizowana. Nie do

uwierzenia, a przecież prawda. Tutejsze dzieci zepsute są i nieraz usłyszałam od nich coś takiego, czego nawet nie mogłam zrozumieć, aż później oczy mi się otworzyły.

3 sierpnia.

Mam dochodzącą posługaczkę, która rano przyjdzie, przyniesie, czego mi potrzeba na obiad, o wodę się postara i tyle...

Całe dnie teraz, w wakacje, siedzę sama w małej mej izdebce. Na przechadzkę nawet trudno tu wyjść samej, bo pod miastem spotyka się wiele osób spacerujących, a te nie umieją uszanować samotnie idącej kobiety. Do Krakowa przychodzę piechotą często raz, dwa razy w tygodniu, lecz to męczące i także przykre.

W Krakowie nie mam nikogo znajomego, Stach zajęty. Mamy niema, więc gdy przyjdę, błąkam się wśród tych cennych pamiątek, jak wpółsenna i rozmarzona, a wracam do mej samotnej izdebki z utęsknieniem.

Niedaleko mej izdebki płynie Wisła. Wyjdę tam nie raz, usiądę nad jej brzegiem i dumam. Fale rzeki płyną i płyną, a moje myśli lecą w dal. Małoż to dla nich przestrzeni? Ojciec, brat, siostra, śpią daleko. Matka chora, ukochany, hen! jak te góry widne w dali; niby blisko, a przecież daleko, bo nam się widywać trudno, a tam znów garstka

ludu, za mną tęskniącego, ku któremu myśl moja zwraca się co dzień...

Widzę z nad brzegu Wisły stare wieżyce Wawelu, słyszę tamtejszych dzwonów granie i patrzę na stare miasto, pełne pamiątek i wspomnień, jak na wspaniałą historyjną kartę.

Pisały na niej wieki nie piórem, lecz wypadkami dziejowemi, aż zgasło światło wolności. Wreszcie znikł ostatni płomyk. Wawel w mroku, Kraków w mgle ponurej.

Tu we wiosce niby jasno, ale to złudne. Trzeba wielkiej pracy, aby rozświecić owo światło, które ma błysnąć nad Wisłą.

6 sierpnia.

Wczoraj byłam u Stacha. Przyjechał Mieczysław. On wiele przebolewał wraz ze mną. Gdy po strasznym ciosie, jaki nas spotkał, zeszedliśmy się w Krakowie, prawdziwie nie umieliśmy mówić ze sobą. On milczał szanując mój ból, ja nie mogłam mówić.

Spojrzelśmy na siebie, podaliśmy sobie dłonie, i tyle było naszego.

Czyż mogło być inaczej?

Wczoraj dopiero, Mieczysław poruszył sprawę naszej wspólnej przyszłości. Powiedział, że od Nowego roku ma zapowiedziany awans, podwyższenie płacy, a zarazem i przeniesienie gdzieś do małego miasteczka na prowincję. Gdy to nastąpi,

zapewne z wiosną, będzie mię mógł już wprowadzić do swej chaty.

16 sierpnia.

Dziwna rzecz, jak miasto wpływa na lud z pobliskich wiosek. Sądziłby kto, że lud tutejszy oświecony oddawna, prawdziwie jest uświadomionym i może być naszą chlubą. Tymczasem jest przeciwnie.

Lud, w pobliżu wielkiego miasta chłonie w siebie tylko materializm handlowy, przebiegłość kupiecką, butę zuchwałego miastowego ludu i namiętności niskie, brudne.

Tutaj, w mojej wiosce od świtu do nocy, od wiosny do drugiej wiosny, od dziecka małego do starca osiwiałego, wszędzie, słyszę tylko te słowa:

— „Do miasta“, „z miasta“, „na targ“, „z targu“, „miarka po tyle“, „litr po tyle“, „zrobił dużo“, „sprzedał mało“.

I przypominam sobie, jak raz przed trzema laty, gdy byłam w Łodzi z mamą u znajomych i oglądałam to miasto pełne fabryk, przędzalni, tkalni i ruchu przemysłowego, rzekłam do pana X.

— Całe miasto z jego milionami, z fabrykami, handlem i przepychem, oddam chętnie za jedną, cichą naszą wioskę, gdzie lud pracą na roli zajęty, a pola falują zbożem. To samo mogę powiedzieć i dziś.

Niema jak nasze wioski ciche, niema jak rolnictwo dla naszego ludu.

Handel, kupiectwo, to rzeczy, które niosą za sobą inne życie, inne ideały. Wiem, iż nasz lud musi dążyć do postępu w przemyśle i wyprzeć zagraniczne wyroby, obce kupiectwo, a przecież boję się tego. Boję się, bo widzę, jak handel odziera nasz lud z ideałów, cnót i narodowych tradycyj. Może być, że przy bliższem poznaniu zdanie moje zmienię, ale teraz czuję się tu i obcą i nieufną.

Do tamtego ludu gdym się zbliżała, czułam obawę przed jego dzikością, niechęcią do oświaty. Przekonałam się, że zewnątrznie szorstka powłoka kryła skarby cenne. Tu boję się ludu z pod miasta, który mądrość swoją tylko na chytróści i przebiegłości zasada.

13 sierpnia.

„Do Częstochowy“ wybrała się pieszko cała „kompanija“. Ciekawy to widok. Kobiety, dziewczęta, parobczaki, starsi gospodarze, wszyscy zbierają się razem i idą w daleką drogę do cudownego miejsca. Każdy z pątników na plecach ma w białej płachcie trochę „przyodziewy“, chleb, nieco sera lub masła. Zbierają się pod figurą, przy drodze.

Okolo pątników stoją gromadki tych, którzy

nie idą do Częstochowy, a dają po parę centów na rozmaite „intencje“.

— Moiściewy — szepce kobiecina do drugiej — oto macie „złoty“, dacie tam do pocieszenia Matki Boskiej.

— Tu macie 10 centów, dacie tam za zdrowie...

— Weźcie te świece, kochana Wojciechowa, a zapalcie przed Najświętszą Panną Maryą.

Tak wokoło sypią się drobne ofiary — potem pożegnania:

— Szczęść Boże! Szczęśliwej drogi! Idźcie z Bogiem!

— „Ostańcie z Bogiem! Do widzenia!“.

Odezwała się muzyka, która odprowadza pątników, zabrzmiała pieśń, — poszli.

Szczęśliwi!... Jabym szła za nimi, szła do tronu Królowej Korony Polskiej, a poniosłabym tam serce pełne bólu, wiary i ufności.

20 sierpnia.

Jakżeż serce ludzkie łatwo przywyka do chaty, ciszy, zgody, do życia, pełnego wrażeń idealnych, a jak trudno żyć się z gwarem, ruchem i tym niepokojem, jakie wielkie miasto wokoło rozrzuca.

Ładnie tutaj w Zawisłu. Domy są duże, jasne, ogrody pełne przepięknych kwiatów i warzywa, lud tu w przeważnej części bardzo zamożny, a przecież jabym wolala daleką, cichą wioskę.

Gdyby nie zdrowie mamy, które wymaga pobliża miasta ze względu na lekarzy, przeniosłabym się do innego okręgu i znów pracowałabym w jakiejś najbardziej wzgardzonej przez wszystkich wiosce. Muszę się zgodzić z tem, co być musi.

Cała gromada dzieci z Dąbrowy napisała mi śliczny list; odczytuję go już po raz nie wiem który i cieszę się nim, jak dyplomem pochwalnym. Jakże te dzieci mnie wspominają, jak jeszcze ciągle o tem myślą, że ja do nich wrócę!

Mikołajek pisze:

— Pan dziedzic teraźniejszy bardzo dobry. Pozwala nam chodzić na jagody do lasu, a gdy nas kiedy spotka, to pyta się: „a co, żal wam za panią nauczycielką?“. My powiadamy, co żałować będziemy do końca życia. Michaś Jaszczyszyn ten, kościelnego Józka, mówi na to: „a panu żal za panią nauczycielką?“. Pan dziedzic spojrzeli się na niego i rzekli: „oj żal! bardzo żal!“.

26 sierpnia.

Wieczorem z Mieczysławem i Stachem popłynęliśmy Wisłą pod Wawel. Słońce już chyliło się ku zachodowi, kryjąc się w stronie, jak Łobzowski pałac Kazimierza Wielkiego, a mogiła Kościuszki, od strony Wawelu, na tle złotego nieba, rysowała się wspaniałym pomnikiem chwały naczelnika ludu.

Wpatrzeni w ten obraz, milczeliśmy długo — aż wreszcie Mieczysław rzekł:

— Nieraz, gdy patrzę na mogiłę Kościuszki, myślę sobie, że wznosi się ona tutaj, opodal Wawelu, jako wieczny sztandar, rozwinięty tak wysoko, iżby go każde oko dojrzało, każde serce ukochało. Gdy już w królewskich grobowcach przestano grzebać i „Chrobrych“, i „Wielkich“, gdy już zabrakło królewskiej korony i berła — wtedy naród wzniosł ten pomnik chwały, jako nowe berło dla narodu.

Pod tem hasłem „Mogiły Kościuszki“ zniknąć muszą dawne przesady, kastowe różnice, dzielenie narodu na klasy i warstwy. Lud, odrodzony na duchu — nie, źle mówię, — nie lud odrodzony, ale my, my, odrodzeni i wyleczeni z staroszlacheckich, kastowych wad, a lud, oświecony obywatelską miłością Ojczyzny, to szeregi armii, która pod sztandarem „naczelnika ludu“ stać musi.

— Wiesz, Mieczysławie, co znowu ja myślę, ilekroć na tę przepiękną mogiłę spojrzę — rzekłam, patrząc z zachwytem na ciemną tę smugę ziemi, która w złotych odbłyśkach zachodzącego słońca rysowała się, jak chmura na tle nieba.

— Zdaje mi się, że to jest wielkie serce narodu. Niby martwe, a przecież żyje, bije i mówi do nas tak wiele. Zdaje się, że w każdą cząstkę ziemi, która została przyniesioną na usypianie tej mogiły, dał naród cząstkę swej miłości, bo też ona

cała jest wiecznotrwałym dowodem, jak naród płaci za miłość ludu.

Wpół cicho ostatnie słowa wymówiłam; Mieczysław tonął wzrokiem w dalekiej przestrzeni, a Stach spokojnie wioślował.

— Dla mnie — rzekł po chwili, — mogła Kościuszki wydaje się znów jedną, wielką kartą historii. Gdy splatały się w Ojczyźnie naszej wypadki zwykłą drogą życia narodowego, pisaliśmy kroniki nasze na polach bitew i walk orężnych. Gdy przecież zdeptano prawa nasze, gdy popełniono na wolnym narodzie gwałt bezlitośny, jako protest wieczny przeciw krzywdom i zaborom, oto napisaliśmy historię naszych praw takimi głoskami, jakimi żaden naród dotychczas nie pisał!

Słońce zaszło, coraz było ciemniej, z Maryackiej wieży hejnał brzmiał wspaniale, a my wracaliśmy do Krakowa w milczeniu.

Mieczysław odjechał wkrótce. Ja zostałam u Stacha, bo jutro mam trochę sprawunków w Krakowie.

Gdyby mama mogła już wrócić!

3 września.

Zapisy do nauki szkolnej już się odbyły. Zapisanych jest dzieci przeszło 100. Jedna rzecz dla mnie tu jest niezrozumiałą. W wykazach dzieci, obowiązanych do nauki szkolnej, które z urzędu

parafialnego przychodzą do szkół, znalazłam bardzo dużo dzieci, które mają zapisane tylko imię matki o ojcu zaś żadnej niema wzmianki. W Dąbrowie, przez dwa lata, gdy dzieci zapisywałam, nie spotkałam się z tem, tu na przeszło 100 dzieci, mam 43 takich, które nie mają w metryce, ani imienia, ani nazwiska ojca. Czyżby się tu ksiądz pomylił? Czy tu inaczej się metryki zapisują?

Nie rozumiem dlaczego tak jest. Gdy ksiądz katecheta przyjdzie na lekcję religii, muszę się go spytać.

Dzieci tutejsze dzielą się na dwa odrębne typy, tak samo jak i ludność w Zawislu nie jest jednolitą, ale dzieli się na tak zwanych „obywateli“, to jest gospodarzy osiadłych tu stale, którzy mają swoje domy, ogrody i zajmują się uprawą warzywa, — i na tak zwanych „mieszkańców“ to jest biednych wyrobników, murarzy, cieśli i t. p.. Ostatni z nich są ludnością przepływową. Kwartał mieszka ją tu, kwartał w innej poblizkiej wsi.

Otóż dzieci tutejszych „obywateli“, chodzą do szkoły regularnie, odziane są czysto i porządnie, uczą się pilnie, a są przytem jak tu mówią, „uslu-chane“. Dzieci zarobników, murarzy, biedaków naj-nędźniejszych chodzą do szkoły, jak im się podoba, raz przyjdą, dziesięć razy się nie pokażą. Brudne, obdarte, umieją kraść, kłamać i przeklinać w straszliwy sposób.

Czy nad takimi dziećmi płakać, ręce łamać,

czy odsunąć się od nich, jak od zarazy złego?... Istotnie, ja czasem nie umiem na podobne myśli znaleźć odpowiedź.

Dzieci te rosną zupełnie bez opieki i karności rodzicielskiej. Rano, gdy jeszcze dzieci śpią, ojciec idzie na robotę do miasta, matka do fabryki cygar. Wieczór, gdy ojciec wróci, a jeszcze bardzo dobrze, jeżeli wieczór wróci, i gdy matka z fabryki przyjdzie, dzieci już śpią. Co te dzieci przez cały dzień robiły, co jadły, czy były w szkole, czy się umyły, uczesały, — o to nikt nie pyta.

Przez pierwszych parę tygodni, gdy tu przybyłam, patrzyłam na te dzieci prawie z wstrętem i lękiem. Teraz już wyrozumiałszą jestem dla nich.

Biedne! Ah! O wieleż szczęśliwsze od nich były tamte dzieci w Dąbrowie, nad którymi nieraz roztkliwiałam się bardzo, nie wiedząc, że przecież są u nas dzieci stokroć biedniejsze!...

Tamte dzieci znały drogę ze wsi na błonia, z krówką czy jałówką, potem do pola przez miedzy, z garczka i z obiadem, do szkoły, do kościoła, a poza tem nic więcej.

Tutaj dzieci znają drogę do miasta, a w mieście, ileż pokus na nie czeka?... Tu żebrzą i już wcześniej uczą się żyć bez pracy; tam kradną, ówdzie sprzedają ptaszka w sidła schwyconego; tu okiem zazdrości patrzą przez szyby sklepowe na ciepłe ubrania, gdy im bardzo zimno; tam widzą

tyle bułek chleba, kielbasy, wtedy, gdy one głodne i... bardzo głodne...

W szkole u mnie są wieczne skargi:

— Malicki ukradł mi chleb.

— Noga mi wziął rysik.

— Łabajówna wzięła mi bułkę.

Upominam, karzę, a w duszy sobie myślę: I cóż pocznę, gdy głodne?...

Dzieci tutejszych gospodarzy, mają potrzebne przybory naukowe, rysiki, tabliczki, zeszyty, książki. Dzieci biednych zarobników nie mają nigdy tego, co im potrzebne.

Wszelkie upomnienia są daremne.

— Tata nie dali.

— Mama nie ma ani centa.

— Ojciec przepił w niedzielę wszystko, co dostał za robotę; nie mamy na chleb.

— Mama już trzy tygodnie roboty nie mają, nie mogą dać na ołówkę.

— Tata poszedł za robotą czterdzieści mil, nie mamie nie przysłał; nie mam na zeszyt.

Gdy się to słyszy, ręce opadają, w oczach się robi ciemno.

Nędza prawdziwa, straszna staje przedemną, a za nią jeszcze gorsza, straszniejsza nędza moralna tego ludu, może najbiedniejszego w narodzie.

O! jeśli kto chce powiedzieć, iż zawód nauczycielski jest łatwym i nie wymaga bezgranicznego

poświęcenia, niech przyjdzie do szkoły ludowej, we wsi, pod wielkiem miastem!...

5 września.

Mamie jest już znacznie lepiej; przyjedzie zapewne około 15 tego miesiąca. Ach!... nie będę przecież tak samą, tak bardzo osieroconą. Dziwnie mi tu smutno i obco.

Z radością witam ten nowy rok pracy szkolnej, bo widzę, że mam przed sobą wiele do zrobienia. Czy trud będzie cięższy i walka więcej sił wyczerpie, — o to nie pytam.

9 września.

W pierwszych miesiącach pobytu mego pod Krakowem, byłam zbolala i złamana, zupełnie apatyczna, jakby w letargu. Nie mogłam ani czytać, ani pisać. Teraz po wypoczynku wakacyjnym, uspokoiwszy się z bólu pierwszego, gdy wreszcie już i mama do zdrowia powraca, zaczynam czytać.

A prawie nic nie czytałam przez dwa lata. — W Dąbrowie czułam wielką tęsknotę za książkami, lecz w ich braku, szłam do chat, zbierałam wieczornice i dużo przeczytałam: nie w literach martwych, lecz w sercach żywych. Tutaj o książki łatwo. Chwytam je też bardzo skwapliwie.

17 września.

Mama już przyjechała. Silniejsza i zdrowsza, lecz smutna. Mnie o tyle jest lepiej, że mogę udzielać prywatnych lekcyj. Mam teraz już dwie: jedną u tutejszego naczelnika gminy, zamożnego kupca, — drugą u urzędnika, który ma tu domeczek własny. Obie lekcye dają mi 14 zlr. miesięcznie, co dla mnie jest wielkim już przychodem.

20 września.

Mieczysław był dziś u nas cały dzień. Długo siedzieliśmy na ganku, zasluchani w muzykę, która z zamiejskiego ogrodu do nas dochodziła.

— Przybladła mi i przymizerniała moja pani — mówił Mieczysław, — a uśmiechu, to już na tych ustach chyba nie zobaczę. Trzeba się krzepić duchowo, trzeba po bólu wracać do życia, bo życie ma także swoje prawa, a smutek pożera nas tak, jak rdza żelazo.

— Wiem, mój ukochany — odpowiedziałam z cicha, — że przykro ci widzieć mnie zawsze smutną, bladą i mizerną; wiem, że ty, gdy odrywasz się od swej pracy, a do mnie spieszysz, szukasz u mnie radości, szczęścia i pokoju; lecz, wybac — za dużo przebolełam. Teraz zabrałam się do pracy; — ona mnie wyleczy, ona ukoji.

— Nie żądam dla siebie uśmiechu i rozweselenia.

lenia — odparł Mieczysław, — ale mi się serce kraje, gdy patrzę na ciebie.

— Da Bóg, odzyskam zdrowie i spokój, lecz ty się nie martw.

— Czy wiesz, czem się czasem niepokoję?... Oto myślę, czym nie za wcześniej prosił o twoje słowo, że będziesz moja... Byłem tak samolubny, kochałem cię od lat dziecinnych prawie, a gdyś mi wyrosła na pannę, już samodzielnie pracującą, gdy poszłaś w świat, z pracą, rwałem się w niepokój i trwodze, czyli cię kto nie pokocha, nie weźmie, zanim ja chleb mieć będę. — Więc dlatego przyjechałem do Dąbrowy i prosiłem: kochaj mnie!

— Nie potrzebowałeś prosić, bom ja już dawno kochała!...

— Ale ty teraz tak musisz długo na szczęście czekać, gdy mogłaś je już mieć; musisz pracować, gdy mogłaś być wolną od wszelkich trudów. Powiedz: nie żal ci, żeś Czesława odtrąciła?...

— Mieczysławie! — zawołałam ze skargą żalną — Mieczysławie, co mówisz?... Czyż serce pyta o majątek, o to, co da chleb zaraz lub za 10 lat?... Czy myślisz, że praca mnie smuci? Ależ ja życia nie przeprożnuję, choćbym je miała i dziś złotem wysłane!...

— Dobra jesteś, o, moja ukochana — całując mą rękę, rzekł Mieczysław. — Nie dziw się, gdy się niepokoję, bo, widzisz, ja także cierpię, we mnie także wre walka. Serce i dusza rwie się ku

tobie, tęskni, boleje, radbym jak najprędzej twoje życie zobaczyć razem z mojem splecione, a to tak idzie mozolnie, trudno, powoli!...

— Gdy ci tęskno, pomyśl, że mnie zostawiłeś na pracę dla ludu. To ci będzie osłoda, ukojeniem. Widzisz?... stary zadumany Kraków przeszłość zamknął w swoim łonie, ale on czeka na przyszłość. Na tę przyszłość rzucać ziarno po ziarnku wielkie posłannictwo...

24 września.

Co też stanie się wkrótce ze strojem ludu krakowskiego?... Zdaje się, że przechowa go tylko garderoba teatralna. W Zawislu teraz jest tak: babka idzie do kościoła w dawnym, prześlicznym stroju: chustka biała haftowana na głowie, gorset czarny, sukienny, z „kalitkami“, spodnica szeroka w pięć brytów, korale grube, zabytek z dawnych lat. Przy babce idzie wnuczka, w kapeluszu, stanik z bufiastymi rękawami, parasolka w ręku. Ojciec jeszcze ma starą, granatową czamare, przypominającą szlachecki strój, syn już jest w ubraniu niemieckim na tandecie kupionem.

Dzieci, które do szkoły przychodzą, przedstawiają najzupełniejszą w świecie tandetę, nieraz boleśnie rażącą i oko i serce, nieraz do śmiechu pobudzającą tą zbieraniną ubrań, które miasto z siebie, jako lachmany niepotrzebne zrzuciło. Jedno ma kapelusz z kwiatami i wstążkami, a na ramionach

starą sukienkę, z wiszącymi strzępami, u której i jednego guzika do zapięcia nie ma. Drugie bose, brudne, nieczesane, Bóg wie od kiedy, odziane w starą, aksamitną sukienkę, tam chłopak wpół nagi okrywa się pelerynką, niegdyś białą, która zapewne ozdabiała jakieś wychuchane dziewczętko bogatych rodziców, tu najędzniejsze ubranie z bar-chanu, tam lokajski, liberyjny kaftan...

Wszystko, co miasto wyrzuca jako zużyte, niepotrzebne, — to wioska pod miastem chwytą i używa.

Lecz gdybyż to tylko stare lachmany z miasta ona brała na okrycie!

Bierze ona i chłonie w siebie zepsucie moralne, a światła i wiedzy jak najmniej.

Przeważna część kobiet tutaj zamieszkałych, które są żonami lub córkami robotników, chodzi do fabryki cygar. Zarobek tam mają dobry, bo po parę reńskich tygodniowo dostają. Jednak zarobek ten nie przynosi ani dochodu, ani bogdaj zabezpieczenia od głodu ich dzieci, „fabrykantki“, jak ich tutejsi gospodarze nazywają, tracą prawie wszystko na stroje. Niektóre z nich mają pluszowe rotundy, żakiety modne, suknie strojne z dżetem i aksamitem, kapelusze z piórami i t. d. Wszystko to biorą na spłaty ratami, to też w sobotę, gdy jest tygodniowa wypłata w fabryce tłum żydów, czekających na należne raty, oblega ulicę Czarno-

wiejską i chwytą wychodzące fabrykantki, by zarabiać grosz z całotygodniowej pracy.

Zupełnie troski o dzieci kobiety te nie znają. Dziecko, które przyjdzie na świat, „fabrykantka“ oddaje na „chowanie“, bo sama niem się zająć nie może. Za „chowanie“ płaci 2—3 lub więcej złr. miesięcznie. Odchowane dziecko przychodzi do domu, gdy ledwie chodzić poczyną. Teraz fabrykantka pozostawia je na opiekę sługi lub babki. Sługa, to dziewczyna nieraz 10 lub 12-letnia. Sługa i dziecko na ulicy dzień cały nie myte, nie czesane, okropne!

Przyjdzie czas na naukę szkolną. Czy dziecko do szkoły poszło, czy ma tabliczkę, rysik, książkę, — o to nikt nie pyta.

Nauka zupełnie nie może się posuwać naprzód, gdy dzieci nie mają najpotrzebniejszych przyborów. Stają czasem zupełnie bezradna wobec tej gromadki najbardziej zaniedbanych i opuszczonych dzieci i nie wiem istotnie, jak sobie radzić, gdzie szukać ratunku?

27 września.

Zawiśle, w stronie zachodniej graniczy z wioską Szczęsławice. Wieś ta dość duża i zamożna, ma już charakter prawdziwej wioski, gdy Zawiśle jej raczej podobne do przedmieścia, lub do ubogiej miejsciny galicyjskiej, zawojowanej przez żydów. W Szczęsławicach jest nauczyciel, ojciec kil-

korga dzieci, pan Bogumilski. Byłam u niego już dwa razy.

Szkółka ładna, murowana, frekwencya regularna, ale za to stosunki materyalne tego biednego człowieka bardzo smutne.

— Mam 24 złr. 50 ct. miesięcznej pensyi, — powiada do mnie wczoraj, — bo 50 ct. odciągają mi na emeryturę. Mam też chłopaka 14-letniego i córeczkę 16-letnią. Prócz nich mam młodszych jeszcze czworo w domu. Pojmie pani, iż ja, który życie całe poświęcam nauczaniu dzieci ludu, nie mogę pozwolić na to, aby moje dzieci były pozbawione nauki. Zresztą, gdyby się nie uczyły, z czegożby później żyły? Daję więc chłopaka do gimnazjum, córkę do szkoły wydziałowej, aby mogła uczęszczać potem do seminaryum. Na stancyi ich umieścić w Krakowie, niepodobna, piechotą stąd chodzić nie mogą. Więc radzę sobie tak: Co dzień rano, odwozi jeden z tutejszych gospodarzy moje dzieci do rogatki miasta, a wieczór po nie wyjeżdża. Za to płacę mu 6 złr. miesięcznie. Dla dzieci, w Krakowie płacę ubogi i nędzny obiad, dla obojga 10 złr. na miesiąc. Teraz na wyżywienie mnie, żony i czworga dzieci młodszych, na ubranie nas wszystkich, na potrzeby szkolne dla dzieci w mieście, na światło, opał zostaje 8 złr. 50 ct. miesięcznie! Niech pani powie, czy mimo najszczerzej chęci zarobienia cośkolwiek więcej mogę tu we wsi znaleźć jaką pracę? Jest więc nę-

dza i to nędza okropna, taka, która przegryza i najsilniejszą energię i tłumi zapal najgorętszy. Pod miastem życie jest drogie. Tu trudno kupić, czy to masła odrobinę, czy mleka kwartę. Wszystko lud chowa do miasta, a pensya nauczyciela jest najlichszym wynagrodzeniem, jakie wobec pracy danem być może.

Radziłam się go w sprawie założenia czytelnicy w Zawislu, on mi jednak powiedział:

— Nie chcę pani zrażać, ale, zdaje mi się, trud to daremny. Lud pod miastem najmniej zajmuje się czytaniem. Cały tydzień zarobkowanie, w niedzielę szynk.

Wróciłam do domu smętnie zadumana. Pragnę tu działać, chcę próbować wielkiej rzeczy, ale sama nie mam w to wiary, czyli z tego plon jaki będzie.

A gdy się bez wiary w skuteczność swej pracy przystępuje do dzieła, już niema przed nim wielkiej gwiazdy przyszłości. Jednak beczynnienie stać nie wolno...

2 października.

W Zawislu jest dwór, ale w żydowskich rękach, bo też i całe prawie Zawisze jest przez żydów zalane i zawojowane. Karczem, szynków pełno. Pełno też tam zawsze ludzi, a krzyki, przekleństwa i bijatyki, to rzecz codzienna. Wieczorem, gdy robotnicy z miasta wracają, z lękiem wychodzi się

na ulicę. Po bocznych zaś ulicach i ścieżkach ogrodowych snują się pary czułych kochanków. Miłość tutaj panuje wszechwładnie i bezwstydnie. Gdzież tam, na wsi dalekiej, odważy się parobczak tak do dziewczuchy zbliżyć, tak śmiało ją obejmować, całować? Tutaj wszystko wolno. Długo w noc przechadzają się pary zakochanych po ogrodach i drogach, a blade księżyc spogląda na to niby obojętnie, niby ciekawie.

Znam tu jedną „fabrykantkę“, młodą dziewczynę, Marynię Szklarzównę. Mieszka obok szkoły. Matka jej, przekupka na Szczepańskim placu, biedna kobiecina, sprzedaje chrzan, ziemniaki, w domu kilkoro dzieci, ojca niema. Marynia, ubiera się wedle najnowszej mody. Gdy z fabryki po 6 wróci, zupełnie do żadnej roboty w domu się nie bierze, choć dzieci odarte, brudne, w chacie niechlujstwo najwyższe. Na nią czeka „kawaler“, więc z nim idzie „na planty“.

Prosiła mnie dawniej o książki do czytania. Dałam jej takie, które uznałam za stosowne, ale ona, oddając, powiada:

— To nie ładne „historye“, tam niema nic o kochaniu.

Raz prosiłam ją, aby mi zaśpiewała parę pieśni tutejszych. Śpiewała, ale treść tych pieśni, nader przykra. W jednej zdradzona kochanka truje niewdzięcznego, w drugiej nieszczęśliwa dziewczyna topi dziecko w Wiśle.

Morderstwo, zdrada, śmierć: oto pieśni tutejsze.

Ej! Wiosko moja biedna, nie jesteś ty wioską, bo nie masz tej ciszy i pogody życia, jakie daje prawdziwa, daleka wieś i lud nasz rolny!...

7 października.

Wiele dołożyłam starania, aby otworzyć tu czytelnię dla ludu. Mam już zebranych blisko 200 książeczek, parę gazet. Zapowiedziałam przez dzieci, że codzień wieczorem książki będę wypożyczała.

Przyszło kilku młodych murarzy, trochę starszej dziatwy szkolnej. Zanim książki rozdałam, rozpoczęłam rozmowę, chcąc odkryć, co przecie im się podoba, jakie mają przekonania narodowe i społeczne.

Bolesne wrażenie. Ten i ów odzywa się z lekceważeniem o książkach, tamten wypowiada najskrajniejsze zasady socjalistyczne. Nienawiść, straszna nienawiść do „panów“, której ślady tak mnie raniły w Dąbrowie, tutaj okazuje się w całej pełni swej mocy. Tam lud nie kochał dworu, jako tej potęgi, która mogła mu zabronić czerpać wodę ze stawu, zbierać chróst w lesie, przejechać drogą dworską. Tu lud nienawidzi „panów“ bez wyjątku; kto bogatszy od robotnika, to wróg, to „pan“, to człowiek, który ma wiele, gdy robotnik nie ma nic.

— Każdy dziś robotnikiem gardzi — mówi

jeden — każdy od niego odwraca się ze wstydem, a robotnik nieraz może więcej wart od tego lub tamtego pana.

— Komu mamy być życzliwi? — powiada drugi. — Tym, którzy nas nie chcą znać, którzy boją się przemówić do nas bogdaj słówko? Tym, którzy radziłyby wysączyć z robotnika ostatnią kroplę krwi i jeszcze za to jak najmniej zapłacić?...

Podobnych skarg słyszałam niemało. Jest w nich wiele prawdy.

O miłości ludu i pracy dla niego, głosi się u nas dziś wiele, ale rzecz dziwna: przez słowo „lud“ — każdy rozumie rżasz lud rolniczy, wioskowy, od pługa i kosy. Dla tamtego zrobiono już trochę, lecz jest jeszcze lud inny, biedniejszy stokroć od ludu tamtego. O nim nie pamiętamy i prawdziwie dla niego nie mamy wiele miłości.

Tamten lud cichszy, milszy, bo i jego praca słodsza i jego życie nie zna takich burz, z jakimi walczy i ściera się robotniczy lud z pod miasta. Tam, na wsi, prawie każdy i najuboższy, ma jaką taką lepiankę swoją, weźmie na odrobek zagon ziemniaków, na „wyczესki“ weźmie lnu trochę, a tak już ma gdzie głowę skłonić, dzieci byle czem pożywić i w płótniankę przyodziać.

A tutaj, jakież życie? Kmieć, „obywatel“, gospodarz ma dom, a robotnicy są na „mieszkaniach“. Mieszkania te składają się z tak zwanych „stancyj“. Jest to izdebka o jednym oknie, z ku-

chnią w rogu, niska, wilgotna. W takiej izdebce mieszka 9 do 10 ludzi! „Stancya na kwartał kosztuje 10 do 12, a czasem i 16 zlr. Opłacić ją, dla niejednego biedaka, to koszt wielki, a przecież mieszkać trzeba.

Po za wyszukaniem mieszkania, idzie druga, najcięższa do pokonania sprawa: „życie“. Bochenek chleba za 20 ct. rozkrojony na jedno śniadanie, znika bez śladu. Bardzo dobrze, gdy jeszcze dostaną do chleba „kawę“. W skład tej „kawy“ wchodzi cykoryi za 3 centy, cukru za 2 ct., mleka za 5 ct. Jest to jednak specyał dostępny tylko dla zamożniejszych ludzi.

W południe spieszy gromadka kobiet i dzieci z obiadem dla męża, ojca lub brata. Jakikolwiek ten obiad jest, bardzo dobrze, gdy przecie jest, ale większa część robotników zupełnie obiadu nie jada. Kieliszek wódki, chleb, kawałek kielbasy — lub reszki mięsiwa, kupione w masarni, to już „omasta“ wspaniała. Są tu przecież „stancye“, w których nie pali się przez tydzień cały. Tacy ludzie żyją tylko suchym chlebem i wódką. „Wodzianka“ — zupa, składająca się z gorącej wody i kawałków, często spleśniałego chleba, to śniadanie i obiad dla wielu.

Życie to zupełnie bez jutra. Co jest, to na dziś i byle dziś, byle przeżyć jeden dzień, przespać noc, odziać się jako tako, a jutro znowu — byle przeszło.

Kto do takich nędzarzy przyjdzie z obietnicą względnego choćby dobrobytu, zyska ich całe zaufanie i serce, o ile ono tu istnieje. Lecz kto do nich przyjdzie?...

Ja, niestety, nie mogę im przynieść nic innego, jak tylko współczucie nad ich niedolą i nawoływanie ich do innego pojmowania swoich powinności. Wołanie to będzie gorzką prawdą i oni jej ani nie przyjmą, ani nie usłuchają.

Czemże jest czytelnia moja wobec głodu, nędzy i pijaństwa?...

10 października.

Od dwóch dni brakuje w szkole większej części dzieci, i to właśnie najuboższych. Pytam więc dzieci „obywatelskich“, czy nie wiedzą, dlaczego tyle dzieci do szkoły nie przyszło, na co otrzymuję odpowiedź:

— „Na wykopki“ chodzą, proszę pani.

Dowiaduję się więc o ciekawym szczególe z życia tutejszego. Jesienią, gdy gospodarze zaczęli wybierać warzywa ze swoich pól i zagonów, — dzieci biedaków idą na uprzątnięte zagony: „na wykopki“. Szukają resztek marchwi, pietruszki, zbierają pozostałe kaczany z kapusty, lub liche główki, zostawione przez gospodarzy, wybierają najdrobniejsze ziemniaki, których przy zbiorze nie liczono do plonu, i w ten sposób jaki taki zapas sobie uzbierają. Jest to smutne żniwo tych, którzy

ani orali, ani siali, a przecież szukają pożywienia. Czyż można w czasie „wykopków“ gniewać się na dzieci, które do szkoły nie przyjdą? Wszak i tu toczy się walka o byt.

Wysłałam po nauczycielkę ze szkoły i patrzę, jak gromadki tych dzieci uwijają się po zagonach... Litość budzi się w mem sercu coraz większa. O wielez szczęśliwsze dzieci ludu rolniczego!...

Doprawdy, kochać lud tamten, to przyjemność, ale kochać ten lud, to cnota i poświęcenie. — Tamten lud karmił mnie swą duszą, poezją swego życia, tradycją, obyczajami, pełnemi treści. Ten lud, zepsuty, nieoświecony, chciwy na grosz, bo go nędza tego uczy, czyż jest owym cichym, „gołę-bim“ ludem, jak mówił Ujejski?...

11 października.

Więc już wraca u nas dawne życie. I po tak bolesnej stracie, jaką ponieśliśmy w początku tego roku, będzie można spokój ducha odzyskać. Zda- wało się to niepodobnem, a przecież stało się.. Uspokoila nas praca, a życia potrzeby wezwały do równowagi.

Co niedzielę Mieczysław przyjeżdża, Stach z Krakowa przychodzi, a tak przejdzie dzień, jak chwilka jedna. Już i żalobę zdjąć musiałam, bo Mieczysław o to prosił serdecznie.

— W czarnej, smutnej sukience, tak mi bole-

śnie ciebie widzieć, o najdroższa moja, tak mi się zdaje, żeś bardzo zboliała, złamana i biedna. Myśl czasem o mnie i pomnij, że mi dać musisz trochę wesela, szczerości i pogody. Widzisz, ja walczę z mozołem, dobijam się o to, co mi się od życia należy, a gdy mało jasności i wesela w dzisiejszym życiu młodzieńca polskiego, niech kochające serce twoje dla mnie czasem bogdaj kwiat jeden wyszuka.

14 października.

Wśród tutejszego ludu, spotykam nader wiele wyrazów dziwnych. Gdy się dzieciom bardzo coś podoba, czy to opowiadanie moje, czy jaki obrazek, który im przy lekcji pokazuję, wołają wtedy: „to klawe“ — to bardzo „klawe!“. Wszystko, co tylko może służyć do zabawy, czy to jakieś pudełeczko małe, czy z papieru wycięta figurka, figielek, to się nazywa: „bajoki“. Spodnica nazywa się „kiecka“, drób, zwierzęta domowe nazywają „gadziną“.

Wyjść na próg domu, poza chatę, nazywa się wyjść „na pole“. Zamiast „parkan“, mówią „parchan“. Niezliczoną liczbę takich wyrazów, możnaby przytoczyć.

W największym gniewie, gdy już chcą użyć wyrazów najbardziej obelżywych wołają: „ty góralu“, albo „andrusie“. Gdy zaś powiedzą, że „to

z Galicyi“, to znaczy, że o tym człowieku niema już nawet co mówić.

Byłam świadkiem raz następującej sceny. Przed domem zebrała się gromadka kobiet i pocieszała jedną, która rzecznym głosem płakała:

— I zabrał „pani“ wszystko, co do centa? — pyta jedna, tytułując płaczącą „panią“, bo tu każda, choćby najbiedniejsza kobieta, nazywa się „pani“.

— I zbił panią „przez“ powodu? — pyta druga.

— A to ci mąż „sprawiedliwy!“ — woła inna.

— O rety! rety! O rany boskie! — jęcząc woła kobiecina, z zakrwawioną głową...

— A skądże on jest, ten „andrus“ jakiś, — pyta sąsiadka.

— Z „Galicyi“, moja pani, z „Galicyi“.

— A! z Galicyi, to i cóż się pani dziwi?...

— Nic dziwnego, nic dziwnego — powtarzają kumoszki i rozchodzą się, mówiąc jeszcze:

— „Z Galicyi...“

18 października.

Jeślim nieraz żaliła się na to, iż w seminariach nauczycielskich, w godzinach praktyki, nie dawano nam poznać dzieci wiejskich, teraz powiem jeszcze z większym żalem: dlaczego nam nie przedstawiano dzieci przedmiejskich?... Lekarze uczniowi swojemu starają się, ile możności pokazać rozmaite rodzaje chorób; profesorowie seminariów nauczy-

cielskich powinni wykazywać uczniowi te wady i trudności, na jakie ich praca natrafi.

Ale, kto wie, może to i lepiej, że nie pokazują takich uczniów, bo możeby się znalazło za wielu takich, którzyby odstąpili od zamiaru zostania nauczycielem ludowym. Mówi się dużo o posłannictwie, o kapłaństwie i apostołstwie tego zawodu, ale mało się mówi o kamieniach, które ciężą nie-rasz tak, iż złamią człowieka.

Zdawało mi się dotychczas, że już dość praktyki nabyłam w Dąbrowie, że i w doświadczenie byłam bogata. Tutaj widzę, że jestem jakby początkującą praktykantką.

Moja gromadka dzieci tutejszych niczemu się nie dziwi, niczem nie zachwyci, nie zajmie.

— Oho!... ja widział w mieście lepsze rzeczy — powie jeden, a drugi doda:

— Ja słyszał ładniejsze „historye“.

Jak dotychczas, nauka i szkoła wcale ich nie zaciekawia, nie zajmuje. Są to stare, przeżyte dzieci, nie mające ani naiwności, ani niewinności dziecięcych dusz. Ukarane lub skarcone dziecko, nie pókaże się do szkoły. Gdy wykaz przedstawię radzie szkolnej miejscowej, dowiem się, iż tych dzieci niema już w Zawisłu. Rodzice przenieśli się do innej wsi.

Są to wszystko zapory dla posiewu oświaty i wychowania. Najcięższą zaś i najbardziej męczącą zaporą jest brak przyborów naukowych. Ten

nie ma książki, nie może czytać, tamten nie ma zeszytu, więc nie nauczy się pisać, ów nie ma katechizmu, tamten tabliczki i tak ciągle.

Nie ma, nie kupi, a gdy mu dam już z litości, to nie szanuje i za parę dni zniszczy do szczętu.

19 października.

Z Dąbrowy znowu miałam list od ukochanej działwy. Szkoła zamknięta. Nikt się tam nie chce podać, bo, powiadają, „do tych ludzi nikt nie przyjdzie“. Mikołajek i Franio uczą dzieci w chacie, koszyki wyplatają, a za „panią nauczycielką“ codziennie płaczą.

Ksiądz nawet wspominali coś dwa razy — pisząc mi, — że szkoda, co pani nauczycielka od nas odjechała, a „pan dziedzie“ teraz coraz biedniejszy. Powiadają we wsi, co ma jakieś strapienie, albo jaka „tęsknota“ go męczy, a ogień już dwa razy był we wsi i siano tego roku nie zamokło“.

Jesień już teraz przesłiczna. Pogodna i cicha. Zbiory z ogrodów bardzo były pomyślne. Mama zdrowsza i spokojniejsza.

23 października.

Do mojej czytelnicy zbiera się coraz większa gromadka. Przychodzi też tu trzech, dość dużych chłopaków, którzy mieszkają u gospodarzy w Zawisłu „na stancyi“, a chodzą do Krakowa do gimnazjum.

Są to góralskie dzieci, o własnej pracy utrzymują się, lekcyami płacą za „stancję” i wikt, a rwą się do nauki. Jest tu także kilku uczniów z seminarjum nauczycielskiego z Krakowa.

Rzecz to przecież godna podziwienia, że lud tutejszy, który ma tak blisko miasto, wcale o wyższe wykształcenie dziecka nie dba, a przysłoby mu to łatwo, bo ani za „stancję”, ani za „wicht” płaciłby nie potrzebował.

Dlaczegóż dzieci biednych górali lub z innych wsi ubogich rwą się i cisną do nauki, o głodzie i chłodzie dobijają się do wiedzy, a ci, którzy mają szkoły, zupełnie o to nie dbają. Dowodzi to, iż tutejszy lud nie szuka wiedzy, ani jej nie pragnie.

Gdy tylko chłopak podrośnie, „chyci się murarki”, nosi cegłę, wapno, piasek, uczy się przekleństw bez liku, cygara pali, kradnie, kościoła nie nie zna i nie widzi, — i tak dojdzie do lat, w których mu już poczną płacić, jako murarzowi. Teraz przychodzi pora „romansów”, potem ożeni się, pije, żonę bije, dzieci przeklina: oto dalszy ciąg historii.

Któż weźmie w opiekę tę wielką warstwę ludu tutejszego?... Któż przyjdzie do niego z siejbą narodowych uczuć, zasad szlacheckich?... Czy szkoła podola swemu zadaniu?...

Tak, szkoła zrobiłaby wiele, ale nie na tych warunkach, jakie są teraz. Szkoła musi przeorać

niwę, aż do głębi — wykorzenić chwasty i dopiero do siejby przystąpić.

Olbrzymiej pracy czasem i karzeł podola, jeśli ma serce Dawida w piersi. Jakież serce ma szkoła?...

Szkoła?... Niestety, tu i tam bije w niej serce, ale więcej jest takich, które są... i bez serca i bez myśli i bez powołania.

24 października.

Koleżeńskie życie między nauczycielami tu jeszcze mniej, niż było w powiecie S. Z najbliższych wiosek nauczyciele i nauczycielki prawie się między sobą nie znają. Przyczyną tego miasto.

Kto ma chwilkę wolniejszą, spieszy do miasta, tam do znajomych, czy po sprawunki, czy w innym interesie spędzi czasu wiele.

Uważam też, że wogóle tu w pobliskich wioskach jest może więcej zacofania, niż w innych odległych od miasta stronach. Tam już lud stara się o sklepiki chrześcijańskie, Kółka rolnicze, czytelnie; tutaj żydzi obsiedli wokoło. W Zawislu był jeden sklep chrześcijański, ale i ten upadł. Na jego miejsce powstało trzy żydowskie i we wszystkich wódka, piwo, arak.

Od Broni S. miałam list. Zdaje się, że wyjdzie za Zarzecznego za męż. Bardzoby to była dobrana para. Zarieczny pracuje dzielnie. Przez niego zorganizowany związek koleżeńsko-towarzyski rozwija się pięknie.

Ja mam teraz dużo roboty. Mieczysław układa plan naszego wesela na maj, więc czyż przez jedną zimę zdołam sobie sama wszystko uszyć? Dziękuję Bogu za lekcję, bo mogę sobie kupować powoli płótna, szyć, haftować, znaczyć. A ile to słodkich dumań przesunie się przy takiej robótce?..

Szczęście nasze już się staje coraz bliższem, coraz jaśniejszem, coraz wyraźniejszym. Znacę sobie serwetki i pytam w myśli:

— Kiedyż pocznę w naszym domku gospodarować, kiedy będę czekała z obiadem na ukochanego męża?

28 października.

Mieczysław, na przechadzce z nami, rozpoczął wczoraj rozmowę z kilkoma starszymi chłopakami, których spotkał przy kartach.

— Nie macie książek do czytania? Czy nie lubicie czytać?

— Nie lubimy czytać, bo książki nie są ciekawe — odpowiada jeden. — Przeczytałbym coś nieraz, ale trudno o ciekawą książkę.

— A jakież wam się najlepiej podobają?

— Albo o zbójach, o zaklętych skarbach, albo o wojnach.

— A znacie dobrze historię o Kościuszcze?

— Niby wiemy, co ta „góra“ nazywa się Kościuszki, bo i ten szynk wedle niej na rogu nazywają „pod kopcem“, ale więcej nic nie wiemy.

Usiedliśmy przy chłopakach, a Mieczysław począł opowiadać im historię Kościuszki. Słuchali z wielkiem zajęciem. Chwilami śmiali się z radości, chwilami chmurzyli się gniewnie.

Gdyśmy do domu wracali, mówił Mieczysław do mnie:

— Widzi pani, jaką drogą do nich się trzeba dobierać: przyjść i mówić, a zacząć słuchać. Wszak wstyd i srom, gdy lud tutejszy nie wie nawet, za co Kościuszcze mogiłę usypiano, za co pamięć jego uczczono!

— Myślisz ukochany, że ja tego nie widzę i nad tem nie boleję, a przecież rady nie mam. W Dąbrowie mogłam chodzić po chatach, polach, błoniach, zaczynałam rozmowę, ludu się nie bałam, tutaj — niepodobna. Tutaj stan nauczycielski jest tak lekceważony, a stanowisko nauczycielki tak małe, iż ani myśleć o podobnem zbliżeniu się do ludu. W Dąbrowie cała wioska знаła mnie i wiedziała, że ja jestem „panią nauczycielką“, wszyscy na pytania odpowiadali uprzejmie. Tutaj co innego. Tu lud uważa, iż nauczycielka ma swoje prawa tylko co do szkolnych godzin, a poza tem, za szkołą, jest ona niczem więcej, jak każdy zwykły śmiertelnik. Nawet często na moje zbliżenie się i dane pytanie nie odpowie wcale, albo odpowie niegrzecznie. Zresztą przyznam się szczerze, tych starszych ja się boję. Są to zuchwali i zepsuci

chłopcy. Im niewiele brakuje, aby się odważyli rozpocząć romans.

— To, co jest, jest w przeważnej części winą szkoły, która tylko uczyła czytać i pisać, a nie wychowywała — odrzekł Mieczysław. — Teraz też tylko szkoła zdoła to naprawić.

Na to odpowiedziałam z żywością:

— Szkoła zrobi wiele, ale musi mieć poparcie moralne i materyalne. Jest tu wiele dzieci tak nędznych, ubogich i głodnych, że im trzeba dać najpierw jedzenie, odzienie i przybory naukowe. W ten sposób oderwie się ich od żebraniiny, kradzieży, szukania zarobku w rozmaity sposób. Potem trzeba te dzieci w szkole zachęcać do nauki, bo ich miasto wabi, rozrywa i ciągnie ku sobie wielką siłą. Dziecko wiejskie lgnie do szkoły, choćby dla tych „śliczności“ obrazków, które wiszą na ścianie. Dziecko z pod miasta rwie się do miasta: tam muzyka, „komedia“, wystawy sklepowe, „różne różności“. Dla zachęcenia dzieci do nauki musi mieć szkoła wiele ciekawych okazów, obrazów, a nawet i stosowne nagrody za pilność, postęp i pracowitość. Najważniejszą zaś rzeczą jest to, aby szkoła ukochała dzieci, a dzieci szkołę. Lecz to sęk twardy. Wierz mi, Mieczysławie, ja z gorącym sercem stałam do tej pracy w szkole i pragnę być uczciwą w całym tego słowa znaczeniu pracownicą, a jednak, do dziś jeszcze tych dzieci nie pokochałam.

— Wierzę ci, że to trudno — rzekł Mieczysław, gładząc ręką włosy nad czołem.

— Mimo tego, iż widzę, że te dzieci stokroć biedniejsze od tamtych, ze wsi, że one potrzebują, aby ich przecież ktoś ku sobie przygarnął, aby im dał to ciepło, jakiego nawet u ojca lub matki nie znalazły, a przecież coś jest, co odpycha serce, co ziębi uczucie... Ja ich nie Kocham!...

Mieczysław mi na to:

— A wiesz, jak Sokrates pojmował powinność nauczyciela? Oto raz przyprowadził do ojca powierzonego sobie na naukę syna, a oddając go, rzekł:

— „Niczego go nauczyć nie mogę, bo mnie nie kocha“. Jeśli między nauczycielem a uczniem nie zacieśni się węzeł miłości, nauka nie przyniesie korzyści.

Dziwnie przykro mi się w duszy zrobiło.. Jakto, czyż jestem tak zimną i obojętną, że aż on do miłości musi mnie wzywać? Nie wstyd-że mnie, kobiecie, gdy mężczyzna posłannictwo miłości przed oczy mi stawia?

— Mieczysławie! — szepnęłam przez łzy — czy myślisz, że ja nie chcę kochać i tych dzieci i tego ludu? Ale mnie coś odpycha, coś ziębi, coś trzyma tak zdala, że nie mogę być taką jaką byłam w Dąbrowie!

Przy pożegnaniu jeszcze raz szepnął:

— Będiesz kochać te dzieci?

— Będę. Zobaczysz, że pokocham — odpowiedziałam, trochę się rumieniając.

30 października.

Po tej rozmowie z Mieczysławem przyszedłam na drugi dzień do szkoły z najszczerzą chęcią takiego postępowania, iżby przekonać i siebie i dzieci, że je kocham.

— Proszę pani: Gil ukradł wczoraj u Konika dwa gołębie.

— Sztok trącił Głowę do rzeki.

— Ciemięga Jan przedrzeźniał się księdzu i wołał za nim głupstwa.

— Waśko przeklinał moją matkę tak, że aż płakała.

— Piotr rzucał za jednym panem kamieniami.

— Józek wybił dwie szyby w klasztorze.

Tak sypią się skargi ze wszęch stron i gradem zimnym, mroźnym, padają na moje serce.

Proszę dzieci, aby się uspokoiły, uciszyły — i z trudem doprowadzam do porządku. Lekcja się rozpoczyna. W godzinę wchodzi do klasy Waśko rozczochrany, brudny, bez książki, zeszytu.

— Gdzież byłeś tak długo? Dlaczego nie przyszedłeś na czas do szkoły? — pytam spokojnie.

— Bo nie jadłem śniadania; matka mi nie dała.

— Dlaczego ci mama nie dała śniadania? Byłeś niegrzeczny?

Zachmurzony, gniewnie spoglądający chłopczyzna, kręci czapkę w rękę; nic nie odpowiada.

— Idź-że, zmów pacierz, gdy przyszedłeś, po modlitwie siadaj do ławki i uważaj. Nie przeszkadzaj drugim dzieciom — mówię łagodnym głosem.

Ale chłopiec stoi nieporuszony. Przybliżyłam się, dotykam ręką jego brudnych, nie czesanych nigdy włosów i znów mówię:

— Idź do ławki, bądź grzeczny, słuchaj rodziców, to cię wszyscy kochać będą.

Spojrzał na mnie ciekawie, jakby niedowierzając, czy do niego mówię, i poszedł do ławki. Przeszła druga godzina lekcyi.

Dzieci wyszły na pauzę, na podwórko, ja za niemi, bo nie można ich ani na chwilę bez dozoru zostawić. Waśko stoi na boku, wokoło niego gromadka dzieci. O coś go pytają, ale on nie chce odpowiadać; wreszcie z gniewem rzuca się na Ciemięgę, chwyta go za ucho, krew się pokazała. Przybiegam, aby ich rozbroić, ale siły moje nie wystarczają. Musiałam zagrozić wielką karą, dopiero się rozeszli.

W drugim końcu podwórka inna sprawa. Gil zbił Antosiewi kałamarz. Płaczu i krzyku o to nie mało. Znów rozsądzam sprawę, jak mogę, aż zmęczona, wprowadzam dzieci parami do klasy.

Albo ja stałam się nieporadną, albo tutaj działwa jest zła; dość, że inaczej idzie mi tu praca, niż tam...

Przy końcu ostatniej godziny powiadam:

— Złóżcie teraz książki, ręce załóżcie w tył, usiąść prosto... Opowiem wam coś ładnego. — W klasie cisza, jak makiem siał. Zaczyna się, jak zwykle każda bajka:

— Był raz król i królowa, mieli jedynego syna i t. d...

Najgorsze — najswawolniejsze dziecko siedzi cicho i uważa; każde słowo bajki chłonie uszami i ustami.

— Królewicz wybrał się na złotym koniu po złote jabłko. Jedzie... jedzie — ciągnę dalej opowiadanie, aż powiadam:

— Teraz złóżcie rzeczy, zmówimy pacierz.

— Proszę pani dalej opowiadać, proszę dalej, co dalej?! — wołają dzieci chórem.

— Królewicz ma bardzo daleką przebyć drogę, nim on dojedzie, wy idźcie do domu. Jutro, gdy ani jednej skargi, ani jednej kary nie będzie opowiem wam dalej.

Dziwo! Dziś nie miałam ani jednej skargi, ani jednej kary. Czego nie mogłam uzyskać prośbą, groźbą, moralizowaniem, otrzymałam zaciekawieniem.

Otóż to jedno maluczkie piórko, z których ma powstać wielkie skrzydło orle: doświadczenie!...

Gdzie nie dojdzie rozum, metoda, pedagogika, tam trafi bajka, opowieść.

4 listopada.

Śnieg pobielił okolice, zimno dokucza. Połowa mojej dziatwy bosa, w słomianych kapeluszach, z ziębniętę, sine, żółte mają twarzyczki. Większa część robotników teraz niema zarobku, cóż za życie przed nimi?... Jedni wypłatają słomianki do ocierania nóg, drudzy warkocze słomiane do owijania studni lub obijania drzwi, inni mech farbują, na sprzedaż do okien.

Wiele ludzi bez pracy stoi godzinami przed szynkiem, lub gromadami zbiera się na ulicy. Gdy przechodzę obok nich, serce mi się kraje z żalu... Czemuż niema istoty, któraby zaopiekowała się takimi robotnikami, zajęła ich w jakiś sposób na zimowe długie miesiące?...

Czyżby nie można wymyśleć tu roboty takiej, któraby choćby mały dała zarobek ale uchroniła tych ludzi od straszego próżniactwa?

Wioska, z dala położona od miasta, nie usypia lenistwem na zimę. Tam przedą długo w wieczory, tam groch przebierają, sieczkę krają, sporządzają sobie grabie, widły, aby na czas wiosennych robót były gotowe, a tutaj, ci, co przez lato, jako dzienni najemnicy, mieli robotę, teraz zostali bez chleba i bez zajęcia.

— Gdyby Pan Bóg dał śniegu wiele, wzdycha ten i ów, toby sobie biedak nieco zarobił, ale gdy

nadejdzie zima bez śniegu, już nawet i tej roboty niema.

9 listopada.

Wieczorem wracałam z Krakowa. Ruch tam gorączkowy. Postrojone panny, panice, dzieci, wszystko z łyżwami goni, leci, spieszy na ślizgawkę. Tacy wszyscy weseli, uszczęśliwieni, śmieją się, rozmawiają, tak znać, że ich ani troska nie gnębi, ani praca nie utrudza.

Ja szłam naprzeciw tej fali zamysłona i smutna. Mija mnie dwóch gogów, zaglądają w oczy i mówią:

— Przystojna bestyjka...

— Szkoda, że nie z naszego towarzystwa...

Przyspieszyłam kroku, lecz słyszę ich kroki za sobą.

— Spróbować można, może się uda.

— Sama, o tej porze, to widać albo szwaczka, albo nauczycielka, wraca z lekcji.

— Masz rację, nie warto.

Odeszli.

Weszłam do domu zmęczona nadmiernie. Taki to los ubogiej pracownicy! Gdybym szła z łyżwami, wystrojona elegancko, w towarzystwie ojca, jakiego nadradcy, lub brata X Y Z, czyżby się odważył podobny młodzik wypowiadać w ten sposób swoje myśli?...

10 listopada.

Cale moje życie skupiło się teraz w miłości. Miłość dla matki, ukochanego i tej biednej, brzydkiej, brudnej dziatwy najuboższych robotników: oto treść mego życia. O miłości dla matki, czyż trzeba pisać? Każdy, kto matkę swą kochał i czcił, pojmie, jaką jest cześć i miłość moja. O miłości jego ukochanego... czyż podobna rozpisać się?

Czem bliższy dzień naszego zupełnego szczęścia, tem bardziej wydaje mi się to niepodobnem do prawdy, tem staję się trwożliwszą i niespokojniejszą, czyli mi kto nie zgasi złotej gwiazdy, nie spłoszy tak pierzchliwego ptaka szczęścia.

12 listopada.

Długie wieczory przepędzam przy igle. Mam roboty nie mało. Sama sobie wszystko na wyprawę szyję, haftuję, znaczę. Jakże będzie miło, gdy już będę panią Mieczysławową, tę lub ową robotkę do ręki i przypomnę Mieczysławowi: — wiesz?... haftowałam w Zawisłu, myśląc o tobie! To szylam w długi wieczór jesienny i śpiewałam tę piosenkę, którą w Dąbrowie dziewczęta nuciły:

W zielonym gaiku, słowiki śpiewają.
Już mego sokoła na wojnę wołają,
Hej! na wojnę wołają!

Siadaj Jasiu, siadaj, już koń osiodłany,
Z kimże mnie zostawisz, Jasieńku kochany!
Hej! Jasieńku kochany!

Zostawię ja ciebie Temu, co na niebie,
A za roczek za dwa, powrócę do ciebie,
Hej! powrócę do ciebie!

Minął roczek, drugi i trzeci się toczy,
A ja za Jasieńkiem wypłakała oczy,
Hej! wypłakała oczy-

Jakżeż miło marzyć o szczęściu, które już, już, jest bliskie. Przedtem, wydawało mi się, że dwa lata czekać — to niedługo. Teraz myślę: grudzień, styczeń, luty, marzec, kwiecień — o, jak to daleko, a potem maj; w maju moje imieniny, a na imieniny słowik mi zaśpiewa cudnie, ziemia się pięknie ustroi, drzewa rozkwitną i Mieczysław dostanie żonę i pojedzie z nią daleko...

A mama?... Mama musi zostać u Stacha, bo on o to błaga i prosi, ale ja potem przyjadę prędko i wezmę mamę znów do nas.

Tak! tak!... Ej Mieczku!... Powiedz prawdę, czem ty umiałeś mnie tak bardzo w sobie rozkochać? coś zrobił, żeś tak zawładnął mojem sercem, mojemimi myślami, że już wszędzie tylko ty, — tylko ty?...

13 listopada.

Śniegu niema wielkiego i biedni ludzie żalą się bardzo. W szkole już do tego dochodzi, iż ka-

zde dziecko, które sobie jakikolwiek posiłek na śniadanie do szkoły przynosi, składa przy mnie do szafy, a potem przy mnie, na przerwę zabiera, bo jeśli zostawiło jedzenie w torebce lub w ławce, za chwilę znikło. Wyglądzone dzieci czyhają tylko na to, aby zabrać sąsiadowi kęs chleba. Gdybyż to one przynosiły chleb na śniadanie, jakążby to była uczta? Ale serce się kraje na widok tych zapasów, które dzieci w szafie składają. Jeden ma parę zimnych, postnych ziemniaków, bez soli — drugi skrawki spleśniałego chleba, które rodzice kupują z resztek po restauracjach, inny surową rzepę, tamten dwie surowe marchwie, ów kawał praśnego, niedopieczonego placka. Kilkoro dzieci do tej pory chodzi boso jeszcze, a przeszło dwanaście jest takich, co żadnego, ciepłego okrycia nie mają. Koszulina pod szyją nie zapięta, kaftanik letni, podarty, spodnięta powyżej kolan: oto ubranie zimowe.

16 listopada.

Bronia wychodzi za Zarzecznego, — już mi o tem pisała. Przenoszą się do innego okręgu, on będzie kierownikiem szkoły, ona młodszą nauczycielką. Często się tak wśród nauczycielstwa zdarza, iż wspólnie nadal pracują. Zdwojona w ten sposób pensya da już utrzymanie cokolwiek lepsze. To tylko źle, że ich inspektor przynosi; bo niema nic tak szkodliwego i dla dzieci i dla nauczyciela,

jak częste zmienianie posady. Władza, która bez wyraźnego powodu przenosi nauczyciela z miejsca na miejsce, postępuje bardzo źle. Tylko w jednym miejscu, może nauczyciel skutecznie pracować. Pozna on działwę, działwa jego pozna, pokochają się wzajem, więc już idzie wszystko dobrze.

Wychowawca, jako ptak przelotny, to postać bez zasługi.

20 listopada.

Byliśmy wczoraj na Wawelu. Dziwna rzecz, że ile razy tam przyjdę, zastanę pustki. Dwie, trzy obce osoby, zwiedzające nasz skarbiec narodowych pamiątek, a z Krakowa prawie nikt. Czy sądziłby kto, że mieszkańcy Krakowa znają tak Wawel, iż nie czują potrzeby zwiedzania go?... Dobrze byłoby, gdybym się myliła, ale jestem innego zdania. Ci, co z dalszych stron przybędą, lepiej pamiątki Krakowa poznają od tych, co są tu w miejscu. A przecież ten Wawel tyle ma w sobie treści, tyle powagi, świętości!...

Staję i myślę ożywiam te miejsca, dziś ciche i spokojne. Przyszłość, jak żywa, staje przed oczyma. Król, chłopków, hetman ludu, — a my... z czem do nich przychodzimy?... Gdybyśmy tak lud kochali, jak oni, byłoby inaczej.

Patrząc na te tłumy, przesuujące się przed memi oczyma i pytam:

— Co robicie dobrego dla ludu?...

— Coś zrobił dla ludu, bogaty magnacie, który przepysznym ekwipażem uwijasz się po ulicach miasta, wyrzucasz pieniądze za granicę, a o swoje konie dbasz więcej, niż o służbę?...

— Coście wy zrobili dla ludu, słynni z szyku, elegancyi, flirtu i dowcipu, młodzi panowie, w rozkwicie młodości, w porze płomiennych uczuć, co przyszłość chcecie mieć inną, jak terażniejszość?...

— Coście zrobili dla biednych, nędznych braci waszych, wy, cudowne ozdoby rautów, salonów, czarodziejki, olśniewające tłumy, wy, co czarujecie wdziękiem, nęćcie miłością?...

— Wy, uczeni, myśliciele, badacze, coście zrobili dla poprawy niedoli i ciemnoty ludu?...

Zrobiliście dużo, dajecie częśćkę, setną częśćkę z waszych wydatków na opłatę nauczycieli i nauczycielek ludowych!

Bardzo wiele!

Przyjdzie czas, w którym lud zrozumie mowę Wawelu, wielką mowę przeszłości, i wtedy zapyta was: czem byliście w Ojczyźnie?...

22 listopada.

Darmo. Już teraz nie mogę być nauczycielką taką, jaką byłam przedtem. Już serce moje rwie się ku przyszłości naszej, wspólnej, jasnej...

Z SZAREJ PRZĘDZY.

On mi przed oczyma, on w myśli, on przy pracy, on w chwili spoczynku.

Darmo.

Inaczej być nie może, ale gdy różowa nie marzeń o własnem szczęściu snuje się coraz wyraźniej, szara nie przędy obowiązków nauczycielki ludowej zdaje mi się coraz słabszą, coraz mniej widoczną.

Chcę oddać się mej pracy całą duszą, ale nie mogę.

27 listopada.

Mieczysław zmartwiony. Matka jego chora; otrzymał list wczoraj.

Gdy nie będzie uspokajającej wieści, pojedzie.

3 grudnia.

Pojechał!...

Jakże jestem niespokojną, jak się trwożę!... Gdyby jak najprędzej uwiadomił mię o tem, jak matkę zastał!

5 grudnia.

Matce lepiej — pisał Mieczysław, ale list był krótki, a nawet — rzecz dziwna — zdawało mi się, że nie jego był ręką pisany. Lecz to zapewne złudzenie. Któżby stamtąd do mnie tak słodko, tak cudownie tych kilka słów napisał?

11 grudnia.

Wielki Boże, ulituj się!

On chory, zaziębił się w drodze. Dziś mi o tem doniósł ojciec. On ma zapalenie płuc.

Boże, Boże Wielki, Miłosierny ulituj się, ulituj!...

13 grudnia.

Jest mu gorzej — otrzymałam telegram. W łzach tonę. Zdaje mi się, że gaśnie mi słońce na niebie.

.....

Zawiśle, w dwa lata później.

10 stycznia 189...

Oto jestem w tej samej wiosce i tej samej szkółce.

Tak, jestem tu i... Kocham te dzieci.

Ah! one już nie są tak strasznie brzydkie, niegrzeczne, niedobre! Już mnie znają dobrze i ja je znam.

Ciężko mi idzie praca czasem, bom osłabła. Byłam chora prawie rok cały.

Przecież złamane drzewo długo cierpi, zanim zdola zeschłe listki rozwinąć na nowo. I zdeptana trawa boleje, zanim nowem ździebelkiem strzeli nad ziemię. A i struna, gdy jest zerwana, nie da

się nawiązać tak, aby mogła dać swój dawny czy-
sty dźwięk.

Gdybyż to była siła na przytłumienie wspo-
mnień! Lecz niema jej.

A to źle.

20 stycznia.

Mama przychodzi do mnie często i pyta:

— Dziecko!... Ty jeszcze cierpisz?

— Jeszcze? Co to znaczy?

— Daj się ranie zabiłnić, daj sercu uciszyć...

Zlamiesz swoje życie, a przecież dla niego jeszcze
jest cel.

— Dobrze mam, uciszę się.. mam cel — pra-
wda.

Mama mnie ucałuje, pogłaszcze i odchodzi ocie-
rając łzę cichaczem.

29 stycznia.

Jest nieraz już pół do piątej, piąta, już ciemno
się robi, a ja jeszcze z dziatwą moją siedzę
w szkółce. Nie piszą, nie czytają, tylko proszą, aby
im opowiadać co ładnego, co ciekawego. Opowia-
dam, bo i cieszę się, że nie potrzebuję wracać do
mego pokoiku.

Pocóż się spieszyć? Czyż mam pilną robotę?
Czyż tam kto przyjdzie i czekać na mnie będzie?
Stach się ożenił, rzadziej teraz do mnie przycho-

dzi, mama biedna nie tęskni za moim powrotem,
bo cóż jej ze mnie. Nie rozweselę jej.

4 lutego.

Z Dąbrowy jeszcze piszą do mnie. Zawsze mnie
tam kochają i wyczekują, że jeszcze kiedyś wrócę.
Mieli już dwóch czy trzech nauczycieli, ale i gmina
nie była zadowolona i nauczyciele żalili się, że lud
niedobry.

Ja odpisałam dziś dziatwie po raz pierwszy po
bardzo długim milczeniu. I jakoś mi się lżej te-
raz w duszy zrobiło.

Pocziwy, drogi mój lud z wioski opuszczonej,
jakże umie kochać stale.

12 lutego.

Wracają mi siły, a z niemi i praca idzie le-
piej. Ah! jak to dobrze, że jestem nauczycielką...
Tyle mam do roboty, iż nie mam czasu ani na
dumania, ani na marzenia.

Bo i po co to? Przecież w pracy jest najpię-
kniejszy cel życia, a cóż dopiero w pracy nad wy-
robieniem dusz ludzkich.

Wprawdzie ta lub owa dziecina ma brzydkie,
nędzne na sobie łachmany, włosy jej nieczesane,
rysy twarzy nieregularne, szpetne; ale ona przecież
ma duszę, a ja jako nauczycielka tej dziatwy, nad
uszlachetnieniem moralnie najuboższych pracować
powinnam. Zranią mnie, skaleczą, to nie boli, bo

wiem, że gdyby nie umieli kaleczyć, ani ranić, mnieby wśród nich nie było potrzeba. Gdyby nie mieli tyle wad, tyle złych dróg przed sobą, czyżby to wielką było zasługą pełnić obowiązki nauczycielki ludowej?...

17 lutego.

Mrozy silne, nieraz 26-stopniowe, dokuczają biednej ludności. Jest głód po chatach. Działka ma blada, sina, do szkoły przybiega, a ja widzę i poznaję, że głodna. W mieście słyszałam, że rozdają obiady dla ubogiej młodzieży; myślę więc: pójdę do tych pań, które stoją na czele komitetu i będę prosiła o jaki zasiłek na pożywienie tutejszej działki, może mi się uda co dla nich pozyskać.

20 lutego.

Byłam, ale mi powiedziano, iż zebrane fundusze już są na wyczerpaniu, a w mieście jeszcze jest dużo głodnych. Nie biorę tego za złe, że nie dano nic dla moich dzieci, przecież i tamte także głód cierpią.

Tylko mi się tak dziwnie serce kraje na widok wynędzniałych twarzyczek. Bez rysika, książki, zeszytu, jeszcze da sobie dziecina radę w szkole, ale głodna, źle odziana, jakże zwalczy zimne i palące uczucie głodu? Moje ubogie, na wpół żebrzące dzieci, stają się coraz lepsze i pocziwsze. To,

że ich serca rozgrzewają się już miłością ku Bogu, ku cnocie i prawdzie, czuję dobrze.

A Bóg dobry, przez poprawę dzieci moich zsyła mi wielkie ukojenie i ciszę.

7 marca.

Już się sroga zima ma ku końcowi. Jeszcze parę dni, jeszcze dwa, trzy tygodnie najwyżej, a będzie ciepło. Dla nędzarzy, to wieść radosna.

A i dla mej duszy przyjdzie wiosna będzie balsamem, kojącym ranę głęboką. Zaczęłam oto teraz po dwuletniej przerwie spisywać znowu swoje wrażenia i dziwię się, po co ja to robię?... O czym ja tu pisać mogę?... Lecz wiem: jest jedna karta w księdze życia ludzkiego, która nigdy nie zostaje próżną; na niej myśl rysuje wrażenia, jakie przyroda wywołuje. Tak i ja wraz z zapowiedzią wiosennego życia obudziłam się z letargu. Wzięłam starą zapomnianą księgę i pocynam pisać.

Czy to lepiej, czy gorzej; ja nie wiem.

10 marca.

Kasia Biedowna, zawsze nieuczesa przychodzi do szkoły. Ale nie gniewam się na nią. Wczoraj pogłaskałam ją po tych rozburzonych włosach i mówię:

— Uczesz się dziecko, uczesz, to nie ładnie tak do szkoły przychodzić.

Dzisiaj przyszła uboga kobiecina, matka Kasi, przyniosła mi trzy jaja i powiada:

— Pani taka dobra, nie gniewała się, że dziecko nieczesane i jeszcze je poglaskała. Ale niech się pani nie dziwi, że dziecko nieuczesane przychodzi. Ja jestem biedna „gdowa“, zarobnica, o czwartej rano „leczę“ już do posługi do miasta, a dziecka niema komu uczesać.

17 marca.

Z Dąbrowy znów miałam list. Piszą mi dzieci, że tej zimy za 60 zlr. koszyków sprzedały. Błogosławia te ręce, które ich nauczyły takiej pracy, a ja widząc, jak tam dużo dobrego zrobiłam, czynię sobie wyrzuty, że tutaj dotychczas nie nauczyłam dzieci jakiegoś rzemiosła. Ale czego by nauczyć?... Myślę, lecz trudno mi znaleźć coś, co by było zupełnie odpowiedniem i dało zarobek.

O! ja się nie żalę!

Mama mnie nieraz nachodzi znienacka i pyta:

— Nie płaczesz dziecko?...

— Nie, mam, nie płaczę...

Mama znów mnie utuli, pocałuje i mówi:

— Czyś ty istotnie tak silna, czy tylko tak wobec mnie udajesz?

— Nie udaję, mam, widzisz przecie, że jestem

zupełnie spokojna i pogodna. Tak! Ja już bardzo dawno nie płakałam.

Bo dlaczegoż miałabym płakać? Dzieciom moim już nie tak zimno, jak pierwiej, a da Bóg i głód się ukończy!...

22 marca.

Już wróciły bociany, widziałam je dzisiaj. Ciekawam, czy ów bocian u Staszczyszyna, któremu wtedy burza gniazdo strąciła, wraca na swoje miejsce? Czy zbudował sobie nowe gniazdo? Biedny ptak! Pamiętam, jak go wtedy żalowałam, gdy na zburzone gniazdo patrzyła.

Są czasem wichry tak silne, że nietylko ptaszykom gniazda niszczą, ale rwą i burzą wszystkie nici szczęścia ludzkiego. Są wichry, co gaszą wszystkie płomyki uczuć, nadziei, co unoszą z ziemi wszystko najdroższe dla serca.

A czyż i narody takich burz nie znają? Oto niech Wawel pocznie gwarzyć, ileż on powie!

Łabajównie umarła matka. Została sierotą samą jedną, ojca nie miała. Opowiadają dzieci iż leży tam w „stancyi“ przy zmarłej i ani na krok nie odejdzie.

O! śmierć jest bezlitosna, sroga, okropna!!! Tnie kosą tam, gdzie kwitło szczęście. Zabierze matkę i sierotę zostawi...

Pójdę, odwiedzę to biedne dziecko osierocone.

4 kwietnia.

Mama nie ma nic przeciw temu, abym Łabajównę wzięła na swoją opiekę. Gdzież się biedactwo przytuli?... Matkę jej pogrzebali, ze stancyjki wyrzucili stare, połamane łóżko, wiązkę pogniłej słomy i parę glinianych garnków. Dziecko pod płotem przesiedziało całą noc. Uprosiłam jedną kobiecinę, aby dziecko parę dni u siebie przetrzymała, omyła, wycesała, przyodziała w uszyte przezemnie koszulki i spodniczki, a potem ją wezmę. Może się da pokierować.

U mnie w szkole liczba dzieci znacznie się powiększa, mam teraz przeszło 150 dzieci. Rano przychodzi 70 dzieci starszych, po południu 80 młodszych.

Uczą się dobrze. Dla biednych, które nie mają tabliczek, rysików, zeszytów, mam w szkole całe zapasy i rozdaję im, ale do domu brać nie pozwalam, bo niszczą.

Dziewczęta przychodzą osobno na naukę kwiatów batystowych. Robią dobrze i sprzedajemy to w kramach dla ludu. Ładniejsze są te kwiaty niż sprowadzane z zagranicy.

11 kwietnia.

Już ~~jest~~ wiosna w całej pełni. Po ogrodach gwarno i rojno. Pochyleni nad zagonami, zasadzają ludziska warzywa, ziemniaki. Skowronek

trzepie skrzydłami i nuci tak wesoło, jakby mu nigdy nikt na tej ziemi nie zrobił przykrości. Ja wyszłam nad Wisłę, patrzę na flisaków, płynących żwawo po srebrzystej fali.

Wesoło wszędzie w około.

17 kwietnia.

Siedziałam na ganku mej szkółki, zajęta igłą. Szyłam dla Marynki Łabajówny odświętny fartuszek. Było po czwartej, słońce jeszcze stało wysoko, z ogrodów dolatywały dźwięki pieśni, nuczonej przez robotników.

W tem furtka skrzypla. Podnoszę oczy; ku mnie zbliża się... Czesław. Tak, to on, ten sam, nie zmienił się wcale. Gdy podniosłam się na jego powitanie, zauważyłam, iż stanął jakby bardzo zdziwiony. Próbowałam się uśmiechnąć, ale nie mogłam. Zamiast uśmiechu, ujrzałam łzy na mej twarzy.

— Panno Zofio, — zawołał, chwytając mnie za rękę i do ust ją cisnął — panno Zofio... nie miałem odwagi przybyć tu prędzej, nie miałem siły zbliżyć się do pani. Jeśli jeszcze dziś robię pani przykrość moimi odwiedzinami, odejdę.

Szepnęłam, tłumiąc płacz:

— Niech pan wejdzie do pokoju, proszę, zaraz tam przyjdę. Za chwilę wszłam. Czesław, rozmawiał z mamą, a zauważyłam, że był bardzo blady i smutny.

Usiadłam. Rozmawialiśmy o Dąbrowie, o dzieciach tamtejszych, o szkółce.

Bocian u Staszczyszyna zrobił nowe, duże gniazdo, ale już na szpichlerzu. Zeszłego roku siano zebrano śliczne. Kalinowa altanka w ogrodzie szkolnym już duża, bardzo duża, a te brzozy, co rosły przed gankiem, obie zniszczone. Jedną wiatr złamał, druga uschła. Pamiętam, jak sadziłiśmy je razem z Mieczysławem.

Czesław wypytywał mnie o tutejsze stosunki; jak się moja praca rozwija wśród ludu, czy umięą ocenić mój trud i poświęcenie. Rozmowa przeciągnęła się dość długo. Czesław przyjechał do Krakowa na parę tygodni; będzie nas często odwiedzać.

6 maja.

Już po Świętach Wielkanocnych. U Stacha było wesoło w Święta. Jego mały Bogdan już śmieje się, rączkami wywija, poznaje matkę. Mama, gdy tam przyjdzie, nie może się tą dzieciną nacieszyć.

Czesław był u Stacha także w Święta dwa razy. Jakże to szlachetny człowiek!

Umie tak rozmowę pokierować, że nigdy ani słowem jednym wspomnień przędzy nie szarpnie. Z nikim nie lubię tak rozmawiać, jak z nim. Popatrzę mu czasem w oczy i widzę, że on wejrzeniem swoim radby mnie przeniknąć do głębi i zbadać, co na dnie serca mojego spoczywa.

Czyż on nie wie co?...

10 maja.

Marynia moja mała robi się grzeczną i ładną dziewczynką. Gdy ze szkoły przyjdzie, trochę pobiega po ogrodzie, a potem w kuchni uczy się myć, sprzątać. Czesław ją lubi i pyta, czy ona swoją panią kocha.

Czesław przychodzi do nas prawie codzień. Czasem usiadzie przy fortepianie i gra długo, a ślicznie. Ja, zasluchana w mowę strun, widzę przeszłość tak jasną i promienną, jakby ona nie była oddzielona odemnie kartami kilku lat, ale przestrzenią dnia wczorajszego.

Dąbrowa, lasy tamtejsze, kościółek, szkołka niska, strzechą kryta, gdzie to wszystko. Tutaj przywykły oczy, myśl, ale nie serce.

Czesław gra i ani spojrzy na mnie, a ja wtedy śmieiej wpatruję się w niego i odczytuję z jego czoła błyski głębokich myśli.

12 maja.

Rozmawiałam z nim wiele o tutejszych stosunkach, o tej nędzy moralnej i materyalnej, która lud roboczy gnębi.

— Bo widzi pan — mówiłam żywo — serce tego ludu przechodzi przez ognie wszystkich namiętności i wpływów miasta, a na wytrwanie w tych próbach, na zwycięskie odparcie pokus i złych podszeptów niema hasła. Mylnie nazywają

niektórzy miasto ogniskiem cywilizacji, postępu, rozwoju narodowego. Miasto jest otchłanią, która pożera, przepala i przetapia życie ludzkie.

— Nie można tego w ogólności o mieście powiedzieć — przerwał mi Czesław. — Jest ono bez wątpienia pochodnią oświaty, skupia w sobie wiele sił i zdolności, przoduje tak w postępie, jak najsilniejszy ptak przoduje w locie.

— Mój dobry panie — odrzekłam na to z wpół uśmiechem — miasto w wiedzy, zdobyczach nauki, handlu, przemysłu przoduje rzeczywiście, ale serca ono nie ma, a i tym, którzy je mają, depce wszystkie porywy bezlitośnie. Miasto stawia nędzarzy, prawdziwych nędzarzy bez chleba i zasad moralnych, obok bogaczy, którzy rozrzucają grosz na zbytki, a życie trwonią na hulanki. Ono uwydatnia wstrętniejsze próżniactwo bogaczy w przeciwstawieniu do krwawej pracy ubogich zarobników. Muzyka, tańce, bale wirują w jednym kole z łzami niedoli, zimnem i głodem. Miasto uczy sprzedawać za grosz wszystko, nawet serce i uczciwość. Miasto odważa i ocenia cel życia na wadze własnej, a murem egoizmu tak ściśle się otacza, iż ani chce wiedzieć o tych, którzy są poza jego obrębem.

— Gorzkie słowa pani — mówi Czesław — wiele zawierają prawdy. Lecz niech mi też pani powie, czy zdoła się znaleźć taką tarczę, która mogłaby lud z najbliższych wiosek pod miastem, od miejskiej gangreny ochronić?...

— Naturalnie, tylko że w tę tarczę mało kto wierzy, a jeszcze mniej pragnie jej używać.

— Proszę, niech mi pani odsłoni myśl swoją — rzekł Czesław, wpatrując się we mnie z ciekawością.

— Trzeba najbiedniejsze warstwy ludu roboczego, rzemieślniczego, ukochać szczerze. Trzeba zrozumieć, że grzeszymy tu nieraz srogą obojętnością. Są przykłady, dowodzące, że pan więcej troszczył się o zdrowie i wygody wspaniałej czwórki kasztanów, niż o moralne życie swej służby. Pani więcej bolała nad złamaną nóżką pincza ulubionego, niż nad upadkiem dziewczyny pokojowej. Lud roboczy zdaje się tak potrzebnym dla wygody wyższych klas, jak są im potrzebne maszyny do przewożenia ciężarów, rusztowania do wznoszenia wysokich wież, jak są potrzebne kamienie, do urządzenia wygodnych dróg dla pojazdów.

— Panno Zofio! — wstając, zawołał Czesław; — jakże pani serce jest przesiąknięte goryczą, jak pani ostro sądzi ludzi, częstokroć niewinnych!...

— Nie, panie Czesławie! Ja poznałam prawdę i wygłaszam ją, a goryczy, niech mi pan wierzy, w sercu nie mam tyle, co ziarno gorczyczne. Bliżko cztery lata już pracuję w tej wiosce i patrzę na życie nędzarzy. Śladu miłości dla nich nie odnalazłam. Od czasu do czasu jest pozowanie na filantropów, ale i to kończy się na kweście, balu, który pochłonie tysiące, na jakimś przemówieniu,

pięknie wygłoszonem. Trzeba przejść się po sute-renach, po najdalszych chatach i zobaczyć mieszkania ludzkie. Trzeba policzyć, ile ust do wyżywienia ma jeden ojciec, trzeba zbadać przyczynę, dla której ten zły, nieuczciwy murarz, nie umie grosza zapracowanego uszanować, nie pojmuje, że trzeba o jutrze myśleć. Trzeba z wyżyn bogactwa zejść do tych, bez których istnienia i pomocy nie moglibyśmy być szczęśliwi.

— Wie pan — rzekłam, — tam, w Dąbro-wie, pękało mi serce z bólu, gdy słyszałam z ust dzieci: to „pańskie“, to „gminne“, tego nie wolno tknąć, bo „polny“ obije; do lasu nie wolno pójść, bo „leśny“ zagrabi. Tu jeszcze boleśniesz rzeczy z ust dzieci słyszę:

— Jak się panu n. p. podoba takie opowiada-nie jednej z moich uczennic:

— Nasza gospodyni — mówiła mi n. p. — kupuje dla prosiąt pomyje u lokaja pewnej hra-biny; moja mama jej za to pomaga w praniu co tygodnia, że ona pozwala jej z pomyj wybierać kawałki mięsa i chleba, a jest tam tego nie mało.

— A Łącki Józio znów mówił:

— Na zimę, gdy tata nie mają „nijakiej“ ro-boty, to mama z Stefcją musi iść pod kasyno po prośbie, a dostanie czasem i ze trzy szóstki na dzień.

Czesław stanął przedemną, patrzył się chwilę, a potem rzekł:

— Rozumiem! Pani chce, aby ludzie zamożni postarali się o pracę dla biednych; ale czyż nie wie pani, że niejeden z nich nie chce pracować? Drugi z nich zarobiony grosz roztrwoni, a potem narzeka nie na siebie, lecz na innych.

— Jałmużną wspierać ubogich, to znaczy po-głębiać ich w niedoli. W nader tylko wyjątkowych zdarzeniach jałmużnę bym dawała. Ale dawać ubogim pracę i do pracy dzieci od lat wczesnych naginać: oto zadanie... Praca umoralnia, uszlache-tnia, uczenia.

— Planów pani przeprowadzić się nie da, — szepnął jakby do siebie Czesław... — Zawsze byli i będą leniwczy, próżniacy, ludzie pragnący żyć bez trudu. Trzebaby wychowanie całych pokoleń roz-począć od początku, położyć wiele ofiar na zwal-czanie nawyknień lenistwa, a wtedy może byłoby lepiej.

— Niczego innego i ja nie chcę — odrzekłam spokojnie, — tylko zaopiekowania się tak ludem roboczym, iżby on nigdy nie mógł narzekać na brak pracy, i aby dzieci jego wzrastały pod dozo-rem ludzi poświęconych służbie, która zwie się ukochaniem najnędzniejszych.

— Wielkie zadanie, lecz niestety, dotychczas jest ono tylko ideałem. Jednostki nie przełamują za-pory, którą wieki wzniosły. Miasto zawsze wytwa-rzać będzie nędzarzy i upadłych.

16 maja.

Wczoraj było św. Zofii. Czesław mi przysłał dużo kwiatów w wazonach, a dla dzieci do szkoły prawie całą biblioteczkę. Nadto dostali chłopacy przyrządy do nauki zręczności. Zrobił mi tem wielką przyjemność. To też, gdy popołudniu przyszedł do nas, dziękowałam mu serdecznie.

Dzień był łagodny, pogodny. Czesław zaproponował przejażdżkę na Bielany. Nie mogliśmy się z mamą nacieszyć widokiem pól.

Gdyśmy wracali, stary Kraków, jakby osrebrzony światłem księżycy rysował się wyraźnie na tle nieba.

Czesław siedział naprzeciw mnie, a widząc moje ożywienie się, rzekł:

— Widzę, jak korzystnie działa na panią widok wsi i przyrody, więc pragnąłbym wziąć panią stąd gdzieś daleko, na wieś, w góry, lasy... Tamby pani odżyła, rumieńce wróciłyby na bladą twarzyczkę, a i serce by się uspokoiło.

— Dziękuję panu za dobre chęci — odpowiedziałam, podając mu rękę. — Wiem, że cisza wsi i jej piękno jest prawdziwym balsamem dla serc zbolełych, ale mnieby już trudno było stąd się przenosić. Mama mnie nie puści samej, a dla mamy jest znowu korzystniej, gdy blisko Krakowa; Stacha, Bogdana przybywa...

— A do Dąbrowy jużby pani nie chciała wró-

cić? Zobaczyć swoją szkółkę, dzieci... Choćby tylko na wakacje.

Westchnienie ciężkie było moją odpowiedzią.

Po herbacie usiadł Czesław przy mnie na kanapie. Wpatrywał się długo w moje oczy; milczeliśmy oboje.

— Panno Zofio — rzekł po chwili — czy pani myśli kiedy o przyszłości?...

— Tak! Widzę ją przed sobą, jak na dłoni. Będzie zupełnie podobna do dnia dzisiejszego, wczorajszego i onegdajszego. Z szarej przędzy tkana, będzie zawsze szarą, ani jednej złotej nitki w niej się nie znajdzie, ani jednego promienia szczęścia. Przeszłość pochłonęła całe moje szczęście; na przyszłość została tylko cicha, bezkvietna praca.

— Przecież życie jeszcze długie przed panią, a może ono z sobą przynieść nową wiosnę, nowe kwiaty i nowych tęczy tkaniny...

Zasłoniłam oczy ręką, długą chwilę milczałam. On przybliżył się jeszcze więcej.

— Panno Zofio — szepnął — niech pani na mnie spojrzy, raz, jeden raz tylko. Czy pani, mnie nie żal?...

Długo tłumiony płacz wybuchł z całą siłą. Łkałam cicho, a łzy płynęły strumieniem po twarzy. Czesław wyszedł, nie pożegnawszy się.

24 maja.

Byłam parę dni cierpiąca. Przez ten czas, Czesław nie widziałam. Przychodził co dzień dowiadywać się o moje zdrowie, przysyłał ukłony, ale nie prosił o widzenie się ze mną. Wczoraj dopiero wszedł do mego pokoiku. Powitał mnie życzliwie. Był smutny, mówił bardzo mało.

— Niech się pan na mnie nie gniewa, że kiedyś zasmuciłam pana swoim płaczem, — mówiłam do niego. — Ja czasem jeszcze jestem niepoprawna. Chcę być silną, chcę być mężną, lecz nie zawsze mi się to udaje. Żał mi, że mamę zmarła i panu zrobiłam przykrość.

On ucałował moje obie ręce, uśmiechnął się szczerze, lecz nic nie odpowiedział. Grał mi potem długo.

30 maja.

Chciałabym już, aby Czesław odjechał. Jest on miłym gościem, zawsze się stara zrobić mi jakąś przyjemność; życzliwym jest przyjacielem, ale to, że on teraz codziennym jest u nas gościem, jakoś mnie martwi, niepokoi. Ja nie umiem tego nazwać, co to jest, dość, że chciałabym, aby pojechał.

Zresztą, jego odwiedziny przeszkadzają mi w pracy; on myśli moje odrywa, zabiera, a dzieci na tem cierpią. Przez ten czas, odkąd on bawi

w Krakowie, mniej się dzieciom oddaję; czasem pracuję jak senna.

4 czerwca.

Tak cudownie wiosna świat ustroiła, umaila, ożywiła i uweseliła, że kędy spojrzę, wszędzie widzę wesele, szczęście, słyszę pieśń.

A ja?... Ja żyję pracą i szczęściem drugih. Mam teraz jedno tylko marzenie. Gdy nadejdą wakacje, radabym pojechać hen daleko, daleko, w moje miejsca rodzinne. Chciałabym tam być raz, pójść na cmentarz i — wrócić tu do pracy.

9 czerwca.

Otóż stało się to, czegom się obawiała. Sama przed sobą nie chciałam tego powiedzieć, że się to stać może, a jednak stało się.

Było to przedwczoraj. Wieczorem, poszliśmy nad Wisłę, jak zwykle, na przechadzkę.

Mama ze Stachem, jego żoną i Bogdanem usiedli na galarze, który był na brzegu, a ja z Czesławem poszłam dalej.

— Może się pani przejedzie czołnem po Wiśle? — spytał Czesław.

— Dobrze!... Bardzo lubiłam dawniej po wiślanej fali płynąć, ale już dużo czasu minęło od tej pory, gdy ostatni raz używałam tej rozrywki.

Czesław przywołał młodego flisaka, kazał sobie

dać czołno, sam wziął wiosło w rękę, — popłynęliśmy.

— Prawda, jak po takiej fali czołno mknie spokojnie? — spytałam, a Czesław na to:

— I nie boi się pani zaufać teraz mej zřeczności, sił, odwadze?... Czy wierzy pani, iż w razie wichru niespodziewanego umiałbym ją ustrzedz od wypadku, osłoniłbym od piorunów i gromów?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Ah! panno Zofio, nieraz już pytałem panią, czyli pani mi może zaufać, czyli ma pani dla mnie choć jeden promyk życzliwości. Zawsze na moje pytania otrzymywałem albo wymijające odpowiedzi, albo nie otrzymywałem żadnej. Niech mi pani dziś pozwoli jeszcze raz zapukać do jej serca; niech mi pani pozwoli powiedzieć to, co od tylu lat przeżywa w duszy, przepala me serce do dna... Panno Zofio, ja panią kocham! Czyż pani tego nie widzi, nie wie, nie poznaje?... Odkąd panią poznałem, nie mam jednej chwili życia bez myśli o pani, niema dla mnie celu życia, pragnień o szczęściu, nadziei w przyszłość, bez tęsknoty za wejrzeniem pani, bez wieści o życiu pani. Panno Zofio! Niech mi pani nie broni mówić o tem, niech mi pani przynajmniej pozwoli, abym mógł raz wszystko wypowiedzieć, co przez tyle lat czułem, cierpiałem, myślałem...

Położył wiosło na łodzi, wziął moją rękę w swoje dłonie, i patrząc mi w oczy, mówił dalej:

— Ileż jam przecierpiał, ile przeboleł, ile prze-walczył, by to wielkie moje uczucie miłości ku pani pokonać, widząc, iż niema dla niego wzajemności. Lecz wszystko daremnie. Nie było siły potężniejszej nad moją miłość. Pokochałem panią sam nie wiem kiedy, sam nie wiem, jak to się stało. Gdy przy jasełkach widziałem panią zmęczoną, a tak cudownie całą duszą tej biednej dziatwie oddaną, uczułem, że mi serce rwie się ku pani, że muszę zyskać jej serce, zdobyć jej miłość. Pani mnie odręczała, odpychała, mroziła, nie dozwalała wymówić słowa gorętszego. Myślałem, że odpycha mnie od pani moje położenie materyalne, że nie ufa mi pani, sądząc, że jestem jednym z tych wielu, którzy bawić się lubią sercem szlachetnej kobiety. Oh!... ile mnie ta myśl kosztowała, ile mi bólu sprawiała!...

Wysunęłam nieznacznie moją rękę z jego dłoni, drżałam, jak w febrze, i ledwie dosłyszalnym głosem rzekłam:

— Panie Czesławie... panie, czemu mi pan to mówi?

On przetarł ręką swe czoło, odrzucił jasne włosy i mówił z uczuciem żalu:

— Czemu o tem mówię? Bo pragnę raz wyjawić pani cały stan mego serca, pragnę odsłonić głębi mej duszy, aby pani aż do dna przejrzała; bo pragnę wzbudzić w pani jeśli już nie miłość, to bogdaj litość dla siebie...

Czułam, że mi się robi dziwnie słabo, niepojęte uczucie bólu, żalu, czy trwogi przejmowało mnie do głębi, w oczach zakręciły się łzy, drżałam coraz silniej.

On przybił czołnem do brzegu, podał mi rękę, wyszliśmy na ścieżkę polną i tu na murawie usiadłam.

— A czy pani może pojąć — rzekł — ilem ja przecierpiał, wiedząc o nieszczęściu, jakie panią spotkało?... Na pierwszą wieść o tem rwałem się, aby tu przybyć, otoczyć panią opieką, czuwać nad jej zdrowiem, wynaleźć w świecie coś, coby mogło dać pani ukojenie. Ale ta wielka cześć jaką miałem dla pani, to święte uczucie uwielbienia, jakim panią otaczałem, nie dozwoliło mi tu przybyć. Szanowałem boleść pani tak, iż nie chciałem nawet wspomnieniem o sobie skazić tego czystego, anielskiego uczucia. Pierwszych parę miesięcy byłem jak chory, trując się niepokojem o życie i zdrowie pani. Potem, gdy wiedziałem, iż się pani po strasznym ciosie zaczyna uspokajać, sto razy wybierałem się, by przyjść i powiedzieć: bądź moja!... Lecz nie przyszedłem. Wiedziałem, jak pani kochała, nie mogłem nawet tchnieniem swej miłości naruszyć bólu serca pani. Czas płynął. Przeszły dwa lata, okropne dwa lata, jam spokoju nie znalazł, serca nie uciszył, miłości nie zgłuszył.

Długą chwilę milczał, gdy wreszcie spojrzał na mnie, był blady, jak marmurowy posąg.

Ujął mnie za rękę i rzekł:

— Bądź moja!... daj mi szczęście!... zaufaj memu sercu, pokochaj mnie...

Patrzyłam na niego długo, łzy mi się toczyły po twarzy jak groch, zebrałam całą siłę, aby przemówić.

— Panie Czesławie — rzekłam — żal mi bardzo pana, żal mi, że pan cierpi, ale już się tak nasze losy poplątały, że inaczej być nie może. Ja nie wyjdę za mąż, pozostanę wierną miłości tej, która nas łączyła na ziemi. Choć Mieczysław śpi pod mogiłą, duch jego jest przy mnie... Nie jesteśmy rozdzieleni i ja komu innemu słowa „kocham“ powiedzieć nie mogę.

On zasłonił twarz rękami, ja lkałam cicho.

Zaczęło się już ściemniać, trzeba było wracać do domu.

Wstałam, a dotknąwszy lekko jego dłoni, rzekłam:

— Panie Czesławie! niech się pan uspokoi. Cóżem winna, żem stanęła na drodze twego życia, jako widmo smutku i cierpienia; cóżem winna, żeś mi dał swoje szlachetne serce, gdy ja już serca wolnego nie miałam? Pan cierpi, a ja ileż przeżyłam? Wszak pan pojmie i zrozumie, co to znaczy ponieść taką stratę, jaką ja poniosłam.

Blady, cichy, podniósł się, a zbliżywszy się ku mnie rzekł:

— A przecież pani mogłaby jeszcze być szczę-

śliwą i mogłaby pani dać mi szczęścia tyle, ile go może dać miłość kobiety tak wielkiej duchem i poświęceniem, jak pani. Czemuż pani tego nie chce uczynić? Dlaczego pani nie ma dla mnie chociaż odrobiny litości, współczucia, życzliwości? Czylim ja nie godzien tego, czyli cała moja miłość nie zasłużyła sobie na tyle bogdaj uczucia, ile go się daje jak jałmużnę?... Niech pani mi nie odbiera ostatniej iskry nadziei, niech mi pani pozwoli żyć jeszcze złudną myślą, iż kiedyś, kiedyś przyjdzie czas, a pani mnie pokocha i powie: będę twoją!

— Nie! nie mogę ludzię pana nadzieję tego, co się stać nie może. Dwa razy serce nie kocha. Jak panu trudno zapomnieć o mnie i wyrzucić z serca tę wielką potęgę miłości, tak i mnie trudno zapomnieć. Czyż pan sądzi, że moja miłość dla Mieczysława jest mniejszą, jak była wówczas, gdyśmy już dzień ślubu oznaczali? Czy pan myśli, że gdy go mogła dla moich oczu zamknęła, zdołała go także zabrać z mej myśli, duszy i serca? Rozdział nasz, to rozdział dla ciała. On żyje dla mnie i ja mu wierną zostanę.

— Biednaś pani — szepnął Czesław — alem i ja nieszczęśliwy!... Pani masz chociaż cel dla swej pracy, a mnie moje wszystkie cele nie wystarczają... Cierpię nad siły...

Na progu szkoły ucałował ją rękę mówiąc:

— Do widzenia!

— Do widzenia! — powtórzyła i weszła do

pokoju, a ukląkłszy przed obrazem Matki Boskiej, długo w noc klęczałam przed obrazem Pocieszycielki utrapionych.

12 czerwca.

Nie tak to łatwo powiedzieć sercu: bądź spokojne, zapomnij, uczisz się.

Długą pracą i walką zdobyty mój spokój, po tych burzach, które mi życie złamały i szczęście zniszczyły, znów teraz zachwiany. Biedny Czesław zakrwawił ledwie zabliźnioną ranę. Cierpię teraz podwójnie: wspomnieniem tych strasznych chwil, które przeżyłam, i myślą o smutku Czesława.

Czyż mogę jednak postąpić inaczej? Mogę powiedzieć Czesławowi: „będę twoją“, gdy mówiłam te słowa jemu... ukochanemu.

— On był mój, a gdy ta nie przecięta, to i pocóż nawiązywać nową?... Nawet, gdybym, litując się nad Czesławem, zrobiła to, iżbym mu rękę mą oddała, rękę bez serca, czyżbym mu szczęście przyniosła? Kłamałbym nie umiała, nie umiałabym udawać miłości, gdy jej nie mam; a wtedy cóżby to było za życie?

Ja widzę jego zacność, jego prawy charakter, jego wierne serce, i właśnie dlatego tak mi boleśnie, iż nie mogę mu dać szczęścia.

Nie mogę! Nie mogę!...

Jedna jest tylko miłość w życiu, jak jest je-

dno słońce na niebie, jedna wiara w przyszłe życie.

Kto może powiedzieć drugi i trzeci raz kocham, kłamie.

19 czerwca.

Czesław nie odjechał jeszcze, był u nas wczoraj. Powitałam go jak brata, jak przyjaciela szczerego.

Usiadł, patrzył na mnie, a wejrzenie to tak mnie paliło, tak dziwnie, aż do głębi serce moje przenikało, iż chwilami musiałam oczy dłońmi zasłaniać, aby ukryć swoje wzruszenie.

Czesław opowiadał historię swego życia. Matkę stracił wcześniej, ojciec go wychowywał sztywnie i obojętnie. Nie znał szczęścia i ciepła życia rodzinnego.

Czasy szkolnych nauk przechodziły zwykłym trybem. Gdy, jako mężczyzna dorosły, osiadł na swoim dziedzictwie, począł bywać w świecie, znalazł wszędzie czczość i próżnię. Nudził się, żył apatycznie. Żadna piękność na niego wrażenia nie robiła. Nie kochał nigdy.

Gdy w Dąbrowie ujrzał mnie raz pierwszy, wtedy przed szkołą, kiedy zarumieniona, w ciemnej sukience, ustawiałam dzieci w pary, odniósł silne wrażenie. Przy bliższym poznaniu, rozmowie, znalazł we mnie to, za czem tęsknił: myśl i uczucie. Tak więc pokochał.

— Panno Zofio! — mówił przy końcu, — wie pani, już mi i z tem lepiej, że mogę pani mówić o mojej miłości, że mi pani tego nie zabrania, że chociaż pani pozna głębię moich uczuć i bodaj czasem powie z żalem: biedny! Czy tak?...

— Biedny! — szepnęłam ze smutkiem, a on wtedy wziął moją rękę, przycisnął do ust — potem dotknął nią swego czoła i na niem moją ręką znak krzyża nakreślił...

Odszedł, nie mówiąc już ani słowa.

23 czerwca.

Wczoraj już był u mnie egzamin. Egzamin smutny, nikt nie przyszedł do szkoły na te żniwa popatrzeć, nikt nie przyszedł, by rzec bogdaj jedno słowo: i — Bóg ci zapłać dziewczyno za trud, za pracę! Ja już nie zapraszałam nikogo. Po cóż? Próbowałam tyle razy — na darmo. Przecież są teraz wyścigi i na nie spieszy wszystko, co żyje. Tam wydaje się dużo pieniędzy, a czy w szkółce dziatwa nauczyła się dobrze historii polskiej, czy przyniosła po całorocznej pracy plony serca i wiedzy obfite, o to mniejsza! Czy też i nauczycielce ubogiej za mozoly i trudy wielkie godzi się bogdaj powiedzieć słowo zachęty: wytrwaj! orz i zasiewaj, bo nam plonów trzeba — wszak o tem się nie myśli.

Gdy w cyrku jest ostatnie przedstawienie, ci-

sną się tłumy. Gdy w szkółce nadchodzi ostatni dzień pracy, rzecz to obojętna.

Przeczytałam klasyfikację, rozdałam świadectwa, trochę nagród i powiedziałam dzieciom:

— Do widzenia, po wakacjach!...

8 lipca.

Chciałam jechać na Podole, aby odwiedzić grób mego ojca i grób jego... Wszak go nie pożegnałam jeszcze na tę wielką rozłąkę, jaka między nami stała.

Ale nie pojadę, nie czuję sił na to. Wolę być zdala i ludzię się czasem tą myślą, iż on jest tylko daleko odemnie.

Czesław przychodzi czasem do nas. Są dnie, w których mało do siebie mówimy. On cierpi, a ja, czyż nie jestem biedna?...

I mogło być szczęście, a niema go. I mogła się snuć przedza życia różowo, a snuje się szarą nicią, szarą jak ból, cierpienie i żal!...

12 lipca.

I pytam nieraz swego serca: czyliż nie czuje nowych drgnień, ciepła, życia nowego w sobie? Badam swoją duszę i pytam — czyliż nie może znaleźć już nic na szczęście nowe, — na wysnucie innej tkaniny, gdy tamtą dłoń śmierci potargala?...

Lecz nie!... W sercu żyje on, w duszy jest pamiętać o nim, w istnieniu mem jest miłość tasama, co była pierwiej.

Nie wystygła, nie zbladła, nie zgasła.

18 lipca.

Byliśmy na kopcu Kościuszki. Mama usiadła niżej, bo wyjść na szczyt nie mogła. Usiedliśmy na kamiennym stopniu i utkwiliśmy wzrok we wspaniałym widoku.

Złote błyski zachodzącego słońca malowały Kraków cudnym kolorytem. Około nas była cisza i spokój.

— Panie Czesławie — rzekłam, spojrzawszy na niego życzliwie, — mam do pana prośbę jedną, ale serdeczną.

— Wszystko spełnię, co tylko będzie mogło przyczynić się do spokoju serca pani.

— Niech pan o mnie zapomni.

— Próbowałem to przez parę lat, daremnie. Moje serce, zdaje się, umie tak samo kochać, jak serce pani; nie zapomnę i już do grobu pani będzie żyć w moich myślach, w moich uczuciach. Lecz jeżeli pani chce, odjadę i nigdy już nie wrócę, nie dam znaku życia o sobie, nie będzie pani wiedziała, czy żyję, czy jestem w ojczyźnie, czy cierpię, czy walczę...

— Tego nie chcę, pragnę usłyszeć kiedyś, iż pan jest i spokojny i szczęśliwy.

— To samo pragnienie mam i ja dla pani.

— Więc bądźmy przyjaciółmi wiernymi i zejdźmy się w pracy nad oświatą ludu. Oto jesteśmy w miejscu, które nam wiele mówi, o tem, czem lud dla ojczyzny być może. Ów bohater, któremu ten kopiec wzniesiono, także szczęścia w miłości nie znalazł, ciepła życia rodzinnego nie odczuł. A przecież nie zalił się. Prawda?...

Czesław milczał; ja po chwili mówiłam dalej:

— Ja, jako nauczycielka, pójdę dalej swoją drogą pracy, będę uczyć *a, b, c* — będę kochać najbardziej wzgardzone i odtrącone dzieci, będę przygarniać ku sobie i tych biednych terminatorów, o których nikt nie pamięta, i tych robotników, którzy nie mieli czasu nauczyć się historii Polski... A pan... a pan...

— Ah! pan może dużo zrobić i w ukochaniu ludu i we wspieraniu tych, którzy dla ludu czy piórem, czy słowem pracują. Odpląca się nam niewdzięcznością, nie uważajmy na to i na wdzięczność nie czekajmy. Zranią nas nieufnością, my kochajmy ich jeszcze lepiej; odtrąca nas i pójdą do tych, którzy ich będą wabić namiętnościami, nie gniewajmy się, lecz idźmy dalej...

— Słyszysz pan?... Dzwoni hejnał z Maryackiej wieży... To pieśń, która niesie wiarę, a gdzie wiara tam niema zwątpienia...

— Śpi w grobowcach Wawelu przeszłość narodu, jasna i promienna, lecz i kolebie się tu przyszłość. Na tę przyszłość ziarneczko siane wschodzi powoli, bo ono najpierw musi korzenie zapuścić głęboko, a potem dopiero strzeli w górę.

— Widzi pan, ja przecierpiałam wiele, ale nie dałam się złamać. Praca, tak piękna i święta, jaką jest wychowanie ludu, to przecież moc, która od upadku ustrzeże i od rozpaczny uchroni.

— A do tej pracy nietylko my, oracze, jesteśmy i powołani i obowiązani. Jak wśród nocy każdy szuka światła, tak w walce o lud, o jego podniesienie i uobywatelenie, każdy powinien spieszyć z pomocą i pracą. Na nasz lud czyha wiele zrad i złych chęci tych, którzy nas chcą zdeptać i zabić duchowo. Aby ustrzedz ten wielki nasz skarb, ten lud ukochany od błędu i ciemnoty, należy pracować — pracować i jeszcze raz pracować! Nie każdy może iść do szkoły i uczyć abecadła, ale kto chce poświęcić się dziś wielkiej sprawie, niech nauczycielstwo ludowe otoczy swą opieką, troskliwością i sercem, prawdziwie Kościuszkowskim.

— Widzi pan, — nauczycielstwo nasze, to emi-saryuszów szereg wielki. Rozniosą oni po chatach myśli wielkie, rozpalą płomienne ognisko miłości Ojczyzny, wykują silne lemiesz do orki przyszłości, ale nauczycielstwu temu trzeba dać więcej serca, uznania i pomocy...

— Nauczycielstwo potrzebuje łączności, zgody — zachęty do wytrwania w czarnych chwilach próby, balsamu na ciężkie nieraz blizny, przewodniej gwiazdy wśród rozdroży i walk. Tego mu brak. Choćbyśmy mieli szkoły na całej polskiej ziemi, od Bałtyku po Morze Czarne, niewiele jeszcze zrobimy, gdy będzie nauczycielstwo zimne, przygnębione, osierocone. — Duch i serce nauczycieli dadzą lud dzielnym...

— Niech pan ukocha pracowników po ubogich szkołkach, a znajdzie pan wielki cel dla swego życia...

Czesław, zadumany, patrzył na Kraków, słuchając mej prośby.

Gdy skończyłam, zwrócił ku mnie swoje ładne, pogodne oczy i rzekł:

— Tak, pojąłem posłannictwo szkółek ludowych w kraju, iż zdaje mi się, mógłbym i sam już zapisać się do szeregu nauczycieli ludowych. A kto wie, czy tak nie zrobię?

19 lipca.

Czesław już odjechał.

Rozstaliśmy się w milczeniu.

24 lipca.

Więc mam wakacje i dużo czasu wolnego. Chodzę teraz codzień nad Wisłę, gdzie albo z fli-

sakami rozmowę prowadzę, albo z tymi chłopakami, którzy na brzegu się bawią. Znają mnie już i zbierają się coraz liczniej, gdy zasięję do gawędy. Wody Wisły płyną coraz dalej, coraz dalej, a i moje gawędy z chłopakami snują się długo i długo. I jestem nieraz bardzo spokojna. Wiem, że nie spędziła dnia beczynnie, wiem, że nie przebiegała jak promyk z rzuciła w serca młode, a zaniedbane.

27 lipca.

Odkryłam dla siebie jeszcze jeden nowy kącik do pracy. Na przedmieściu, w Krakowie, jest ubogi krawiec męski. Przypadkowo przyszedłam do jego pracowni, bo chciałam dać uszyć kapotkę dla jednego chłopaka, którego przygotowuję do egzaminu w gimnazjum. Chłopak ma wielkie zdolności, a jest wątły fizycznie, do ciężkiej roboty nie mógłby się zabrać, więc myślę go dać do gimnazjum. Może wyrobi się na użytecznego narodzi człowieka. Przyszedłam więc do krawca w sprawie kaputki. Izba niska, ciemna, w podwórzu ciasnem, brudnem.

Kilku czeladników, kilku chłopaków terminujących siedzi przy robocie. Przypatrzyłam się tej pracy. Pomyślałam: wiele tu godzin tak martwo w milczeniu im przeminie i wyszłam z myślą o pracy mozolnej, a pozbawionej światła, życia, piękna.

Na drugi dzień przychodzę i pytam krawca:

— Pozwoli mi pan przyjść tu czasem i czytać głośno jakie ładne historie?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, wreszcie począł się tłumaczyć, że to trudno, że izba ciemna, ciasna, będzie i mnie niewygodnie i im nieswojo.

A ja nie dałam się ani odstraszyć, ani odpędzić. Mówię więc na to:

— Niech pan pozwoli, ja spróbuję. Jeśli moje czytanie nie robi przyjemności, nie zajmie, a będzie przeszkadzało, to drugi raz nie przyjdę.

Zgodził się, ale widziałam, że uczynił to niechętnie. Ja zaczęłam czytać:

— Był za króla Sobieskiego pewien kowal ubogi, a poczciwy...

Słuchają wszyscy, ja czytam dalej i dalej. Igły się migają szybko, a godzina przeszła jak chwila.

Gdy zamknęłam książkę, woła majster:

— Już?

— A cóż? Nie przeszkadzałam?

— O nie!... Bóg zapłać, jeszcze nigdy tak prędko robota nie szła, a historia bardzo ciekawa. Cóż dalej?

— Jutro, jutro przyjdę i dalej przeczytam.

Tak przychodzę teraz tu na godzinkę i czytam.

I coraz weselej mi w duszy...

2 sierpnia.

Lud!... Czy rozumiemy, co to słowo znaczy?...

Miliony serc czystych, miliony spracowanych dłoni, miliony ramion, dźwigających trud i ból życia... — to lud.

Wielka armia pracowników, którzy nam dają chleb codzienny, wznoszą dla nas domy i pałace, budują drogi, ochraniają nas od burz, deszczów, śnieg nam z pod nóg uprzątają, odziewają nas, strzegą od niebezpieczeństwa: to lud.

I ta śliczna, malownicza, najniższa pod względem wykształcenia warstwa narodu, która wierzy po staremu i kocha po dawnemu, która czci dawne obyczaje i tradycje: to także lud.

I ta, w dziwne szaty dłonią nędzy przyodziana najuboższa klasa społeczeństwa, która nie ma ani chat bielonych, ani zagonów, bodaj w wąskie pasy pokrajanych, ani zwyczajów dawnych, ani wiary silnej, ni cnoty poczciwej: to przecież także lud...

A my... czemże jesteśmy?...

My, arystokracja, szlachta, inteligencja, klasy wyższe...

Ach tak... Wyższe klasy...

Na wyżynach często dostaje się zawrotu głowy; tak i wśród wyższych warstw naszych nieraz są chorzy, bardzo chorzy na zamęt pojęć, na niedobre zrozumienie praw jednych i praw drugich, na niedowidzenie ułomności własnych.

Ludu są miliony, nas garstka... Miliony ludu nas żywią, odziewają, a my — co im za to damy?...

Lud stanowi naród, my nazywamy się kwiatem narodu.

Niestety, duży łańczyta potrzebniejszy do życia, niż kwiatów pełna cieplarnia...

.

7 sierpnia.

Marynia Łabajówna zdradza złe skłonności. Nie zrażam się tem przecie. Gdybym ja tak nie zaznała wychowania, jak ona, byłabym taką samą.

Bo i za cóż to się gniewać na biedaków, gdy kłamią, kradną, źle robią, jeśli ich nikt nie nauczył cnoty i zasad wiary im nie dal?

16 sierpnia.

Moja akademika nad wiślanym brzegiem powiększa się. Czasem, gdy tam przyjdę nad wieczorem, zastaję około 20 słuchaczy. Na galarze ogień się pali, flisak gotuje wieszak, zdala od miasta dolać nas echa gwaru i ruchu, dzwony kościelne brzmią uroczystą pieśń na „Anioł Pański“. Przy mnie jest słuchaczy wielu, a ja im opowiadam zawsze o tem, jak było.

I zastanawiam się nad tem, czyli dobrze czynię? Było i przeszło, lecz trzeba myśleć o tem, co

być może i co być powinno. Spostrzegam też ze zdziwieniem, iż pedagogia nie stawia przyszłości wyraźnie przed oczyma młodzieży. Wraca ona zawsze w przeszłość, w niej szuka wzorów, w niej udowadnia, czem jest praca, cnota, postęp, do przyszłości młodzież wie, ale jej nie rysuje.

Przecież my w pracy nad ludem powinniśmy wskazywać, jako gwiazdę promienną, ową przyszłość, do której dążymy z silną nadzieją.

23 sierpnia.

Milka jest najszczęśliwszą matką, Bronia najszczęśliwszą żoną. Pisują często. W listach znać tę ostrożność, z jaką boją się mówić o swoim szczęściu, by mnie nie zraniły. One sądzą, że jestem nieszczęśliwą. Kładę rękę na sercu, pytam je o szczęście, a ono mi mówi:

— Czyż niema szczęścia poza szczęściem własnym?

Ah!... ja przecież miałam wiele chwil własnego szczęścia. Czyż teraz nie mogę żyć i pracować dla dobra i pożytku drugich?...

Na mojem oknie wije się bluszcz, pną się gałązkami coraz wyżej, coraz wyżej, oplata niemi inne kwiaty, przytula się do zimnej ściany, chwytając się ram okna i szuka światła, bogdaj jednego promyka.

To obraz mego serca.

2 września.

Oto znów w mej szkółce dzwonek się odzywa, oto nowy zastęp dzieci wpisany w szeregi uczniów, nowa orka pod siejbę ziarna poczęta.

Staję na tym zagonie pełna wiary, nadziei i miłości. Trudu się nie lękam, cierpienia nie boję, wszak jestem zahartowana.

Potoczą się dni jedne za drugimi, jak się toczą fale wody, uprzedzie się znów szara nic jednego roku życia w mojej duszy, rozkwitnie znów jeden kwiat doświadczenia.

Jestem taka cicha i spokojna w głębi serca, myśli i pragnień, iż zdaje mi się, że nic mnie żywiej nie zasmuci, nie ucieszy.

Obracam się niby ciągle w jednym kole, a przecież nie znam nudy jednostajności. Zdaje się, że to umęczy, rok po roku zaczynać tę samą lekcję: ręka lewa, ręka prawa, prawe oko, lewe oko... jeden a jeden dwa, dwa jabłka, a jedno jabłko, trzy jabłka... a przecież — to nie to samo. Najniższy szczebel wiedzy, najciaśniejszy plan nauki, najmniejsza dziatwa w szeregu młodzieży zdobywającej wiedzę, a przecież i tem gardzić nie trzeba i to należy ukochać.

I przypominam sobie, jak w pierwszym roku pracy mej zastanawiałam się nad tem, czem jest moja lekcya o literze „i“, gdy taki ogrom pracy przedemną się otwiera, gdy taki niezmierny łań czeka na orkę, siejbę i wyplewienie.

„I“ — to początek. A początek to już część dzieła.

Niektórzy gardzą nauczycielką ludową, bo to pracownica na ubogim zagonie, bo jej praca, to szara, konopna przędza. Ja moją pracę niosę jako znak wielkiej godności, ona mi herbem szlachectwa, ona tytułem w dzisiejszej dobie, pełnym chluby.

9 września.

Z Dąbrowy piszą do mnie dzieci:

— Najdroższa pani nauczycielko! Spodziewała się cała gmina, że pani się jeszcze do nas wróci, ale się pani nie wróciła. Teraz nam bardzo dobrze. W szkole jak w niebie. Pan dziedzic sam dzieci uczy, a umie uczyć, jakby i pani nauczycielka.

Gdy te słowa przeczytałam, łzy mi się z oczu puściły.

Były to łzy prawdziwej radości.

18 września.

W szkole mej rojno, jak w ulu. Dzieci tyle że się pomieścić nie mogą, a dzieci te są spokojne, posłuszne, grzeczne.

Stałam chwilę przy oknie podczas lekcji, patrząc na kąpiącą się w świetle słońca mogiłę Kościuszki, a Staszek czyta głośno:

— „Słońce wzbilo się wysoko, nadeszło południe. Bydło przygnał i napoił pasterz u studni, ludzie zeszli z pola. Jaś i Anusia wyglądali też mateczki z roboty. O, wyglądali, bo im się bardzo jeść chciało“.

— Dalej niech czyta Kasia.

I miły głosik dziewczątka dzwoni:

— „Przyszła mateczka, rozpałała ogień, ugotowała kartofle, wysypała je na miskę, a na drugą nalala mleka“.

— Chodźcie dzieci, siadźcie na ławie i jedzcie. Zajadają dzieci smacznie, a tu za progiem staje sierotka Marysia. Matka jej już dawno nie gotuje i na obiad nie woła, bo umarła; ojciec gdzieś do miasta poszedł“.

— Dalej niech czyta Adaś.

Ładny, dziarski chłopak, z dużym sińcem pod okiem, czyta:

— „Sierota aż zbladła od głodu. Stoi cichutko za progiem, patrzy, jak drudzy jedzą, a lzy jej już, co tylko potoczyć się mają“.

— A kto tam stoi u progu? — woła matka.

— Marysia, sierotka!

— Pójdź-że tu Marysiu, siadaj na ławie, weź łyżkę i jedz z nami. Ustąp się Jasiu, przysuń jej kartofle, bo ona sierotka. Pamiętajcie dzieci, pamiętajcie na całe życie, że Bóg kazał głodnego nakarmić“.

Ostatnie słowa brzmią mi w uszach dziwną nutą żalu.

Lekcja przeciąga się jeszcze długo, a mnie treść czytanej powiastki porusza do głębi.

Tą sierotką u progu — któż to?

Czyż nie należy tym, co mają wiele usunąć się trochę i zrobić także miejsce dla głodnej sierotki?...

Przez gałęzie drzew, światło słoneczne wciska się do mej klasy. Ozłaca główki moich dzieci bosych i nędznie odzianych. Jakiś ptak na gałęzi szczebioce piosenkę. Z dali dolatuje granie fujarki, a u mnie dzieci czytają znowu:

— „Sierota, aż zbladła z głodu. Stoi cichutko za progiem, patrzy, jak drudzy jedzą“...

Ja zaslaniam oczy dłonią, myślą jestem bardzo daleko.

Oto my, nauczyciele, stoimy u progu i wołamy:

— Pójdź-że tu sierotko głodna i opuszczona, pójdź, my ci damy odrobinę, ziarenko małe, ale damy z serca.

Dziecko czyta dalej:

— ...pamiętajcie na całe życie, że Bóg kazał głodnego nakarmić...

Jakaś obca ręka dopisała potem na tej kartce:

„Tak uboga nauczycielka ludowa zakończyła swój pamiętnik“.

K O N I E C.



65/174